PISMA

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

z życiorysem autorki skreślonym

przez

D-ra Piotra Chmielowskiego.

Wydanie uskutecznione staraniem

Redakcyi Bluszczu.

TOM DRUGI.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1885.

103631

Дозволено Цензурою.

Варшава. — 8 Ноября 1884 года.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska № 20.

PISMA GABRYELLI.

WSTĘPNY OBRAZEK.

Jaki to był prześliczny ów kominek, cośmy go kilka lat temu gronem dobrych znajomych z domu Emilki obsiadali, codzień prawie, przez całe, długie, jesienne i zimowe wieczory! Niziutki, czarnym marmurem wyłożony, miał dokoła bronzową galeryjkę od staczania się głowien zabezpieczającą, dwie żelazne podstawki na których się drewka układało — a drewka olszowe, takie suche, tak mało zostawiające po sobie węgla i popiołu, tak czyste, jasne, płomienne, że choćbyś miał smutek na sercu, choć zgryzotę na sumieniu, to przy ich blasku i myśli ci się rozjaśnią, i droga zbawienia ukaże. Teraz jeszcze trzeba sobie wyobrazić, że ten kominek bezcenny znajdował się w dosyć dużym i wysokim pokoju, że ten ogień niepokalany rozświecał połyskami swojemi cztery bielutkie ściany, dwa gotyckie okna z przymkniętemi od ogrodu okiennicami, śnieżyste zwoje muślinowych firanek, złote ramy kilku miejscowych krajobrazów, karmazynowym adamaszkiem wybite meble, fortepian w głębi stojący—a począwszy od ósmej godziny, trochę na uboczu, stolik niewielki z całym herbacianym rynsztunkiem, ze szklankami, filiżankami i z świecącym samowarem, który wmiarę dosypywanych węgli syczał lub warczał

gotującą się w nim wodą. Im niepogodniej było na dworze, tem rozkoszniej lubowaliśmy się ogniem kominka i cichością pokoju, i muzyką samowaru — ach! bo nam wtedy tak dobrze było jednym z drugimi, ach! bo my wtedy kochaliśmy się tak szczerze, szanowali tak ufnie, spodziewali tak niemylnie!... Dzisiaj? los nas rozwiał po szerokiej ziemi, obojętność, zapomnienie, gorzka uraza, lub żal gorzki śladem za tymi lub owymi biegą. Gdyby nam znów gościnne kto rozniecił ognisko, gdybyśmy się tak wszyscy dokoła niego zgromadzili—czyby się też zapomniało uraz? czyby już wszelką z serca zrzuciło tęsknotę? czy przyjaźń znówby zbliżyła dłonie, a pogodą czoła błysnęły? Nie, ja radzę nie próbujcie nigdy powtórzenia przeszłości waszej. Kto kochał wtedy, niech już teraz ukochanych swoich nie spotyka, kto w trumnie złożył najdroższych, niech dziś wskrzeszonych nie ogląda. Kto stracił, niech nie odzyskuje, bo to okropność spostrzedz po latach dwóch, trzech, dziesięciu, spostrzedz jak oni różni od tego czem byli, lub jak my sami różnymi; zawieść się na nich lub na sobie, z wspomnienia mieć rozczarowanie, lub w obecności zegar bijący smutną niedołęztwa godzinę!... Bogdajby to nam oszczędzonem zostało, nam wszystkim, cośmy wówczas siedzieli przy kominkowym ogniu i gwarzyli tak wesoło, tak swobodnie, tak poczciwie; a była nas dość liczna gromadka, a nieraz jeszcze kto z dalszych znajomych zawitał. Pamięć moja wiernie mi przechowała każdego, i przechowała takim, jakim go miała w chwilach owych, nie takim, jakim jest teraz, lub jakim ja go być sądzę. Najpierw Emilka, pani domu, wdowa po mężu który jej zatruł dni pierwszej młodości—była to—waham się w doborze wyrazów, anioł, czy święta? — boć jeszcze między jednem a drugiem wielka zachodzi różnica, w niej zaś do jednego i drugiego wielkie było podobieństwo. Anioł, posłannik, to duch czysty i spokojny, który prosto, jak rozkaz Boży, ku dobremu idzie. Święta, to córka tej ziemi, która w trudach i boleści walką i zwycięztwem dokupuje się nieba.

Otóż myśl Emilki była aniołem, jej serce, świętej sercem — jak anioł nie wątpiła ona nigdy, cicha i spokojna, żadnym instynktem, żadną potrzebą ciała ani umysłu nie stanęła na poprzecz prawdom religii chrześciańskiej, ale ta walka, unikniona w rozumie, przeniosła się do serca i serce cierpiało okropnie.

Występki bliźnich, niedoskonałości ukochanych, klęski braterskie stawały się dla niej żywem jak rana cierpieniem — oburzenia, skargi, potępiających wyroków nie znały usta Emilii; znała jej dusza zato okropność daremnych wysileń i ciężkie próby strudzenia— wszystko jednak przetrwała, zawsze łagodna jak słońce, które złym i dobrym świeci, zawsze cierpliwa jak rzemieślnik, który dzień po dniu też samę robotę zaczyna, zawsze łatwa do oszukania jak dziecko, które samo nikomu nie skłamało jeszcze; bo ona anioł i święta — dwie istoty w połączeniu swojem tworzące taką kobietę, jaka za trzysta lat, najprędzej i najpochlebniej dla rodzaju ludzkiego licząc, będzie dopiero mogła żyć bezpiecznie, błogo i szczęśliwie.

Teraz miejcie się z nią na ostrożności, młode głowy i ufne serca. Emilka wam świat cały w swoje własne ubierze sukienki, pójdzie z wami szukać śliczných, a dalszych niż niepodobieństwo obrazków, rozpieści was za lada poczciwszą obietnicę, nie wyłaje nigdy, nie odepchnie nigdy, choćbyście na to sto razy zasłużyli, choćby to wam do zdrowia najpotrzebniejszem było—chyba... lecz znów życie anioła płynie tak jasnym strumieniem, że zupełnie „czarne diabły“ nic z niem nie mają wspólnego. Ztąd też zapewne Emilka w swojem własnem przekonaniu jest bardzo surowa, bo żadnemu z nich nie przebaczyła jeszcze, a inne odcienia popielate, sine, brudne, jej białości nie ujmują przecież, same nią wzbogacić się mogą. — Emilka nie wątpi o nikim. Śmiałam się z niej czasem, że gdyby od niej zależało, toby nawet Judasz był kiedyś zbawionym, i trzeba wyznać, że nigdy szczerze na ten żart nie odpowiedziała.

Obok Emilki, jako zupełną inność, Felicyą sadzać lubiłam. Felicya była dla mnie ideałem obecnej chwili, miała siłę potrzebną do moralnych tego wieku zapasów, namiętne wszelkiego dobra pragnienie, gwałtowną złego nienawiść, sąd rozumu bez litości, miłość dla myśli swej większą niż dla ludzi, a jednak ludziom bratniej myśli rękę z pomocą wyciągniętą i życie całe wylane. Jak Emilia nie znała, tak Felicya nie rozumiała błędów i ułomności ludzkich. Emilii grzech bliźniego tłumaczył się nieszczęściem, lub cnotą omyloną, Felicyi upadkiem zupełnym; przed Felicyą nie było sakramentu pokuty i łez oczyszczenia — jeśli wzgardą nie zaczepiła, to przeszła obojętna, tuląc dokoła szaty swoje, aby gdzie mimowolnie ich skrajem kału brudnego nie dotknąć. Kiedy jej raz wymawiałam taką niemiłosierną sprawiedliwość, brakiem czasu mi się tłumaczyła. Według zdania Felicyi, łatwiej nowe wznosić, niż zniszczone podźwigać; zniszczenie uważała ona za najlogiczniejsze dla wszelkiej niedokładności następstwo i oddawała mu bez żalu zrywane stosunki, zapomniane imiona ustających na pół drogi towarzyszów swoich. Felicya choćby i za najartystyczniejszych wrażeń podarunek nigdy się spóźnić nie chciała. Czynność jej była zadziwiającą — od najprostszej jałmużny do najwznioślejszej około oświecenia bliźnich pracy, od gospodarstwa domowego do filozofii, od igły do poezyi, od gawędki do nauczania — dni jej starczyły na wszystko i wszystko było dobrze lub pięknie, szlachetnie lub odważnie. Prawda, że też Pan Bóg do wszystkiego jej drogę ułatwił: od dzieciństwa otoczył ją kółkiem poczciwej rodziny, dał jej kochającą matkę, wykształconych braci, położenie w świecie niezawisłe, wyższe zdolności umysłowe i prawą naturę.

Pieszczona, rozumna, śliczna, biała jak lilijka, jasna jak gwiazdeczka, tak snadnie wzbiła się na wysokości człowieczeństwa, tak wygodnie zawarowała osobistość swoję w zatraceniu egoizmu, radość swoję w obowiązkach, że nie umiała sobie dobrać skali na

mierzenie postronnych uchybień. Jej życie całe było czyste i tylko ciągle z niższej do wyższej przechodząc piękności, rozwijało się, niby dzieło muzyczne według praw rytmu i harmonii, w coraz śmielsze, bogatsze i wdzięczniejsze akordy. Nigdy Felicya nie miała powodu, żeby choć na chwilę o samej sobie zwątpić. Z okiem badawczem nieustannie w głąb własnej duszy zwróconem, widziała tyle świętości, tyle prawdy w jej najtajniejszych zakątkach, że prawda i osobiste uczucia w jedność się dla niej zlały zupełnie, i że nakoniec, jak każda wyższych przeznaczeń istota, wierzyć sama w siebie zaczęła. W spółwyznawców jej nie brakło; ja także należałam do ich liczby. Felicya, pełna wdzięku i uroku, odważna, dowcipna, otoczona przyjaźnią serc poświęconych, zazdrością nikczemnych, a szacunkiem ogółu, wyobrażała mi kobietę najzdolniejszą do przeprowadzenia w rzeczywistość wszystkich kobiecych o niepodległości marzeń. Ona jedna mogła stanąć tak silnie, że jej boleść nie zachwiała, tak wysoko, że jej śmieszność nie dosięgła, a tak pięknie i bezpiecznie, że aż innym z nią razem stanąćby się chciało. Wszystkie cnoty, które jedynie w normalnych warunkach bytu ludzkiego rozwinąć się mogą, były właśnie cnotami Felicyi; brakło jej wprawdzie cnót anormalnych, drobnych cnót cierpienia, lecz co tam dzisiaj po nich! — cnoty cierpienia, pokora, skrucha i litość bez granic, rezygnacya niewyczerpnięta, to dobre dla ascetów, dla pustelników Tebaidy, lub męczenników w Kolizeum. Nam trzeba cnót siły, cnót tryumfu, nam trzeba koniecznie cnót szczęścia, żeby inni w nas uwierzyli i tak jak my cnotliwymi się stali. O! bo głównie o innych chodzi. Pojedynczej duszyczki Bóg chyba teraz nie wpuści do królestwa swego; to samolubne zbawienie postów i umartwień, długich pacierzy i ciasnego życia nie jest zbawieniem godziny dzisiejszej. Cierp, ale żeby braciom twoim weselej było na świecie, módl się, ale żeby nieprzyjaciołom twoim jaśniej było w duchu — to Bóg kiedyś policzy cierpienia i przyjmie modlitwy twoje. Jak nie, to nie.

Przekonanie moje w tym względzie było tak silne, że nad tysiące owych biernych zalet, które indywidualność bogacą, nigdy nazewnątrz nie rozpromieniając się, wolałam wszystkie wady Seweryny, długim ciągiem nieszczęścia zakorzenione w jej duszy. Te wady przynajmniej, obok najszlachetniejszego charakteru, obok najpiękniejszych skłonności, głośno zdawały się upominać o prawo do szczęścia, o prawo do tego, co dobrym dobroć ułatwia, co chętnym czynnymi być daje.

Młodość Seweryny ubiegła wpośród ludzi złych i obojętnych; brudom szlacheckiego życia, nikczemnościom salonów przypatrzyła się na własne swoje oczy. Karmiono ją szyderstwem i nienawiścią, ona szyderstwo i nienawiść przetrawiła na oburzenie, na drażliwość, na nieufność i wzgardę. Oblicze jej było surowe, sposób wyrażania się cierpki i ostry — ale serce? Szczerzej, silniej kochającego nie było wśród wszystkich serc od Boga wybranych. Każdochwilowe zapomnienie siebie samej, każdochwilowa praca dla drugich, bez żadnej nadziei zwrotnego odwdzięczenia, bo nawet gdy ją kto kochał. Seweryna nie dowierzała, bo nawet gdy przyjazną rękę kto do niej wyciągnął, Seweryna nie ujęła jej wcale, odosobniona w boleści podejrzliwością swoją. Dla Felicyi dopełnienie każdego obowiązku było zawsze radością najwyższą, dla Seweryny, nieufnej względem siebie i względem drugich, bardzo często stawało się prawdziwą męczarnią; jednak nie uchyliła się przed żadnem wymaganiem swojego sumienia — gdy uznała, że co jest potrzebnem lub sprawiedliwem, z wytrwałością szła ku spełnieniu tego, a szła przez własną boleść, przez obce potwarze. Felicya więcej może dobrego zrobiła, Seweryna źle nawet robiąc, miała niezawodnie więcej osobistej zasługi. Gdyby mi wolno było dla tych dwóch kobiet przypuścić jakieś w ludzkości stosowne do ich pracy teraźniejszej odrodzenie, tobym powiedziała, że na przyszłość Felicya będzie artystką, Seweryna kapłanką. Felicya objawi ludziom piękność w moralnej doskona-

łości, Seweryna da im pociechę. Obręb doczesnego życia dla nieszczęść Seweryny nie ma jeszcze przystosowania. Są-to bezpłodne nieszczęścia, które ją samę zrobiły mniej dobrą, a złych obok niej trochę gorszymi. Spostrzegam się jednakże, że zbyt nieuważnie szafuję temi słowami szczęście, nieszczęście, radość i cierpienie, a mógłby kto pomyśleć, że ja szczęściem i radością nazywam wielkie przyjemności, nieszczęściem i cierpieniem przykrość jaką wielką. Azatem majątek, wygody, zbytki, wielki los na loteryi, szczęśliwe pociągnienie talii faraona, koń, pałacyk, suknia modna, wstążeczka, lub krzyżyk złoty—wszystko razem byłoby szczęściem. Ubóstwo, zarobek ciężki, przeszłoroczny kapelusz, odzież trochę wytarta, zgubione rękawiczki, ciasna stancyjka—wszystko nawzajem nieszczęściem byćby musiało. Och! mój Boże! zgódźmy się na znaczenie wyrazów, lub kiedy się zgodzić nie możemy, to na ciąg czytania tej książki przyjmijcie państwo moję własną definicyą. Szczęście i nieszczęscie od żadnych zewnętrznych nie zależy okoliczności. Szczęściem nawet nie jest ukochanie nas przez najukochańszą istotę, nieszczęściem nie jest nawet śmierć najdroższych naszych; poprostu ja przez szczęście rozumiem to, co zbawiennym wpływem wznosi, kształci i uszlachetnia ducha naszego, a nieszczęściem to, co go poniża, nikczemni i gnębi.

Dlatego też różne są szczęścia i nieszczęścia różne, dlatego też widziałam częściej nieszczęście wśród wielu przyjemności, jak nieszczęście wśród przykrości wielu. Jednak co korzystniejsze, trudnoby dać wyrok, cała tejemnica osobistości człowieka w tem leży. Felicyą nazwałam szczęśliwą, bo rosła wśród dobrego, dobrą Serverynę nieszczęśliwą, bo wśród złego całej dobroci swojej rozwinąć nie mogła i nieraz nawet zły pozór przybrała; nieszczęśliwą jednak nie nazwałam Tekli, chociaż powieść jej życia była daleko smutniejszą.

Tekla ciężkie przebyła straty, ale boleść nie zatruła jej stosunków z ludźmi, prawda że też jedynie od

losu, nie od ludzi cierpiała. Zawsze spokojna i poważna, zdawało się jakoby doświadczone koleje ułatwiły jej tylko ogólną dla wszystkich dobroć. O cóż się miała gniewać, o co niepokoić, kiedy ci, którzy byli wyrazem jej egoizmu na ziemi, a których byłaby może ukochała z całą słabością drobiazgowych kłopotów i kobiecej drażliwości, pod ziemią dawno spoczęli? Sierota i wdowa bezdzietna, sama w sobie zwinęła się jak listek czułki mimozy, zbyt religijna, zbyt szlachetna jednak, w sobie, nie dla siebie zwinęła. Owszem, jej ponętna, pełna cichej godności uprzejmość wszystkie serca ujmowała, i co dziwniejszem zdawać się może, ze wszystkich serc te szczególniej, które namiętniej i gwałtowniej w młodych uderzały piersiach. Bo też trzeba powiedzieć, że Tekla wśród tylu kobiet, które znałam, jedna Tekla prawdziwie pobłażającą być umiała. Emilki łagodność była raczej wiecznem usprawiedliwieniem, ja sama nieraz, kiedym co złego zrobiła, a chciała koniecznie, żeby moje złe nie tak mi czarno z sumienia wyglądało, to tylko poszłam do Emilki i uskarżyłam się przed nią, ona zaraz dowiodła mi, jak ja to pragnęłam dobrze uczynić, jak ja to będę mogła jeszcze przeinaczyć, jak ja to zawsze poczciwa jestem, aż słowo za słowem uwierzyłam jej nieraz i zdarzało się nawet, że potem silniejszą byłam w odtworzeniu i poprawie, niżbym nią po spowiedzi w kornej pokucie bywała. Ale z Teklą to rzecz inna. Tekla miała o złem i dobrem sąd niezachwiany, wyraźny, stanowczy, a zawsze z zimnym rozsądkiem zgodny. Tekla każde zdarzenie oceniła według urzędowej społeczeństwa taksy, każdą pobudkę według moralnych przepisów, chociaż dłużnicy najwięksi przystęp do niej mieli, chociaż się nigdy przed błądzącymi nie usunęła. Dla mnie wyobrażała ona jakąś zasadę przykrej rzeczywistości, objawioną miłosierdziem chrześciańskiego serca i wspartą przykładem chrześciańskich uczynków. Bardzo często sprzeczałyśmy się okropnie. Jej pojęcia zamknęły się w niektórych formułkach tak przeciwnych usposobieniu mojemu, że się z nią wciągu rozmowy na

dwa słowa zgodzić nie mogłam, ale kiedy czułam jakie symptomata bezcelowego rozmarzenia i rozbiegłe na cztery fantazye myśli, kiedy mi trzeba było hartu, karności, zgody ze światem i zimnej wody na głowę, to stawałam przed nią i mówiłam: „Łaj mnie, Teklo,“ a gdy Tekla łajała, ja kłótni żadnej nie wszczynałam już.

Obok tych czterech kobiet ze stale określonemi charakterami, wyobraźcie sobie trzy inne jeszcze, które nie były tem, czem je Pan Bóg stworzył. Jadwiga nie była poetką, Augusta nie była artystką. Anna nie była matką. Jednak pewną jestem, że nim przyszły na świat, ich przedchrzestne imiona w niebie były poetka, artystka, matka. Do urzeczywistnienia owych imion na ziemi, Jadwidze brakło pisarskiego talentu, Auguście pracowitości, a Annie dziecięcia. Jadwiga rzuciła się nawet we wprost przeciwny zawód: spiżarnią i krosienkami centralne kółko życia swego obwiodła, sama siebie nazywała praktyczną kobietą i prawie była nią nawet. Wewnętrzna za to jej duszy historya rozwijała się oderwanemi rzutami szalonych pragnień, zachwytów, zniechęceń i uwielbień. Sprzeczność tła takiego z rysami głównych niby figurek, osobliwszą też tworzyła mieszaninę. Coś nakształt gorących włoskiego nieba obłoków, pod któremiby malarz wyobraził śniegi północy i kwitnącą pomarańczę. Żmujdzina w kożuchu i klęczące przy kapliczce Neapolitanki. Napozór życie Jadwigi płynęło cicho, jednostajnie, gospodarsko; kto mu się zblizka przypatrzył, ten widział dopiero całą dramatyczność jego, chociaż w kształty wypadków objętą nie była, ten czuć musiał całą lirykę, choć mu jej słowa nigdy nie wypowiedziały. Jadwiga dla każdej piękności, dla każdego wrażenia miała struny od serca do mózgu przeciągnięte, i te struny pod każdem dotknięciem dźwięczały najcudowniejszymi tonami uczucia i wyobraźni, ale dla niej samej w zamknięciu głębokiem dźwięczały. Czasem uroda kobiety zajęła ją tak żywo, jak oczarowanego kochanka; po całych godzinach słuchała mile brzmiącego głosu, pa-

trzyła w czarne lub błękitne oczy, układała sploty jasnych lub ciemnych warkoczy. Przez jednę zimę szalenie łubiła tańce, potem kwiaty, potem muzykę, upodobania jej wyrównywały w sile i zmienności namiętnościom innych kobiet, tylko że Jadwidze z upodobań jej przybywało ciągle władz i pojęć nowych, a innym kobietom z namiętności, życia i prawdy ubywa. Jadwiga w kochanych swoich kochała zawsze pierwszą chwilę własnego pociągu, sympatyą swoję, lecz jednocześnie dla sprawiedliwości swych pojęć musiała w nich stworzyć jakąś doskonałość. Wielu było takich ludzi, od których wstręt nieprzezwyciężony ją dzielił; na mierność nie miała żadnego uczucia, w teraźniejszości często bardzo okropne spotykały ją zawody, lecz przeszłość odgadywała tak bystrem i trafnem wnioskowaniem, jak gdyby historya najodleglejszych wieków jej własne zawierała wspomnienia, a z przyszłością tak ścisły poświęcenia i zapału stosunek ją łączył, że nieraz jej nadzieje mogły się darem proroctwa wydawać. Niespokojna, natchniona, z entuzyazmu w utrudzenie się przerzucająca, z utrudzenia w wątpliwość, a potem znowu jedną chwilą zachwytu, jednym promieniem piękna orzeźwiona, a zawsze przez pośpiech i przez zmęczenie swoje ku najwyższości dobrego biegnąca, a zawsze w chwilach rozpaczy i szczęścia z niewidzialnym tajemnym Bogiem ideału w piersiach swoich czyż Jadwiga nie była prawdziwą poetką? Och! ja wam ręczę, że była, tylko niewszyscy ją odgadli, bo to mało mówiąca, kamiennego nazewnątrz ułożenia kobieta, ledwie że czasem, czasem płomiennem jakiem spojrzeniem dusza jej szczerze przez oczy mignęła.

Augusta była jawnie tem wszystkiem razem, czem Jadwiga w skrytości tylko, w treści swego życia być umiała. Nadto Bóg ją jeszcze obdarzył znaczną porcyą talentu i dziwactwa, a przyodział wdziękiem tak uroczym, żeśmy ją wszystkie psuły potrochu. Jadwiga szczególniej, czcicielka wszelkiego piękna, oprawiła ją w serce swoje, niby dyament najprzeczystszej

wody. Trudno-bo też wyobrazić sobie więcej ponętne stworzenie: każdy jej ruch zosobna mógł być żywcem na model przez snycerza wzięty, każde przegięcie jej drobnej i szczupłej kibici mogło być przez bajadery wschodnie studyowane, a jak śpiewała! to istny słowik z ponad brzegów Pilicy słuchany, tylko że słowik rzadko się odzywał, a młode orlę często za to nie jednę z nas i skrzydłem potrąciło, i szponami drasnęło czasem. Sarkazm był u niej na każde zawołanie gotowy, po sarkazmie pieszczota, ztąd przykrość może, ale gniewu nigdy. Zmienny, a w każdej zmianie zarówno gwałtowny charakter Augusty, mimowolnie przywodził mi na myśl jakieś cudzoziemskie pochodzenie, według rodziców jednak była to prawdziwa, nawet zdaje mi się wielkopolska szlachcianka; według ducha zapewne we francuskiej lub włoskiej myśli poczętą być musiała. Kto jej nie spotkał, ten sobie wyobrazić nie może tak różnorodnych żywiołów w jeden utwór kobiety zmieszanych. Jakaś nadzwykła delikatność zmysłów na pochwycenie wszelkiej gry słonecznych promieni, na ocenienie dźwięków, na użycie każdego zjawiska natury i sztuki. Jakieś rozkapryszenie dziecinne, a męska w urzeczywistnieniu swoich pragnień wytrwałość. Jakaś niepojęta, że się tak wyrażę, elastyczność umysłu i zdania, a bezprzestannie toż samo dążenie ku spotrzebowaniu wszelkich przedmiotów na wrażenia swoje. Jakaś bezmyślność cygańska, a wymagania królewskie, jakaś tkliwość wybujała, a ciekawość nielitosna, jakaś osobliwość z najpospolitszemi spadkami, a chwile niespodzianego entuzyazmu z najczystszem ducha wzniesieniem, i obok tego jeszcze dar malarstwa, podwójny, słowem i pędzlem, pieśnią i farbami — to była Augusta. Malowała też ona życie swoje, malowała w zachwycające obrazki, w miłość, w przyjaźń, w poświęcenie, a ja posądzałam ją, że dlatego maluje tylko, by im się przypatrzeć z rozkoszą. Ludzie poważni, ludzie surowi jak artykuł kodeksowy, ciężkie mieli przeciw niej zarzuty. Mówili, że to lekka i płocha kobie-

ta. mówili że to zawodne i kłamliwe serce. lecz co tam oni wiedzą, tacy ludzie; oni nawet się nie domyślają, ile prawdy być może w jednej chwili zachwycenia, ile cnoty w jednym błędzie. Ja tam nie usprawiedliwiam i nie tłumaczę. ale widzę tak jako jest i wiem. że serdecznie kochałam Augustę, i wiem. że ona nigdy nie skłamała nikomu, bo nigdy nie skłamała samej sobie, a kłamstwo zupełne, kłamstwo solenne najpierw od samej siebie się zaczyna. Wprawdzie niebezpieczną rzeczą było uwierzyć jej każdemu słowu, kto uwierzył, sobie mógł tylko winę przypisać, bo czemuż lepiej nie zastanowił się nad warunkami, w których te słowa wymówione były; ze zmianą warunków i wartość słów się zmieniała. Pomimo takiej niepewności jutra, pomimo takich dziwactw dnia dzisiejszego, co szczególniej ku Auguście nęciło silne i szlachetne serca, to przeczucie jej słabości, jej, że tak powiem. kobiecego niedołęztwa. W całej hardości, we wszystkich uchybieniach. w każdym rozkazie tej dumnej pani, łatwo można było odgadnąć pokorną na kiedyś i wypartą z indywidualności swojej niewolnicę.

Przypuściwszy, że ta kobieta pokochała się nakoniec i wzajemnie pokochaną została, ręczę. że człowiek jej wyboru jest człowiekiem niepospolitych zdolności, przed którym ona padła na kolana, któremu więcej zawierzyła niż sobie samej, niż prawdom religijnym. Ten człowiek mógłby ją bić. mógłby ją sponiewierać, mógłby ją w wiecznem przed sobą utrzymać poddaństwie. ale biada mu. jeżeli się do szaleństwa wdziękiem syreny upoi, biada mu jeśli na wyłączność jedyną, na cel życia jedyny artystkę umiłuje. Artystka mu serce pogryzie; w jej cudzoziemskiem, południowowschodniem uczuciu nigdy niema spokoju i równowagi, z nią zawsze walka nieustanna o koronę lub kajdany; jak niema walki, tak już i uczucia niema.

Anna piękniejszą była od Augusty, trochę starszą zaledwie, a przecież obok niej mężczyzna młody i namiętny nawet daleko prędzej mógł zapomnieć, że się znajduje obok kobiety, którą marzeniem i pożąda-

niem, świętością i grzechem ukochać mu jest wolno. Nie idzie za tem, by temu lub owemu w głowie się nie zawróciło, by ten lub ów nie wymodlił do niej najgorętszej młodocianego serca modlitwy; ale przynajmniej o ile niewysłuchany, o tyle zwolna inne przyjmował stosunki, o ile tego godny, o tyle szczerym zostawał przyjacielem i bratem życzliwym. Wistocie ja sama nieraz zastanawiałam się daremnie, kogoby też Anna pokochać mogła, taką zwyczajną, uległą, kobiecą miłością? Jej dusza była pełna i zawsze samej sobie wystarczająca, jej charakter stały i mocny bez żadnego wysilenia, bez żadnej z ludźmi lub ze sobą walki, jej dni były zajęte i czynne użyteczną pracą, jej osobistość tak pięknie i doskonale rozwiniętą, że w mojem przekonaniu miłość nic a nic już do niej przyrzucić nie mogła, miłość zaś (i to także w mojem przekonaniu) na uzupełnienie tylko, na wyższą doskonałość władz i skłonności daną jest człowiekowi. Jeśli dowód jaki mógł stanowczo poprzeć zdanie moje o Annie, to właśnie było to uczucie macierzyńskie, bez dziecięcia, jak już wspomniałam, zbudzone w jej piersi. Żadna osobista namiętność nie wtajemniczyła jej w objawy tego instynktu, a przecież objaw żaden ukrytym nie był przed domyślnością i cudowną wszechwiedzą jej serca. Wszystkie dzieci zajmowały ją tak szczerze, jak zajmują owe dobre matki, co w nich widzą swojej własnej osobistości podobieństwo, lub różnicę swojej przyszłości, nadzieję lub trwogę. I nie myślcie, że jej macierzyństwo względem tych drobnych istotek przemawiało jedynie. Anna w każdem uczuciu swojem, w przyjaźni, w dobrej znajomości, nawet w uczuciu względem rodziców zawsze trochę matką była. Kto zaszedł w kółko jej życia, ten musiał doznać jej troskliwości i opieki; krewni, domownicy, sąsiedzi, włościanie wioski w której mieszkała, czy to w zmartwieniu, czy to w kłopocie, czy to w chorobie, pewno ją zaraz przy sobie widzieli i pewno widząc, byli zaraz cierpliwsi, spokojniejsi i zdrowsi, bo Anna umiała wszystkiemu zaradzić, na wszystko znaleźć po-

moc i lekarstwo. A jednak ta Anna, co tak ciągle drugimi się zajmowała, mogła słuszniej niż sto innych kobiet o samej sobie pomyśleć tylko i niktby się temu nie dziwił, wielu bardzo przebaczyłoby zupełnie. Przedmiot zdolnym był nawet samolubstwo usprawiedliwić. Wzrost wysmukły i powiewny jak topolki młodej, rysy czysto oznaczone jak w najpiękniejszym szkicu Retza, który ołówkiem poezye Szyllera i Goethego dla wzroku tłumaczył, oczy promienne jak dwa czarnoksięskie karbunkuły, nogi do perskich kobierców, ręce do złotych pierścieni, kształty ciała do atłasów miękkich... i to wszystko trudziło się koło ciebie nieraz, a tak składnie i zręcznie, tak jakoś z przywyknienia i bez myśli niby, że na słówko sporne stosownej chwili brakowało ci zawsze. Prawda że też Anna umiała przybrać nakazującą powagę i rzadko kto mógł się jej z karbów posłuszeństwa wyłamać; ja tego nie próbowałam, nawet ją w rękę całowałam nieraz, och! całowałam z wielką przyjemnością... bo co za ręka!...

Niezgrabnie tutaj odkreślane sylwetki muszą czytelnikom wystarczyć na zapoznanie się z żeńską połową naszego zgromadzenia. Dla dokładności regestrowej moję własną jeszcze umieścićby się godziło, ale ta próżność nieszczęśliwa!... przy poprzedzających nieco zatrudny obowiązek.

Lepiej wam powiem: przebiegnijcie tę książkę, będziecie mieli niektóre zarysy; jestem potrochu tem wszystkiem, co w niej napisałam, chociaż jestem daleko więcej tem, czego w niej nie napisałam wcale.

Z mężczyzn, którzy cowieczór prawie uzupełniali nasze towarzystwo kominkowe, najlepiej pamiętam:

Alberta filozofa, Henryka zapaleńca, Leona metodystę, Edmunda mistyka, Teofila dzieciaka i Benjamina z dwoma przydomkami, bo w dni uroczyste zwał się Humboldtem, w dni powszednie Łysym.

Albert „filozof.“ stosownie do swego tytułu, kochał mądrość, kochał ją szczerze, poczciwie, ale w książkach dopiero. Żywego życia nie nauczył się jeszcze, chociaż gwałtem ku temu zdążał. Dziwnie

odbijała jego zdolność rozumowa, nadzwyczaj trafna w kombinacyach wniosków i wyobrażeń, okok naiwnej niedomyślności rzeczywistego świata, a przytem obok ciągłej pracy nad zastosowaniem wszystkich czynów do wszystkich pojęć swoich.

Wiedza i praktyczność tkwiły w duszy Alberta, lecz jak dwie linie równoległe, nigdy się złączyć w punkcie uznania nie mogły. Kiedy rzecz szła o historyą, Albert, jak najbieglejszy historyk, umiał ocenić stronnictwa, czyny i zasady, mnie się jednak zdaje, że gdyby sam do usnucia i przeprowadzenia jakiego planu przystąpił, tyleby mu nadał wszechstronności, tyle ozdób i różnorodnych warunków, że nakoniec z całą nieskończonością swoich widoków do końca trafićby nie mógł, albo przynajmniej tok zdarzenia zupełnie od pierwotnegoby się różnił deseniu. W rozmowie o uczuciach Albert prześliczne nieraz prawił nam aforyzmy; pewne dane słowa tak logicznie rozwijał i delikatnie cieniował, że aż słuchać było przyjemnie, lecz mógł się kochać do późnej starości i nie wiedzieć z pewnością, czy to miłość jest taka? lub nawzajem mógł się nie kochać wcale, i dla tej lub owej okoliczności, której miał „a priori“ pojęcia, dla tego lub owego stosunku, który według zasad rozumowania powinien się był z wynikiem miłości jednoczyć, mógł najsumienniej być przekonanym, że się kocha prawdziwie, namiętnie, poetycznie. Rzadkiem u nas nieszczęściem, Albert czytał i pisał zbyt wiele. Ta pracowitość niemiecka rozdwoiła kierunek sił jego, zaczynała nawet grozić ich wyczerpnięciem, jak uschnięcie grozi młodej drzewinie, gdy bujnemi sokami zbyteczne u stóp swoich przekarmia gałęzie. Nasz klimat widać nie sprzyja erudycyi: to monarchini wyłącznej służby i zupełnego żądająca poddaństwa; u nas głowy aż lekkie czasem od zbytku poezyi, serca aż ciężkie czasem od zbytku uczucia.

Niejeden chciałby erudycyą zrobić powolnem narzędziem swoich wymysłów i pragnień, oszukując się tak samo, jak Albert oszukał. Między erudycyą a ro-

dzimemi skłonnościami powstaje cicha, niepostrzeżona walka, której ofiarą paść musi albo rozum, albo szlachetność młodzieńcza, albo człowiek młody. Wszystko to jest wszelako mojem przypuszczeniem tylko; pewnikiem w życiu Alberta były jego obyczaje nieskażone, jego charakter prawy i tak pełen godności, że mu zjednał ogólny w rówieników gronie szacunek. On młody, on ubogi i cichy, stał się prawie jakąś moralną dla nich władzą i potęgą.

Och! bo młodzież nasza, chociaż zepsuta, próżniacka, niewykształcona, ma ten instynkt przynajmniej, że uszanuje zawsze ludzi prawdziwie moralnych, szczególniej gdy ci ludzie piszą i czytają książki. Literatura nie straciła wśród nas jeszcze swojego uroku, gdyż została poczęści owem bóstwem wymagającem ofiar z życia, szczęścia i myśli, a nie zniżyła się do stopnia posługaczki-karmicielki, przynoszącej ofiary dla zbytku, próżności i złota.

Henryk „zapaleniec“ ztąd otrzymał swoje przezwisko, że tak żył prędko, chciwie i gwałtownie, jakgdyby najmłodszemu z nas wszystkich, najwcześniej miała wybić ostatnia godzina. Alchemik, coby wziął trzech ludzi z burzliwemi i sprzecznemi skłonnościami, czterech innych z cnotą najwznioślejszą, pomieszał razem, utłukł w moździerzu, nalał wodą wiślaną, zagotował przy wulkanie, odcedził przy księżycu, trochę podsycił siarką i saletrą, miałby dopiero dla osobliwości, lub dla przestraszenia spokojnych amatorów wista i ojców rodziny esencyą podobniuteńką do takiego jak Henryk człowieka. Ile ten chłopiec przed dniem pełnoletności swojej nauk, uczuć i zdarzeń spotrzebował, toby jakiemu staremu Francuzowi na dwunasto-tomowe pamiętniki wystarczyło, każdy tom in 8-vo i bez interlinij drukowany. Przy nadzwyczaj wątłej postaci, przy dość miękkiem wychowaniu, żelazna jego organizacya nie upadała pod żadnem nadużyciem zbytków i trudu, egoizmu i poświęcenia. Ach! żal mi teraz, że napisałam to słowo: egoizm. On i egoizm? On, co tak szafował zdrowiem, majątkiem, szczęściem,

co dla przyjaźni lub szlachetnego celu byłby swe dobre imię oddał bez wahania, i nazwać go egoistą! Kiedy dzisiaj pierwszy lepszy czytelnik rozumie przez egoistę człowieka, który wszystko, a szczególniej pieniądze garnie ku sobie, który niczego, szczególniej pieniędzy, nie da od siebie, fe! to szkaradne wyrazu nadużycie. Henryk nie był egoistą. Henryka osobistość tylko była tak wydatną w tem, co czynił, tak zainteresowaną w tem, czego pragnął, tak połączoną z tem, czemu się poświęcał, że byłby się dał zabić dla tego, a jeszcze wielu bardzo ludziom i mnie samej zdawać się mogło, że dał się zabić, bo mu to wielką przyjemność robiło. Inne jego z egoistami podobieństwo leżało w upornej zaciętości, z którą wszystkie swoje przeprowadzał zamiary. Czasem były to sprawy zupełnie dla niego obojętne, a zawsze takie, z których mu żadna wyłączna korzyść spłynąć nie mogła. Czy szło o to, żeby jakie małżeństwo znajomych przywieść do skutku, czy żeby miejsce stosowne dla kogo wyrobić, czy żeby książkę z jednej do drugiej przenieść biblioteki, skoro sobie powiedział, że to będzie dobrem i pożytecznem, zaraz brał się do uskutecznienia projektu i wtedy nic go już nie obchodziły postronne przedmioty; z najobojętniejszem okrucieństwem stąpał po spotykanych w drodze zawadach, z najdoskonalszą pogodą umysłu i twarzy wesołością zbliżał się ku zamierzonej mecie, choćby tam kogo w drodze potrącił i zdusił. Strach czasem było tego dziecka z błękitnemi oczyma, z ślepem niedoświadczeniem a żądzą płomienną. Przeczuwało się, że dusza jego, silnem pchnięciem Bożem w świat przestrzeni rzucona, musi bez spoczynku i znaczenia jakieś fatalne, planetarne zakreślić koło. Nigdy się Henryk nie cofnął przed żadnym środkiem, który mu osiągnienie celu ułatwiał. Z upodobania nawet wybierał machiawelsko-zręczne podstępy, chociaż cała natura zdawała się raczej do gwałtownych ciągnąć go czynów. Było-to właśnie najosobliwszem dziwactwem jego osobliwej i dziwacznej indywidualności, a może też było resztą jeszcze

pewnego studenckiego humoru, który w przebiegłości dowcip jedynie, w podejściach figle widział złośliwe. Bądźcobądź, Henryk daleko więcej się ucieszył, kiedy złego oszukał, niż kiedy dobrego przekonał. Dni mistyfikacyj, wykrętów i zwodzeń były jego niedzielnemi, jego rekracyjnemi dniami; wtenczas jak dziecko prawdziwe skakał, przyśpiewywał sobie, rąk zacierał i włosów poprawiał. Różnorodność żywiołów, składających moralną jego istotę, wielce mu się stawała w razach takich pomocną.

Nowożytny Alcybiades mógł każdą rolę z zadziwiającą dokładnością przedstawiać, gdyż rola każda tą lub ową stroną o prawdziwość jego charakteru zaczepiała. Tak niebezpieczny talent rozwinął w nim szkaradną jednę wadę. Czy mu było potrzeba, czy nie było potrzeba, Henryk kłamał bez litości; jak tylko szło o jaki fakt, szczegół, zewnętrzną okoliczność, czy to błahą drobnostkę, czy przedmiot największej wagi, on pewno nigdy prawdy nie powiedział, a przecież ze wszystkich kłamców, on jeden szczerego wstrętu nie obudził w nikim — prędzej nienawiść lub chęć zemsty wywołał. Wstręt i pogarda śladem kłamstwa idą, bo kłamstwo każe się zawsze domniemywać tchórzostwa i podłości. Od wysokich do niskich, kto kłamie, ten się boi: kto kłamie, ten zdradza i chce ze zdrady korzystać, lecz Henryk?...

Henryk był odważnym jak lew, był w gruncie serca szlachetnym jak epopeja; jeśli kłamał, to ze zbytku gorączkowych mysli, z maligny lub fantazyi tylko, a przytem w życiu swojem miał jedno uczucie, jednę świętość, która mogła i stokroć cięższe winy łaską sakramentalną w oczach bardzo surowych sędziów okupić, za głos kobiet ręczę przynajmniej — Henryk kochał swoję matkę! — Miłość synowska, jak polarna gwiazda zbawienia, przyświecała nad burzliwością jego szaleństw, namiętności i błędów, strzegła go od zatraty, ku cnocie natchnieniem wiodła. Trzeba go było widzieć z tą matką, żeby mieć dokładne pojęcie o tle zbytecznych naddatków, o tle rzeczywistem tylu

poplątanych arabesków. Kiedy szło o jej przyjemność, całe dni ciężkiego znoju wydawały się chwilami najrozkoszniejszej uczty. Kiedy zasłabła, całe noce bezsenne nie mogły zwątpić jego troskliwej opieki. Dla matki byłby się wyrzekł wszystkiego, przez matkę, gdyby nawet religia w sercu jego wygasła, przez matkę byłby Boga zrozumiał. Och! jak to dobrze, Henryku, że my się już nie spotkamy z sobą! Zostałeś w myśli mojej takim pięknym, takim okupionym ze wszystkich grzechów i niedokładności twoich. Och! jak to dobrze, Henryku! Może później byłbyś się zmienił, może trochę więcej siebie, lub inną ukochał kobietę, możebyś stracił to młode zuchwalstwo swoje, może zwątpił o ludziach, może własnej sile zaczął już nie ufać, a możebyś z uporu szedł tą drogą, którą szedłeś z przekonania, może przez próżność czynił, co przez zapał czynić tylko nawykłeś! Możebyś mi się zepsuł pierwszą pomyślnością, zatruł pierwszą goryczą, niezręcznie z pierwszych poprawiać chciał pomyłek—a ja cię tak lubiłam w prostocie twojej złej i dobrej natury, w bogactwie twego światła i w czarności twoich cieniów! Och! jak to dobrze, Henryku, że my się już nie spotkamy z sobą! Niech będzie znak krzyża Chrystusowego, pieśń i blask słońca nad wspomnieniem twojem!...

Leon „metodysta“ miał bardzo tkliwe i kochające serce, wyobraźnię nadzwyczaj łatwą do zajęcia, umysł dziwnie przedsiębiorczy i odważny, więc dla tego wszystkiego „metodystą“ został. Wistocie owe najpoczciwsze skłonności takiego mu strachu napędziły do głowy, że sobie jak liszka usnuł nazewnątrz gęstą, z zimnego rozsądku, wyrachowania i obojętnosci poczwarkę. Mało mówił, o sobie nigdy nie wspomniał, żywsze wrażenia taił z grobową skrytością, drobnych formułek powszedniego życia dopełniał ściśle i niezmiennie, a entuzyazmu wystrzegał się, jak zbrodni. Każdy czyn jego zato był doskonałem zaprzeczeniem tych wszystkich pozorów. On, wyrachowany, całą nadzieję swej przyszłości oparł na własnem sercu i na

własnej ręce; on, obojętny, z uczucia tylko brał siłę wytrwania pośród wszelkich trudności, pośród niedostatku i pośród samolubstwa otaczającej go kasty. Gdy mu która z nas kiedy stawiła na oczy taką sprzeczność treści z maksymami, dowodził jej bardzo poważnie, że tej sprzeczności niema w nim bynajmniej, że słowa, które mu narzucamy, są jedynie słowami poezyi, a matematyka rzeczywistości na innych rozwija się prawach, jak gdyby matematyka nie była najidealniejszą nauką, jak gdyby poezya w rytmie i harmonii swojej nie miała matematycznych zasad. Cóż robić? już to widać jest taki los wielu bardzo poczciwych naszych. Stokroć lepsi od świata, ale różni, ale inni zupełnie, lękają się potępieniem temu światu ubliżyć i wolą samych siebie zastosować do jego wymagań. Świat chce liczb? Piszą liczby— świat się lęka jaskrawych kolorów? Zrzucają swoje piękne młodzieńcze sukienki — świat ma odwieczny jakiś dykcyonarz? Uczą się wszystkich jego wyrazów i myślą potem, że im wolno będzie własne wyobrażenia temi półsłówkami tłumaczyć, że im dadzą wygodne szaty skroić sobie z tej zmurszałej materyi, której każdemu już potrochu braknąć zaczyna; myślą, że w obrachunku ta sama co i innym suma im wypadnie. Biedni marzyciele! Och! nie trwóżcie się własnemi skłonnościami, nie wierzcie, choćbyście zewsząd słyszeli, że miłość urojeniem — że zapał gorączką — że szlachetność pomyłką arytmetyczną — że piękność ideałem. Wy lepiej znacie się na tem, bo wy kochacie i wierzycie. Rodzimy wasz entuzyazm jest jedynym „religiamentem“ waszym, nie zapierajcie się tej cechy i chryzmatu. Gdyby nie entuzyazm, przy dzisiejszem rozbiciu głów wszystkich na pojedyncze fantazye lub filozoficzne systemata, człowiekby chyba zwątpił o słowach ewangelii, o szczęściu, o wszystkiem. Nad potopem naszych cnót i wyobrażeń to jedyna tęcza Boża, która rozpryśnięte uczucia spromieniać może w jeden objaw światła i piękna. Gdziekolwiek teraz jesteś, Leonie, wyzuj się z ciasnej niewłaściwego rozsądku powłoki, kochaj,

ciesz się, płacz i unoś zachwytem, według natchnienia chwili obecnej — bo ja ci powiadam, że masz czyste i prawe instynkta; co ukochasz, dobrem będzie, co cię rozraduje, to ci siłą i wspomnieniem w życia pozostanie, nad czem zapłaczesz, to prędzej zprzed siebie usuniesz. Nad czem się uniesiesz i zachwycisz, to łatwiej spełnisz i wcześniej osiągniesz. Koteryjne opinie, towarzyskie przesądy nie mogą być dla ciebie prawem; młody atleto, twoją powinnością jest właśnie, abyś walczył z niemi. Nie ciśnij się między starców zgrzybiałych, nie przyswajaj sobie języka ludzi doświadczonych, nie siej tak skąpą ręką na glebie swojej przyszłości, aby lada ustąpienie wyprosić, lada pochwałę uzyskać, lada ziarneczko drobne wypielęgnować. To się na nic nie przyda, Leonie. Uszanuj starców, bo oni kiedyś młodymi byli, lecz żyj godziną wiosny życia twojego, by ciebie kiedyś uszanowano za to. Radź się ludzi doświadczonych, lecz pamiętaj, że doświadczenie jest zbiorową mądrością całej przeszłości, z wyłączeniem teraźniejszego momentu: pamiętaj, że doświadczenie ma sąd i pojęcie na wszystko, co się stało, tylko nie ma pojęcia na to, co się w tobie dzieje; a gdy siać będziesz, rozsiewco ostrożny, nie lękaj się pełną garścią śmiałych życzeń przed siebie rzucić; i tak zaledwie setne ziarno się przyjmie, jeżeli mało do ręki ich weźmiesz — po długich słotach i po wichrach mroźnych, cóż się na gruncie zostanie? Bóg z tobą, metodysto! z tobą uśmiech twej kochanki, i złoto twego zarobku, i szczęście twego marzenia — a od ciebie precz szatany, precz obłuda i nieśmiałość, precz ascetyzm i rachunki!

O Edmundzie „mistyku“ nasza Emilka tak mówiła zawsze:

— Mój Boże! jacy to ludzie są niesprawiedliwi! Czego oni chcą od tego chłopca? Wyrysował im tyle ślicznych obrazków, wypowiedział tyle ślicznych myśli, a oni koniecznie zapędzają go jeszcze do innej roboty—łają o niepraktyczność i próżniactwo! Przecież trzeba poprzestać na tem, co kto przyniesie, szcze-

gólniej gdy jest daleko więcej takich, co nic nie przynoszą, a nawet i takich, co wynoszą ze wspólnej towarzystwa skarbony. Lecz jak widzę, towarzystwo rozkaprysiło się teraz. Przyjdzie człowiek z sercem, to go pyta: a masz ty talent? — przyjdzie człowiek z talentem. to nań woła: a masz ty serce? — i tak ciągłe wymagania tylko.

— Ależ, moja Emilciu — rzekłam raz do niej — cóż robić, jeżeli towarzystwu koniecznie ludzi z sercem i talentem trzeba?

— Jeśli trzeba koniecznie—odpowiedziała mi na to—nie wątpij, Gabryello. że ich Pan Bóg ześle. jeżeli zaś nie trzeba koniecznie, tylko towarzystwo uznaje. że takimi być powinni, to ono samo powinno także starać się, aby im drogę ku temu ułatwić; talent otoczyć miłością, to się serce zbudzi, serce wesprzeć ogólnym rozumem. to będzie miało prawdziwego rozumu natchnienia. lecz zawsze wymagać, żądać. cenzurować, to nikogo nie uczy i nikogo nie poprawia.

Tak słusznym uwagom nie przeczyłam wcale, jednakże nie dziwiło mię też bynajmniej. że na Edmunda o czyny wołano. Wistocie ten człowiek miał wielką zdolność do rysunków i często nam przynosił charakterystyczne. przecudnie skreślone szkice, miał wielki dar do wymowy i często nam prawił zachwycające rzeczy, lecz poza talentem stał próżny i czczy elegancik. chwiała się giętka i powiewna trzcina. Przezwaliśmy go mistykiem, bo w tym roku właśnie uwierzył w duchy, cuda i magnetyzm. Poprzedniej zimy był zapalonym heglistą; na przyszłą wiosnę mógł bardzo rozsądnym człowiekiem się zrobić. Jego miękka i wrażliwa natura z otaczającemi ją żywiołami zawsze się do równowagi układała. Ta własność asymilacyi, ta własność przyswajania sobie z nazewnątrz wewnętrznych usposobień i przekonań, była w nim nawet zupełnie odrębną oryginalnością. Wymawiano mu ją nieraz, lecz ja się ujmowałam, bo w tem korzyść nasza była -- zupełnie jak gdyby co kilka miesięcy

przychodził nam kto czytać nową, a zawsze pięknym stylem napisaną książkę.

Teofil zwał się w gronie naszem „dzieciakiem“ nie dla wieku, bo starszym był od innych, ale dla niekarnej prostoty swego ułożenia. Rozpierał się na wszystkich stołach, rozkładał na wszystkich kanapach, głośno krzyczał kiedy mówił, lubił ciastka i cukierki, bawił się puszczonym balonem i złapaną pod szklankę muchą, a przytem wszystkiem, lub raczej jakby na odpokutowanie tego wszystkiego, rozmiłował się w najstarszej, najnudniejszej, najcięższej nauce — w numizmatyce. Za jeden ugrynszpaniony pieniążek byłby całe godziny spokojnie i prosto jak panienka na krześle siedział; po jeden rzadszy medalik byłby z narażeniem wolności i życia najniebezpieczniejsze odbywał drogi, a tak szanował dokładność zbiorów, tak artystycznie kochał swój przedmiot, że raz dla uzupełnienia bogatszej jakiejś kolekcyi sam się z bardzo ciekawego ogołocił egzemplarza. Tytuł Teofila w uczonym, powierzchowność zaś jego w towarzyskim świecie, były to dwie najucieszniejsze sprzeczności, mogłabym nawet powiedzieć, że to była jedna żywa szarada, której prawdziwego słowa wiele osób odgadnąć nie umiało. Jedni posądzali go o udawanie, drudzy o rubaszność, a tymczasem był to dzieciak i numizmatyk; w przydatku to było także najlepsze, najpoczciwsze serce. Mogłeś mu zabrać płaszcz i zegarek, czas i wesołość, mogłeś od niego żądać dobrej rady, przysługi, kurs mającej monety — bylebyś starożytnej nie rozrzucił — to wszystko ci oddał, wszystko zrobił, choć czasem według humoru mniej więcej pogrymasił sobie. Mimo tak niezaczepnej zpozoru natury, miał jednak Teofil bardzo licznych nieprzyjaciół, zwyczajnie jak dziecko, i dotego trochę zepsute, a bardzo gadatliwe dziecko, zawsze każdemu wypowiedział wszystko co mu do myśli przychodziło, że zaś był dowcipny, psotny i pełno różnych ludzi spotykał, więc mu do myśli przychodziły różne koncepta, o głupstwie, próżności, nieszczerem ugrzecznieniu, zabawnej intrydze — ot, tak sobie dla

śmiechu — a słuchający obrażali się często. Jednak nikomu nie szkodził — jemu okropnie szkodzono.

Benjamin ze wszystkich znajomych najpóźniej do naszego grona się przyłączył. jego też przezwiska nie miały umysłowego znaczenia. tylko się do zewnętrznych stosowały okoliczności. Wołaliśmy nań „Humboldcie“ dlatego, że dalekie odprawiał podróże; „Łysy“ dlatego, że już wyłysiał okropnie. Teofil pierwszy nam go przyprowadził; zapoznali się z sobą u jakiegoś antykwaryusza, przy jakiejś numizmatycznej ciekawości. później różne zdarzenia coraz ich więcej zbliżały, a nakoniec jednego wieczoru Teofil stawił go w naszem kółku z tem poleceniem, że to jest człowiek, który najbieglej czyta przytarte greckich medalów napisy i najodważniej broni szarpanej swych przyjaciół sławy. Jedno i drugie prawdą było — jednego i drugiego sam Teofil doświadczył; znalazło się też zaraz dla Benjamina miejsce przy ulubionym naszym kominku. Gawędki wieczorne wzbogaciły się różnemi szczegółami o Hiszpanii. Włoszech. Turcyi. Persyi. Egipcie — Benjamin ślicznie opowiadał. a nadewszystko z niezwykłą dla podróżników skromnością. Prawie nigdy siebie na scenę nie wprowadzał. Rzadko kiedy wspomniał: „ja tam byłem. ja to widziałem.“ Gdy mu przyszło opisywać miejsce lub zwyczaje. zdawać się mogło niejednemu. że tylko dzieł cudzych najpierwsze przytacza wyjątki; wszelka indywidualność spostrzegacza niknęła. rozwijały się obrazy po obrazach, z daguerotypową dokładnością przedstawione. Widać w nich było cień każdego listeczka. zdźbło trawy najmniejsze, grę promieni słonecznych. obłoczne fantasmagorye, więcej nawet: w nich było słychać zmieszane głosy natury: i ryk zwierząt drapieżnych. i tajemne brzęczenie muszek nad sławnemi wodami, i świegotanie ptaszka w sławnych rozwalinach. i pieśń młodej dziewczyny przy zapomnianym grobie — i wszystko, wszystko. prócz echa doznanych wrażeń. Benjamin nigdy swojej powieści liryką nie dopełnił—Felicya najpierw zrobiła tę uwagę; jej sąd o łysym Humbolcie

był dosyć surowym nawet. Nie mogła mu przebaczyć, że jak w opowiadaniu ze szczegółów przedmiotowych osobistość jego choćby na ich uzupełnienie wybić się umiała, tak w życiu rzeczywistem on nie umiał z pełnienia cnót obowiązkowych wznieść siły swego ducha do twórczych natchnień i działań. Ten brak inicyatywy, rzutkości, pierworządztwa wypadków i zdarzeń obok niezaprzeczenie wyższych zdolności, tłumaczył się Felicyi pewną dozą lenistwa jedynie, a lenistwo było w przekonaniu Felicyi najcięższym teraźniejszości grzechem. Co do mnie, szczerze wyznaję, że daleko pochlebniejsze tworzyłam sobie o nowym naszym przyjacielu wnioski. Z jego pięknych, lubo nieco przywiędłych już rysów, czytałam historyą głębokich myśli, stłumionych gwałtownie uczuć, trudnych, a wytrwale dokonanych przedsięwzięć. Byłabym ręczyła nawet, że jego martwa spokojność jest siłą męzkiego charakteru, jego mierność ukrytą wyższością, jego lenistwo, jak mówiła Felicya, środkiem tylko pewniejszego spełniania niedocieczonych jeszcze przez nas widoków i zamiarów. Czem zaś było to wszystko? Zobaczycie. Benjamin własną biografią rozpoczął zbiór swych powieści, które nam się przez całą zimę snuły potem wśród rozmów i ustępów utnej przyjaźni pożycia.

Raz pamiętam, było to w grudniu — czas na dworze szkaradny, wszystkie wichry odśpiewały jakieś przeraźliwe requiem uwiniętej w śniegową płachtę ziemi, a mówię płachtę, nie oponę, bo śnieg gruntu nie przykrył zupełnie, bo leżał w szmatach brudnych, podartych, tu i owdzie rozrzuconych, tak, że biedna owa ziemia strupiałych członków swoich, jak Cyganka żebraczka, nie miała w co otulić. Nam przecie musiało być dobrze i miło jednym z drugimi, kiedyśmy się pomimo zimna i błota wszyscy z różnych stron miasta przy kominku u Emilii zgromadzili. Gawędka szła poważnie, biegła szalenie, skakała wesoło, aż nakoniec zahaczyła się o przedmiot niewyczerpany, odwieczny, o miłość. Prześladowano Edmunda jakąś bardzo pię-

kną panią, on się wypierał — ja bez myśli rzuciłam uwagę, że, dziwnym obyczajem, wszyscy zakochani kryją się z miłością swoją, jak z grzechem.

— Jak z grzechem? co za przyrównanie! — podchwyciła Augusta—jak ze skarbem, jak ze stukaratowym dyamentem znalezionym w kopalniach, gdzie inni ledwie po trudach największych maleńkie ziarnka świecące znajdują. Gdyby dojrzeli twego bogactwa, ich zazdrośćby się zbudziła, gdyby dojrzeli twego brylantu, ich niedowiarstwoby się odezwało i może dla próby rozniecilibу wielki ogień i tak długo w ogniu ciekawy kamień trzymali, aż kamieńby się na nicość przepalił.

— Jabym ci jednak, Augusto, nie życzyła takiego znaleźnego — odezwała się Tekla.

— A to czemu?

— Bo niebezpieczne.

— Ej! co tam niebezpieczeństwo! a szczęście, moja droga? Dajcie mi, dajcie chwilę miłości! Świat taki nudny, zamierzchły, zabłocony; każda godzina w życiu pracą ciężką, obowiązkiem, nałogiem — jutro podobne do dnia wczorajszego, a dzień wczorajszy taki sam, jak nieznośne dzisiaj. Muszę myśleć: dwa a dwa cztery. Suknia wełniana czy jedwabna? Obiad spóźniony czy wczesny? Ubogi głodny czy pijany? Gość nowoprzybyły zły czy głupi? Muszę myśleć w te wszystkie szkaradne, obrzydliwe słowa... Miłości! ach miłości!

— Haczyszu! ach haczyszu! — przedrzeźniała ją Felicya.

— Zbyt wyszukany środek: poprostu kieliszka tęgiej wódki! I to może wystarczyć — przydała Seweryna.

— Nie bluźnijcie, kobiety! — ujął się Edmund— Augusta ma słuszność: bez miłości świat nudny i brudny. Miłość mówi: ja jestem przedwiecznością w początku, trwaniem w nieskończoności, jasnością w świetle, tchnieniem w powietrzu, wonnością w kwiecie, szczytem w nieskończoności, dźwiękiem w głosie, wi-

dzeniem we wzroku, radością w szczęściu, mądrością w rozumie, wdziękiem w piękności, a potęgą w sile. Ja jestem, która jestem!

— Ja jestem... bóstwo indyjskie i wyznanie Brahmy — dokończył żartobliwie Albert, który z nas wszystkich najlepiej znał ten ustęp, rzeczywiście z ksiąg indyjskich przerobiony trochę.

— Zaraz widać niechrześciańskie zastosowanie — odezwała się Anna — bo juściż miłość jest tem wszystkiem, czem się być przez usta Edmunda mieniła, tylko uczucie zjednostkowione, którego sobie Anna dla rozrywki życzy, nie jest całą miłością; jest w miłości jednym promieniem, w mądrości jedną prawdą.

— Bogdajby chociaż i tem było! — wątpiącym głosem znowu pomruknął Leon.

— Czy wątpisz? — zagadnęła Jadwiga.

— Nie widziałem — krótko jej odpowiedział.

— Jakto nie widziałeś?—spytała żywiej nieco.— Przypomnij sobie tylko, czy nigdy nie widziałeś ludzi młodych, szczęśliwych podzielanem uczuciem, a przez to samo śmielszych w dobrem, szlachetniejszych w pomysłach, pracowitszych w obranym zawodzie?

— Widziałem tylko ludzi, którym podzielane uczucie nie stawało na przeszkodzie do tego wszystkiego.

— Dajcie teraz pokój Leonowi — rzekła wesoło Augusta — już on czuje, że wielką niedorzeczność powiedział, to najuparciej bronić jej będzie.

— Przepraszam, moje panie, ani uporu, ani niedorzeczności w tem niema. Bardzo łatwo arytmetycznie tego paniom dowiodę. Proszę tylko sumiennie obliczyć, ile znacie ludzi zakochanych, którzy się na nic nie zdadzą, ilu takich którzy się przez miłość z poświęcenia w samolubstwo ześliznęli, ilu takich, którzy z miłością w dobrem wytrwali? Porównajcie sumy ogólne i wyrzeczcie dopiero, czy ja zbłądziłem bardzo, gdym mówił, że tylko kilku wybranym przeszkodą w życiu nie stanęła.

— Ale im zato stanęła pomocą tak wielką! — odezwała się Jadwiga.

— Przypuszczenia, to nie moja rzecz, ja tylko fakta zapisuję; lecz jeżeli i mnie wolno pójść drogą wnioskowań, czemuż nie mam sobie powiedzieć, że gdyby nie ta słabostka jedyna, ludzie wybrani byliby zupełnie świętymi ludźmi — apostołowie przecież żon i kochanek nie mieli.

— Bo to łatwiej zostać świętym bez żony, niż z żoną — zakrzyczał wyciągnięty na kobiercu Teofil.

— Ale co łatwiejsze, to mniej piękne — rzekł znowu Edmund.

— Słusznie mówisz — odezwał się Henryk — co łatwiejsze, to mniej piękne, a co mniej piękne, to mniej prawdziwe także. Wielka mi cnota wyrzeczenie się wszystkiego — jeszcze za życia ucieknę z ziemi, to po śmierci wprost trafię do nieba. Jabym niebo zamknął przed takimi tchórzami. Idź, żyj na świecie, garnij wszystko do piersi swojej, wszystko myślą uświęcaj, to ci otworzę, będziesz miał zbawienie, ale tak odartego, nagiego nie wpuszczę. Z waszą teoryą o świętości wy z niej jakąś klasztorną regułę dla kawalerów mieczowych zrobicie. Ja chcę, żeby świętość była całej ludzkości zakonem, żeby świętością żył człowiek najzwyczajniejszy, a nie ten tylko, który w nienaturalnych, wymuszonych rozwija się warunkach; ja chcę...

— Bardzo to jest łaskawie z twojej strony, że powiadasz „ja chcę!“ a nie „tak jest już“ — przerwał mu Leon.

— Mylisz się, co ja chcę, to już tak jest, albo w potrzebie czasu, albo w mojej duszy. Ja się kocham szalenie, a nic mi to w naukach nie przeszkadza. Ja będę miał żonę i dzieci, a nigdy bliźniemu pomocy nie odmówię; z kolegami młodości mojej też same wzajemnej uczynności i przyjaźni zachowam stosunki; ja kupię dobra i założę fabryki, a dlatego po sławę i wiedzę z kapitanem Ross lub Parry choćby do samego bieguna wśród lodów się przedrę; ja sobie sprawię ucztę

szaloną i na aksamitach, złotach i atłasach, jak Teofil na tem dywanie, przeciągać się będę, a gdy przyjdzie potrzeba, to wszystko rozdam ubogim, to dla każdego z was będę biegał po gorszem niż dzisiejsze błocie, będę marznął na zimniejszym, niż ten co słyszycie wietrze. Jeszczeby też, moi trapiści, tego tylko brakowało, żeby szlachetność, dobroczynność, bezinteresowność zrobić wyłącznym celibatu przywilejem! No, to niech śpią w egoizmie swoim wszyscy ojcowie rodzin i żonaci obywatele, niech was nawet oszukują, niech was krzywdzą! Sakrament małżeństwa, według waszego zdania, zupełne im daje do tego prawo.

— Hej! galop! galop! galop! — z głośnym śmiechem zawołał Teofil.

— Istotnie przegalopowałeś trochę — powtórzyła za Teofilem Emilia. — Rodzinne stosunki nikogo od poczciwości nie uwalniają. Leon tylko chciał powiedzieć, że do cnót nadzwyczajnych, do poświęcenia i wspaniałomyślności mniej zdatnymi nas czynią.

— Co wy gadacie o cnotach nadzwyczajnych? — z oburzeniem odrzucił Henryk — co to są cnoty nadzwyczajne? Jeśli te, które się rzadko widują, to wszystkie odrazu; bo ja ani rzetelności w codziennych sprawach, ani wzajemnego przywiązania w rodzinach, ani przykładnego pożycia w małżeństwach, ani ładu i pilności w gospodarstwach nie spotykam dziś „zwyczajnie," wszystkie dobro jest nadzwyczajnem. Lecz jeśli przez nadzwyczajne cnoty chcesz jakieś „nadnaturalne" cnoty rozumieć, to się źle wyraziłaś, Emilio, takich cnót niema wcale: każda cnota jest powinnością każdego człowieka.

— Górą Henryk! — przyklasnęła Augusta.

— Za sto lat! — dokończył Leon.

— Jak widzę, nie zrozumiecie się nigdy — rzekł Albert poważnie;—pomieszaliście wszystko razem, ten o tem, a ta o tem prawi. Najpierw podziękujcie Annie, że stanowiąc rozróżnienie między miłością ogólną, a zjednostkowioną, oszczędziła wam wiele niedorzeczności; później podziękujcie mnie, że wam dalszych

oszczędzą, dalsze różnice przypominając. Nazywacie miłością wszelką wyłączną skłonność osoby ku osobie; pamiętajcież że i ta miłość jeszcze potrzebuje właściwego określenia: jest miłość kochanie, jest miłość namiętność, jest miłość fantazya. Pierwsza tłumaczy się w życiu świętością, druga nieszczęściem, trzecia grzechem — o którejże z nich mowa?

— Jak filozof ze swoim „distinguo“ się odezwie, to ja już nic po nim mówić nie chcę — odpowiedziała Augusta.

— Dlaczego? — zagadnęła Seweryna — czy doprawdy żadnego „distinguo“ nie przyjmujesz? wszystko weźmiesz odrazu? świętość, nieszczęście i grzech?

— Co to jest nieszczęście i grzech? to wasze rozumowane przesądy i złość wasza tylko. Prawda, że często są nieszczęśliwi co kochają i często grzeszni są nawet, ale dlaczego? bo gdy ich zewnątrz tysiąc opłata niechęci, tysiące rozdrażni pocisków, to muszą wkońcu cierpieć i grzeszyć. Ich grzech będzie jednak przypadłością obcą zupełnie naturze uczucia, będzie może wynikiem innych wad i zboczeń; uczucie samo w sobie będzie zawsze cnotą. Włoch, który w chwili zazdrości morduje swego współzawodnika, córka, która dla kochanka potajemnie dom rodzicielski opuszcza, żona, która zdradza męża, popełniają okropne występki, pełnem sercem naczerpują w życie nieszczęścia i grzechu, ale naczerpują z postronnych okoliczności, błądzą postronną ujemnością swego charakteru; jedyną może odkupienia chwilą jest dla nich właśnie szczerej miłości chwila.

— Zdaje mi się, Augusto, że twoje ostatnie „distinguo“ jeszcze subtelniejsze, niż różnicowy podział Alberta — rzekła Seweryna.

— Moi państwo, na czemże stanie?— odezwałam się wtedy; — uchwalcież co stanowczego, abym z pewnością wiedzieć mogła, czy od dzisiejszego dnia będzie wolno kochać się, czy nie?

— No, dalej! — zawołał Teofil — zbierajcie gło-

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

sy: idzie tu o emancypacyą miłości—kto za i kto przeciw? — ty sama, Gabryello, głos pierwszy.

— Przecież wam trzeba kogoś, coby przyjął ustawę; ja będę gminem waszym, ty zaś, Teofilu, jako dzieciak, rozpocząć musisz. Wszakże w senatorskich naradach najmłodsi najpierw się odzywają. Między nami niema nikogo, coby był od „Dzieciaka“ młodszy. Śpiesz się więc, rzucaj gałkę!

— Rzucam jak śnieg bieluteńką. Na cześć miłości tyle prześlicznych wybito medali, że to musi być godne wiekopomnej chwały uczucie.

— A teraz wkoło, sąsiadko Emilio!

Emilia przyjęła wniosek, lecz z poprawką Alberta. Inni mniejwięcej swoje własne dorzucali zastrzeżenia; na dwóch skrajnych zostali Seweryna z Leonem i Augusta z Henrykiem.

— Co to znaczy, Humboldzie? — rzekłam, zwracając się ku siedzącemu w kącie pokoju Benjaminowi— co to znaczy? Przy tak ważnej naradzie jeszcze nie wystąpiłeś ze swego milczenia. Większość stanowcza już się zebrała wprawdzie, ale twój głos mógłby nam zapewne wiele nowych rzeczy dopowiedzieć, mógłby stanowisko rzuconej wątpliwości rozjaśnić. Spróbuj, może odciągniesz ztąd lub zowąd stronników?

— Dajcie mi pokój, mnie się nie chce mówić — krótkim, przerywanym głosem odpowiedział zagadniony.

— Byłam pewna tego—rzekła wtenczas Felicya.— Gdybyście się poradzili o cudze względem miłości zdania, przytoczyłby wam wszystkie prawa i aforyzmy wszystkich znakomitych mędrców i poetów, od Konfucyusza, aż do najnowszego kodeksu, od Salomona, aż do Jerzego Sand; powiedziałby wam, jakie w tej mierze mają wyobrażenia Turcy, jakie Indyanie, jakie Hottentoci, jakie Grecy, ale mu się nie chce powiedzieć, jakie on ma sam.

— Czemużby mi się nie chciało powiedzieć? Rzecz łatwa przecież, ja sam nie mam żadnego; ale

mnie też nie chodziło o powiedzenie tego zdania, mnie poprostu mówić się nie chciało.

— Często jakoś zapadasz na owę przeklętą chorobę milczenia.

— Poco ty mu się zawsze sprzeciwiasz, Felicyo? On może naprawdę jest chory — ujęła się Emilka.

— Albo leniwy — pierwsza znów odparła.

— Nie chory i nie leniwy — rzekł Benjamin — mówić mi się nie chce, bo wiatr wieje, a ogień na kominku się pali.

— Dziwny jednego z drugim stosunek — podchwyciła Felicya.

— Ja nic w nim dziwnego nie znajduję — odezwała się Anna; — powietrzna za okiem muzyka i te płomienne ognia poskoki mogą duszę w stan jakiegoś błogiego rozmarzenia wprowadzić; drętwiejemy wtedy nazewnątrz i myśl nasza śni sobie snem ciągłym a pamiętanym.

— Na nieszczęście nie mogę w całości przyjąć tego usprawiedliwienia — rzekł Benjamin — mam odrętwienie, ale snu pamiętanego nie mam... Ot! powiem państwu prawdę: chorobliwe dziwactwo, nic więcej, napadło mnie już trzeci rok temu będzie, wskutek osobliwego wypadku.

— Co za szkoda, że dzisiaj przystąpił paroksyzm, byłbyś nam ten wypadek opowiedział — rzekła Augusta.

— Teraz jużbym mógł opowiedzieć, już się rozgadałem, to mi i przeszło — ale historya zadługa.

— Ja tak lubię historye zadługie — prosiłam bardzo pokornym głosem.

— Historye! historye! — zaczął się napierać Teofil.

— Jeszcze was muszę przestrzedz, że to cała moja biografia.

— Biografia! biografia! — wołaliśmy za przykładem Teofila.

— No, to zaczekajcie, muszę sobie wszystko od początku przypomnieć.

I na chwilę Benjamin twarz ukrył w obie ręce łokciami na kolanach wsparte i zdawał się dumać głęboko, a my rozsunęliśmy się tak szerokiem kołem, że zdala dotychczas siedzący, stał się niby najgłówniejszem jego ogniwem. Emilia kilka suchych drewek dorzuciła, płomień buchnął żywszym blaskiem i gdy nakoniec wzniesioną głowę Benjamina oświecił, zdawało się przez dziwne optyki złudzenie, że głowa ta rozjaśniała młodością, rozbłysnęła szczęściem.

W pierwszej chwili nawet tak nią potrząsnął wdzięcznie i żwawo, jak gdyby z przywyknienia chciał utraconych włosów odrzucić pierścienie, ale prędko spostrzegł pomyłkę — rozśmiał się — przygładził łysiny i tak mówić zaczął.

POGANKA.

POWIEŚĆ PRZY KOMINKOWYM OGNIU OPOWIADANA.

I.

Wyobraźcie sobie państwo zieloną oazis w pustyni Sahary, wyobraźcie w świecie dzisiejszym, w świecie złota, srebra, miedzi i gałganów na bankowe papiery przerobionych, rodzinę liczną, ubogą, a szczęśliwą — w tej rodzinie, lat temu dwadzieścia sześć, o godzinie pierwszej po północy, przy najpiękniejszem świetle księżyca, pełnią swoją rozświecającego najpiękniejszą noc sierpniową, urodziło się dziecię płci męzkiej, dziewiąte zkolei, a rzecz dziwna, rzecz nadzwyczajna, przyjęte taką radością, takiem błogosławieństwem, jak upragniony pierwszy potomek gasnącego już imienia, oczekiwany dziedzic wielkiego majątku. Lecz nie, bluźnierstwem jest to porównanie — dziecię przyjęto taką miłością, jak wszystkie dzieci w miłości zrodzone — tem dziecięciem ja byłem. Nad przygotowaną dla mnie kolebką nie zaciężyła żadna skarga, ni to starszej siostry, że w domu nowy kłopot będzie i nowych trudów się przysporzy, ani dobiegającego swej

młodzieńczości brata, że mu jedna ręka więcej do rozszarpania spodziewanej puścizny przybędzie, ani drobniejszego rodzeństwa, że się zaczną dla niego chwile przymusowej cichości, narzuconego rozsądku, uskąpionych pieszczot — ani matki, że z danem życiem jej życia się ujmie, że ją noce bezsenne, karmienie, prace hodowania czekają — ani ojca nawet, że ciężkie czasy, że wychować będzie trudno, że na obmyślenie zawodu sił i sposobu już nie wystarczy. Dziwna rzecz, stokroć dziwna, tego wszystkiego nie było!

Matka z siostrami ze starej bielizny poszyły pieluszki moje. Jeden z braci na niespodziewankę uplótł zupełnie nową kołyskę, a ojciec, kiedy mnie poczciwa babka na pokazanie w poduszce przyniosła, przeżegnał mnie krzyżem świętym. „Oto człowiek światu się narodził," rzekł tylko i ze łzami w oczach i z uśmiechem na ustach poszedł coprędzej do żony swojej, pocałował ją w czoło, pocałował ją w rękę i nie odszedł aż póki osłabiona, lecz ciągle niewymownej słodyczy jaśniejąca radością, z nowo-narodzonym przy boku nie zasnęła spokojnie.

I takie były moje narodziny. Przez długi czas nie miałem imienia: zwano mnie tylko maleńkim, synkiem, pieszczotką, a narady odbywały się długie, jak zwać miano na później. Teresia, moja mała poprzedniczka w rodzeństwie, załatwiła wszelką wątpliwość; kiedy jej na starych obrazkach opowiadał jeden z braci historyą synów Jakóbowych, tak się rozmiłowała w małym Benjaminku, że gdy wieczorem wznowiono o wkrótce nastąpić mającym chrzcie moim rozmowę, dziewczynka siedząca w tej chwili nad kołyską uroczyście wzniosła swój paluszek dogóry i powiedziała stanowczym głosem:

— Ty maleńki będziesz Benjaminkiem.

Od tej chwili nadano mi imię Benjamina.

Poczciwa Teresia! zapomniano jej powiedzieć, że Benjamin pierwszą wolą matki swojej zwał się Benoni, a Benoni, to znaczy „syn boleści," a matka moja, rodzeństwo moje pochwyciło wyraz dziecięcia, bo im

do serca przypadał, a ojciec go zatwierdził, bo takie było miano jego wielkiego bohatera, jego ideału wśród sławnych mężów — Franklina. Z tej czci dla Franklina możecie państwo odgadnąć cały charakter mego ojca, jeśli tylko trochę choć biegłymi jesteście w zauważaniu tych stosunków tajemnych, a zawsze logicznych, które upodobania i różne sympatye człowieka z treścią jego własnej natury łączą. Co do mnie, taki mam w tym względzie przynajmniej instynkt, że raz gdym w galeryi Luwru widział pięknego młodego człowieka, jak się długo z najspokojniejszem obliczem zatrzymał przed Katonem Velasqueza, co sobie piersi tak krwawo, tak okropnie rozdziera, powiedziałem zaraz — to zły człowiek — i sprawdziły się słowa moje: ten człowiek był anatomem ludzkiego serca; spotkałem go później na salach sądowych ciekawym bardzo widzem, a w ostatniej chwili świadkiem przeciw obwinionemu, na moje sumienie wierząc obwinionemu niewinnie. Lecz wracając do osobistej biografii, już wiecie pod jakim wpływem, w jaką atmosferę niejako dostałem się na tę ziemię, zstąpiwszy według dawnych, wstąpiwszy według nowszych, a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mniemań. Jak mnie tak długo usypiano, pieszczono, kołysano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tem cieple uczuć, w tej pogodzie szczęścia, jak mi cała treść mojej istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnej — och! gdybym mógł pamiętać! Ale ja nic, nic nie pamiętam, a jednak to było już życie moje, to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jej owoc w głębi ducha mego i stał mi się tem, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą. Każdy mnie kochał, ja się ocknąłem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je, pije; przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku, lecz nie dosyć na tem: ci wszyscy

moi poza mną kochali jeszcze wszystkość w różnych objawach, w różnych jej kształtach, a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów; każdy coś kochał na swoję własność szczególną, tylkoż bierzcie to w dosłownem znaczeniu, kochał — nie lubił.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie, a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki blizkiego sąsiada, a mój brat Józef kochał ziemię której uprawą się trudnił, a moja siostra Ludwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane, a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę dwururkę, a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo, a mój brat Cypryan kochał obrazy, a moja siostra Terenia kochała powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi—i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

Najdawniejszy obrazek, w którym Julcię pamiętam, to jakaś ławeczka drewniana pod otwartem oknem. Dzień był bardzo ciepły niby, ale taki pochmurny, jak gdyby kto ołowiu po niebie rozlał. Julcia nad szyciem schylona śpiewała taką rzewną, takich przeciągłych, a coraz smętniejszych tonów piosnkę, że widać nie mogły się w ciężkiem rozpłynąć powietrzu, tylko mi wszystkie siedzącemu przy jej nogach o piersi się odbijały i zaczęłem płakać. Julcia spojrzała na mnie, przez chwilę umilkła, lecz w tem milczeniu mój płacz cichy zrazu wybuchnął prawdziwej boleści łkaniem; wtedy siostra przytuliła mi głowę do kolan swoich, upieściła gładzącą włosy ręką i znowu śpiewać zaczęła, a ja znowu zacząłem cichuteczko płakać i było mi z temi łzami tak dobrze, tak miło, jak nigdy z podarowanym przez starą piastunkę ptaszkiem, wesołą makolągwą, co do mnie w klateczce na każdy widok skrzydełkami trzepotała.

Adama pamiętam najpierw wchodzącego do pokoju z jakąś białą, biało ubraną dziewczynką. — Kto to jest? spytałem go.—To siostrzyczka wasza — odpowiedział z uśmiechem.- Nasza siostrzyczka, Adasiu?—

powtórzyłem zdziwiony, a czemu ja jej nie znam, gdzie ona była? — Ośmnaście lat temu była w niebie jeszcze. — Gdy zaś z niedowierzaniem patrzyłem to na niego, to na nią:—W niebie—rzekł znowu; — spojrzyj tylko w oczy tej siostrzyczce, widzisz jaki to szafir jasny i czysty, czyż w dzień najpogodniejszy niebo inne bywa? Spojrzałem, dziewczynka zarumieniła się i głośno rozśmiała, ja wykrzyknąłem z radością: — Ach prawda, takie same, Adasiu, jak oczy naszej siostrzyczki! — Nigdy nie mów naszej do mnie, Benjaminku, bo to twoja i wasza siostrzyczka, ale nie moja, pamiętaj, że nie moja. — To ty biedny, Adasiu, że masz mniej od nas jednę siostrzyczkę.— Czy ja biedny? spytał brat odwracając się do białej dziewczynki z uśmiechem, choć mu słowa na ustach drżały. Dziewczynka owinęła się prawie jak kwiatek ślazowy koło ręki mego brata, głowę miała spuszczoną, a jednak bez namysłu, pewniejszym daleko niż głos pytającego głosem, odpowiedziała mu prędko: — Nie, ty nie biedny, ty bardzo bogaty, Adamie.— Ja szczęśliwy—przydał, jak gdzieś na dnie serca wymówionem słowem, i nie wiem czemu wziął mię na ręce, a uścisnął tak tkliwym, tak namiętnym uściskiem, że go nawet spytać zapomniałem o wytłumaczenie dla mnie zupełnie niezrozumiałych wyrazów. Później — nawet niedługo — pojąłem całą świętość ich znaczenia. W naszej rodzinie miłość nie była ani tajemnicą towarzystw salonowych przyzwoitości, ani zgorszeniem przed okiem dzieci bacznie ukrywanem. U nas miłość, to szczęście życia, ta najpiękniejsza prawda Boża, szła z podniesionem dumnie czołem, wśród spółczucia, wśród skromnego uszanowania i uznania serc życzliwie przyjaznych. Raz, kiedy po przeczytaniu przez Walerya poezyi Bohdana, Adaś zbliżył się do niej i wziąwszy w obie ręce owę złotowłosą główkę, w same nieco otwarte usta pocałował, kiedy Walercia od czoła po ramiona tym całunkiem zakrasniała, kiedy mimowolnym rzutem przechyliła się ku siedzącej obok niej matce mojej i skryła się jak ptaszek w jej objęcia — toć ja dobrze

dziś pamiętam jeszcze. nikt z nas się nie uśmiechnął nawet. nikt żartem chwili szczęścia kochankom nie rozstroił; matka tylko Adasiowi znak dała. żeby się schylił ku niej, i trzymając ciągle Walerkę do łona przyciśniętą, na głowie schylonego tkliwy, jakby powierzony tylko, a święty jak błogosławieństwo, z głębi własnej piersi wyciągnięty złożyła pocałunek.

Józefa najstalszem przypomnieniem widzę wśród żniwiarzy na polu. Śmieje się, snopki wiąże, na wyładowanych zbożem wozach z fornalami się ściga, a na jeden ładowany mnie winduje, i ja siedzę przy nim jakoby na tronie, a on mi pokazuje ziemię, królestwo wszech ludzi, przyszłe państwo moje, które ja prawem natury odziedziczę, a w którem pracą rządzić będę, i nazywa mi wszystko ślicznemi słowy: żyto srebrem, pszenicę złotem, czerwieniejącą tatarkę purpurą; a ja mu wierzę że to jest właściwie srebro, złoto, purpura — że innych niema w świecie. Józio po drodze zrywa dla mnie ukoralone już gałęzie jarzębiny, którą na kilka staj rodzice wysadzili gościniec, ja sam trzymam pęki uzbieranych modraków, kąkoli, bratków, kłosów dojrzałych żyta, niedojrzałych owsa, i mieszam te białe i te zielone kity w różnych zastosowaniach, to między grona jarzębiny, to między modraków równianki, i czuję że mam wszystko — że natura w korzyściach, w piękności swojej, natura cała, natura zawsze moją. Tylko sobie słowami tego nie mówię, ale uczuciem, czynem, chwilę w życiu mam.

Ludwinię moję najmniej ładną, najcichszą, najtęskniejszą z całego rodzeństwa siostrę, pamiętam najdokładniej w obrazku, nad którym może najdłużej, może najpierwej główka moja rozmyślać zaczęła. Przy końcu naszego sadu za rzędem wierzb bujnie rozrosłych, płynęła rzeczka maleńka, bezimienna, wązka, tak że się zdało przeskoczyć ją można, a zwirem drobniuteńkim na dnie wysypana, że tylko liczyć, tylko zbierać jego ziarna różnokolorowe; nad tą rzeczką usiadła sobie Ludwina tuż przy brzegu, przegięła się nieco i w wodzie do połowy odbiła się jej postać, a wo-

da odbitą kołysała równo, ciągle, spokojnie jak do snu. Zmęczony bieganiam, przyklękłem obok Ludwinki i zacząłem gałązką pluskać w srebrne kropelki.

— Nie budź mnie, Benjaminku — szepnęła tylko siostra, i to tak cichutkim głosem, że ledwo dosłyszeć mogłem.

— Czy ty śpisz, Ludwinko? — spytałem.

— Śpię, śpię, braciszku — odpowiedziała jeszcze ciszej, ale ja patrzyłem w jej oczy i widziałem że oczy, choć ku wodzie spuszczone, nie zamknięte, nie zaspane były.

— Och! żartujesz — zawołałem z pustotą i uderzyłem jeszcze mocniej, aż się cała nadbrzeżna woda zmąciła.

Ludwinka drgnęła, jak gdybym to ją był moją gałązką uderzył.

— Obudziłeś mię — rzekła bardzo, bardzo smutnie, i ja zaraz poczułem, że coś złego, coś najgorszego zrobiłem, przykrość temu, co już cierpiał.

— Ale kiedyś ty nie spała — rzekłem na ostateczne usprawiedliwienie — tyś nie spała, Ludwinko — dodałem z prośbą. Siostra nic mi nie odrzekła na to, tylko mię wzięła na ręce i pochyliwszy się wraz ze mną na uspokojoną wodę, lekko palcem wskazała. Zobaczyłem siebie i Ludwinkę. Jak zwierciadełko zabawił mnie ten obrazek, lecz zwolna im dłużej w niego patrzyłem, tem zupełniej ogarniała mnie jakaś senność, a nie oczu, nie ciała, bo oczy miałem roztwarte, bo ciało silne w jednemże utrzymane wygięciu; była to raczej senność mojego odbicia, jakiejś cząstki ze mnie, co na drobno łamaną falę rzeczki padła i w jej kryształach chwiała się jednostajnie bez przerwy, bez zmiany. Ale na błękitnem tle nieba, którego barwą rzeczka jakby własnym swoim kolorem płynęła, tuż nad naszemi głowami właśnie osunął się odłamek srebrnego obłoczku i przerwał jedność widzenia: zaraz pobiegły za nim oczy moje dziecinne, lecz obłoczek i na niebie i w rzeczce gdzieś zginął.

— A gdzie on, gdzie on, Ludwinko?

Ludwinka nie patrzyła za obłoczkiem, jednak widziała jego przejście i zrozumiała pytanie.

— Daleko — odpowiedziała mi tak jak pierwej szepnięciem jedynie.— Gdzie to jest daleko, moja Ludwinko? – ja nie wiem, gdzie to jest daleko.—Ludwinka zamyśliła się czy nad sposobem wytłumaczenia, czy nad treścią wyrazu, nie wiem, po chwili wstrząsnęła główką, jakby reszta uśpienia lub reszta wrażeń z czoła odpaść jej przez to miała, i rzekła nieco wyraźniejszym, ale zawsze tak stłumionym, jak przy zwierzeniu tajemnicy głosem.

— Pytasz mię, gdzie to jest daleko, Benjaminku? Oto patrz, chciej gonić za tą wodą, co tak wolno płynie, nie dogonisz, nie dogonisz, woda ucieka do Sanu, San ucieka do szerokiej Wisły, a Wisła ucieka do głębokiego morza, a morze? ja ci nie powiem gdzie to jest. Morze daleko. A teraz tam, na końcu tej łączki, widzisz jak niebo tuż do ziemi przytyka? Idź po szafirowy kawałek tego nieba, idź przez łączkę, niebo będzie za polem, idź przez pole, niebo będzie za lasem, idź przez las, niebo będzie znów za łączką, znów za polem, lasem, rzeczką, a gdzie jest niebo? Ja ci tego nie powiem. Niebo jest daleko, daleko! A teraz przynieś tu klatkę z twoją makolągwą wyżywioną, wypieszczoną przez całą zimę; teraz jest wiosna, Benjaminku, kwiatki kwitną, drzewa zielenią, ptaszków mnóstwo śpiewa wszędzie. Otwórz klatkę, braciszku, otwórz, zobaczysz jak makolągwa, co cię kochała, co ci z dłoni ziarnka jadła, z ustek wodę ocukrzoną piła, zobaczysz jak makolągwa ku wiośnie, ku nowym kwiatom wyleci, a tobie będzie smutno za nią i spytasz może:—Ludwinko, gdzie ptaszyna? — a ja ci tego nie powiem, Benjaminku, bo ptaszyna daleko, och daleko! dalej niż woda rzeki, którą gonisz, dalej niż niepodobieństwo. Dalej jest to, braciszku, co nas w życia opuszcza, co nas kochać przestaje.—I Ludwinka znów pochyliła się nad wodę rzeczki, tylko jej obrazek zadrżał trochę więcej niż przedtem i rozstąpił się pod dwoma kroplami, które nań spadły po chwili.

Obejrzałem się, twarz Ludwinki była bardzo spokojna, ale długie, jasne rzęsy jej siwych oczu świeciły jeszcze czystą łezką ostatnią. Na patrzącego niespokojnie Ludwinka wzniosła długie, smutne spojrzenie.

— Benjaminku — rzekła jednak dość wesołym głosem — poco pytać, gdzie to jest *daleko?* Oto lepiej biegnij się bawić kwiatkami, kwiatki zawsze blizko, a najczęściej nizko rosną, braciszku — i lekko zsunęła mię z kolan, lecz ja nie pobiegłem według jej rady, tylko sobie poszedłem brzeżkiem rzeczki i próbowałem, czy też ja się dostanę daleko — do morza, albo do nieba. Szedłem, szedłem ciągle, za ogród, za pole, i domek nasz z oczu straciłem i gdy mię nóżki boleć zaczęły, gdym przed sobą zobaczył las ciemny, nieznany, a końca rzeki nie zobaczył, gdym ręką wyciągniętą iglastych krzaków jałowcu się dotknął, a nie dotknął ściany nieba, wtedy dopiero zrozumiałem, co to jest „daleko," i zrozumiałem co to jest „kiedyś w przyszłości.

Ja tam „kiedyś" dojdę, rzekłem sobie, kiedyś, jak starszym będę, i wracałem uspokojony tym zamiarem i po drodze zbierałem kwiatki dla mojej siostry Ludwinki. Uzbieranemi znienacka zasypałem w temże samem miejscu, tak samo nieruchomie nad wodą siedzącą.

— Ludwinka zgromadziła je wszystkie, popatrzyła chwilkę i zwracając się ku mnie:

— Szkoda — rzekła — szkoda tylu kwiatków, Benjaminku.

Potem wzięła, wybrała co świeższe, co trwalsze, co w cieple rąk moich nie zwiędły, i każdy kwiatek kolejno i starannie w wilgotnym piasku nadbrzeża sadzić zaczęła, jak czasem dzieci w swoich sztucznych jednogodzinnych zasadzają ogródkach. Pomagałem jej w tej pracy, odgadłem ja, dziecię, ją marzycielkę kobietę, lub raczej nie odgadłem, uczułem tylko co ona czuła, i gdy wszystkie zasadziliśmy, kwiateczki świeżością zajaśniały.

— Im tu będzie lepiej — odezwałem się swobodnie — lepiej niż tam na polu pod skwarem słońca, nawet dłużej będą żyły.

— Ale gdy więdnąć przyjdzie, to smutniej zwiędną — odpowiedziała siostra, a ja nie pytałem o słów tych znaczenie: były to także słowa mojego instynktu.

Brata Karola nie przypominam sobie wyłącznem wspomnieniem w pierwszych chwilach mojego dzieciństwa, bo Karol z nas wszystkich najmniej w domu przesiadywał. Przy rozdziale ogólnej gospodarskiej pracy, jemu się część leśna bardziej domyślną należnością, niż wyraźną ugodą dostała. Może już dziewięć lat miałem, kiedy się pierwszy raz stanowczo osobną w mojem życiu wyrył pamiątką. Zdaje mi się, że go dziś widzę jeszcze: rzeźki dwudziestoletni chłopak, opalony jak góral, ciemnowłosy, czarnooki, w zielonej bajowej burce. Świsnął i na świśnięcie poskoczył ku niemu wielki czarny brytan. Karol go dla tej barwy przezwał Molochem, lecz nieraz żal mu było, że tak najszlachetniejsze, najulubieńsze mu zwierzę czartowskiem mianem zbezcześcił: chciał mu je zmienić nawet, ale mu w tem Ludwinka przeszkodziła. Niechże i Moloch zacznie być dobrym, choćby jako zwierzę tylko—rzekła do niego.— A Karol, jakkolwiek wszystkim dość częsty i dość żwawy stawiał opór, to nigdy Ludwince: Ludwinka była jego wybraną, jego najukochańszą z ukochanych, więc też Moloch został Mołochem. A był to pies rzadkiej cnoty, rzadkiej siły i odwagi, zadziwiającego instynktu; nigdy nie ukąsił nikogo, lecz gdy mu się kto nie podobał, to go na ziemię wywrócił i trzymał go spokojnie, ale mocno, dopóty, dopóki kto z domowych obronić nie wyszedł. Karol nigdy nie byłby zaufał tak przyjętemu od Molocha gościowi i kiedy chciał o kim powiedzieć, że złym jest człowiekiem, to mawiał zwykle: Poterałby go Moloch, oj poterał, jak się należy. — Wspanialszego ani łagodniejszego w całym psim rodzie nie widziałem stworzenia; choćby czasem jaki pokojowiec i szczeknął i rzucił się na niego, to Moloch dumnie tylko machnął

ogonem, otrząsnął się jakby z wody lub kurzawy i szedł dalej w niezachwianej powadze swego majestatu. No, nie śmiejcie się państwo, że wam tyle o tym Molochu prawię — w całem życiu nie spotkałem podobnego jemu... człowieka.

— Cha tak, człowieka nawet, co najsilniejszy, swej siłyby nie nadużył. Są silniejsi świętymi, ale najsilniejszy — jeden wśród nich najsilniejszy... może zresztą przypomnicie sobie, ja przypomnieć nie umiem, okropnie w tych latach ostatnich życia mego na pamięci podupadłem. Jednak dziwna rzecz, jak wszystko co dawniej było, wszystkie te najpierwsze obrazy i znam dobrze, i patrzę na nie czystem okiem i widzę je dokładnie. Och ten ogromny, ten poczciwy Moloch, jak on wybiegł ze swojej budy i swemu panu się radował, gdyż nie użyję na Molocha tego słowa: łasił. Moloch się nigdy nie łasił nikomu, Moloch witał, Moloch się cieszył, bawił, albo wywracał na ziemię. Karol przyjął uśmiechem szczery objaw Molochowego przywiązania, poklepał go po karku z taką miną, z jaką to czasem oficer żołnierza po ramieniu klepie, kiedy mówi o nim do drugiego oficera—patrz, to tęgi wiarus.— Potem Karol zawołał: „Zitta“ i ze stajenki naszej wybiegła w podskokach składna jak sarenka, kara jak noc klaczka, prawdziwie tureckiej rasy, już okulbaczona i pąsowym pokryta czaprakiem. Tę klaczkę ojciec przypadkowo nabył bardzo tanio źrebięciem jeszcze, małem i słabem nawet, od wojskowych kwatery swoje porzucających. Darował ją Karolowi pod warunkiem, żeby on sam na jej utrzymanie zarobił. Ten warunek zbogacił mnie później przy narodzinach zupełnie nową kołyską; bo chłopiec, coby za konia pewnie krwi swej nie pożałował, nie pożałował i czasu. Wyuczył się koszykarstwa, wiązał miotły, splatał słomiane płachty do podłóg sieniowych i w poblizkich miasteczkach przedawał, a co ładniejsze, to nawet do samego Lwowa posyłał. Tym sposobem Zitta miała zawsze podostatkiem najwonniejszego siana, najsmaczniejszego obroku, a jak dorosła, to się i siodło znalazło. Spoty-

kały też nieraz Karola i sute w tym względzie wsparcia; na kolędę często po kilka korcy owsa przysypano mu do jego składu, a przed rokiem w dzień urodzin, przy łóżku śpiącego jeszcze siostry rozwiesiły ów ponsowy czapraczek, w którym Zicie tak prześlicznie było. Napoleon, co w paczce czekolady książęcy tytuł Lefebvrowi przesłał, nie zrobił mu pewnie milszej niespodzianki. Karol z radości nie mógł przyjść do siebie, bo on po zaporosku swoję Zittę kochał, on ją sam karmił, poił, upiększał, a pewno nie byłby jej sprzedał za wszystkie Galicyi i Lodomeryi skarby. Zitta była jego czarną orlicą, jego dziką murzynką, jego zaklętym w konia płomieniem. A było też widzieć, jak Zitta patrzyła na niego swojem zmyślnem, dziwnie połyskliwą białością odełba odciętem okiem. Jak mu czasem ów łeb na ramieniu z jakąś lubością wschodnią, miękką, wdzięczną a namiętną oparła, jak na głos jego przybiegała zdaleka, a posuwisto, a lekko, a hyżo — a doprawdy nie dopatrzyłby człowiek, czy tam ona kopytami ziemi dotknęła się nawet. Oj Zitta, Zitta! niedawno śniło mi się o niej, i mówcie tam sobie co chcecie, moi państwo, ja po tym śnie przez cały dzień nazajutrz weselszy i młodszy byłem. Otóż więc we wzmiankowanej chwili moich wspomnień, widzę Karola wśród wszystkich jemu najmilszych przedmiotów, bo zapomniałem powiedzieć, że miał na plecach swoję dwururkę augustówkę, fuzya jak cacko, świecąca, leciuchna, niby klejnocik kobiecy, a pewna, niechybna, jakby sama do celu trafiała; zdawało się, że strzelającemu dość ją było wziąć do ręki i spuścić kurek, choćby z zamkniętemi oczyma. Karol, który lubił wszystko imieniem znaczyć, nazwał ją sobie: „kochanką.“ Raz, jak zaczął mówić o jej doskonałościach, o jej piosnce dla ucha najmilszej, to aż się ktoś z mniej go znających zapytał: „Czy daleko ztąd mieszka ta młoda osoba?“—Młodą osobę Karol przedstawił z największą powagą, ku największemu zdziwieniu pytającego. — No, chłopcze, zawołał wtedy, czy chcesz się przejechać ze mną? — Ja na odpowiedź wyciągnąłem

ręce dogóry, żeby coprędzej siodła się uchwycić, ale bez strzemienia trudno mi było na nie wskoczyć. Brat się usmiechnął, widząc moje usiłowania, i gwizdnął właściwym sobie sposobem. Na gwizdnięcie Zitta przyklękła, cienką swą żylastą szyjkę tak wyciągnęła ku mnie, że ją mogłem rękami objąć, a gdy objąłem, gdy się na grzbiet jej przerzuciłem, Zitta zerwała się równemi nogami i tylko jakby na umocnienie mnie siedzącego karkiem silnie wstrząsnęła.— Obwińże go dobrze burką, żeby nie zmarzł! — odezwała się przez okno patrząca matka.

— Obwinę, obwinę, bądźcie spokojni — odkrzyknął Karol i wziął mnie przed siebie, do piersi jedną ręką przycisnął, a drugą lekko uzdeczki potrząsnął. Na ten znak Zitta sunęła, sunął Moloch i w kilka minut już dom i wioskę straciliśmy z oczu.

Dzień był prześliczny, mroźny wprawdzie, że aż śnieg skrzypiał, ale taki jasny, taki ubrylantowany słońcem, że aż w oczy ćmiło. Pędziliśmy z bratem, pędzili, aż nakoniec i w bór się wjechało. Ja się nie mogłem nacieszyć iskierkom różnolśniącym po drzew gałęziach, po drodze naszej rozsianym, i tej czarnej Zicie i temu czarnemu Molochowi, wśród owej dokoła rażącej białości. Nagle Zitta strzygnęła uszami. Moloch stanął i sierści najeżył. Bratu rozdęły się nozdrza, cmoknął ustami, jakby chciał powietrze ucałować, i konia zatrzymał.

— A to co będzie, Karolku? — spytałem.

— Cicho, cicho, to wilk.

O wilkach słyszałem tylko z powiastek Teresi, powiastki były okropne, lecz i moja ciekawość wielka. Brat się przechylił, popatrzył mi w oczy i tę rękę, którą mię obejmował, bardziej na lewy bok przesunął. Spojrzeniu jego dość spokojnemu odpowiedziałem spojrzeniem, jednak ręczyć nie śmiem, czy pod ręką brata coś tam w piersiach moich silniej nie zastukało.

— Dobrze, dobrze, wcale nieźle — poszepnął Karol sam do siebie, a potem głośniej dodał: — Zabijemy wilka, Benjaminku!

— Jakto, czy i ja go zabiję?

— I ty, chłopcze; tylko uważaj, baczność, przytul się do mnie plecami, tak, dobrze—teraz—wziął fuzyą, wymierzył, teraz daj tu obie ręce, trzymaj gdzie ja trzymam — i ułożył mi palce na kurku i na moich dopiero swój własny położył. Wczasie tych przygotowań, mały punkcik na drodze zdala czerniący przybliżył się wolno, poważnie jak monarcha w granicach państwa swojego — było to ogromne wilczysko. Moloch warknął. Zitta parsknęła, Karol zawołał „psyt“ i znów wszystko ucichło, a wilk szedł naprzód nieustraszony, zuchwały. Ten wilk, dowiedzieliśmy się później, był sławny w okolicy. Dopiero na kilkanaście kroków od nas dał ogromnego susa. Moloch także nie mógł wytrzymać, rzucił się naprzód, ale Karol głośno zawołał znowu: leżeć! i Moloch przyległ, skowycząc wściekle i tarzając się po śniegu, jakby z rozpaczy upokorzenia. Wilk stanął, w tej chwili brat mi palec nacisnął, strzał wypadł i śnieg się zarumienił czerwoną farbą. Ale prędzej, niż to wszystko mogliśmy spojrzeniem objąć, zwierz skaleczony rzucił się prosto do piersi Zitty—klacz przeraźliwie zarżała i tak gwałtownie cisnęła nabok, że ja, który się ani siodła, ani brata nie trzymałem w tej chwili, spadłem jak kulka na ziemię. Kiedym się zerwał równemi nogami, pamiętam w najdrobniejszych szczegółach obraz, który mi się przedstawił. Takich obrazów mam kilka w mej duszy; mimowiedzy prawie odbiły się w niej tak dokładnie, tak silnie, że czasem aż się sam wydziwić nie mogę, zkąd mi do pamięci wracają wycieniowane obecnie jak bolesność. Z tego obrazu na przykład widzę doskonale nietylko brata mego, co z siodła zeskoczył, przedemną stanął i obie ręce rozgarnął, by mię własnemi piersiami lepiej od wszelkiego niebezpieczeństwa zasłonić, nietylko Zittę, która się wspięła, pod przemożnemi łapami wilka, co choć targany przez Molocha, jej napiersnika trzymał się jeszcze, nietylko Molocha co w kudły przeciwnika łeb zanurzył, w rozszarpane mięso tak pysk utopił, że mu go nawet już widać nie

było — nietylko wilka owego, jak na tylnych łapach wzniesiony, odwrócił się do nieprzyjaciela gwałtownem karku przegięciem: ale widzę krwawo-migotliwe jego spojrzenie, buro-żółty połysk sierści — widzę wszystkie zęby w rozwartej paszczęce i mógłbym je anatomowi wyrysować bez uchybienia żadnego.

Karol, po tej pierwszej chwili niespokojności, usunął się z przedemnie, wziął fuzyą i z najzimniejszą krwią do rąk mi ją podał znowu, jednym rzutem oka wymierzył, za palec mój pociągnął i wilczysko ani zipnęło już nawet. Brat prosto poszedł do Zitty, piersi jej trochę okaleczone chustką przyłożył, rzemieniem tręzli obwiązał, Molocha pogłaskał, za uszy wytargał, w łeb szeroki pocałował, potem skoczył lekko na siodło i znów gwizdnął, żeby Zitta przedemną uklękła. Przez całą drogę rozmawialiśmy, jakie to śliczne z tego wilka będzie futro pod nogi dla matki, rozmawialiśmy o wielu innych rzeczach, tylko jaden wyraz żadnemu z nas do ust się nie przyplątał — wyraz „bojaźń.“ Karol nie wspomniał go i w zapytaniu nawet dał mi uczuć szczęście pierwszego zwycięztwa, jako najnaturalniejszą własność, jako przynależne mojej ludzkiej istocie zdarzenie. Później coraz częściej brał mię z sobą na polowanie i kiedym zabił pierwszego dzika, aż mię uściskał z radości, lecz uściskał dlatego, że dzik był pysznym odyńcem, a nie dlatego wcale, że mu dałem na pięć kroków do siebie przypędzić i tak celnie trafiłem, jak gdyby kulę życzenie poniosło.

Siostra Bronisława jedno tylko słowo rzuciła w życie moje. Nie pamiętam, która to już była rocznica mych urodzin, przypadała jak widać w tej chwili rozwijania się, kiedy człowiek zaczyna głowę podnosić i w niebo spoglądać. Późnym wieczorem siedziałem na kamieniu pod szeroką, cienistą lipą na samym środku dziedzińca rosnącą. Bronisława siedziała przy mnie, milczeliśmy oboje; ale powietrze, ziemia, niebo całe, odzywały się do nas jakimsiś wyraźnym, choć nie wyrażonym głosem rojących nad trawami owadów, hukających żab po stawach, drżących w chłodzie listków

drzewa. Księżyc znowu był w pełni, gwiazdy wszystkie tak przed nim zbladły, że gdzieś zdala od niego ze dwie ich świeciło, a białe chmurki goniły się po ciemno-błękitnej przestrzeni, jak rozigrane trzody białorunnych owiec niewidzialnego pasterza, albo jak stada śnieżnych gołąbków, albo też rozkładały się w srebrne pióra żeglujących po wodzie łabędzi, unoszących się orłów. Czasem nawet przepłynęła jakaś łódka z tajemniczemi postaciami; czasem niby anioł w długiej powłóczystej szacie, bo i czegóż ja tam nie widziałem! —aż siostra wzięła mnie za rękę. — Benjaminie, rzekła, gdyż ona jedna nigdy pieszczotą nie zmieniała imienia mojego.

— Benjaminie, czy słyszysz?

— Och! słucham ciągle, siostrzyczko; wszakże to łąki i drzewa tak grają.

— Benjaminie, czy widzisz? — spytała znowu i wskazała dogóry.

— Och patrzę ciągle, siostrzyczko, bo to piękniejsze, niż wszystkie Cypryana obrazki.

— Benjaminie, a czy czujesz co w twojej własnej piersi? — przyłożyła mi rękę do serca.

— Ja czuję — odpowiedziałem po chwili — że tak mi dobrze, jak kiedy Julcia śpiewa, jak kiedy mię mama na kolana weźmie, jak kiedy mię Karolek na swoję Zittę wsadzi — i lepiej jeszcze, bo mi jest tak dobrze, jak wtedy kiedy nie ze zmartwienia płaczę, i kiedy w radości śmiać się nie mogę, jak kiedy chciałbym was wszystkich jednem objęciem uściskać i wszystkiemu jednym rzutem oka zapanować. A to wszystko razem jest... ja ci nie umiem powiedzieć, czem to jest, siostrzyczko!

— A ja ci powiem, Benjaminie — tylko pamiętaj na całe życie swoje — to co słyszysz w tej chwili, co widzisz przed sobą, co czujesz w sobie — to wszystko śpiewne, piękne, jasne, szczęśliwe, to wszystko jest Bóg...

I zachowałem słowa Bronisławy, jako sama kazała, na całe życie moje, i przerzuciłem wiele ksiąg

mądrych i nie mądrych. kłamstw i prawd nasłuchałem się wiele. namarzyłem więcej jeszcze. lecz w każdej chwili i po każdem przejściu wracały mi te w dzieciństwie od siostry usłyszane wyrazy. Na nich rozwinął się ciąg ducha mojego zaprzeczyłem sobie samemu. nie zaprzeczyłem im. Byłem zmartwiony a bolejący, lecz choć nie czułem. widziałem przynajmniej zawsze. że wszystko śpiewne, piękne, jasne i szczęśliwe. to Bóg — że mądrość. to Bóg — że szczęście. to Bóg—że miłość, to Bóg!.. Cały ów wieczór na kamieniu pod lipą z Bronisławą przesiedziany był wstępną życia mojego modlitwą.

Jeśli Karol i Bronisława tak wyraźnem. lecz jedynem w mej przeszłości odbili się wspomnieniem. daremniebym zato Cypryana i Terenię chciał w tych pierwszych latach dzieciństwa jakąś wyłącznością odznaczyć sobie; widzę ich w każdej godzinie. mam w pamiątce każdej— Cypryan malował mi. lub przez innych namalowane pokazywał obrazki; Terenia o każdym z nich i jemu i mnie cudowne opowiadała historye — lecz gdybym chciał powtórzyć te, co na mnie więcej zrobiły wrażenia. toby końca temu i przez dziś i przez jutro nie było. Ja przecież w czternastym roku dopiero ich słuchać przestałem, a kiedym zaczął. doprawdy — sam nie wiem. Z nazwiskami otaczających mnie rzeczy jednocześnie usłyszałem tysiące dziwnych wyrazów. jak np. zaczarowana księżniczka, piękny rycerz. cudowny sygnet, czarodziejski zamek, dyamentowe podziemne pałace, ogniste duchy na chmurach lecące — i to wszystko ułożyło się jakoś w naturę moję, nie na zabobon. nie na słabość charakteru. ale prędzejbym powiedział na jakąś dziwną siłę fantazyi. Kiedyś, gdy wam się uiszczę z wywołanej życzeniem waszem powieści mego życia i gdy znowu tak jak dzisiaj zbierzemy się na dobrą chwilę przed ten ciepły kominek. byle tylko wiatr nie świszczał, to państwu opowiem którą z tych bajek Tereni. Was to przecież nie znudzi, Henryku. Teklo. Edmundzie; ci. co życia nie znają, co je poznali aż do stracenia ostatniej na-

dziei. aż do odzyskania najpierwszej spokojności. ci lubią bajki cudowne — wszak prawda, moi drodzy? Ach te bajki i te obrazki Cypryana! Lecz Cypryan już wchodzi w szaloną biografią moję. a mnie jeszcze myśli i słowa w dawniejszy czas uciekają ku świętym pamiątkom.

O moim ojcu jużeście słyszeli. mój ojciec taki poważny. taki uczony. taki dobry i łagodny. W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania. to bez nakazu, bez przymusu. prostym rzeczy i zwyczajów układem. tak wszystko cichło dokoła. że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć. Ja w tem wzrosłem i nie pamiętam nawet. żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał. Kiedy ojciec książkę roztworzył. matka szła pocichu na palcach przez pokój. siostry i bracia wychodzili najczęściej, lub które nieruchomie z robótką w kąciku zasiadało. Jednego dnia i ja tak zostałem, przerzucając ostrożnie, żeby mi nic nie szeleściały. karty starego dzieła in 4-to. w którem były wszystkie wizerunki królów polskich. Och! mój Boże. jak to ja pamiętam. Cypryan gniewał się na nie. a szczególniej że Wandzie dano rogatą czapkę. a Jadwidze ogromną kryzę. w której niby garbata i jakby dusząca się wyglądała. Lecz ja nie byłem tak surowym krytykiem. mnie codzień jak coś nowego bawiły i myszy gryzące Popiela, i ogromna peruka Wiśnieckiego i łańcuchy Zygmuntów; bo też przyznać trzeba. że na wszystko zupełnie osobnym patrzyłem pryzmatem.

Tego dnia jednak na połowie skończyłem mój przegląd i zacząłem nie w książkę, lecz w twarz naprzeciw siedzącego ojca bardzo uważnie się wpatrywać, bo za okno wywieszona makolągwa prześlicznie śpiewać zaczęła i miałem wielką chętkę wybiegnąć do niej. a bałem się ojcu przeszkodzić. tem bardziej, że drzwi się jakoś trudno zamykały i otwierały—kto wie nawet, czy klamka nie za zbyt wysoko dla ręki mej była osadzoną. Patrząc ciągle uważnie, spostrzegłem jak na raz ojciec brwi zmarszczył i taki groźny twarz

jego przybrała wyraz, jak gdyby się na kogo rozgniewał. Potem wsparł głowę na ręce i przez chwilę nie patrzył na książkę, lecz też przez tę chwilę wyraz gniewu zmienił się w wyraz jakiejś wielkiej, głębokiej boleści, a ciężkie i głośne westchnienie z piersi mu się wydarło.— Ojcze, ojcze, co ci jest? czy cię co boli? spytałem, prędko biegnąc ku niemu. — Ojciec smutnie się uśmiechnął, a dziś jeszcze daremniebym chciał wypowiedzieć gorycz tego uśmiechu na owem męzkiem, pełnem siły i dobroci obliczu. Bo mój ojciec był dziwnie pięknym mężczyzną. Równego jemu wiekiem, a równego młodzieńczą prawie rzeźkością i grą fizyognomii nigdy mi się spotkać nie zdarzyło. Była to twarz pociągła, trochę żółtawo-blada, nos rzymski, brwi czarne mocno odznaczone, włosy od czoła rzadsze i gdzieniegdzie już srebrzejące wśród kruczej innych połyskliwości. Oczy, na które do połowy wypukła zachodziła powieka, wyrażały zwykle poważne zamyślenie i surowość jakąś, lecz zato w całym rysunku ust dość wydatnych było tyle tkliwej słodyczy, tyle pieszczoty prawie, że my dzieci nie bałyśmy się ani troszeczkę nawet całej surowości spojrzenia. Prawda że też nas nikt nigdy ojcem nie straszył. Wyobraźcie sobie teraz, jakie wrażenie zrobić mógł na mnie gorzki uśmiech na tych zazwyczaj tak dobrych, tak łagodnych ustach.

— Ojcze, ojcze, co cię boli?—powtórzyłem z płaczem nieledwie.

— Mnie to boli — rzekł ojciec, wskazując na książkę.

— Szkaradna, niegodziwa książka! — zawołałem z oburzeniem i rzuciłem ją na ziemię.

— Źle robisz, synku — odpowiedział, podnosząc ją spokojnie.

— A cóż to jest, ojcze?

— Historya.

— A cóż jest w tej historyi?

. . . . . .

— O mój synku! wszystko czego już niema, wszystko co jest, wszystko co będzie, to się znajduje w książkach do tej książki podobnych.— A kiedym ja się dziwił bardzo, ojciec pokazał mi kartkę, na której różne znaczki były, i powiedział mi, że zapomocą tych znaczków mogę kiedyś wiedzieć, co robili umarli, słyszeć o czem mówiono najdalej, lub najdawniej, widzieć aż po krańce ziemi i nieba, aż po głębię duszy ludzkiej. Ja też coprędzej wszystkich nauczyłem się znaczków, ich użycie sam ojciec mi wskazał dziwnym sposobem. Pamiętam, kiedy pierwszy raz dał mi do złożenia te słowa: „Mama cię kocha," to mi potem odebrał elementarz, kazał oczy zamknąć i wyobrazić sobie mamę w tej chwili, gdy nad mojem łóżeczkiem schylona budzi mnie pocałowaniem na dnia dobrego życzenie. Później obiecał mi, że w kilku literach zobaczę dużo kwiatów, drzew, owoców, i dał mi przeczytać—„ogród." Później na wyraz „gwiazda" przypomniał mi, jak to ona maleńka drżącem światełkiem gdzieś wysoko na niebie migoce, a powiedział mi jednak, że gwiazda, to świat. I ja tak nauczyłem się czytać od niego wyraz każdy obrazem, uczuciem i myślą. Ale wy, moi drodzy, dziwicie się zapewne, czemu dotychczas o matce mojej nic nie nadmieniłem jeszcze? Ach! bo dla mnie w każdem wspomnieniu ona tak była obecna, tak ją czułem przy sobie, że mi się zdało, jakbym ciągle o niej tylko, albo do niej mówił. Matka... Czy wy wiecie, dlaczego ja z takiem uszanowaniem z drogi ustępuję i głowy uchylam, gdy koło mnie przejdzie w podeszłym wieku kobieta? Czy wiecie wy, dlaczego nieraz w kościele, a nadewszystko w jakim ubogim, małym, wiejskim kościołku, mnie się łzy w oczach zakręcą, gdy postrzegę zdala przed stopniami ołtarza klęczącą postać kobiety? Czy wy wiecie, dlaczego nigdy nie przejdę koło żebraka, bym do niego z jałmużną ręki nie wyciągnął, koło smutnego, bym z chęcią pociechy myśli ku niemu nie zwrócił, koło płaczącego na drodze dziecka, bym go wyrazem pieszczoty nie utulił, na ręce nie wziął, w zimie przy własnej piersi nie rozgrzał,

lub w lecie od przejeżdżających wozów z niebezpiecznego miejsca nie usunął? — czy wiecie wy dlaczego? oto dlatego, bo miałem matkę!... bo w każdej chwili podobnej zawsze ją widzę przed sobą, tkliwą, anielską, błogosławiącą... tak wszystko czyniącą, jak ja przy niej czynić nawykłem. Och! doprawdy, kiedy mi się błogie dni pierwszej młodości w pamięci rozwiną, kiedy późniejsze w przeciwieństwo stawię... Ale przecież wy nie lirycznej elegii chcieliście odemnie, ja mam tylko co do wypadków mego życia waszę ciekawość zaspokoić, jednak pozwólcie na chwilkę rozdziwaczenia. Czy się z was komu śniło kiedy, że go z wysokiej bardzo i bardzo stromej góry, np. z takiej góry, z jakiej Chrystus widział wszystkie królestwa ziemi i wszystkie skarby królestw, że go mówię z takiej góry w przepaść jakąś strąciła, ot, dajmy na to, ręka szatana, któremu on, co nie jest Chrystusem, jak Bogowi zaufał? Przypominacież wy sobie owo spadanie, coraz wolniejsze, coraz cięższe? Ziemia cała już zprzed oczu zniknęła, niebo tylko widać przez małą szczelinę, ale i niebo znika, a coraz ciemniej, coraz okropniej, a spadający wie, że tam gdzieś na dnie rozbić się musi, tylko dna nie dojrzy, nie dojrzy! Och! wtedy po pierwszej chwili odurzenia następują długie chwile wściekłej rozpaczy, jest czas na wspomnienie każdej radości straconej, wszystkich nadziei swoich, wszystkich czynów swoich, wszystkich wzniosłych zamiarów, wszystkich może wielkich, może dla świata użytecznych zdolności, co tak bez śladu niszczeją, których już niema nawet, choć my jesteśmy jeszcze. A tu jakby dla zaostrzenia tortury, piekielną fantasmagoryą rozwija się przed nami ów obraz na owej górze podziwiany i choć poznaliśmy szatana, my czujemy, żebyśmy znowu za jednę chwilę podobną drugi raz wieczność oddali. I tylko nam sęp żalu kawałami serce szarpie, że gdy się miało umierać, czemu się z tej góry głowy nie rozbiło? A potem inna boleść, potem widzimy najdokładniej każde ziółko, którego jeszcze w upadku uchwycić się można było, rozważamy każdy

sposób, każde podobieństwo ratunku, przekonywamy się że bylibyśmy nie upadli, że bylibyśmy się podźwignęli, gdyby jeden krok tylko, jedno poruszenie, jedna myśl — a teraz daremnie, teraz praw natury nie cofniemy, zaciężyliśmy nad głębią, trzeba spadać, spadać, spadać! Jedna przyszłość nam została, jedna nadzieja tylko: zdruzgotania się tam na dnie, i gdyby raz już skończyć, gdyby spaść, gdyby nie żyć! Cała rozpacz przesila się w tę szaloną niecierpliwość, ale przepaść głęboka, przepaść Miltonowska, do której-to się leci dziewięć dni i dziewięć nocy. Więc niecierpliwość sama siebie zużyła nareszcie, człowiek jest kamieniem, wie i pamięta, lecz nie boleje, nie rozpacza już. Człowiek-kamień gdy upadnie, czyż choć tam w głębi ostatnią iskrą w rozbiciu ostatniem zaświeci?... Ach! darujcie mi, darujcie państwo, miałem zupełnie o czem innem mówić; ten sen, ta przepaść, to do niczego niepodobne — chyba do tego, com ja czuł na jawie. Ale wam niech los szczęści; cieszę się nieskończenie, że mnie tu nikt nie zrozumiał.

Ale zato zrozumieliście mój wiek dziecinny i ówczesną naturę moję, wiecie że zrodziłem się kochanym, wzrosłem kochającym; kochanie, zawsze kochanie, to cały moich kursów pedagogicznych sumaryusz; w przydatku do niego nauczyłem się górnictwa i mając rok siedmnasty, zostałem górnikiem.

Od tego-to siedmnastego roku zaczyna się dziwaczna powieść bardzo zabawnych zdarzeń— uśmiejecie się serdecznie.

II.

W domu rodziców obchodzono wigilią Bożego Narodzenia. Dzieci się pozjeżdżały, bo już nie wszystkie pod rodzinnym żyły dachem. Dwóch braci ożenionych, Adam i Józef, w dalszych mieszkali okolicach. Trzy siostry poszły za mąż: Julcia, Bronisia i Terenia. Karol wojskowo służył w królestwie i z Lubelskiego na czas krótki tylko za urlopem przyjechał; Cypryan gdzieś aż z Rzymu ostatni list pisał, ja sam z Węgier wracałem, a przy rodzicach aniołem pociechy tylko Ludwinka została — moja Ludwinka zawsze blada, zawsze smutna, zawsze. nawet w chwilach radości swojej, jakby za szczęściem nieujętem tęskniąca. Ja dziś myślę, że Ludwinka musiała żyć z jakiemś utajonem w duszy cierpieniem. jak nieraz kwiatki te kochane jej rosną długo ze zjadliwym w cieniu swych listków owadem. Na pewno jednak ręczyć za to nie mogę; Ludwinka nigdy przed nikim się nie skarżyła.

Wtedy na wigilią stół długi białym obrusem przykryto, świeżem sianem podesłano i gdy pierwsza gwiazdeczka błysnęła, na odgłos dzwonka zgromadziliśmy się wszyscy koło niego — rodzice, dzieci, wnuki, domownicy.

Matka wzięła opłatek i podając go ojcu;

— Dosiego roku!—rzekła uroczystym, choć lekko drżącym od wzruszenia głosem — dosiego roku, mężu mój, dzieci wszystkie moje. Dosiego roku! Niech każde z was tak kiedyś łamie się chlebem Bożym z ręko-

ma dzielnych synów, szczęśliwych córek, pięknych wnucząt, przyjaznych sług domu swojego; niech kiedyś dłoń, co na jego dłoni z niezawiedzioną ufnością przez długie lata się wsparła, tak mu poda święcony opłatek, jak ja w tej chwili ojcu waszemu podaję. Amen — odpowiedzieliśmy wszyscy — i rodzice zożłamali się opłatkiem, a potem matka szła koleją od najstarszych do najmłodszych, każdemu dając część jego i tej części cząstkę oddaną przyjmując; lecz gdy Terenia w następstwie rękę wyciągnęła, matka cofnęła się nieco i łzy jej w oczach stanęły.

— Nie, to kolej oddalonego — rzekła — na imię Cypryana z błogosławieństwem mojem niech będzie aż do chwili jego powrotu ten kawałek opłatka zachowany — i według słów swoich szła go nabok odłożyć...

W tej chwili drzwi się rozwarły, ktoś na progu stanął...

— Matko, syn wraca o dział swój w szczęściu rodzinnem się upomnieć — przemówił głos tak dobrze znany, że każda pierś go okrzykiem radości odbiła.

— Cypryan! nasz Cypryan!...

Wistocie brat mój Cypryan, malarz, wędrowiec, artysta powrócił...

Albercie filozofie, powiedz mi, czy jest przeczucie?...

Cha! szczęście twoje, że tak poważnie skinieniem głowy potakującą dałeś mi odpowiedź, bo cię miałem zaraz drugiem uderzyć zapytaniem: dlaczego mnie na wejście Cypryana serce się boleścią ścisnęło?

Tak jest, moi państwo, wyraźnie mówię boleścią, chociaż w pierwszej chwili nie umiałem jej od wielkiej radości rozróżnić.

Po kilku latach rozstania, witać brata wspólnika myśli i zabaw dziecinnych, witać ze łzą w oku, drżącą ręką i bladem czołem, mnie się to zdawało tylko nowym jakimś na uczucie szczęścia sposobem. Sposób dziwny jednak... później dokładnie zdałem sobie z niego sprawę i dziś ręczyć mogę, że był on tylko boleścią przerażenia.

Cypryan matkę najpierw uściskał, ojca rękę najpierw ucałował, a potem siostry jedna przez drugą cisnęły się ku niemu, a które z nich dzieci miały, to mu je wyciągały na ręku, do wcześniejszej pieszczoty, na lepsze powitanie. Ja ostatni się zbliżyłem.

Cypryan objął mię za szyję, lecz nim do piersi przycisnął, zatrzymał się jakby zdziwiony, oczy jego utkwiły w mej twarzy, dłonie zesztywniały niby na moich barkach — i tak mię trzymał przez chwilę oddalonego ich wyciągnięciem, i tak patrzył ciągle na mnie i tak dziwny uśmiech zachwycenia z ust jego rozświecił, że sam go nie pojmując, odśmiechnąłem się także i niby przemocą uwalniając się z narzuconego rozdziału:

— Cóż to? — rzekłem — czy Benjamina tylko nie poznałeś?

— Och! matko, jaki on cudnie piękny! — zawołał Cypryan do stojącej za nim odwracając się nieco.

— Więc dlatego już mię i przywitać nie chcesz?...

Cypryan powitał mnie radośniej niż nasze całe rodzeństwo, ale czy serdeczniej?... ja nie wiem, jednak z pewnym wyrzutem mu rzekłem:

— Zdaje mi się, żeś w tej chwili więcej malarzem, niż bratem.

— Prawda — odpowiedział przycichłym, uciętym głosem, i znowu patrzał na mnie.

Bo ja podobno piękny, ale to bardzo piękny wtedy byłem — dzisiaj nie wierzyłabyś temu, Anno, i wy wszystkie zaprzeczyłybyście; dzisiaj oczy mi wpadły, wyblakły, zagasły, włosy zrzedniały, bodaj czy już i siwieć nie zaczynają, skóra na chudych policzkach urysowała się szkaradnemi zmarszczkami, cera nie zczerniała i nie zbladła, tylko zeschła niby jakiś papier zbrudzony, a usta wykrzywiły się w taki nałogowy uśmiech niesmaku, że wesołym aż nudno patrzeć na mnie. Co to jest tak się zestarzeć w dwudziestym szóstym roku swego życia!... Wszak prawda, moje panie, że to się nie godzi? Cha, przynajmniej na pocie-

chę mogę powiedzieć sobie, że kiedyś piękny byłem... piękny... piękny...

Cypryan, ile razy spojrzał na mnie, to mu niby jaśniejsza myśl widomie po twarzy przeciągała; czasem zamykał oczy, jak gdyby tej myśli chciał się lepiej w swojej własnej głowie przypatrzeć, a czasem też coś go niby gniewało na mnie i brwi marszczył, warg przygryzał. Ta ostatnia zmiana coraz częściej zaczęła mu z końcem wieczerzy na rysy wybijać, bo ja także baczniejszą na niego zwróciłem uwagę.

Gdy pierwsze uniesienie wzajemnych powitań uspokoiło się nieco, gdy twarz Cypryana, uściskami ożywiona, przejściem nagłem pod światło i ciepło rozgrzana, zaczęła powoli do zwyczajnego wracać układu — aż mię zimno wskróś przejęło, tak okropnego wyniszczenia śladów na niej dostrzegłem.

Cypryan miał wszystkie rysy ojca, lecz jasne włosy i płeć białą matki. Teraz rysy owe wyciągnęły się bez żadnej proporcyi, płeć niegdyś tak świeża nabrała kredowej martwości, otwory oczu zwiększyły się wprawdzie, ale oczy gdzieś pod czoło głęboko uciekły; wyłysiał, ot, więcej prawie niż ja dzisiaj, nos mu okropnie zgarbaciał, broda naprzód się wyszczerzyła, szczęki kościste ledwo skóry nie przebijały.

Matka trwożliwie spoglądała na niego; zapewne uważać to musiał, bo przez chwilę milczący i niby znużony, ożywił się znowu, zaczął głośno rozmawiać, śmiać się, opowiadać tysiączne swej podróży szczegóły. Nawałem słów, jak widać, i prędkością poruszeń chciał Cypryan oszukać ten wzrok matki badawczy, smutny, a niemylny, chorobliwe usposobienie zwyciężyło go jednak na chwilę — zaciął się nagle i długo tłumionym kaszlem wybuchnął.

Między kobietami ruch niespokojny powstał. Cypryan skinął na nie, żeby jemu i sobie dały pokój, usta chustką zasłonił, a potem ostatek napadu w pusty śmiech przeprowadził.

— To nic, to nic, zakrztusiłem się tylko— rzekł, prędko chustkę do kieszeni chowając.

Ja siedziałem tuż przy nim i sam jeden spostrzegłem, że krew była na chustce.

— Ten kielich waszej spokojności święcę — mówił dalej wesoło.

— Napij się lepiej wody — szepnąłem mu zcicha i po karafkę sięgnąwszy, niby nienaumyślnie trąciłem go tak mocno, że wszystko wino z kieliszka na obrus się rozlało.

Cypryan zwrócił się ku mnie niecierpliwym ruchem.

— Braciszku, trochę jesteś niezgrabny; to szkoda—i z wyraźnem niezadowoleniem patrzył mi w oczy; przetrzymałem wzrok jego.

— Napij się wody—powtórzyłem wpół z prośbą, wpół z rozkazem.

— Napiję czego chcesz, Benjaminku — odpowiedział trochę rozjasniony uśmiechem — napiję choćby i octu z żółcią, bo znów jesteś prześliczny, ale jednej rady mojej usłuchać musisz...

— Trzech rad twoich, Cypryanie, tylko te dwa słowa przyjmij odemnie: jesteś chory — rzuciłem mu do ucha.

— O tem potem — rzekł jaknajobojętniej i wypróżnioną szklanką mocno w stół uderzył, by zagłuszyć zamienione ze mną wyrazy.

— Moja rada, Benjaminie, jest ta, że przedewszystkiem powinieneś być szczęśliwym, ale to, powiadam ci, koniecznie szczęśliwym, bo jak nie, to zbrzydniesz, zbrzydniesz, zbrzydniesz tak okropnie, że nawet Ludwinka, która wszystko smutne lubi, nie pozna cię wtedy i minie ze wstrętem.

Poczciwa siostra zaprzeczyła temu coprędzej, lecz Cypryan nie chciał ustąpić.

— Z zupełną pewnością wyrokuję w tym względzie — mówił on — studyowałem jako malarz różne przemiany różnych wrażeń i na różnych rysach; przysiądz wam mogę, że Benjamin okropnie zbrzydnie w nieszczęściu, bo jego twarz do odbijania samej tylko radości stworzona.

Och! już co wtedy, to się sam za sobą ująłem.

— Radosną ją widzisz w tej chwili — rzekłem — może nawet dziecinną jeszcze, ale zkąd tobie być prorokiem moich uczuć w chwilach odmiennych, mojej twarzy w niepewnej przyszłości? Więc ja tak słaby i wątły jestem? — A niedawno chwaliłeś piękność moję — jaką piękność? czy roślinną, według gatunku i koloru, zdrowia i czerstwości? Ja myślałem, że mi z czoła za pierwszem spojrzeniem wyczytałeś wszystkie ducha tajemnice i dojrzawszy w nich własnej istoty odbicia, tem artystycznem słowem „piękny“ powitałeś — a ty, jak teraz poznaję, tylko linie i farby miałeś na pamięci.

— Gniewaj się, gniewaj, dziecko moje — z uśmiechem na te wszystkie wyrzuty odpowiedział.

— Ja się nie gniewałem, ale mi się okropnie smutno zrobiło.

— Cypryanie — rzekłem po chwili — choćby się nawet miała ziścić ta przepowiednia, mniejsza o to, ja śmiało nieszczęście do walki wyzywam, będę brzydszym, ale będę lepszym.

— W nieszczęściu?

— Tak jest, w nieszczęściu, kiedy spróbuję wszystkich sił moich, użyję wszystkich praw człowieczeństwa, bo walka z nieszczęściem jest najwyższem prawem, bo walka z nieszczęściem jest siłą najwyższą!

Coś ja podobno i więcej o tem mówiłem, lecz teraz słówka sobie nie przypominam nawet, a choćbym chciał z natchnienia brak wspomnień wynagrodzić, to doprawdy trudniej jeszcze: nie mogę ani w uczuciu, ani w rozumie znaleźć nic podobnego do tych błogosławionych marzeń świeżej wyobraźni. Wzniosłem nieszczęście do potęgi ideału, na cześć jego złożyłem hymn i ostatnią myślą ostatniej zwrotki jego cisnąłem złym losom najdumniejsze wyzwanie. Szalony!

Cypryan słuchał, patrzył się, uśmiechał; gdym skończył, jego białe, długie palce od niechcenia zamieszały się w moje, po góralsku na ramiona spadające włosy i rzekł niby sam do siebie:

— Jakie to dziecko! jakie to piękne dziecko jeszcze! On nie wie, że w najwyższości swojej istota ludzka ma tylko władze używania, zdolność do szczęścia, siły do stwarzania rozkoszy, a jednak choć od matki, to słyszał przecież o dziewiątem niebie, gdzie twarz w twarz z Panem Bogiem przez całą wieczność wybrani się radują... Walka z cierpieniem!... Jemu się zdaje, że to będzie chwila takiej improwizacyi, jaką teraz ułożył, takiej gry nerwów, takiego przyśpieszonego krwi obiegu, jak go obecnie doświadczył — moje najdroższe, najśliczniejsze dziecko. To będzie jednak zupełnie coś innego — a palce jego przez całą długość włosów moich musnęły — to będą te włosy — mówił dalej — te cudnie, słoneczno promieniejące włosy zrzedniałe i zsiwiałe od nocy bezsennych; to będą te myśli dziś grające po mózgu tysiącem obrazów tęczowych, zawikłane w jakieś obliczania wypadków, czynów, prawdopodobieństw i fałszów; to będą te piersi, tchnące dziś pełnią życia, zachrzypłe kaszlem, zerwane astmą; to będzie to oko szklisto-czarne powleczone siatką krwawych żyłek i żółcią nabiegłe: to będzie choroba, odrętwiałość, wielki kłopot o majątek, o kobietę, o jakiś plan życia może, ale nie będzie walka z nieszczęściem, jak ty ją sobie wyobrażasz, Benjaminku. Tobie się zdaje, że nieszczęście wygląda jak biały anioł w czarne krepy uwinięty, z gorejącym mieczem w dłoni, i dlatego chciałbyś z nim pójść już w zapasy. Och! wierzę bardzo, że nie zbrzydłbyś wtedy, lecz ja ci powiadam, że nieszczęście wcale nie anioł żaden; nieszczęście wygląda jak pies, co milczkiem kąsa, jak stara dewotka, co pobożnie obgaduje, jak Żyd lichwiarz obszarpany, co dukaty obrzyna i co ci wszystką złotą monetę życia twojego fałszuje. Nieszczęście wygląda jak pijanica nad rankiem, jak nietoperz, jak błoto, jak palce z zanokcicą, jak brudna chustka od nosa — fe! fe! Słuchaj mojej rady, bądź lepiej szczęśliwym, Benjaminku — i głośnym śmiechem, a cichym kaszlem zakończył.

Nikt z nas się nie zaśmiał wzajemnie. każdemu ciężko było pod słowami owej dziwnej ironii. Bronisława tylko rzekła:

— Zabawnie wypowiedziałeś wielką prawdę, Cypryanie, ależ na drugi raz nie ubieraj jej w takie łachmany, bo się dzieci straszą — i schyliwszy się do wspartego o jej kolana synka. prześlicznego chłopczyny. z szerokiem. bladem czołem. z wielkiemi ciemnemi oczyma: — Nieszczęście, mój Bohdanie. brzydkie jest bardzo — przydała — gdyż nieszczęście to jest złe. które się zrobiło, i dobre, którego się zrobić nie mogło. grzech twój lub grzech ludzi braci twoich; unikajże nieszczęścia.

Chłopczyk zamyślił się i po chwili odpowiedział:

— Będę unikał, matko.

Nic nie mówiąc, wskazałem go Cypryanowi; Cypryan zrozumiał tę przymówkę. lecz wstrząsnął głową. popatrzył trochę i rzekł niedbale:

— To wcale co innego; Bohdan starszy od ciebie, on dziś. a ty jutro.

W żaden sposób nie mogliśmy się porozumieć.

Nakoniec też i wieczór się skończył. wszyscy spać poszli według tego, jak gdzie komu starania Ludwinki nocleg przyrządziły.

Karol. Cypryan i ja dostaliśmy maleńką na poddaszu izdebkę.

Cypryan pierwszy się położył i o zgaszenie świecy upomniał. Zmęczonemu podróżą, choremu nawet. jak to z twarzy jego było widać. nie chcieliśmy chwil do spoczynku potrzebnych zabierać. Poszliśmy oba za jego przykładem, skoczyli prędko w łóżka nasze i prędzej jeszcze zasnęli owym smacznym, błogosławionym, pierwszym snem wszystkich nocy spokojnej jeszcze młodości—przynajmniej ja tak usnąłem.

Nagle w parę godzin może, blask mię jakiś przebudził. Patrzę, aż tu Cypryan stoi nad mojem łóżkiem.

W jednej ręce trzymał on zapaloną świecę, a drugą tak jej płomień obejmował, żeby cień w stronę Ka-

rola padał, całe zaś światło na mnie; przez rozchrzestaną koszulę widać było jego piersi zapadłe i wszystkie kości z anatomiczną dokładnością zpod skóry się rysujące — rzekłbyś, że to szkielet jaki zlekka tylko cielistą błoną pociągnięty, lecz zato całe życie trupich piersi do twarzy jego uciekło; była-to twarz na ową chwilę grą nerwów i muskułów do pierwszej młodzieńczości wrócona, były to oczy ciepłym promieniem bijące, usta purpurą świeżej krwi wypełnione, czoło jakby od niewidzialnej gwiazdy jaśniejące—była to jednem słowem głowa wskrzesiciela na ramionach umarłego. Sprzeczność uderzająca, niesłychana, a cudna.

Pod jej urokiem, w chwili niespodzianego przebudzenia, nawet sobie wyrazów na zapytanie dobrać nie mogłem, przetarłem tylko oczy, zarwałem się i usiadłem. Brat lekko mię znów na posłanie przechylił i dał znak milczenia.

— Cóż to jest? — spytałem go się wreszcie.

Cypryan trochę brwi zmarszczył, siadł na brzegu łóżka, świecę jeszcze zupełniej ku twarzy mojej obrócił, ale nic nie odpowiedział.

— Cóż to jest? — powtórzyłem raz drugi.

Znowu milczał, lecz po chwili:

— O czem ci się śniło? — zagadnął mię wzajemnie.

— Nic a nic nie pamiętam — odrzekłem, gdyż tak było wistocie.

— To bardzo źle, Benjaminie; spróbuj, może przypomnisz sobie.

— Doprawdy, nie mogę ani słówka.

— A jabym dał sobie lewą rękę aż po sam łokieć uciąć, żebyś mógł.

— Nie czekaj na to, Cypryanie, bo się przeziębisz jeszcze. Jak można z takim kaszlem w noc Bożego Narodzenia wstawać boso i nawet płaszcza nie zarzucić?

Brat syknął i usta przygryzł.

— Ja pytam, co ci się śniło?—powtórzył z przyciskiem.

— Pomówimy o tem, tylko weź co cieplejszego na siebie, lub połóż się przy mnie.

— Słuchaj, Benjaminie — rzekł brat z powściągniętą, ale widoczną niecierpliwością — mnie dalibóg żadne alpejskie zimno nie szkodziło; spałem kilka razy pod śniegiem, byłem na górach, gdzie mi oddech w ustach marznął, i wróciłem ztamtąd zawsze zdrowszy, rzeźwiejszy; lecz jednego dnia, gdym się rozgniewał, zaraz mi krew nosem i ustami buchnęła: przestrzegam cię o tej ułomności mojej, braciszku, nie gniewaj mnie. Bo to widzisz, mój drogi — ciągnął dalej, jakby zgadując niespokojne zadziwienie moje — są chwile życia, których nie trzeba na drobniuteczkie wrażenia roztrwaniać: „a to się zaziębisz—a to weź co ciepłego—a to jedz—a to pij—a to tak—a to owak.“ Cierpieć nie mogę całej tej trzygroszowej troskliwości. Jeśli na nią będziesz uczuciem szafował, to kiedyś w wielkiem przesileniu i serca ci zabraknie. Mnie jak o życie chodzi o przywołanie twego sennego widziadła, mnie w głowie przyszłość, sława... a ty kaszel przypominasz i gdybym pozwolił tylko, byłbyś bzowemi ziółkami zaczął mnie częstować. Czyś ty Niemka rozkochana, czy siostra szpitalna? Toć to wytrzymać trudno!

— No już nic, już nic nie powiem; lepiej ty mów, czego chcesz?

— Chcę wiedzieć, o czem ci się śniło?...

— A to dziwny człowiek! Chyba z natchnienia na prędce jaki sen ułożę.

— I owszem, proszę, układaj...

— Otóż słuchaj—śniło mi się, że z drżącą lampką w ręku spuszczałem się do głębokiej pieczary; w pieczarze były skarby tak wielkie...

— Kłamiesz, Benjaminie, ja ci mogę lepiej twój własny sen przypomnieć. Zastanów się tylko, czyś nie roił że byłeś Grekiem w pięknych młodej Grecyi latach?

— Och! nie, za to ci ręczyć mogę; we wszystkich snach przeszłego i przyszłego życia jestem zawsze tatrzańskim górnikiem, synem ojców moich.

— Alboż ty wiesz, Benjaminie? Może ci się też śniło, że byłeś poetą, lecz rozumiejmy się dobrze— nie takim poetą z piórem w ręku, z palcami w atramencie uwalanemi, nad drewnianym stolikiem, a dotego jeszcze w szlafroku i pantoflach — och! nie, może ci się śniło, że byłeś poetą w dawnych wiekach i na młodszej ziemi, że miałeś siedmiostruną lutnię w dłoni, a nad sobą tylko niebo, a dokoła siebie, zamiast czterech ścian wilgotnego muru, przestrzeń bez końca i mur życiem bijących piersi. I wtedy śpiewałeś sobie pieśń wielką, głośną, śmiałą, a lud słuchał, czuł, wierzył, i śmiał się, i płakał i w żelazne miecze dzwonił według tego, jak pieśń brzmiała. A pieśń twoja, Benjaminie, i wieniec olimpijski twój — bo dla tłumu wielu śpiewało, lecz ty sam zwyciężyłeś; tobie tłum ludu padł pod nogi i bracia-mistrze się ukorzyli. No, cóż myślisz? snem takim czyżby śnić nie warto, chociażby potem zaniemieć na wieki...

— Prawdę rzekłeś, bracie, ty lepiej odemnie moje sny pamiętasz; snem poety ja nieraz marzyłem, ale bez wieńca olimpijskiego, bez ukorzenia współzawodników, bez tłumów u nóg moich; marzyłem tylko, że wszystkie serca tętnem krwi mojej biły, że w mojem uczuciu spromieniło się każde w świat Boży rzucone uczucie, że byłem ze wszystkimi i wszyscy byli ze mną, nie niżej, nie dalej, tylko tuż pod bratniej ręki dotknięciem, tuż w samym dźwięku mej pieśni.

— Dobrze, dobrze, Benjaminie, ale dźwięk pieśni, to jeszcze nie wszystkość życia twojego; młody jesteś, młodość sama przez siebie władzą i zdolnością, użyć jej musisz koniecznie — nadmiar siły trzeba ci przelać choćby w pustotę. Potrzebie gwałtownych ruchów trzeba stworzyć odpowiednie choćby i szaleństwo, bo przecież wszystkie arterye wzbierają czerwieńszym sokiem, niby lawą gorętszą; jeśli zbytku twojego nie ciśniesz na świata uciechy, to się natura wstecz cofnie i głębię ducha zatruje. Trzeba szaleć, Benjaminie. Czy snu takiego nie miałeś? Może też kiedy widziałeś sam siebie na wozie złocistym, jak

dzielnym rumakom cugli popuściwszy, biegłeś do mety z najsławniejszymi gonitw bohaterami — ty, taki młody, taki niewprawny. Daj pokój lepiej, bo tysiące patrzą na ciebie — tam rzędem kobiety, tu starce, które cię poważnie za nieroztropność zgromią, tam młodzi towarzysze, którzy próżność niewczesną wyśmieją;— daj pokój, tobie w gyneceum jeszcze piosnkami się niańczyć, albo według koloru na krosnach nitki rozsnuwać; daj pokój — ty dziecko, ty słaby, ty śmieszny, w głowie ci się zakręci, ręce ci zemdleją; — daj pokój, cha, może ci tak mówiono? Ale słuchać nie chciałeś, od zamętu, od hałasu mózg ci w głowie zakipiał, ręce drżą do cugli, oczy widzów magnetyzują cię prawie — im ich więcej, tem lepiej. Siadłeś na wóz i pędzisz — konie pianą parskają, obłok kurzu cię okrył, nieba nie widzisz, z samą przestrzenią się gonisz—czy jej uciekniesz, czy ją wyścigniesz? A słyszysz jak się to śmieją—och! szyderstwo pospólstwa, to harpia co serce wygryza; obelga śmiechu, to rozpalone pod czaszką żelazo! Śpiesz się, śpiesz—tam naprzeciwko sędziowie z bacznem okiem i meta już blizka; tobie pęd powietrza głos w piersiach tamuje, chciałbyś krzyknąć—jak krzykniesz, twoje rumaki nowych sił wydostaną... cha! krzyknąłeś i przy mecie jesteś — ty pierwszy! Spojrzyj teraz po widzach, śmiej się z tych, co o tobie wątpili, bierz nagrodę i wychodź ze szranek z dumnem czołem, z hardym wzrokiem, i słuchaj jak po drodze twojej jedni drugim z ust do ust podają: „to on, to on, zwycięzca hypodromu!...“

Brat zamilkł i patrzył na mnie. Jużcić przyznam się państwu, że było wtedy mówić do mnie o koniach, o wyścigach, o tych przemianach zwątpień i nadziei, to jak gdyby kto w oczach szulera najpiękniejsze tasował karty i pobrzękiwał złotemi stawkami; jakoś mi się cieplej zrobiło, śmiać się zacząłem, a Cypryan rozgarnął mi włosy i znów dalej mówił, lecz głos jego był uroczysty, głębszy, czasem trochę drżący nawet:

— Może też ci się śniło, Benjaminie, że miałeś głowę arabskiemi wonnościami skropioną, tunikę z naj-

cieńszej wełny sydońskiej utkaną, wieniec różany na skroni, a te skronie wsparte o łono kobiety — lecz nie matki, nie, siostry, nawet jeszcze nie kochanki twojej... Benjaminie, czy ty rozumiesz tę chwilę, w której kobieta jeszcze kochanką ci nie jest, a już kocha i kochana? — czy ty rozumiesz tę chwilę? A kobietę taką czy widziałeś? — kobietę piękną, silną w namiętności, świętą w duchu swoim? Na jej czole taka myśli potęga, żeby mogła losami Aten kierować, a na jej ustach taka rozkosz, a w jej spojrzeniu taka wabność gorąca i przenikliwa... Czy ty śniłeś o niej? Ej! daj mi pokój z całą powszednich małżeństw uroczystością — co mi po tej dziewicy, która skromnie oczy spuści, jakby drzemać chciała, ustek niewinnie przyszznuruje i nic mi nie da w życiu, prócz praw kodeksem zawarowanych. Och! jak innym piorun od świecy, tak inną moja piękna od tej ze zwyczajowych przepisów uklejonej duszyczki. Tobie także, Benjaminie, inna zupełnie się śniła. Jej oczy jeśli spuszczone, to promień tylko nadziei lub wspomnień zbyt jaskrawy, więc przysłonięty; jej rumieniec, to krew, to życie, co z przepełnionej organizacyi gwałtownie na zewnątrz bije... a jej miłość!... Ty nie znałeś własnej potęgi, nie rozumiałeś świata, nie czułeś Boga, póki cię ona nie ukochała; piękność, szczęście, cud, to miłość jest jej... Wierz mi, bracie, takie kobiety są, i możesz spotkać którą, i możesz kiedyś zapragnąć umrzeć w jej objęciach, żeby już potem nie być choćby nawet szczęśliwym inaczej. A nie nazywaj szczęścia podobnego zmysłowością, rozkoszy twojej rozpustą; zmysłowość będzie ledwie formą najorganiczniejszego wzniesienia się ludzkiej natury w pełność Bóstwa z duchem i ciałem, rozkosz sama w świadectwo przeciw rozpuście stanie. Zmysłowiec tak nie czuje, rozpustnik tak nie używa, jak ty czuć będziesz wszystkiemi władzami duszy twojej, jak ty użyjesz całą męzkością twej siły młodzieńczej. Gdybyś nie miał każdochwilowego uznania swej godności, gdyby ona nie była ową Medeą, co żywiołom rozkazuje, ale Medeą, która nigdy zbrodni

nie popełni, bo wiecznie kochaną będzie; gdybyś ty po jej miękkich wezgłowiach hartowniej wśród spartańskich niewygód zasnąć potem nie umiał; gdyby ona z swych ust rozpieszczonych krwawym na torturach nie splunęła w potrzebie językiem; gdybyście oboje nie mieli tej wyobraźni, co wam w poezyą każdy całunek ozłoci, tej śmiałej myśli, co z każdej siły radosnej chwilę siły wyciągnie, co zawsze nową prawdę wykryje, lub nowy sposób na szczęście utworzy; gdybyście nie byli tak właśnie duchem potężni, inteligencyą wzniesieni, przyznaniem szlachetni — tobyście i tak szczęśliwi nie byli, bo szczęście, słuchaj, niech ci się chociaż śni o tem. Benjaminie—szczęście zupełne jest dane tylko temu, kto umie najpokorniej dla dobra bliźnich cierpieć i najnamiętniej kochankę do drżącej piersi przycisnąć.

Ucichł znowu Cypryan; ja go słuchałem jeszcze, dziwy mi się po głowie roiły, wszystkiemi jego słowami niby krew w żyłach wzbierała — jednak czułem potrzebę odparcia tych wrażeń,

— Kusicielu! — rzekłem zcicha.

Brat się nachylił, pocałował mnie w czoło, ale nagle świeca, którą trzymał, zadrżała, upadła z lichtarzem na ziemię i zgasła. Schwyciłem Cypryana za rękę, ręka była zimna jak lód — krzyknąłem. Karol się obudził, wstał prędko, świecę znów zapalił i przy jej świetle ujrzeliśmy Cypryana bez przytomności, na krawędzi łóżka przewieszonego... Krew mu się kawałami z ust waliła... był przerażającej, żółtej jakiejś bladości... myślałem, że już umarł. W tej chwili dzwonić w kościołku na mszę pasterską zaczęto...

Przepraszam państwa... muszę odpocząć trochę. Kiedy sobie ten obraz przypomnę, jest mi okropniej niż wtedy było nawet.

III.

A cała ta okropność czy też się domyślacie zkąd przyczynę wzięła; gdzie cel obrała sobie?... Cypryan do wykończenia jakiegoś obrazu potrzebował moich rysów i układał je sobie w zamierzonych wrażeń odbicie; artystą, wielkim artystą był mój brat Cypryan.

Ja wam powiem tylko: gdybym dzisiaj miał starych patryarchów zwyczajem błogosławić najukochańsze dziecko moje i gdybym był wierzył w nieomylność mego błogosławieństwa, jak w czarosilne zaklęcie talizmanowej formułki, to nad głową schylonego u kolan moich wzniósłszy oczy do nieba, z głębi duszybym wołał: „niech z drogi twego życia Bóg artystów usunie!“ Cha! gotowiście się rozgniewać na mnie, wy wszyscy zakochani w piękności i sztuce, a ja przecież nie o was mówię; sztuka i piękność do życia wzięte użyciem przynależą się każdemu, mnie, tobie, wam i im. Lecz być artystą wszakże to co innego, jak być używającym. Być artystą, znaczy tylko być obdarzonym pewną ilością mózgu, który w pewnem miejscu czaszki tworzy pewną wypukłość, nic więcej, wierzcie mi. Używający musi mieć serce do ukochania tego co używa; ukochanie samo w sobie nie zamknie się nigdy. Ukochanie prześwieci w nieskończoność dobrą podnietą i czynem szlachetnym, ale artysta tworzy, nie kocha — dzieło po dziele odpada od niego, chwila po chwili zstępuje w przestrzeń, ogranicza się kształtami i póki jest prochem, póty Salomonową świata próżno-

ścią, póki jej obce nie przejmie uczucie, póki jej obcy rozbudzony entuzyazm w nieskończoność życia nie pchnie. Artysta tworzy tylko, tworzy zaś, bo ma zdolność i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całej jego istoty, bo pszczoła także musi miód wydawać, kwiat musi pachnieć, woda rzeki musi płynąć—ale jak tworzy, na co tworzy? to jest w nim odrębnością, to już artystycznej nie stanowi natury. Czasem tworzy okropnemi sposobami: żeby odmalował konającą twarz Chrystusa, przybija do krzyża żywego człowieka i bok mu włócznią śmiertelnie rani. Żeby wyśpiewał piosnkę miłości, kładzie spokojne ucho na wzburzonej piersi, nastraja do gry krwawe żyły cudzego serca i przebiera po nich marmurowemi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie wydadzą dźwięku; a jak wydadzą, to choćby też wszystkie struny pęknąć i splątać się miały, oddziera od nich palce, przenosi je coprędzej na kościane klawisze fortepianu, może na smyczka włosienie, i co podsłuchał, odgrywa dokładnie, i czem pamięć naciągnął, tem echo dętych instrumentów wypełnia. Czasem też artysta sam z siebie wymyśli wrażenie jakiego dźwięku, sam sobie wyrysuje nigdzie niewidziany obrazek. O! to jeszcze niebezpieczniej, bo wiecie przecież, że on uczuciem i miłością znieśmiertelnić tego nie może, on musi w kształty ująć, skończonością zawarować. Więc też szuka kształtu, dobiera sobie warunków, próbuje pomysłu swojego, a zawsze na żywych przykładach, jak doktorzy nowych lekarstw próbują... podobno tylko na zwierzętach żywych... No i cóż? czyż za to przekleństwo rzucić artyście? a jeżeli też wzamian cierpień i krwi waszej da nam jakie arcydzieło, prześliczny obraz, cudną nutę piosnki—to cóż? przeklinać także? O! nie, tylko niech ci, których kochają, zdala artystów idą drogą swoją... Patrzcie, co za ogień wyborny! świeci i grzeje — wyborny ogień! a jednak zwolna wszyscy usunęliście się od kominka i między nim a wami zostało puste, szerokie koło; geniusz artysty ogniem jest — rzucajcie mu na pastwę wszystko co chcecie, tylko nie rzucajcie

złotego szczęścia i serc miłością bijących. Alboż wy to Sabejczykowie, lub Gwebry, czciciele tego ci świeci? Ja wam powiadam: światłość dla was, jak powietrze dla was, jak pokarmy i napoje dla was. Wyłączono już bóstwo z natury, nie biją dziś pokłonów słońcu, gwiazdom i księżycowi—wyłączcież i wy część waszę z użycia piękności i sztuki, postrącajcie artystów z otłarzy waszych, bo to nowe bałwochwalstwo tylko, sabeizm intelektualny. Co jest Boskiego w artyście, to dane przez was i wam; co jest Boskiego w artyście, to właśnie rozłączać się z nim musi ciągle, żeby stanęło przed wami; co w nim Boskiego. to przez jego duszę sączy się niby olej skalny i nazewnątrz dopiero w zetknięciu ze wzrokiem waszym, i z myślą waszą i z uczuciem waszem może się w blaski rozetlić; ale tam w głębi, tam tylko masa jakiejś czarnej ziemskiej gliny, trochę odmiennego gatunku. O tak, dobre mi słowo na myśl wpadło: artysta jest tylko odmiennym gatunkiem człowieka; co tam sądzić, ganić, chwalić, jest odmiennym i koniec. Niechże kto wielbi białość, a błękit potępia. Ja do Cypryana żadnej nie mam urazy—biedny Cypryan! jego życie stargane, zakłócone sny mojej młodosci! czyż ja się mogłem domyśleć, że to wszystko było planem jednego obrazu? Kiedy Karol wziął zemdlałego na ręce i poniósł do łóżka, czułem tylko boleść najżywszą, później, kiedy siostrom znać dano. gdy rodzice nadeszli, wśród ogólnej trwogi nie miałem jednej chwili na uchylenie się w rozbudzoną osobistość, jednego drgnięcia serca do zmarnowania na postronne wrażenia. Cuciliśmy, ratowali Cypryana, byłbym się chciał zamienić w każdą kroplę ożywczej wody, co martwe jego czoło rzeźwiła, w każde słowo pociechy, co przerażoną i drżącą matkę uspokoić mogło. Cierpiałem za niego, za nich wszystkich, cierpiałem mojem własnem cierpieniem, a przecież nieraz później zdarzyły się chwile, w których ja nie do przeszłych radości, nie do straconej swobody, ale do owego przejścia pierwszej boleści zatęskniłem sobie. Taka boleść nie wyczerpuje ducha; póki jest

nadzieja ulżenia drugim, zbogacenia ich choćby własną największą nędzą, póty jest uświęcenie boleści; lecz gdy nas to zadraźni, co nawet innym na jeden uśmiech pustoty się nie zda, gdy nam to dokuczy, co innym także zawadą lub zgorszeniem padnie, wtedy jest ból prawdziwy, okropny—bezrozumny jak zwierzę, bezbożny jak piekło!

Cypryan zwolna przychodził do siebie, spojrzeniem i niepewnym uśmiechem za troskliwość dziękował, ale mówić nie mógł, bo zanadto był osłabiony; usnął wreszcie i mieliśmy go pilnować koleją. Ja pierwszy miejsce przy nim zająłem, lecz gdy się wszyscy rozeszli, nikogo później puścić nie chciałem. Siedząc tak, siedząc godzinę po godzinie w najgłębszej cichości, sam nie wiem jakim spadkiem myśli zadumałem się nad wszystkiem, co mi Cypryan przed swojem zemdleniem mówił, i było to dziwne dumanie. Robiło mi się czasem rozpaczliwie tęskno i duszno, a później znowu było mi, jak gdybym się miał śpieszyć gwałtownie, jak gdyby coś o jednę chwilę życia uciec mi, lub dogonić mnie miało; było mi jak gdybym nie mógł prędko rozpieczętować najpożądańszego listu, zerwać lub rozsupłać powrozu, którym by mi nogi skrępowano, nagłym ruchem zacisnąłem palce o palce, że aż mi wszystkie stawy chrupnęły, i przerzuciłem obie ręce na założone kolano. Nie wiem czy ten ruch prędki, czy inny jaki powód zbudził Cypryana, ale gdy spojrzałem ku niemu, już miał oczy otwarte i smutno wlepione we mnie.

— Może ja źle zrobiłem?—rzekł swoim dawnym, poczciwym braterskim głosem — wplotłem przedwczesne marzenia w twoję duszę i już cierpisz.

— Och! cóż ty znowu o cierpieniu mówisz! — szczerze go uspokajałem; — śpij, śpij, braciszku, ja nigdy nie byłbym szczęśliwszy, gdyby nie choroba twoja.

— Jeśli tak, to dobre. Obudziłem się z jakąś myślą żalu właśnie w tej chwili, kiedy ręce załamywałeś; resztką snu przywidziało mi się, że ja początkiem twojej niespokojności.

— Niespokojności być może, a najpierw o ciebie, Cypryanie.

— Na ostatku o mnie, mój Benjaminku! Najpierw... już ja zgaduję o co najpierw, i szkoda, bo trochę przecierpisz, teraz lub później, ale inaczej być nie mogło, mój obraz przedewszystkiem — i z tem wyrażeniem jak gdyby zrzucił całą odpowiedzialność z sumienia swego: — choć przecierpisz — mówił znów bardzo spokojnie—to ja ci nagrodzę; wezmę cię z życiem, z młodością, z marzeniami twojemi, z cudną pięknością twych rysów, wezmę cię. Benjaminku, i poniosę w świat szczęścia, złożę głowę twoję na kolana tej przed którą uklęknąłem, gdy mi się po raz pierwszy objawiła, rozkocham cię, rozpieszczę!... Dlaczegóż mi tak dziwnie w oczy patrzysz? alboż jeszcze nie zrozumiałeś, że o moim obrazie mówię? Mój obraz, to cała nauka moja, wszystkie namiętności moje, nadzieja moja ostatnia! Od chwili jak go w duchu począłem, czuję że wciąga w siebie wszystkie siły moje żywotne; w dniu, w którym rozłączy się ze mną, w którym widomie stanie dziełem skończonem, w dniu tym będziesz mógł powiedzieć, Benjaminie: „miałem brata Cypryana.“

— Cóż to za obraz? cóż to za obraz? — powtarzałem w małych przestankach jego mowy.

— Obraz Aspazyi i Alcybiadesa — czemu Aspazyi, czemu Alcybiadesa? o to samego Pana Boga pytaj. Raz przed cudnie zrobioną Matką Bolesną w zachwyceniu stałem; usta, co się skarżą, łzy, co bez wiedzy płyną, dusza z przewagi nerwów wyzwolona, świat ziemski daleko w przepaść zapomnienia odepchnięty— widziałem, rozumiałem wszystko; wtem nagle postaci mego obrazu wzrok mi przysłoniły, niech ci mędrzec prawem ostateczności ten objaw tłumaczy, ja wiem tylko, że podziwiałem świętość w najokropniejszej boleści, a mnie się ukazała świętość w najżywszem szczęścia uniesieniu; wiem że się modliłem do chrześcian Niepokalanej Dziewicy, a mnie pojęcie całej przeszłości poganizmu do duszy wstąpiło i kazało się malować — wyraźnie kazało się malować — i odtąd całe życie

moje było ciągiem jednej nad tym obrazem pracy, a nie przed sztalugą tylko. Ja wszędzie i w każdej chwili zbierałem farby, zarysy, pod wszystkie światła promienie ustawiałem go sobie, i nakoniec treść jego przejęła mię, przepełniła, i zacząłem nią żyć, żyć — po ateńsku, chwilami rozkoszy, piękności i siły młodzieńczej... O! jednak to chyba ludzie się cofnęli, kiedy dziś śmieją takiemu życiu zaprzeczać... o! jednak to, mój Benjaminie, pieśni, tańce, gwar szumnej uczty, powiewne szaty białych kobiet, rubinowe i złote płyny w przejrzystych szumiące kształtach, wonne kwiaty i wonne kadzielnic kosztownych dymy, światło czystej oliwy, światło drogich kamieni i najświatlejsze światło spojrzeń pięknych oczu! — o! jednak to, mój Benjaminie, to dobre, bo to szczęśliwe, tego odpychać nie można, a kiedy wyżej jeszcze od tego myśl twoja uleci, kiedy to nawet przedążysz sławy pragnieniem i przepięknisz chwilą natchnienia, kiedy więcej niż tak wiele da ci talent twój — o doprawdy wtedy i życia, i miłości i sił swoich niema poco żałować! Ja dziś rozumiem, dlaczego Ateńczycy taką mieli przeciw śmierci odwagę, jakiej w całych dziejach ludzkości już nie znajdziesz potem: oto dlatego tylko, bo żyli, żyli wszystkiemi skłonnościami swojemi, wszelką możliwością natury! Kto umiera z silną wiarą, że do nieba idzie, ten nie ma odwagi przeciw śmierci, ten ma tylko wielką lepszego życia niecierpliwość — ale kto nie wie co go później spotka, lub też upewniony jest właśnie, że go nic spotkać nie może, kto w zgonie widzi tylko rozstrojenie organizmu, ból choroby, martwość trupa i popiół urny grobowej, a jednak śmiało naprzód postępuje, ten się dopiero śmierci nie boi. Ja ci powiem, kto może tak się nie bać: oto szczęśliwy jedynie. Wierz mi, bracie, szczęście najlepiej człowieka z koniecznością godzi: kto wesoło użył wszystkiego, kto naczerpał pełnemi rękoma w skarbach ziemskich i pełnym mózgiem w rozumie bogactwa, ten się nie będzie z przeznaczeniem kłócił. Jest w każdym człowieku pewna miara kupieckiej rzetelności... bierze

się od natury tyle. oddaje tyle, i kwita. Bierze się życie — oddaje życie. Bierze się do użycia — oddaje zużyte, rachunek czysty, sumy równiuteńkie, komuby się tam chciało o nadmiar targować! Ale kiedy nieszczęście przy twojej jednostce długi szereg okropnych nicości, smutnych zer dopisze. zwiększa się wtedy mimowolnie, na sta i tysiące zwiększa się jej wartość. A jak tu oddać co ja łzami memi odkupiłem? a jak tu oddać, co mię tyle cierpień kosztowało? a jak tu oddać, czego nie wziąłem jeszcze? Na łzy i cierpienia szachrajską taksą zgonu są konwulsye, na lata przebolałe omylną miarą kalendarzowy podział. Jeśli nieszczęśliwy w paroksyzmie rozpaczy, w napadzie obłąkania sam sobie życia nie odbierze, to nie wierz mu nigdy, że chce umierać: nieszczęśliwy chce żyć właśnie, nieszczęśliwy trzyma się jutra całemi siłami drętwiejących rąk swoich. bo z jutrem łączy go coś silniejszego od nadziei samej, łączy go ciekawość: jakie też to szczęście być może? I nieszczęśliwy boi się wszystkiego. nieszczęśliwy jest najnikczemniejszym tchórzem, chociaż sam przed sobą i przed drugimi zapiera się tego; nieszczęśliwy, gdy mu umierać przychodzi, umiera z przekleństwem na ustach, wyrzuca piekielne szyderstwo Bogu i pluje na świat, co mu. niezrozumiały, niepojęty. dał potrzeby bez zaspokojenia, dał czas do cierpień, a nie dał jednej chwili do radości. Ja tak nie umrę. mój bracie; byłem szczęśliwy, kochałem, używałem, stworzyłem mój obraz; miałem wszystko, nie żałuję niczego!

I z ostatniem słowem Cypryan, który wciągu swej mowy rzeźwiał i silniał widocznie, nagle wstał z łóżka, jak gdyby najzdrowszy w świecie i prędko ubierać się zaczął.

— Acha! mój Benjaminku—ze śmiechem wołał na mnie — jeszcze mnie ledwo przez połowę rozumiesz. jeszcze mnie wcale nie rozumiesz nawet.

— Wcale nie rozumiem, prawdę powiedziałeś — odrzekłem wolno, z namysłem.

— Bo też ty niczego nie rozumiesz, ani szczęścia, ani nieszczęścia, ty dziecko jeszcze!

— Mylisz się, ja tylko nie rozumiem siebie w twoim obrazie.

— Ale chciałbyś zrozumieć, ot, ciekawość pierwszy gradus do piekła, i zdaje ci się niby, iż mógłbyś walczyć z nieszczęściem, które jest wieczną, niespokojną i nigdy niezaspokojoną życia ciekawością. Daj pokój tym urojeniom: idź swoją drogą, bądź szczęśliwym — poznawaj i bierz.

Jako widzicie, moi państo, Cypryan zaczynał dziwaczyć, miał gorączkę, ale poco ja go słuchałem? Tak, słuchałem i uchem i duchem. On tymczasem, chodząc, rozmawiając, zbliżył się do wielkiego zwoju płótna, który stał w głowach jego łóżka, niedaleko odemnie właśnie, i dotknął się go, i dziwna rzecz, drgnąłem, jak gdybym niespodzianie uczuł owo dotknięcie.

— Pokaż — zawołałem tylko.

Cypryan wstrzymał się. — Ona tu jest — rzekł zcicha — moję Aspazyą już mam — pierś wzniosła się westchnieniem, czoło potęgą myśli rozświetliło, usta otwarły słowem miłości, może pocałunku obietnicą — już ją mam, ona tu jest blizko nas obu, moja Aspazya płomień, moja Aspazya dźwięk, moja Aspazya rozkosz w mądrości i mądrość w rozkoszy! Moja Aspazya, ta kochanka moja, co mi zobojętniła nakoniec wszystkich kobiet wdzięki, co wiecznem złudzeniem, nieodstępną wizyą stanęła w dziecinnych moich dumaniach i w snach nocy niespokojnych—moja Aspazya!... moja!... lecz ty będziesz jej—o tak, Benjaminie; wyczerpnąłem wszystkie skarby duszy mojej na utworzenie tego obrazu kobiety, dziś nie wiem, czy ona tak bogatą, czy ja tak ubogim, ale zabrakło mi nawet ideału do stworzenia godnego jej miłości kochanka. Kiedy już wystąpiła z martwego płótna, żywa i jasna, kiedy usiadła przedemną w całym majestacie podzielanego szczęścia, cofnąłem się przed własną potęgą i przed własną nieudolnością. Zrobiwszy tyle, zadrżałem... bo mi się zdało, że już więcej zrobić nie potrafię; od roku żyję w tej

walce okropnej, w tych zapasach z niedokończonem dziełem, może być, że mnie to utrzymuje właśnie. bo juścić pewnem zdaje mi się, że gdy skończę mój obraz. skończę cały mój zawód i umrę, ale jak ci mówiłem przed chwilą, śmierć mnie nie przeraża. gdy przeciwnie, tak długie wysilenie trudzić zaczynało. Od wczoraj dwukrotnie szczęśliwy jestem — znalazłem!— znalazłem! — Bóg mi ciebie dał, Benjaminie! Jaki ty szczęśliwy, jaki piękny przy jej boku będziesz! Cały wieczór wczoraj uważałem cudny owal twej twarzy i tę ruchów rzeźkość, i tę miękkość spojrzenia, i ten hardy rzut młodego karku i ten pieszczotliwy ust całych obwód... Sprzeciwiłeś mi się czasem jakimś wyrazem niespokojnego smutku, ja ciebie nie mogę pojąć smutnym... nie... mów co chcesz sobie — smutek ci nie przystoi. Ty powinieneś być szczęśliwym, dlatego-to położywszy się, daremnie chciałem zasnąć; mieniłeś mi się we wszystkie zmiany twojego oblicza, a dobrej chwili podchwycić nie mogłem. Cha! wtedy wziąłem świecę, poszedłem do ciebie, i znowu, znowu byłeś tym, którego po świecie szukałem tak długo — piękny! o jaki piękny! Pod głowę lekko wtył zarzuconą jedną rękę podłożyłeś, druga sama niedbale wyciągnięta wzdłuż ciała twego opadła, szyja biała, niby utoczona, cudnym spadkiem łączyła się z nieco odkrytemi ramionami, pierś młoda, marmurowa, a gorąca drżała przyśpieszonym oddechem i rajskie jakieś widziadła na uśpione rysy występowały, niby duchy z głębi spokojnej wody na jej powierzchnię szklisto falującą. Obudziłeś się; myślałem zrazu, że wszystko utracę, lecz nie, ja wszystko odzyskałem, och, i więcej nawet! Jakżebym chciał już wziąć paletę i pędzel do ręki, żeby mnie nie odbiegła ta postać snem własnym i wrażeniem słów moich ożywiona, żeby mi się mgłą nie rozwiał ten młodzieniec z jasnem czołem, z przesilającem się w męzkość dzieciństwem, z gwałtownością pierwszej żądzy, ze słabością ostatniej trwożliwości swojej; ten młodzieniec taki już silny, taki już dumny, taki już chciwy, żeby chciał na jednych ustach

„pocałować wszystkie kobiety od północy do południa,“ albo jednym zamachem ściąć wszystkie głowy straszliwej hydry tego świata, albo jednem ramion objęciem wszystkich ludzi jak braci do serca przytulić, albo jedną złotą czarą wszystkich uciech spełnić toast i być sławnym, pięknym, szczęśliwym, kochanym, ach! i kochać, bez miary, bez końca!... Wszak to jest mój Alcybiades, mój Benjamin, mój prześlicznej Aspazyi kochanek...

Cypryanowi koniecznie trzeba było tak się rozmarzyć, Cypryan był artystą; lecz ja dzieckiem wtedy byłem i na prawdę rozlubowałem się... szczęściem, nie w sobie jeszcze, ale w słowach jego, w takim jak on go wyrazami malował Alcybiadesie.

Czułem że od serca po całej piersi, a od tyłu głowy po całem czole rozchodziły mi się niby jakieś gorące promienie i koła; pochwyciłem trzymane przez Cypryana płótno i zacząłem wszystkie obwijające je sznurki rozrywać z pośpiechem. A wtem drzwi się uchyliły, na palcach cichuteczko weszła matka o syna swego niespokojna. Cypryan wytrącił mi z rąk nawpół odwiniętą pakę i pośpieszył do wchodzącej. Jeśli z was kto ma jaką skłonność do mistycyzmu, niech sobie wystawi, że w tej chwili dwa duchy walczyły o całą przyszłość moję: duch ciemny, niekształtnie jeszcze uwinięty w owe grube pakunkowe płótno, potrącony ręką brata, zwolna toczył się po ziemi jak gad plugawy, coby niechętnie miejsca ustępował; a duch jasny, kobieta-matka, spokojnym uśmiechem, tkliwem słowem ścierała jego potęgę, zabierała mu chwilę po chwili życia mojego i odepchnęła go wreszcie daleko, przynajmniej na czas jakiś odepchnęła jeszcze.

Zpoczątku łajała matka Cypryana, że wstał zbyt prędko, widząc go jednak prawdziwie zdrowszym i weselszym, sprowadziła nas obu do pokoju, w którym wszyscy razem, tak jak tu dzisiaj na przykład, ciepły obsiedliśmy kominek. Julcia trochę śpiewała, dzieci dużo krzyczały, a gdyśmy na noc do siebie wrócili, Cypryan już nie chciał płótna swego rozwinąć. Tak

przeszły wszystkie dni świąteczne i wyjechałem z domu, obrazu nie widziałem, a Cypryan był zdrowszy.

Święć się, święć się, wieku młody!
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty!
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!

O bodaj-to mieć młode, czyste jeszcze serce! To jak muszla z dalekiego morza. W niej każda rana perłą; w niem każdy niepokój ideałem — rzuć garść błota do takiego serca, po jednej marzeń godzinie będziesz miał błoto w dyament zkrysztalone. Święć się, święć się, wieku młody!

Ach, żebyście wiedzieli, jak ja skrysztaliłem słowa Cypryana! A mieszkałem z niemi całe sześć miesięcy prawie samnasam, wśród gór i lasów. Pokochałem się w Aspazyi; nie była to owa marzycielska, bezcelna miłość, nie były to owe sny i tęsknoty za niepoznanem uczuciem, owo błąkanie się po raz pierwszy zbudzonego napływem gorętszej krwi serca. Nie, ja kochałem wyraźnie mego brata i tę postać z obrazu, która przecież istniała, chociażem jej nigdy nie widział. Miałem pojęcie na uczucia moje, miałem i przedmiot pojęcia, tylko jednego rzutu oka brakowało. Czasem byłbym dosiadł konia i ku domowi popędził niecierpliwy, ale częściej — co mi po tem spojrzeniu! ja kochałem Aspazyą, kapłankę szczęścia, piękności, rozumu! Szczęście, piękność i rozum, to była miłość moja. Pierwej żyłem tem, co mi samo przez się z życiem nadpłynęło — teraz roztworzyłem chciwe ręce i sięgałem na wszystkie strony po marzenia, po objawy, po wiedzę. Pierwej, gdy co nie było ukochaniem mojem, to mijałem bez uwagi, bez myśli; pierwej świat mój był najcudniejszym zaiste światem, ale światem maleńkim, światem od którego odpadła dla mnie w niebyłość cała jego resztująca masa; teraz nic obojętnem, nic czczem, teraz z wszystkiego ja muszę coś wziąć, muszę wycisnąć chwilkę przyjemności, zajęcia, nauki,

a jeśli nie, to dopiero ciskam z oburzeniem i odznaczam sobie uczuciem wstrętu, gniewu, pogardy. A martwego nic niema dla mnie. Dostał mi się świat nowy, świat drugi, zupełny; więc wszak prawda że kochałem Aspazyą? Mnie się zdaje, że wtedy kochałem ją najwięcej, najprawdziwiej, bo wtedy, i tylko wtedy, niby ptak, co wszystkie pióra do lotu rozwinie, niby okręt, co wszystkie żagle na wiatr pomyślny rozpuści, ja rozwinąłem wszystkie władze mego ducha, rozpuściłem wszystkie istoty mojej żywioły, i leciałem i pędziłem w nieskończoność, w nieskończoność!... O, ja wtedy najwięcej Aspazyą kochałem!

IV.

Jednego dnia, był to dzień lipca, ale już ku wieczorowi schodzący, duszny, bez słońca i bez burzy, ciężki jak niebo, gdy deszczem zapłakać nie może, a coraz niżej, coraz ciemniejszemi i pełniejszemi chmurami ziemię naciskać musi. Gdybym w dniu takim był spokojnie z założonemi rękami chciał siedzieć, toby mi było piersi rozsadziło; wiedział już o tem poczciwy Bazyl, mój najdawniejszy jeszcze z lat dziecinnych znajomy, a teraz więcej towarzysz, niż sługa. W pogodę nie pytał się o mnie, lecz na słotę zawsze starannie konia obrządził i wszystko do okulbaczenia przygotował, bo niemylnie po skończonej pracy siadałem na mego bieguna i dalej w góry, w lasy; tego dnia jednak miałem inny cel podróży. Na poczcie sąsiedniego miasteczka musiał być dla mnie list z domu, już od dwóch tygodni czekałem go z największą niecierpliwością, a zawsze daremnie! Mój kary Sokół, jak gdyby wiedział o tem, sadził najposuwistsze kroki najrówniejszego galopu, a ja tak się ukołysałem, że mi cugle z rąk wypadły. Jechaliśmy lasem, gęstość drzew przejmowała resztki nieczystego światła, naokoło była tylko, jak to się często zdarza, owa widna ciemność. Wtem niespodzianie gałęzie jakiegoś drzewa z szelestem łamać się zaczęły, coś parsknęło, syknęło, dwie źrenice dzikiego żbika jak dwie krwawe iskry zaświeciły i tuż przed łbem końskim z łoskotem upadły. Nim zdążyłem pomiarkować, co to być mogło,

już mój Sokół zarżał przeraźliwie, w bok się rzucił i poniósł mię, jak szalony.

Pozwieszane nad gościńcem dłuższe drzew konary biły mię w twarz, biły mię w oczy — łatwo mogłem o pień który głowę sobie rozbić. Cóż tu czynić, moi państwo? Oto żebyście wiedzieli, z całej siły na większy pośpiech gwiznąłem Sokołowi, a potem przytuliłem się do jego miękkiej grzywy, jak dziecię do najwygodniejszej poduszki, i myślałem: „cha! niech sobie leci gdzie chce i póki chce mój Sokół.“ Więc też Sokół leciał, a mnie leciały przez głowę różne obrazki, roidła, wspomnienia — aż nadleciały i słowa Cypryana w owej pamiętnej nocy słyszane. Doprawdy, zdało mi się, że nie przez porównanie, ale rzeczywiście, widomie, osobiście z przestrzenią się ścigam. Było to jakieś dziwnie miłe uczucie; przestrzeń uciekała poza mnie czarnym potokiem usuwającej się zpod końskich kopyt ziemi; przestrzeń tuż obok mnie biegła dwoma rzędami ciemnych, dziwaczących, olbrzymich postaci; przestrzeń wyścigała mię w górze wielką z rozpiętemi skrzydłami chmurą, której dobiedz nigdy nie mogłem, którą zawsze jakby ducha ptaka widziałem przed sobą. Ach! powiadam wam, że to było prześlicznie! Gwizdnąłem raz jeszcze — Sokół nie biegł, nie leciał. Sokół chyba swoim mocnym przyśpieszonym oddechem wciągnął w siebie bajeczną miejsca odległość, gdyż nagle uciekły postacie-olbrzymy, uciekł ptak-chmura, został tylko przestwór bez granic, bez przedmiotu, bez tła, ale przestwór głośny świszczącem koło uszu powietrzem i bijącemi o kamienisty grunt podkowami, przestwór rozjaśniony od spodu rzęsistym gradem iskier, które w przelocie łącząc się promieniami, tworzyły czasem niby łamania się jakiejś ognistej fali, a z jednej i z drugiej strony tak ciemny, tak ciemny, że chyba świata nie było. Wtem nagle wyskakuje masa czarna, ogromna — to góra, ale daleko — na tej górze łuną bije godna tego krajobrazu pochodnia — może wybuch wulkanu?... ot, już blizko... nie, to nie wulkan, to gmach tylko cały w płomieniach, a mury gru-

be jak czarna siarka odbijają nieprzejrzystemi kratami od tej ze wszystkich okien rażącej światłości. Czy gmach się pali?... Nie — to jakaś uczta zapewne, bo mię niby dźwięk muzyki zaleciał, niby gwar ludzkich głosów, ale Sokół tem okropnem rżeniem boleści i trwogi, co to je kwikiem końskim nazywają, zagłuszył wszystko. Poczułem drgnięcie całej skóry jego, mokre płaty ciepłej piany padły mi na ręce i na czoło, znać było, że sił nowych dobywa. Chciałem wstrzymać—żal mi się zrobiło karego, lecz gdzież tam wstrzymać podobna? Szarpaliśmy się przez chwilę, a ledwie tego dokazałem, że gdym chciał wtył zawrócić, on nabok skręcił i znowu biegł strzałą. A więcej moja niż jego była w tem wina. Przyznam się, że lubiłem ową tabunową niesforność i nigdy go od tysiącznych nie odzwyczajałem narowów, bo mi jakoś było przyjemniej pohulać na takiem samowolnem i dzikiem stworzeniu, milej popróbować się, lub jak dnia owego poszaleć z taką swobodną i nieugiętą naturą, niż mieć tylko ciągle posłuszne mej woli narzędzie. Zresztą trzech rzeczy pewny byłem—nóg Sokoła że się nie potkną, popręgu siodła, że nie pęknie, siebie samego, że nie spadnę i że gdy zechcę, bez szwanku choćby w największym pędzie na ziemię zeskoczę.

Tymczasem przez cały dzień nabrzmiewające chmury coraz gęściej zbijały się po niebie; przeciągły huk grzmotu rozlegał się i konał długiem, ponurem echem. Od chwili do chwili, błyskawica zapalała pół widnokręgu i gasła; gorącość jakaś ciężka, dusząca wypełniała powietrze, ale żaden wichru poświst, żadna deszczu kropla nie ulżyły obłokom, nie odświeżyły ziemi. Spojrzałem dokoła: góra, zamek, światła, wszystko jakby się w ziemię zapadło i zniknęło bez śladu. Gdzie szła droga, ni dopatrzeć, ni domyśleć się nawet. Wtem, chrapliwy i natężony oddech drugiego konia ucho moje uderzył. Zwróciłem się na prawo i rozeznałem wśród ogólnej czarności jakąś czarność mocniejszą, prawie do cieniu mojego podobną,

gdyż miała także kształt ludzkiej, na koniu siedzącej postaci.

— Z drogi, z drogi! — ozwał się głos pewny, rozkazujący, lecz miękki, jak gdyby się z piersi niedorosłego młodzieńca wydobył.

— A z której i na którą, mój niewidzialny towarzyszu? — odrzekłem bardzo wesoło.—Wdzięcznym ci będę, jeśli mi to powiesz, gdyż właśnie zdaje mi się, że zbłądziłem trochę.

Zamiast odpowiedzi, usłyszałem mocne świśnienie pręta i smagnienie, które na łeb Sokołowi padło, a potem śmiech przycięty, wyzywający i szelest niby długiej szaty, która mię w przelocie lekko nawet zboku musnęła.

Zerwałem się na strzemionach, jakgdybym mógł był i sam dowidzieć i stać się widzialnym.

— Cha! kiedy tak! — krzyknąłem — więc teraz mnie z drogi, mnie z drogi precz!

I w tejże chwili owładnąłem Sokoła, co się zżymał i wyginał, potoczyłem nim jak dzieckiem, jak własną ręką, jak myślą moją; nie zastanowiłem się co chcę uczynić, co zrobię? tylko instynktownie czułem potrzebę ciśnięcia się na poprzek temu szaleńcowi, choćbyśmy we wzajemnem starciu wszystkie kości mogli strzaskać sobie. Mój kary odgadł zamiar, rozjątrzony własną obelgą, lepiej, zupełniej zjednoczył się z chęciami mojemi; wszystkich muskułów siłę natężył i wspiół się niby do przeskoczenia najwyższej barjery, lecz nagle długim wężem rozdarło się niebo, piorun, trzask, blask, jedno oka mgnienie—czy wy rozumiecie, jak to wszystko było prędkie, jak niespodziane? A jak to trwa długo!... Jam ją wtedy ujrzał po raz pierwszy.

Tak jest, po raz pierwszy ujrzałem przy jednym błysku pioruna. I najpierw zalśniła mi tylko jej twarz blada a cudnie piękna; reszty postaci dowidzieć nie mogłem. Pamiętam, że targnąłem koniem, że później on mną targnął, że niepojętym dziwem utrzymaliśmy się oba, ale jak się to stało, jakim sposobem wkrótce zrównałem się z nią i przy jej boku koń w konia sa-

dziłem — tego dziś jeszcze sobie wytłumaczyć nie mogę.

Długo jechaliśmy tak obok siebie w najgłębszem milczeniu, tylko już wicher zrywać się zaczynał; kiedyniekiedy znowu świstał w powietrzu ów pręt do biegu naglący, ale przynajmniej nie mojego na ten raz wierzchowca. I owszem, znać było, że ciemna postać kobiety chce mnie prawem prostego wyścigu uprzedzić. Lecz nie z Sokołem taka sprawa: mój Sokół wyciągnął się struną przy ziemi i na krok przegonić się nie dał — i pędziliśmy oboje, a tylko z ruchu i ze słuchu miarkowałem, że po kamieniach lub po piasku, że po zagonach, lub po łąkach pluskających wilgocią. Nakoniec droga wgórę się podniosła i galop naszych koni ociężał trochę. Towarzyszka moja z największą niecierpliwością kilka razy syknęła, a mnie się zdało, że poza nami tętent jakiś słychać było.

— Nie — nie! aby też oni mnie nie doścignęli! — powtórzył kilkakrotnie ten sam głos śmiały a wdzięczny, który mi się zpoczątku głosem młodzieńca wydawał, i nie wiem czy za jego pomocą, czy za pomocą ostrogi na długość szyi końskiej ciemna postać wysunęła się przedemnie. Deszcz już wtedy lał strumieniami, błyskanie ustało, nie widziałem nic a nic dokoła, tylko mi wśród czarnych owej nocy obrazów świeciła jakby czarodziejską sztuką dokładniej w pamięci odbita twarz tej kobiety, a twarz sama bez innych członków ciała, bez zaokrąglenia nawet w pełność wydatnej głowy, twarz jakby z srebrnej tarczy księżyca wykrojona na tle zupełnie bezbarwnego nieba.

Czyż ja chciałem ją gonić? to Sokół mój gonił przecież — gonił, i gdyśmy u szczytu góry stanęli, kopyta jego o bruk zadzwoniły. Rozeznałem jakieś załamy murów, po odbiciu tętentu odgadłem, że się jedno i drugie sklepienie przebywa, aż nakoniec brzęknął gdzieś łańcuch, rozpadła się, mógłbym najsprawiedliwiej powiedzieć rozpękła, wzniesiona przed nami masa i niespodzianie płomienna jasność wylała się z tego otworu. Domyśliłem się tylko, że to był ów

gorejący zamek, do którego z innej przybyłem strony, ale przekonać się w pierwszej chwili nie mogłem zupełnie, tak mię to nagłe światło oślepiło. Gdy mi źrenica nieco przywykła do niego, ujrzałem przez dwóch ludzi trzymaną i pąsowym okrytą czaprakiem śliczną arabską klaczkę, trochę do naszej Zitty podobną, ale daleko piękniejszej rasy jeszcze. Ta, która na niej jechała przed chwilą, już zsiadła i zniknęła, przy mnie zaś stał murzyn w bogatym żółtym ubiorze i niby na odebranie cugli czekał jedynie.

Gdybym się był wtedy kogobądź tylko o drogę zapytał, gdybym konia skręcił, gdybym wrócił do domu!... Cha, prawda! nicby to nie pomogło już. Mnie też myśli podobne nie przyszły do głowy. Zeskoczyłem na ziemię, Murzyn konia odebrał, a przy progu sieni stojący z wielką srebrną laską, żółto i czarno ubrany szwajcar, w milczeniu skłonił mi się i drzwi wskazał na lewo; poszedłem na lewo i tak ciągle niememi znakami służących wiedziony, przebyłem pełno salonów azyatyckim zbytkiem ozdobnych, aż nakoniec wszedłem do małej przybocznej komnaty, gdzie dwóch chłopców na raz, jako gotowych do usług, stanęło.

— Co pan rozkaże?

— Jakiego pan sobie życzy przebrania?

Wistocie czas było, żeby już przecie głos ludzki wywiódł mię z tego odurzenia, w którem od chwili mego przybycia zostawałem. Zapytania chłopców przekonały mię, że mój sen jest rzeczywistością, że ja z żywymi ludźmi mam do czynienia.

— Nic nie rozkazuję i żadnego nie chcę przebrania — odpowiedziałem im po chwili.— Szczególniejszy przypadek sprowadził mnie w te miejsca, nie znam w nich nikogo, ale znaćbym pragnął, żeby się z obecności mojej usprawiedliwić i wytłumaczyć.

Chłopcy z zadziwieniem po sobie spojrzeli.

— Przed kim pan chcesz się tłumaczyć? — zagadnął jeden z nich wreszcie.

— Przed panem lub panią waszą.

— Pana nie mamy—odparł z niejaką dumą starszy, prześliczny brunecik w szkockim ubiorze, w czarnej aksamitnej z orlem piórem czapeczce.

— I pani jest panią tego zamku, lecz nie naszą panią — przydał drugi, młodszy jego towarzysz, jaśniejszych włosów, jaśniejszych oczu, ale tak podobny pierwszemu, jak drobniejsze i nieco bledsze tylko tego samego obrazka odbicie.

— Więc chciejcież mi powiedzieć, czy z panią tego zamku będę mógł się widzieć?

Rzucili okiem na zegar i prawie jednocześnie odrzekli:

— Za dwie godziny dopiero ma się bal zacząć.

— Lecz ponieważ ja na balu nie będę, niech który z was pójdzie i wcześniejsze wyrobi mi posłuchanie.

Ledwo tych słów domówiłem, drzwi się otworzyły i wszedł wysoki, chudy mężczyzna, cały czarno ubrany ze złotym łańcuchem, który mu po zwierzchniej sukni od ramion aż za piersi spadał.

— Moja pani — rzekł tak jednotonnym głosem, jak gdyby echo w nim tylko jego własne powtarzało słowa — moja pani pozdrawia pana gościem w domu swoim; prosi żebyś z nią dzielił ucztę nocy dzisiejszej i przyjął jaki sam zechcesz ubiór dla odmienienia sukien deszczem zmoczonych.

— Proszę w imieniu mojem — (znowuż uczułem że mię sen ogarnia, odpowiedziałem jednak z największą w świecie powagą) — złożyć za gościnność dzięki, a na rozkazy oświadczyć posłuszeństwo.

— A zatem pan będziesz na balu i przebierzesz się? — zapytał młodszy chłopiec po odejściu wysokiego jegomości.

— Będę na balu i przebiorę się — powtórzyłem jakby z pamięci jedynie.

— Och! to dobrze! och! to dobrze! — zawołały chłopczyki i potem jeden przez drugiego zaczęli mi różne wyliczać stroje.

— Przebierz się pan za Turka. To strój taki pyszny, dyamentów na nim tyle — mówił starszy.

— Przebierz się pan za minstrela! To nierównie piękniej — głosował młodszy.

— Za rycerza, mamy zbroję lekką, stalową, całą złotem nabijaną.

— Za Albańczyka, och! już lepiej za Albańczyka!

— A ja powiadam, że za króla z uczty Baltazara; to najbogatsze!

— Co też ty wygadujesz; ten pan, taki młody, miałby się za jakiegoś starego króla przebierać? Ot, ja wiem co on wybierze, pewno szatę lewity; wszak wiesz, bracie, ową szatę dorastającego Samuela, białą z najcieńszej kaszemirskiej utkaną wełny. Panu w niej będzie prześlicznie.

— Już ja się przyznam, żebym wolał jako uczestnik tajemnic Mitry wystąpić.

I długo tak jeszcze prędka szła między nimi rozmowa i wyliczali wszystkie przepychy, kosztowności jakby na rozkaz mój czekające, a ja do wyboru myśli i woli zebrać nie mogłem. Wreszcie jakieś życzenie błysnęło mi w duszy.

— Czy macie strój dawnych Greków, strój Ateńczyków? — zagadnąłem niechcący.

— Och! są, są cudne!— wykrzyknęli oba i w ręce klasnęli.

— Są ubiory Harmodiusa i Arystogitona, ubiory świąteczne, ze sztyletami wśród wieńców bluszczowych.

— Jest ubiór mędrca Platona.

— Jest ubiór poety, zwycięzcy na olimpijskich igrzyskach.

— Jest ubiór Alcybiadesa ..

Ten ostatni wyraz uderzył mię, jak gdyby własna myśl moja wyskoczyła z głowy i znów do niej cudzym chciała wrócić głosem. Wrażenie było silne, lecz też przywołało wszystkie w rozmarzeniu zawieszone władze mojego umysłu.

— Nie, nie — odparłem dość prędko — nie chcę pożyczonym zbytkiem i kłamaną postacią witać miejsc tych pani; dajcie mi skromne góralskie odzienie, lub w moich własnych sukniach do niej pójdę.

Skrzywił się trochę starszy chłopiec; młodszy zastanowił się przez chwilkę, ale wkrótce dość wesoło uśmiechnął.

— No, ja ci mówię że i tak będzie mu pięknie— rzekł pół-głosem do brata, i obaj wrócili niezadługo z najwierniej naśladowanym, ale jakże wykwintnym strojem tatrzańskiego górala.

Przywdziałem go—zupełnie dla mnie prawie zrobiony: i biała nieprzebitej gęstości koszula, i płaszcz ciemny kolisty, i pas, i kapelusz, i łapcie nawet z jedwabiem lśniącego łyka palmy uplecione. Starszy chłopiec kilka razy przeciągnął ręką po moich włosach, włosy nigdy gładziej w bogatszych i połyskliwszych pierścieniach na ramiona moje nie spadały. Młodszy docisnął związek mego obuwia i noga moja nigdy swobodniejszą i lżejszą się nie poczuła. Od czasu do czasu patrzyli mi w oczy, potakiwali głową i uśmiechali się.

Nakoniec wybiła godzina pierwsza nocy, druga mojego pobytu; znów drzwi się otworzyły, znów mi skinieniem ręki drogę wskazano, znów od drzwi do drzwi, od znaków do znaków przechodziłem pokoje, schody, niby sienie wielkie, niby długie krużganki, a tłumiona muzyka przedzierała się zewsząd: ze ścian, sufitów, posadzek, a mnóstwo postaci snuło się i migało różnokolorowemi strojami szat swoich, a każdy to uśmiechem, to ruchem głowy, to spojrzeniem się witał z innymi, a ja sam szedłem, nieznany, nieznający, lecz dumny i śmiały. Ostatnie podwoje rozwarł przedemną jakiś herkulesowych kształtów Afrykańczyk z pojętnym wzrokiem, z świecącą od czarności skórą, jakby umyślnie postawiony tam dla przeciwieństwa z tym co go odsłaniał widokiem. Bo jakiż widok, moi państwo, jakie rażące blaski od świec, od lamp kryształowych, od strojów mężczyzn i kobiet! Za lada poru-

szeniem czoła, ręki lub szaty przewiewnej, padały iskry dyamentów, rubinowe połyski, a co tam głów, co rąk, co tam szat w ruchu! A ile dźwięków i tej niewidzialnej muzyki, i tego gwaru poszeptów i tego szelestu miękkich jedwabnych materyj; a ile woni najrzadszych kwiatów, najkosztowniejszych kadzideł; a jak to wszystko objęte z trzech stron trzema zadziwiającej wielkości zwierciadlanemi taflami, a z czwartej przedłużone w nieskończoność jakiegoś ciemnego zagajenia, które białem kwieciem pomarańczy i świeżemi liśćmi akacyi gwałtem się między biesiadników cisnęło; a jak to wszystko cudnie z wierzchu szklaną przyodziane kopułą, że tylko klęknij i módl się, bo już ucichła burza, najczystsze niebo widzisz nad sobą i Bóg sam wszystkiemi gwiazdami przygląda się, czy też to prawda, że na jego ziemi ludzie tak bardzo szczęśliwi być mogą!

Rzuciłem się na pierwsze bliżej napotkane węzgłowie, zdjąłem kapelusz, bo mi dla skroni wszystkiemi pulsami bijących już zbyt ciasnym się zdawał, przycisnąłem ręce do piersi i w słuchu, w oku zawisłem całą duszą moją.

Kilka osób przemówiło coś do mnie — popatrzyłem, nie odpowiedziałem i odeszły z uśmiechem na twarzy. One pojąć nie mogły bezwątpienia, co znaczy takie bezsłowne uniesienie przybysza; one zrodziły się i wzrosły wśród tych przepychów—ale mnie z ubogiej rodziny najmłodszemu dziecku, mnie biednemu górnikowi, mnie, któremu zasiane przez Cypryana fantazye tak bujno rozkrzewiły się w nieograniczone marzenia i chęci, cóż dziwnego że przy ich pierwszem, nadspodziewanem spełnieniu trochę się zaćmiło w oczach, trochę pokręciło w głowie? Jednakże wtedy jeszcze przy niespożytych zasobach mej młodzieńczej siły to zawsze miałem w sobie, że pomimo największej skłonności do roztopienia się w jakiejś, że tak powiem, senliwej ułudzie, pomimo najżywszej, najdziecinniejszej wrażliwości mojej, z każdą chwilą gwałtowniejszego przejścia odzyskiwałem zupełną równowagę władz me-

go umysłu, i to zazwyczaj, co się zdawało być przeznaczonem do zupełnego stargania już nadwątlonych włókien zimnego sądu i stanowczej woli, to mię zwykle właśnie wyzwalało zpod zewnętrznych wpływów, to mi sąd i wolę, kamienną wolę wracało.

Otóż i tej nocy dźwiękami, woniami, światłami upiłem się niby wymiarkowaną na ten skutek dozą wschodniego narkotyku, lecz tuż przy mnie ozwał się dźwięk jej głosu, rozpłynęła dokoła woń jej szaty, zaświecił blask jej cudnego oblicza — jam powinienien był od razu stracić rozum, oszaleć... a ja właśnie na chwilę przyszedłem do rozsądku. No, proszę was, piękne panie i młodzi panowie, nie krzywcie się tak bardzo na ten wyraz. Rozsądek, to jest kawałek owego powszedniego chleba, o który w pacierzu matki was prosić uczyły; rozsądek, najpośledniejszy wyrób ludzkiego mózgu, szmatka na którą wszyscy ubodzy w duchu zdobyć się mogą, klej co w spójności trzyma mędrców i prostaczków, gdy im najwyższego religiamentu, gdy im miłości zabraknie. Francuzi trochę lepsze od nas mają na to wyrażenie, oni ten rozsądek, o którym ja chcę mówić, zowią: le sens commun — i wistocie jest to jakiś zmysł powszechny, zapomocą którego można przyswoić sobie, można się wtajemniczyć niejako w sposób widzenia tak ogólny, że na co spojrzę, to mi się przedstawi takiem, jakiem jest dla wzroku innych, a dopiero co ja tam dojrzę w przydatku, w ujemności lub w odmianie zupełnej, to już moja własność, mój twór, ale zawsze bądźcobądź, ja do źrenicy mojej gromadzę wszystkie promienie, pod któremi ludzie bracia na świat Boży patrzą, ja mam zmysł powszechny — sens commun — który, jeśli chcecie, ochrzcijcie sobie nawet pospolitym zmysłem, zawszeć on mię włączy w masę ogółu, zawszeć on mi nie da odpaść w dziwactwo i niepojętość. Bo proszę was, powiedźcie mi, na co się niepojętość przyda? na co ja przydałem? Ach! prawda, i Bóg także jest niepojęty, Bóg konieczność, Bóg przeznaczenie, lecz On ma czas,

wieczność i prawdę niezjawioną, a człowiek co ma — a ja co mam? Szaleństwo!...

Wtedy miałem jeszcze rozsądek i widzicie, o moi dobrzy słuchacze, bez owej resztki rozsądku nie byłbym dziś wstanie powiedzieć wam nawet, jaką to była ta kobieta, co mi życie wzięła, bo jaką ja widziałem ją potem, och! to wy pewno nicbyście nie zrozumieli, gdybym wam gadać zaczął. Czy są też wyrazy po temu, ja nie wiem i nie szukałem ich nigdy, ale jaką ona dla innych wydawać się mogła, to wam powiem — słuchajcie.

Wysoka była, blondyna, miała w czarnych rzęsach ciemno-zielone oczy, na twarzy jakby ślad znikającego rumieńca, na spadzistych ramionach, na wydatnej piersi lekko-żółkniejącą białość marmuru. No i cóż, wszakże jak gdybyście ją widzieli przed sobą? Och! prawda — właśnie też ona wysoka, ale przecież nie jak inni ludzie, wysoka wzrostem i ciałem, ona wysoka postacią, chodem, ruchem, ona wysoka spojrzeniem patrzących na nią, bo to spojrzenie musi w proch upaść, musi w ziemi utkwić pierwej, nim się ku jej obliczu wzniesie, a od ziemi do jej oblicza, to jak od ziemi do nieba, i dlatego mierzy się ją rozmiarem doznanych wrażeń i mówi: ona wysoka. A czy blondyna? Wierzcie mi, państwo, że ponieważ nigdy na pamiątkę nie dostałem od niej „plecionki włosów, różową wstążeczką lub błękitną pelą związanej," nic a nic nie wiem o właściwym ich kolorze; w pierwszej chwili nazwałem blondyną, gdyż to chyba złocistych pierścieni zwoje mogły wkoło jej twarzy roztoczyć taką jasną, przeświecającą niby wszystkiemi połyskami topazu aureolę. Co do jej oczu, to prawdę powiedziałem: były ciemno-zielone jak malachit, nie jak szmaragd; świeciły z wierzchu odbiciem tylko, bez żadnej promienności, bez tego przezrocza, którem to czasami aż dno serca widać; jej oczy były jak nie jej oczy, były jak gdyby zamarłe oddawna, jak pożyczone u trupa — najpiękniejsze, ale do patrzenia jedynie, do użytku, nie do szczęścia. Co za dziwna sprzeczność z czołem

wyniosłem i rysującem się w każdy wyraz myśli każdej, co za dziwna sprzeczność z licem bladem, ale zda się gorącem jeszcze od krwi dopiero co ubiegłej, lub gorącem już od krwi, co ma z pierwszem serca uderzeniem nadpłynąć; co za sprzeczność z ustami szczególniej, z temi jej drobnemi choć wydatnemi, z temi jej świeżemi jak niewinność, namiętnemi jak pieszczota ustami! Takie oczy, takie usta, śmierć i życie, alboż to kiedy razem się widuje? Żyłem wtedy — umarłem teraz; wy żyjecie teraz i umrzecie kiedyś, niezadługo—oto cała między nami istniejąca różnica. Powinniście mnie przynajmniej z ciekawością słuchać; ja wam wszystko opowiem, jak to się umiera za życia, ale nie teraz jeszcze; teraz ja żyję, ja mam lat siedmnaście i siedzę na złotolitem węzgłowiu w pysznym salonie zaczarowanego zamku. Ona stanęła przy mnie, chrzęsnęła tęga mora jej szafirowej sukni, przewionął mi koło oczu lekki białej gazy obłok, na jaśniejących włosach zaskrzyła wązka na ćwierć cala tylko, lecz równemi w całej szerokości swojej dyamentami nabijana opaska i poznałem ją — poznałem twarz ową z blaskiem pioruna ujrzaną raz pierwszy.

— A kto doścignął, a kto w równi stanął?— mówiła ona—pytacie, szukacie daremnie, to on—i trącił mię po ramieniu jej wachlarz kosztownemi piórami chwiejący. Podniosłem głowę i oczy, sam z miejsca nie wstałem — wszakże pojmujecie, że gdyby przed którym z was objawiła się jaka święta, gdyby wizyą stanął anioł na przykład, toby żaden z was przecież nie mógł zerwać się z krzesła lub kanapy i ukłonić według towarzyskiej grzeczności przepisów. Ja też siedziałem i patrzyłem — jej kamienne oczy przycisnęły mię do miejsca, ale jej usta zaczynały się zwolna uśmiechem rozciągać, zwolna, zwolna, aż perłami drobnych ząbków błysnęły. Przyznajcie też, czy się komubądź sprawiedliwiej należało pierwszeństwo — dodała, ciągle swoim wachlarzem o ramię moje wsparta.

Już na pierwsze jej słowa dość znaczne wkoło

nas zebrało się grono, po tych ostatnich wyrazach jeszcze więcej kobiet i mężczyzn przybyło.

— Och! prawda. Och! śliczny, och! piękny! — mówiono dokoła, a ja nawet nie uczułem najlżejszego pomieszania, które tak naturalnem w moim wieku i w mojem położeniu mogło być uczuciem; ja patrzyłem na nią i czy mówiła, czy milczała, słuchałem jej głosu tylko.

— Powiedzże mi, góralskie dziecię, wiele lat mieć możesz?— zapytała tym swoim głosem, temi swoimi ustami.

Co za szczęście, że, jak już wam wspomniałem, każda ostateczność wtedy nową siłę wywoływała ze mnie—mogłem jej odpowiedzieć dość przytomnie:

— A pani powiedz mi także, ile to lat bywa we wszystkich dniach marzeń i w jednej ich urzeczywistnienia godzinie?

— Czy tak?— rzekła z tem samym lekkiego szyderstwa dźwiękiem, którego już pierwej wśród ciemnej nocy dosłyszałem. — Czy tak? Mój biedny góralski chłopcze, wszystkie dni marzeń i godzina ich zrzeczywistnienia — ocho! ja ci powiadam, że to jest sto lat z górą...

— Więc ja mam sto lat z górą — odparłem spokojnie.

— Cha! cha! cha! szanowny starcze! — zaśmiała się jakaś inna kobieta—powiedz nam teraz według kalendarza datę twojego urodzenia.

— Dobrze, jeśli wzajemnie odbiorę zwierzenie.

— No, patrzcie, co to za mała gadzina! — ozwał się znowu jej głos wesołą pustotą w udanej surowości wyrazów zmiękczony.—Alboż to ci się zdaje, że gdzie na swoim świecie żyjesz, na tym świecie, w którym to podobno czas złoczyńca z wdziękami i szczęściem w długiej zawsze niezgodzie po krótkiej harmonii bywa? Spojrzyj dokoła, czy który z nas lękać się go lub zapierać może? Czy której z nas braknie piękności, siły i uciech. Prostaczku, a wiesz ty lata nasze? Ot patrz, z nas każda żyła wiek swej szaty, właśnie ta, co

cię zagadła, jest wielką kapłanką Izydy i śmiała się z Napoleona, który przy jej grobie coś o czterdziestu wiekach do swoich mrówek przebąknął. Ja sama...

— Ty, pani—przerwałem z żywością—nic mi nie mów o sobie, ja wiem już wszystko...

— Przedziwny! On wie już wszystko! No, powiedz zawsze, niech się przekonam, czy owe wszystko jest podobne do owej cząstki tego, co ja się domyślam, gdyż na prawdę nie śmiem powiedzieć tego, co wiem...

— Pani urodziłaś się w którymś roku którejś olimpiady greckiej — przemówiłem bez uśmiechu, bez zająknienia, głosem stałym i pewnym, jak akt urzędowy — przepraszam iż w tej chwili stanowczo jej oznaczyć nie mogę, ale mi erudycyi nie starczy na wyszczególnienie daty z tego czasu, który w ojczyznie twojej Peryklesowym wiekiem nazywano.

Zatrzymałem się, uśmiech z jej ust zniknął, czoło jakby natężeniem szukanego wspomnienia pomarszczyło się między dwoma ciemnych brwi łukami, wzrok jeszcze zupełniej zastygł w źrenicy.

— No, mów dalej, mów dalej, wieszczbiarzu.

— Ja nie wieszczbiarzem, ja pani przepowiedziećbym nie mógł ani jednej chwili z przyszłości, ani jednego z jej zamiarów — ja tylko przeszłość widzę, jak historyk. W tej przeszłości imię twoje było: Aspazya.

Gdyby jej oczy mogły były spoglądać, nie patrzeć tylko, tobym zapewne do głębi mej piersi poczuł ich przenikliwe i długie spojrzenie, ale ona, choć wzrok swój badawczo zatrzymała na mnie, uderzyła jedynie, wskroś przejąć nie mogła; inne rysy jej twarzy odbiły lekkie ulotne zadziwienie i znów pierwszy swój wyraz odzyskały, nie mogę powiedzieć wrodzonej, lecz jak gdyby przedsięwziętej pustoty.

— Prawdę rzekłeś — odezwała się po chwili — jam Aspazyą, a ty?

— Mnie rodzice Benjaminem nazwali.

— Więc ty Benjamin! Ocho! Benjamin, to znaczy dziecię ukochane, dziecię wypieszczone, dziecię szczęśliwe, dziecię kochające.

— Tak jest, pani, to znaczy to wszystko.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zawołała Aspazya— on jest kochany i kocha!— Potem, siadłszy obok mnie tak blizko, że czułem z każdym jej ruchem każdy ruch dotykającej mnie szaty: — Jakże ty kochasz, Benjaminie — dodała z półuśmiechem tak wyzywającym, tak zalotnie czarownym, że wszystkie żyły gorętszą krwią mi plusnęły.

— A jak ty kochasz, jak ty kochasz, kobieto — Aspazyo?

— Hej, dziewczęta! przynieście mi lutnię! Ja kocham jak śpiewam, a wiem że kocham tylko wtedy, kiedy śpiewam.

W stojącem zdala gronie młodych niby kwiatki wiosenne dziewczynek pewien ruch się zrobił i prędzej, niż dopatrzeć zdołałem, jedna z nich już żądaną podawała lutnię.

Czy to prawdziwa tylko lutnia była? Kształt dość podobny, ale z kryształu i struny złote z srebrnemi mieszane.

— Jak ja kocham?— powtórzyła niby rozmarzona, niby rozmyślająca — jak ja kocham? I ręka jej trąciła o wszystkie struny odrazu, a ręka tak muskularnie silna, pomimo najdoskonalszego zaokrąglenia, pomimo najdelikatniejszej czystości wszystkich rysunkowych obwodów, że od jej uderzenia struny ledwo nie pękły, że zamiast wydania dźwięku, one krzyknęły prawie, i od ich krzyku wszystko ucichło w salonie.

W głuchem milczeniu czekano pieśni.

— Och! „ja tak kocham!“ — zawołała Aspazya i niespodzianie w przeraźliwym jęku wszystkie struny zerwały się pod jej palcami i odepchnięta lutnia z szklistą skargą o marmur posadzki rozbrzękła.

Aspazya powiodła wkoło siebie okiem i dumnie śmiać się zaczęła.

— Czy rozumiecie, co to znaczy? To znaczy, że ja kocham jak Bóg—zniszczeniem i tajemnicą.

— Nie, pani, to szatan tak nienawidzi.

— Co ty wiesz, góralski chłopcze? Co ty wiesz, Benjaminie? Szatan i Bóg, nienawiść i miłość, czyż to nie dwa oblicza nieskończoności? — a odwróciwszy się odemnie: — Ja kocham jak Bóg — mówiła do drugich. — Miłość Boga czyż to nie jest najwyższa wyłączność, najzupełniejsze zniszczenie, najnieprzystępniejsza tajemnica? To co trwa, to co istnieje — to Bóg wyrzucił z siebie i to jest światowe, albo ludzkie. Przeszłość tylko, której nikt nie zapamięta, jest z Bogiem; przyszłość, której nikt nie odgadnie, jest w Bogu. Życie gasnące wraca do Boga, umierający z Bogiem się łączy, dziewica, która zakonną przysięgę wymawia, Bogu się oddaje; Bóg wiecznie kocha, bo wiecznie posiada, bo wiecznie niszczy. Cóż wam się zdaje, że on ma tylko ziemię i niebo, gwiazdy i słońca, błyskawice i pioruny? Szaleni! to wy macie — on ma to, czego wzrok wasz nie znieważy, ręka nie dosięgnie i myśl nie zbezcześci — On ma tajemnicę i zniszczenie. Początek i koniec — narodziny świata i zgon! Według słów Pisma, czyż nie wiecie, że gdybyście tknęli własności Jego, Onby przestał być Bogiem, a wybyście się stali bogami? Toć przecie on musi kochać tę własność, która go Bogiem stanowi, a nie tę wypożyczoną jałmużnę, z której wy się radujecie. Szaleni! Szaleni! Jeszcze raz powiadam wam, że ja kocham miłością Bożą, kocham to co moje, a mojem jest to, co tak do mnie należy, jak przyszłość do Boga, jak zakonnica do przysięgi, jak zapomnienie do tajemnicy. Moją jest ta lutnia stłuczona, moją pieśń, której nie odśpiewałam, moją ta perła jedynie, którą przykładem Kleopatry rozpuszczoną z napojem wypiję — moim ten co legnie w grobie! Patrzcie, jak zbladło biedne dziecko. Och! ty zapewne inaczej kochasz, Benjaminie. Grajcież, śpiewajcież temu dzieciątku wasze kłamliwe piosenki!

Domawiając tych słów urągliwych, Aspazya wstała, a na jej miejsce dwóch chłopczyków zbliżyło się do mnie. Byli to ci sami, którzy mi w przebraniu mojem pomagali. Uśmiech dowcipu i wesołości dziecinne ich twarze ożywił. Zasiedli sobie jeden po jednej, drugi po drugiej stronie mojej; wychylili się przedemnie i patrzyli mi w oczy ciekawie a złośliwie, jak dwaj studenci przed spłataniem niespodziewanego figla, albo jak dwa chochliki zdmuchujące młodej dziewczynie wszystkie pobożne wyrazy z kartek otworzonej do pacierza książki.

— Otóż kiedy pani Aspazya chce tego — rzekł starszy nakoniec—zaśpiewam ci, góralu, ale szkoda że nie zrozumiesz mej pieśni, gdy ja z natchnienia śpiewam po włosku jedynie. To język mojej natury, to ojczysta najmilsza mowa moja.

— Niech cię nie wstrzymuje tak mała przeszkoda, braciszku — odezwał się młodszy — będę tłumaczył wiernie według myśli i ducha wszystkie stanze twej improwizacyi.

— A czy słuchacz zgodzi się na to?

— Słuchacz zgodzi się na wszystko. Czy widzisz, jak mętnem i zdziwionem okiem spogląda wokoło? Ludzie do zadziwienia skłonni nie sprzeciwiają się nigdy i nikomu; śpiewaj więc, śpiewaj śmiało, a z ogniem i natchnieniem.

— Dobrze, braciszku! Wyświadczę ci też samę przysługę i tłumaczyć będę pieśń twoję, chociaż z mej strony jest to nierównie większem poświęceniem, nierównie trudniejszą pracą. Ciebie tak często zrozumieć nie można.

— O niegodziwy chłopcze!... bracie Kainie!

— Zwolna, zwolna, łagodny Ablu, to ma znaczyć tylko, że twój język mniej znany, mniej ludziom przystępny. Niech sam Benjamin osądzi—i zwracając się ku mnie—mój brat — rzecze—w starożytnej celtyckiej mowie improwizuje zawsze; chcąc tę mowę bajeczną i umarłą przełożyć na wyrazy zrozumiałe dla dzisiejszych, dla góralskich uszu, wszakże stokroć większego

wysilenia trzeba, niż kiedy idzie o dowolne prawie objaśnienie żywego narzecza.

— Zobaczymy, zobaczymy; ja cię przestrzegam tylko, synie Jakubów, miej się na ostrożności gdy mój brat śpiewać zacznie, bo chociaż to najlepsze, najniewinniejsze, najczystsze dziecko ze wszystkich dzieci, które dotychczas przed skończeniem piętnastego roku życia swojego pomarły, ma jednak lekką skłonność do kłamstwa, zbytków, rozpusty, pijaństwa i mordów. Aspazya, która nam losu według zdolności dobiera, przyrzekła mu bardzo świetny zawód.. w najgorszym razie tron wielkiego Mogoła przynajmniej. Strzeż się więc, strzeż, kiedy śpiew zacznie.

— A ja ci mówię, strzeż się brata mego gdy śpiewać nie skończy, bo chociaż on dowcipniejszy, mędrszy, poważniejszy niż wszystkie szczury, które się kiedykolwiek doplomatycznemi papierami japońskich i chińskich mandarynów utuczyły, lecz jest przytem trochę dobroduszny, ślamazarny, romansowy, nerwy ma zdrażnione, mózg użyciem opium wzburzony, niektóre władze ciała niezbudzone jeszcze — słowem powiadam ci, że Aspazya, która nam losu według zdolności dobiera, dla niego nie znalazła nic; radzi mu jednak wszystko stawić na kartę i pojechać do Niemiec, tam jedynie może się brat mój wyrobić na przyzwoitego człowieka, objąć katedrę filozofii, albo się zapić piwem bawarskiem.

Długo jeszcze słowa tej sprzeczki, tych żartów pustackich krzyżowały się przedemną, niby race kongrewskie dwóch dziwacznych fajerwerków; chłopcy mówiły tak prędko, że nie miałem czasu nawet spytać ich się: — Kto wy jesteście? czego chcecie odemnie?— Nareszcie młodszy wyprostował się i umilkł, a starszy poprawił aksamitnego kołpaczka, kilka razy ręką przetarł czoło, zasłuchał się na chwilę w słumionej, lecz rozkosznie dokoła brzmiące muzyce, i uderzając się w piersi:

— Ja jestem śpiewak prawdy! — zawołał — a to niewierny tłumacz mój — przydał wskazując na brata,

i zaczął nareszcie improwizacyą swoję, lecz mimo danego ostrzeżenia, zaczął ją po polsku, czystym i do taktu dzielonym głosem:

Biedne było serce moje,
Gdy bez echa, w pierś samotną
Uderzało przepełnione
Niepojętych pragnień krwią.

Wtedy wszędzie na tym świecie,
Na tym świecie tak szalonym,
Tak diabelsko wyzłoconym,
Że bierz tylko garścią pełną
Wody, ognia, krwi czy błota,
To się zawsze dojmiesz złota —
Na tym naszym pięknym świecie,
Tym jedynym, ukochanym,
Szachrującym, oszukanym,
Rozśmieszonym, rozpłakanym.
Całującym, wojującym,
Hulającym, stękającym...
No, czyż wiarę dać możecie:
Jam się nudził na tym świecie!

Z moich książek i kajetów,
Z wonnych kwiatów, świeżych łąk,
Z łysin moich profesorów,
Z srebrnych chmurek na błękicie,
Nawet z szklanki i z talerza,
Nawet z grzywy klaczki mej —
Wszędzie, wszędzie przed mem okiem
Wychylała się straszliwa,
Żółta, blada, obrzydliwa,
Ziewająca, głupia, stara
Ta choroba, ta poczwara,
Co się.. co się nudą zwie!...

I nie chciało mi się jeść,
I nie chciało na koń sieść,

I nie chciało z śmiesznych śmiać.
I nie chciało mi się pić,
I nie chciało mi się żyć —
Tylko mi się chciało spać.

O spać, spać, spać bez ustanku,
Od wieczora do poranku,
Od poranku aż do nocy;
Gdyby w ludzkiej było mocy.
Ja na całe lata, wieki,
Byłbym zamknąć chciał powieki.
Bo gdym zamknął — ach! to cuda!
Czyż wyśpiewać mi się uda,
Com ja widział, roił, śnił,
Kim ja byłem, gdziem ja był?

Ach to cuda! Lecz na jawie,
Choć to wszystko trwało prawie,
Chociaż czułem, że mi płoną
Lice, usta, piersi, łono
Od całunków, od pieszczoty —
Choć jedwabnych włosów sploty
I dłoń miękką, ciepłą, małą,
Pod którą mi serce drżało,
Ja tak czułem jak w dotknięciu,
Ja tak miałem jak w ujęciu...
Przecież... przecież... O przekleństwo
O szyderstwo! o męczeństwo!
Taką rozkosz, szczęście śnić —
A być głupim — dzieckiem być!...

Toć ja nawet nie umiałem
Nazwać tego, a szalałem;
Łzy po twarzy nieraz ciekły,
Nieraz gryzłem palce wściekły,
O mur głowę rozbijałem,
Albo ręce wyciągałem,
By ta postać niedojrzana,
Niepojęta, nienazwana,

Ach! ta postać by wcielona
Sama zbiegła w me ramiona —
By pierzchliwych marzeń rój
Padł nakoniec, widny, żywy,
Skształtowany i prawdziwy
W namiętny uścisk mój!

Teraz, dosyć już przeżyłem
W niepokoju długich nocy.
I w tęsknocie długich dni:
Teraz ja wiem jak się zowie
Każde serca uderzenie,
Każda moja gorzka łza,
Teraz ja wiem, jak się zowią
Senne marzeń mych widziadła
I czczość młodych moich lat —
Czem są dłonie wyciągnięte,
Czem westchnienia pierś wznoszące,
Czem są usta pałające,
Czem są tętna krwią bijące
I czem życia cudna pieśń...

O ja wiem, ja znam, ja śpiewam,
Ja dziś wołam i nazywam —
Kobietą! kobietą! kobietą!
Pójdź, kobieto piękna moja,
Wymarzona, wyczekana,
Wypragniona, wywołana,
Do mnie! do mnie pójdź!

O ja kocham cię, kobieto!
Kocham ciemne twoje oczy,
Kocham połysk twych warkoczy,
Kocham wzniosłe czoło twe!
Kocham ślad twej drobnej stopy,
Kocham głosu twego dźwięki,
Kocham białość twojej ręki,
Kocham tchnienie twoich ust.

Kocham jedwab twojej szaty,
Kocham spinkę, która świeci
U przepaski twej kibici.
Kocham perły z szyi twej,
Blask dyamentów na twej skroni,
Wachlarz, co nim dłoń twa chwieje
Gazę, coć on z piersi zwieje,
Twej postaci kocham cień.
Piękna moja! luba moja!
Do mnie, do mnie pójdź, kobieto:
Ja kochankiem, ja poetą,
Do mnie! do mnie! do mnie pójdź!

Daj mi rękę luba moja!
Przez świat idźmy! niech się dziwi,
Jak my młodzi i szczęśliwi,
Jaką piękną ty!
Przez świat idźmy! niech zazdrości
Mnie twych pieszczot, twej miłości,
Tobie pieśni mej!
Ale strzeż się — och przez Boga!
Niech ja ciebie, moja droga,
Nie zazdroszczę mu!
Bo gdy wspomnę, że spojrzenie,
Że twój uśmiech, że westchnienie
Wziąćby mi kto mógł,
To mi tak coś w oczach błyska,
To mi tak coś rękę ściska,
Jak ogień, jak miecz!
Zrazu czuję, że twarz blada,
Zaraz widzę, że trup pada,
A choć nie wiem czyj,
Mnie tak zimno wkoło serca,
Jakby trup ów, lub morderca,
Moje piersi miał.
Mnie tak straszno, mnie tak ciemno,
Jakbyś ty nie była ze mną,
Lecz był przy mnie grób.

O, ja nie chcę takich myśli,
O, ja nie chcę cierpień takich.
Zawrót głowy mam!
Precz, precz z niemi do szatana,
Ty mnie kochasz, tyś kochana;
Z drogi, z drogi nam!

Jesteś moją, jam szczęśliwy —
Hej muzyka! tańce! śpiewy!
Hej kielichy i puhary!
Szampan, Porto, węgrzyn stary,
Niech zaszumią, niech popłyną!
Pijmy rozkosz, pijmy wino,
Bo czas biegnie, a śmierć goni,
A czy będzie tam co po niej,
O to starych mnichów pytać!
Nam dziś tylko życie chwytać;
Nam dziś szaleć i ucztować;
Nam dziś pieścić i całować;
A kto chwilkę choć zmarnuje,
Wszystkich sił nie wycałuje,
Wszystkich beczek nie wytoczy,
Kto na wieki zamknie oczy,
Kiedy jeszcze mu zostanie
Niedopita kropla w dzbanie,
Albo z jego własnej winy
Jeden uścisk u dziewczyny,
Jedna w sercu jeszcze chęć...
Temu hańba! tego właśnie
Niechaj jasny piorun trzaśnie,
Niechaj porwie diabłów pięć!!!

Głośny wybuch śmiechu zakończył niby punktem to piekielne marnotrawstwo dowcipu i talentu. Chciałem się znowu odezwać, lecz mnie uprzedził młodszy chłopczyk, ciągle dotychczas bez ruchu, jak porcelanowa figurka, po prawej stronie mojej siedzący.

— A teraz, szanowny słuchaczu—rzekł do mnie— zechciej to wszystko w prostej mowie przyjąć od pokornego tłumacza.

— Śpiewak, o ile się zdaje, niedorostek jeszcze, ale krwistego temperamentu, powiada, że go już wszystko nudzić zaczynało: nie śmiał się nawet z łysin swoich nauczycieli, co znaczy, że pierwej musiał z nich często nieprzyzwoite stroić żarty, a więc był złym jak osa, jak żmija, która przy piersi rozgrzana i t. d.

Śpiewak stracił apetyt i pić już nie lubił, co uważa za największe nieszczęście swoje, a więc dowodzi, iż był łakomy, niewstrzemięźliwy i do grzechu głównego obżarstwa skłonny.

Śpiewak opowiada potem swoje sny i marzenia, które są największem poparciem tego zdania: iż niewiadomość a niewinność wielce się różnią.

Śpiewak oświadcza wreszcie, iż nawet nieświadomość ową już postradał zupełnie: dziś kocha jakąś kobietę, co ma ciemne oczy, białe ręce i małe nogi, a która musi być dosyć bogatą, gdyż się stroi porządnie w perły, jedwabie, gazy, dyamenty.

Śpiewak chce, żeby mu jej zazdrościli wszyscy, lecz żeby on jej nie zazdrościł nikomu, bo o ile mogłem z trochę ciemnej groźby zrozumieć, ma cokolwiek tureckie w tym względzie pojęcia: ogniem i mieczem straszy, zlekka nawet o grobie kochanki nadmienia, z pewnością jednak nie powiada, czy ją, czy siebie, czy kogo innego zabije, lecz mnie się zdaje, że swoją osobę właściwie pod największą wątpliwością zostawia.

Następnie wszystkie te czarne myśli spędza śpiewak jak naprzykrzone muchy z nosa: radzi pić wino, całować dziewczęta póki tylko życia stanie i kończy tem bardzo dobitnem wyrażeniem, by każdego co inaczej postępuje jasny piorun trzasł i pięć diabłów porwało—nie wiem dlaczego pięć? — ażali to jest rym tylko lub też kabalistyczna liczba, lub też ilość zmysłów odpowiednia?

Krótkie te zdania śpiewaka ozdobione są pasażami, forszlagami, fiorituramі i tysiącznemi naddatkami, z których to jedynie wycisnąć można, że pieśń gorączką, a jej śpiewak — łotrem.

Teraz niechaj mnie łaskawie twoje uszy posłuchają—no! uważaj tłumaczu—i w tejże chwili zmiana ról nastąpiła. Mój sąsiad z lewego boku, który przez cały ciąg tłumaczenia najniespokojniejszemi ruchami oburzenie swoje objawiał, nagle przycichł i znieruchomiał, a brat jego wdzięcznym głosem tak pieśń swoję zaczął:

-- Przepraszam was, moi państwo, muszę się trochę namyśleć — tej pieśni zapomniałem; czekajcie chwilę maleńką, ot, już ją mam—tak! to ona właśnie!...

Raz mi mówiono, że są tu na ziemi
Białe anioły z skrzydłami białemi,
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata,
Ponad kałuże, błota i przepaści
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane,
Promieniem Bożej myśli rozjaśnione
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane.
A jam się pytał: gdzie anioły takie?
A przy mnie wtedy matka moja stała,
Włos rozgarnęła, czoło całowała:
I rzekła tylko: Tam synku maleńki,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.
O prawdę, prawdę matka powiedziała,
Bo tam jest anioł, tam ciche dni życia,
I spokój serca i myśli tam w niebie,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.
Miłość kobiety — to świętość i cnota,
Szczęście i siła, mądrość i natchnienie;
Miłość kobiety — to pierwsza pieszczota,
Co biedne dziecko na tej ziemi wita;
To pierwsza kropla pokarmu i życia,
Którą niemowlę w głodne usta chwyta;
To pieśń twej matki, która ci klęcząca
Przy twej kolebce na uśpienie nuci;
Miłość kobiety — to błogosławieństwo,
Rada i wsparcie, którą Bóg ci daje

Na długą podróż przez nieznane kraje,
Po ślizkich ścieżkach złych i dobrych losów.
Miłość kobiety — to z twą siostrą młodą
Wspólne marzenia i długie rozmowy
O twej przyszłości, o zamiarach twoich,
O tej nadziei młodzieńczego serca,
Co ci spełnienie młodych czynów wróży,
A w którą ona tak ufa, tak wierzy,
Że kiedyś może ty już wątpić będziesz,
A ona jeszcze wierzyć nie przestanie.
Miłość kobiety — to ręka podana
W chwili złych myśli i pokus szatana;
To wzięte wszystkie z głębi twojej duszy
Chęci szalone, żądze niespokojne,
I namiętności nasienia zdradliwe,
I pierwej nim się w truciznę rozplenią.
Nim święty serca skalają przybytek,
Nim przejmą czysty ducha twego promień —
Pierwej, chryzmatem uczucia święcone
W szczęście wyrosłe i w cnoty wszczepione.
Miłość kobiety — to nagroda twoja
Przy trudnej pracy męzkiego zawodu,
To przy rodzinnem ognisku kapłanka
Błogich dni życia i uciech domowych!
To głos radości, co na progu wita
Wracającego zpośród obcych ludzi;
To białe ramię, które szyję twoją
Okrąży słodkiej pieszczoty objęciem
Kiedyś znużony i wierzyć przestajesz,
Że jeszcze takie serca są na świecie,
Które ci żywszem biciem odpowiedzą,
Gdy ręka twoja do nich zakołata,
Gdy wołać będziesz przyjaciela, brata,
To są te usta, coć powiedzą wtedy:
„Przebacz i kochaj, bo jesteś kochany.“
To jest ta losu niemylność jedyna,
Co gdy świat cały błotem cię zarzuci,
Gdy ty sam nawet skłócisz się z sumieniem,

Ona ci jedna zostanie i zawsze
Przychylne dłonie ku tobie wyciągnie,
I przed niechęcią ona cię otuli
W śnieżysty rąbek swej szaty niewinnej,
I przed zgryzotą ona cię osłoni
Własnego serca boleścią i łzami,
I przed występkiem ona cię obroni
Swoją świętością i swemi prośbami,
Ty, ku niej idąc, złe drogi porzucisz,
Ty, za nią idąc, znów do nieba wrócisz.
Miłość kobiety! O ja z darów Bożych,
Niech sobie tylko ten jeden uproszę —
Ja będę wielki, cnotliwy i święty,
Samolubnego zrzeknę się starania
O własne zyski i własne rozkosze,
Ja znajdę w sercu do poświęceń siłę,
Wiele dobrego bliźnim swoim zrobię
I wiele złego bez szemrana zniosę;
Pobłogosławię tym, co kląć mi będą,
Uścisnę rękę, która cios mi zada,
Otrę łzę każdą, lub razem zapłaczę
Z każdym, kto innej nie chce mieć pociechy;
Wesprę, oświecę, ukocham, przebaczę,
Zapomnę siebie — lecz niech o mnie święta,
Niech kochająca kobieta pamięta...

— Ta, ta, ta, ta! Dość tego, braciszku — przerwał nagle zamówiony tłumacz — dość tego, bo ja zapomnę i Benjamin odjedzie, nie wiedząc nawet, co mu tak długo nad uchem brzęczało. To zaś jest w najprawdziwszem znaczeniu rzecz taka:

Mój najckliwszy braciszek słyszał od mamy, że kobieta, która kocha, jest aniołkiem, rozpamiętywa te piękne słowa i wypada mu, że wistocie, ponieważ bardzo jest wygodnie mieć najpierw mamkę, potem niańkę, potem siostrę, która wierzy wszystkim przechwałkom, potem żonę która zawsze potakuje, całuje, zapewne jeść gotuje i skarpetki robi — a więc kobieta jest aniołkiem, a więc jegomość przyrzeka nawet, że bę-

dzie bardzo grzecznym, jeśli takiego aniołka dostanie, a wszystko razem wzięte, przewielebny słuchaczu, wszystko razem i niucha tabaki nie warte. Jest to sobie nędzna a nieszczera parodya tego co pierwej wręcz powiedziałem. Ja mówiłem: „chcę kobiety“— on też mówi: „chcę kobiety;“ ja mówiłem: „chcę kobiety żeby mi szczęście dała“—on też mówi: „chcę kobiety, żeby mi szczęście dała;“ za panią matką pacierz. Młynkował pod wiatr językiem, ale zawsze toż samo ziarno. Żal mi ciebie, że przy pierwszych odwiedzinach musiałeś tak długo tych wszystkich bredni słuchać. W nagrodę powiem ci ich króciuteńki sumaryusz, powiem ci, czem jest ludzkie przeznaczenie: jest szaradą, której się od prawdziwych mędrców nauczyłem, ale, mój drogi, zaklinam cię na wszystko, nie zdradzaj mnie przed prawnikami, autorami, reformatorami, hipokrytami, głupcami i poczciwymi ludźmi. Oto jest: pierwsze życie — druga śmierć, a wszystko razem — używaj, używaj, używaj.

Na ostatni wyraz oba malce zachychotały głośno.

— Więc i ty się śmiejesz?—rzekłem do młodszego, za rękę go biorąc.

— O, ja najbardziej—cisnął mi wesoło i skłoniwszy się prędko, uciekł wraz z bratem swoim. Mnie wtedy okropny smutek ogarnął; spuściłem oczy, bo czułem że mi się łzami napełniają, a nie chciałem dać łez moich na pośmiewisko tym ludziom bez serca. Żywą sprzecznością stanął mi w pamięci nasz ubogi rodzinny domek i przesunęły wszystkich moich ukochanych postacie. Żal mi się zrobiło tej dumnej, pięknej kobiety, którą ja byłbym przed chwilą nad świętą matkę moją, nad wszystkie siostry moje ubóstwił. Żal mi się jej zrobiło, bo czułem już, jak to można nie kochać jej, a kiedy ja nie kochałem, to któż ją mógł kochać? I zdjęła mnie wielka litość, i wzniósłszy powieki, długo wśród tłumu szukałem jej spojrzeniem, aż nakoniec zdala siedzącej dostrzegłem. Nie patrzyła na mnie — jakiś mężczyzna mówił do niej, ona słuchała i bawiła się niedbale zwojami białej gazy, co jej ni-

by obłok przejrzysty od dyamentowej przepaski na głowie po ramionach i całej spadała kibici. Była ona tak piękną, tak spokojną, tak uważną na to, co jej prawił ów mężczyzna za patrycyusza rzymskiego przebrany, jak gdyby to nie ona przed chwilą odezwała się bluźnierczemi słowy, jak gdyby nie ona drażniła ze mną pieśniami swych paziów. Zapomnienie maską niewinności przylgnęło do jej twarzy.

Nie mogłem na ten widok oburzenia mego powściągnąć; wstałem, poszedłem, tuż przy niej stanąłem.

— Żegnaj pani — odezwałem się; lecz ona niecierpliwie brwi zmarszczyła i znak milczenia mi dała.

A więc, pomyślałem sobie, niewitana, nieżegnana, zostań tutaj w zbytkach twoich; między mną, a tobą na wieki wieków niepamięć zapadnie — i chciałem odejść, lecz ona, jakby zgadując zamiar mój, nie odwróciwszy się, nie spojrzawszy nawet, wzięła mnie za rękę, a młody patrycyusz tymczasem rozwijał jej w naukowych wyrażeniach architektoniczne plany względem podźwignięcia i zastosowania do użytku lub ozdoby wszystkich ruin wiecznego miasta, a ona podawała mu nowe pomysły, chwaliła, poprawiała go, jak najbieglejsza w tej sztuce mistrzyni, a ja dziwiłem się trafności sądu i gruntowności tej nauki.

— Czegóż chciałeś, moje dziecko? — zapytała mnie wreszcie zupełnie niespodzianie wtedy, gdy mi się zdawało, że już ani myśli o mnie i że przez zapomnienie tylko dłoni mojej nie wypuszcza.

— Przyszedłem pożegnać panią — odpowiedziałem, ale trochę mniej pewnym głosem i bez oburzenia żadnego.

— Jakto pożegnać? Czy słońce już zbyt jasno świeci, a moje lampy zbyt ciemno już płoną?

— O nie, pani, słońce jeszcze nie wstało, a wonna lamp twych oliwa czystem światłem goreje; ale ja cię pożegnać przyszedłem, bo mi tu niedobrze, bo mi gorzko, smutno, duszno.

— Przyznaj się, że ci musiały moje małe szatanki dokuczyć?

— Prawda, pani, dokuczyły okropnie, okropnie!

— To cóż? alboż ty słabszy od nich? Czemu się nie zemściłeś? Mogłeś ich wybić, odpędzić od siebie, albo też im nawzajem moralną piosnkę zaśpiewać. Ja sama byłabym jej słuchała, bo już tamto znam, a twojej ciekawa jestem.

— Nie, pani, jabym tu nigdy nie zaśpiewał żadnej piosnki mojej, nie wymówiłbym żadnego słowa ze słów uczuciu święconych.

— A to dlaczego? Przez nieśmiałość, dumę, lękliwość, wzgardę czy nieufność?

— Przez pobożność jedynie, żeby relikwia mego serca nie przywiodła do nowego grzechu ludzi, co szydzić i bluźnić umieją.

— Więc to, jak widzę, doprawdy między wami od żartu aż do gniewu przyszło? No, uspokój się, zawołam ja marszałka dworu i każę temu starszemu lucyperkowi dać rózgą, bo zapewne on musiał cię w zły humor wprowadzić; ostre ma zęby, a jak niemi kąsać zacznie, to aż żywej żółci dojmie czasem... Hej, panie Seweryuszu!...

— O, przez litość, nie żartuj tak pani!

— Ależ ja nie żartuję, ja się zupełnie, szczerze, prawdziwie bawię.

— To nie baw się pani mną — i chciałem rękę wysunąć, lecz mi ją silniej jeszcze jej drobne palce ścisnęły.

— Słuchaj, Benjaminie — rzekła mi ze swoim czarodziejskim półuśmiechem na twarzy — prześlicznie konno jeździsz, piękny jesteś jak przypomnienie dawnych czasów, kiedy się natura nie zubożyła jeszcze, kiedy musiało być mniej ludzi na świecie i kiedy każdy człowiek był zbiorem owych pierwiastków siły, wdzięku i szczęśliwości, któremi się później rozdrobnieni jego następcy dzielić musieli, jak dzieli trupem wylęgłe z niego robactwo. Piękny jesteś, sama ci to przyznaję, ale — nie gniewaj się — bardzo nudny także.

— Nie gniewam się i nie dziwię; pani tylko gniewać i dziwić się możesz, bo nie wiesz kogo w progi swoje przyjęłaś. Ten ubiór, co ci się wydaje zapewne chwilową igraszką upodobania, jest właśnie jedyny, w którym stanąć przed tobą bez oszukaństwa mogłem. Góralem jestem, biednym ubogim chłopcem, źle mi wśród was, źle i wam być musi z przybyszem, co ani pojąć, ani uznać nie chce tej saturnalii uczuć, rozumu, bogactwa, tych zbytków marnujących naturę i człowieczeństwo. Żegnaj, żegnaj pani na zawsze; widziałem obok ciebie nagromadzone wschodnich powieści przepychy, widziałem tłumy strojnych i wesołych ludzi, widziałem starców piętnastoletnich, co dla zabawy i wyśmiania twych gości przerzucali sobie w najohydniejszych myślach i w najświętszych wyrażeniach, jak w cackach do zepsucia przeznaczonych, jak w wyrzuconych na śmiecie klejnotach. Widziałem ciebie, pani, tak cudną i zachwycającą, że w pierwszych chwilach upiłem się blaskiem twego oblicza i myślałem już że tobie „Aspazya“ na imię — ale widziałem ciebie kobietą bogatą tylko, ucztującą, mądrą, dowcipną, szyderczą i dlatego odchodzę, i odchodząc, skarżę cię, pani, przed sumieniem twojem, bo mogłaś być hojniejszą dla spotkanego na swej drodze prostaczka, mogłaś mu zostawić objawienie swoje do najgorętszej życia modlitwy, mogłaś mu sprawdzić choć na chwilę przyobiecany jego nadziejom ideał; los dał ci wszelką ku temu sposobność, ale ty, pani, skarby złota cisnęłaś na huczne biesiady, skarby umysłu na gawędki płonne, a piękność swoję stawiłaś na zadziwienie tylko, więc też zbłąkany góral opuści twój zamek, bez jałmużny dobrego wspomnienia nawet, strząśnie pył z obuwia swojego i tylko, opowiadając kiedyś tę nocną przygodę rodzeństwu albo towarzyszom swoim, nazwie cię, pani, „ta obca kobieta.“

— Mylisz się, Benjaminie, nazwie mnie zawsze: „ta piękna kobieta“ i wróci, o, wróci do mnie...

Jej głos był śpiewem, pocałunkiem, zaklęciem, a jednak puściła rękę moję — zapewne chciała siły

uroku probować; ja się przed nią w milczeniu skłoniłem i wolnym krokiem odszedłem. przy samym progu raz tylko spojrzałem na nią jeszcze — siedziała nieruchoma. zamyślona, bez uśmiechu, ale i bez smutku, jej oczy szły niby za mną, ale jej oczy nie wołały mnie — piękny posąg, mistrzowska rzeźba w marmurze! Spuściłem więc kosztowną podwoi zasłonę, a tylko było mi smutno, jak po pierwszej w życiu omyłce. Z pośpiechem przebrałem się, podano mi mego konia, dosiadłem go i popędziłem ku domowi. We mgle porannej kąpane czoło coraz bardziej chłodło z nocnych zjawisk i wrażeń. „Wstydź się, szaleńcze — mówiłem sam do siebie — wstydź się, ty, co kochasz Aspazyą, a mącisz jej obraz spojrzeniem pierwszej ładnej kobiety, która przypadkiem na twej drodze staje — czyż w tobie tylko gra ciekawość życia? Czyż niespokojność wyobraźni przemawia jedynie? Czy ty szukasz zdarzeń i okoliczności, czy dobierasz opisowych wypadków do powieści jakiejś, czy to każda niezwykłość bawi cię i uwodzi? Czy też masz w sercu życzenie, którego nie odstąpisz, prawdę, której nie skłamiesz, choćby ona skłamała tobie, ku której iść będziesz, choćby ona przed tobą aż poza grób uciekła? O nie, dumna, dziwna kobieto! Nie wrócę ja do ciebie, nie przeniewierzę się nadziejom moim, oblubienicy mego przeznaczenia — piękną jesteś, świetną jesteś, kochaną być możesz, ale zamarła jasność twego oka, zastygła krew twojego łona, zatruła się myśl pod czołem twojem; głos twój pieściwy i nęcący, dotknięcie rąk twoich miękkie i przejmujące, ale od słów twoich tchnienie w piersiach marznie, przy tobie serce cierpi i rozum się błąka — ty nie objawisz Boga, ty nie dasz nieba, biedna potępiona. O nie, nie! ja zapomnę o tobie, ja zdmuchnę jak mętne szumowiny obraz twój z mózgu mojego, ja o dzisiejszej nocy powiem sobie: nie była — i dalej pójdę, dalej, dalej, a w przyszłości spotka mnie ona, piękniejsza, bo kochająca, bogatsza, bo szczęśliwa — i z tą będzie miłość moja, z tą matki błogosławieństwo, z tą niebo i Bóg!...“

V.

Daleko musiało być od zamku do mego pomieszkania.

Sokół, własnemu zostawiony instynktowi, biegł prosto najkrótszą drogą, sadził przez rowy i płoty, a jednak cienie drzew przykurczyły się zupełnie i zaczynały zlekka na wschodnią stronę usuwać, gdy przed domem stanąłem.

Wyszedł Bazyli na moje spotkanie, pogderał trochę, że koń tak zmęczony, że ja po nocy karku gdzie nadkręcę, ale mimo to uśmiechał się tajemniczo i coś o niespodziance, o przybyłych gościach wspominał.

W jednej minucie sto przypuszczeń mignęło mi przez głowę, coprędzej wbiegłem do pokoju—na pierwszy rzut oka uderzyła mnie tylko wielka jakaś pokostem pod światło błyszcząca tablica, ale gdy naprzód postąpiłem, gdy w lepszem stanąłem miejscu — o, doprawdy, na chwilę zdawało mi się, że to czary, że to niepodobieństwo! Naprzeciw łóżka mojego wisiał obraz kobiety pieszczącej wspartą na jej kolanach młodzieńca jakiegoś głowę. Kobietą ona była, wyraźnie ona: też same rysy, toż same czoło wzniosłe i milczące, też same usta namiętne, a czyste i niewinne, taż sama włosów promienność, taż sama krągłość ramion i wyniosłość piersi, tenże sam odcień rumieńca na licach i białości na łonie, tej białości nie zimnej jak śnieg, nie martwej jak alabaster, lecz tej białości, na której czuć prawie ciepły słońca promień, pod którą

widać nieledwie krwi młodej i zdrowej krążenie. Tak jest, to była ona, ale więcej niż ona, więcej niż ta kobieta, którą mi blask piorunu i kunsztownych kagańców oświecił: jej kształty wypełniły się innym duchem — ona była taką, jaką być mogła, gdyby kochała, ona była szczęściem, objawieniem, miłością, a tym młodzieńcem u jej kolan, tym pieszczonym, zachwyconym, tym kochanym byłem ja! I nie mogłem rozczarować złudzenia; gdyby chociaż raz spojrzała na mnie swojem kamiennem, ciemno-połyskliwem okiem, tobym może otrząsnął się z ogarniających mnie potęg; ale nie, ona miała spuszczone powieki i tylko na twarzy mojej odbiciem niewypowiedzianej rozkoszy, najżywszego uwielbienia i najtkliwszej podzięki rozświecał promień jej źrenicy. Zgadywałem, przeczuwałem to spojrzenie, serce mi się wydarło ku niemu, pół życia uciekło ze mnie i wstąpiło w pierś młodzieńca na obrazie — i miałem taką chwilę, jakiej z was żaden podobno mieć nie będzie. Wyście marzyli, kochali, pragnęli, otrzymali, używali jedną biedną duszą waszą, jednem waszem nędznem ciałem; jam miał dwie dusze, dwa ciała, dwa szczęścia, ja w obrazie drżałem pod jej pieszczotą, piłem jasność jej źrenicy, dumny byłem radością jej, wielki byłem miłością jej — a poza obrazem tkwiła we mnie pewność niezachwiana, spokojność rozumna, bo taka kobieta żyła przecież, a choć martwa, choć inna, to mnie do piersi zstąpiło tyle wiary we wszelką dobrego możliwość, tyle marzeń i nadziei, że ja, co tak ukochałem, czułem, iż mogłem stworzyć miłość w niej, mogłem wstąpić choćby do piekieł, zbawić choćby szatana — obraz mi wszystko przyrzekał, obraz mi wszystkiego dotrzymywał!

Wtem Bazyli wszedł do pokoju, kiwał głową i ręce zacierał.

— A co? — rzekł — czy panicz wiedział o tem, że ci śliczni państwo wczoraj do nas późnym wieczorem zjechali? I cóż? panicz się o nic więcej nie pyta?

Prawda była, ja o nic nie pytałem, obraz już mi zdawał się koniecznością mojego życia,

— Jest i list przecie — dodał Bazyli zniecierpliwiony trochę — list i paka okazyą się tu dostały.

— List? — powtórzyłem drżącym głosem, a serce zaczęło mi bić gwałtownie, a z duszy w uroku szczęścia zawisłej wydobyła się nagle niczem napozór nieusprawiedliwiona niespokojność i trwoga, co mi w piersiach oddech tamowała. Chciałem sobie przypomnieć, czego to ja się lękać mogę? Zrobiłem wielkie wysilenie, od teraźniejszości oderwałem pamięć moję i cofnąłem ją w przeszłość — ale pamięć dochowała mi tylko śladu jakiegoś przykrego wrażenia, jakiejś groźby niepewnej. Wszystko to zaledwie tyle czasu trwało, ile go potrzeba było Bazylemu do przejścia przez pokój, wyjęcia zachowanego między książki listu i podania mi nakoniec; widzę jeszcze poczciwie radosny uśmiech jego w tej chwili, gdy mi świecił przed oczyma znajomym podpisem. Coprędzej wziąłem, rozdarłem kopertę i pamięć mi wróciła i przypomniałem sobie wszystko, bo oczy moje padły na te wyrazy ręką Ludwinki skreślone:

„Miałeś brata Cypryana.“

Co się potem ze mną stało, nic a nic nie wiem. Dobra to rzecz takie upadki nagłe i niespodziewane, z obłoków prosto w studnię. Organizm natury nie może im wydążyć, robi małą synkopę, a czas idzie sobie jako szedł i policzony nam jest w życie według zegarka i według kalendarza.

Kiedy moja synkopa ówczesna wartość swoję przetrwała już, a na klawisze pamięci kiedy los, ten fantastyczny wirtuoz, przyłożył swoje diabelskiemi pazurami zakończone palce, była to noc właśnie — jak dziś jeszcze widzę i przypominam sobie wszystko. Lampka musiała gdzieś stać na ziemi w głowach mego łóżka, gdyż światło jakieś migotało po pokoju, a nie mogłem wytłumaczyć sobie zkąd się wzięło, lecz wkrótce wyobraziłem sobie, że bez wątpienia w podłodze deska jakaś ciągle się unosi i spuszcza, a zpod tej deski wydobywa taka ciecz powietrzna, jasna i w rozmaitym stopniu wszystkie przedmioty zale-

wająca; przyznam się, że mnie też bardzo ucieszył mój dowcip w wynalezieniu tak prostej przyczyny. Rozpatrywałem się potem coraz lepiej i zobaczyłem przy nogach moich na stołku jak na łódce chwiejącą się postać starej kobiety. która zupełnie do miary z wznoszeniem i opadaniem światła wznosiła i opuszczała głowę swoję; obok niej stał nieruchomy jakiś zwierz na czterech cienkich nogach, z białym łbem w środku ciała. Ten zwierz przycichłym głosem ciągle mówił tak, tak. tak. Naprzeciw mnie zaś, niezupełnie naprzeciw mnie. ale nademną, nad kobietą i nad zwierzem wyjęto kawał ściany; w tę stronę jasnej cieczy najwięcej płynęło. wyraźnie więc ujrzałem pokój przepyszny, rozłożone najbogatsze wezgłowia. a na nich siedzącą Aspazyą w białej greckiej tunice. u ramion dwoma kameami spiętej. Zawstydziłem się okropnie. że ja tak blizko nieubrany leżę. chciałem wstać, ale stara kobieta okropnie głową zatrzęsła; przestraszyłem się. bo myślałem, że krzyknie na mnie. a gdyby krzyknęła. toby pewnie Aspazya, dotąd w głębi swej komnaty czem innem zajęta, wstała i przyszła zobaczyć co się dzieje — i zobaczyła mnie, mnie w koszuli z jakąś chustką na głowie, pod flanelową kołdrą. Nie, tej myśli przenieść na sobie nie mogłem. ogarniał mnie zaraz taki przestrach. czułem się tak shańbionym, że aż wszystkie poty biły na mnie: przyległem więc cichuteńko. a stara baba zaczęła mi zwolna głową potakiwać, a zwierz jej potakiwał nawzajem. a ja tymczasem przemyśliwałem tylko, coby to zrobić, żeby ich oszukać. żeby się ubrać i uciec do tego pokoju. w którym Aspazya siedziała. Kłopot wielki. bo suknie daleko odemnie leżały. co więcej, nawet składała je dni powszednich odzież. krótki z grubego sukna spencer i skórą oblamowane spodnie — nie można było tak wystąpić przecież. Mnie się chciało także greckiej tuniki. purpurowego na zarzucenie przez jedno ramię płaszcza, greckich na nogi koturnów. bo inaczej Aspazya mi powie: „Idź precz. jesteś brzydki.“ Przymierzałem ja sobie tych wszystkich strojów w życzeniach moich. aż nako-

niec ubrałem się w nie i podniosłem trochę, by zobaczyć, czy mi pięknie będzie. Było prześlicznie — widziałem jak Aspazya objęła mi szyję w okrągłość cudnych kształtów ręki, przygarnęła do łona swego, patrzyła w oczy ku jej oczom wzniesione i mówiła mi:

— A widzisz że wróciłeś. Benjaminie; teraz ja ciebie kocham, teraz nie jesteś już nudny, ubogi i śmieszny. Zabiłeś smoka w jaskini wawelskiej, odebrałeś mu klucz od skarbów jego, przeczytałeś wszystkie książki, jakie były na lipskim jarmarku — o! ja cię bardzo kocham, Benjaminie. Każesz mi zrobić balon z pajęczyny, mój murzyn zaniesie go na najwyższą z gór Himalaja, tam sobie razem jak do kocza wsiądziemy, dwa moje małe szatanki dmuchną tylko i polecimy wysoko, wysoko, szukać Cypryana na gwiazdce polarnej. Śpiesz się tylko, mój kochany, i weź co cieplejszego, bo śniegów pełno na wierzchołku skały!

Ja się śpieszyłem, gorąco mi się robiło, gdyż wiedziałem, że lada chwila baba na mnie obejrzeć się może i znów mnie do łóżka zapakuje, a wtedy co ja poczne nieszczęśliwy? Wtedy Aspazya się dowie, że ja smoka nie zabiłem, że ani jednej więcej książki od tego czasu nie przeczytałem, że nie mam tuniki, płaszcza, koturnów, i że leżę pod flanelową kołdrą. Męczyłem się tą bojaźnią, jak zmorą, którąby mi na żołądku usiadła; co ją zepchnąłem na chwilkę, to znów wracała upornie. Zaledwie wstępowałem w wyłom ściany i opierałem głowę o kolana Aspazyi, zaledwie ona cośkolwiek przemówiła do mnie, zaraz tak wypadało, że powinienem był wstać, chodzić, ruszać się, bo albo mnie wysyłała po Cypryana, albo prosiła żebym jej przeczytał moje wiersze, które na samem dnie ogromnego kufra leżały, albo kazała sobie przynosić wachlarze, ołówki, cyrkle, harmonijki, worki pereł i czcionek drukarskich, pęki rozkwitłej paproci i pęki rózg liktorskich, i smocze zęby ze szczękami. A ja biedny, skoro tylko jednym muskułem drgnąłem, zaraz się widziałem rozciągniętym na łóżku z tą przy nogach moich babą szkaradną, która coraz wyżej i głębiej falowała

na swojej łódce, coraz groźniej głową swoją trzęsła. Nakoniec przedsięwziąłem pokorą ją wzruszyć — zacząłem do niej mówić głosem tak cichym jak myśl, i prosiłem, zaklinałem, żeby mi wstać pozwoliła, żeby mi nieznacznie podała te ubiory, które dla mnie za murem w otwartym pokoju wiszą, ale stara wykrzywiła się piekielnie i odpowiedziała mi, dzięki Bogu, że równie cicho przynajmniej:

— Nie uciekniesz mi stąd, będę cię trzymała, póki ci włosy nie osiwieją i póki wszystkich zębów nie stracisz; przykryję cię niemiecką pierzyną, włożę ci białą szlafmycę na głowę i do samego końca nosa przystawię ci dwie ogromne pijawki. Te pijawki, ta szlafmyca i pierzyna zabijały mnie—a tymczasem nad głową baby słyszałem jak Aspazya mówiła:

— Benjaminie, każ osiodłać twojego Sokoła, pojedziemy razem, o! zawsze razem, mój Benjaminie; nasze konie będą miały rzędy korałowe i złote podkowy; puścimy się z gór karpackich na ukraińskie stepy, jednem spięciem ostrogi Dniepr przeskoczymy i schwytamy Cypryana, przywieziem go matce. Prędko, wybierajże się, Benjaminie mój!

Na te słowa Aspazyi mnie rozpacz ogarnęła, wlepiłem oczy w starą moję strażniczkę i widząc, że nie uważa na mnie, wstałem jak mogłem najciszej; myślałem sobie: jeźli się obejrzy i krzyczeć zacznie, to ją uduszę—ale ona nie obejrzała się. Na ten raz dość jednostajnie zanurzała i wynurzała się wśród płynącego dokoła światła. Uszczęśliwiony jej spokojnością, kocim krokiem podszedłem ku szafie z rzeczami, wyciągnąłem płaszcz tylko, okryłem się nim i mając jakieś niepewne wyobrażenie, że choć to ubiór mniej dostateczny, będzie można po drodze innego dostać, sunąłem się jak cień ku drzwiom, schwyciłem za klamkę i dalej w nogi. Zdawało mi się, że usłyszałem wkrótce głośne wołanie za sobą —„Panie Benjaminie! panie Benjaminie!“ lecz ja wiedziałem co mnie czeka— pierzyna, szlafmyca i pijawki u nosa, nie odzywałem się przeto, biegłem ciągle, a noc była czarna jak atra-

ment. a każdy krok mój cichy jak westchnienie, gdyż biegłem boso. Według mojego zamiaru. chciałem wielkie koło określić i z drugiej strony wejść do tego pokoju. w którym Aspazya czekała na mnie; kiedy mi się zdawało że już blizki celu byłem, nagle zimno dotkliwe nogi mi podcięło, zachwiałem się i upadłem, upadłem w wodę. Rzeczywistość niebezpieczeństwa wróciła mię do przytomności, chciałem wołać o pomoc, ale woda zalała mi usta; zrobiłem machinalnie kilka poruszeń jak do pływania i znów z sił opadłem. fałdy mego płaszcza uniosły mnie tylko, nurt wody pchnął ku brzegowi. a czując pod ręką jakieś krzaki i zarośla, schwyciłem się ich z całą mocą. która mi została jeszcze.

Co ma być, to się stanie; wierzą Turcy i ja wierzę: nie uciekniesz przeznaczeniu. Kiedy się po raz drugi ocknąłem, głowa moja złożona była na łonie kobiety, oczy moje patrzyły jakby jeszcze w chorobliwej gorączki rojeniach na jej piękną twarz ku mojej twarzy schyloną.

— Biedne dziecię — mówiła, a tak słodko i tkliwie, jakby matki głosem: — biedne dziecię, co tobie? czy ty doprawdy ubogi i nieszczęśliwy bardzo?

Na te słowa wróciło mi pojęcie życia z całą boleścią swoją i ze wszystkiemi radościami swojemi — okropna strata i najpiękniejsza nadzieja razem w zbudzone serce uderzyły, wydołać im nie mogłem. łkania pierś przepełniły, zasłoniłem twarz rękoma i rozpłakałem się rzewnemi łzami, jak kobieta.

— Czegóż ty płaczesz. chłopcze? — pytała mię ciągle. — Czyś słaby, przeziębły. czy żałujesz żeś nie utonął?

— Nie, pani, ja tylko bardzo chory byłem; w gorączce musiałem z domu wybiedz; nie wiem jakim sposobem tutaj się dostałem, nie wiem gdzie jestem, nie wiem zkąd przy tobie...

— A czy poznajesz mnie?

— Och! poznaję.

— I któż ja jestem?

— Ty jesteś... — zatrzymałem się, bom nie mógł przypomnieć sobie, czy mi powiedziała kiedykolwiek nazwisko swoje, a strach mi było, żeby niedokładnej odpowiedzi za nowy objaw choroby nie wzięła. Wreszcie przyszły mi na myśl jej własne słowa, uśmiechnąłem się z poza łez moich i rzekłem:—Ty jesteś piękną kobietą.

— Dobrą masz pamięć, Benjaminie — odpowiedziała wesoło — pójdź zato do łódki mojej, wrócimy razem na zamek.

— Mój dom jest bliżej od zamku — przełożyłem nieśmiele — za kilka chwil już będę miał dosyć siły, żebym sam wrócił do niego.

— Nie zdaje mi się, Benjaminie, bardzo jeszcze osłabionym jesteś. Pójdź lepiej, razem do czółna wsiądziemy. Oprzyj się na mnie, ja cię poprowadzę.

— Och! nie, nie! jeszcze nie wstawaj pani, mnie tak najlepiej, jak teraz jestem! — i wistocie mnie tak najlepiej było. Czułem, że niby fale ciepła, jasności i życia uderzały o pierś moję, a pierś wzbierała niemi powoli, lecz bezustannie. Sama wzmianka o jakiejbądź zmianie miejsca przejmowała mnie niepojętą trwogą. Zamek i łódka, te wyrazy szczególniej dziwnem rozdrażnieniem wstrzymywały prawie przystęp sił wracających. — Ach! gdyby ona była raczej o moim domku wspomniała, gdyby ona tak poszła ze mną, jak ja z nią później poszedłem—kto wie? może to była chwila stanowcza, chwila, w której się losy nasze ważyły, w której ja mogłem ją przyciągnąć ku sobie i kołem ducha mojego zakreślić i ukochaniem mojem na całą naszę wspólną przyszłość zaczarować! Inaczej się stało — powstydziłem się ubóstwa mojego—źle mówię, pożałowałem tylko mojej pięknej w niskie progi i w nieozdobne ściany; nie śmiałem żądać, aby ona w moję stronę poszła, i gdy mi się zdało, że mię przez litość odstąpić nie zechce, nie może, przyrzekłem wreszcie, że jej stroną pójdę.

— Ale zostańmy tu, zostańmy tu jeszcze — pro-

siłem się jak dziecko i obwijałem sobie szyję białem jej ramieniem.

— Czy nie masz dość już mocy, by choć na chwilę powstać? — pytała mię łagodnie.

— Och! to nie o moc chodzi—odpowiadałem jej— ja chcę tylko użyć daru Cypryana. On śmiercią swoją kupił dla mnie zjawienie się twoje — ty musiałas przyjść, musiałaś mię tak objąć wskrzeszającym uściskiem. tak przytulić do łona swojego — bo on kazał i umarł.

— Cicho, cicho, znów ci gorączka wraca. a ja nie lubię maligny.

— Możebyś chciała tak szydzić i żartować ze mnie. jak w owej nocy, piękna, czy pamiętasz ją? Och, ja się niczem nie zrażę. ja żadnemu złemu już nie uwierzę nigdy. bo ty mię kochać będziesz — widzisz sama jak wszystko się składa według myśli Cypryana. Ja cierpiałem, mnie śmierć zagrażała. a ty zstąpiłaś ku mnie. wzięłaś na ręce. życie przywołałaś ubiegłe. Jakże ty mię kochać będziesz musiała. kiedy to się tak wielką miłością kocha tych. którym się dobrze czyni? Wszak prawda. piękna moja? Chociażbyś serce wyrzuciła z swej piersi. choćbyś wszelkiemu zaprzeczyła uczuciu. choćbyś wzgardą i nienawiścią na cały świat ten cisnęła—jeszcze. jeszcze wtedy kochaćbyś musiała tego. któryby w potrzebie wsparcie. w niebezpieczeństwie życie przyjął od ciebie. Powiedz mi. żebyś go kochała—choć tylko na wrażenie przyjemne. na jedno słowo poczciwe. na jednę miłą pamiątkę. Och! powiedz mi, żebyś go kochała!...

Uśmiechnęła się. lecz jej wzrok obojętny. zimny, ledwo zdziwiony trochę, padł mi jak ołów na czoło.

— Chcesz koniecznie dobry uczynek wmówić we mnie. Benjaminie.—rzekła prawie wesołym głosem: — nie uda ci się. Dość piękną jestem. bym się bez pożyczanych zasług obejść mogła. Że tu jestem. że tobie przytomność wróciła w tej chwili własnie, gdy głowy twojej moje ręce dotknęły, wszystko to jest przypadkiem jedynie. Sam osądź. Zmęczyła mnie już uczta,

której początek widziałeś — trwała trzy dni i trzy nocy. Podróżni żegnali się, mijając mój zamek, strach padł na okolicę, bajeczne wieści po kraju się rozeszły. Ale bo też prawda, że wielkie, bardzo wielkie obchodziłam święto...— i na tem słowie umilkła przez chwilę i zamyśliła się.

— Jakie święto? — spytałem jej.

— Och! wyobraź sobie, że na przykład święto twojemu świętu podobne: wracałam do życia i najpierw zdawało mi się, że odzyskałam wszystko tak, jako niegdyś było, ale dzisiaj nad ranem spostrzegłam, że mi czegoś brakuje. Zaczęłam szukać, szukać, znaleść ani przypomnieć sobie nie mogłam— ogarnęła mię czczość i nuda. Zniknęłam więc gościom moim, rzuciłam się w tę łódkę i z wodą popłynęłam. Ach! jak mi dobrze było! Może w godzinę potem słońce zaczęło wschodzić—ja tak lubię słońce—a woda! co za prześliczna woda była w rzece! Pod uderzeniem wiosła przelewała mi się, niby krwią najczystszego metalicznego blasku; a jakie srebrne rozesłały się po błoniach mgliste tumany, to wyraźnie wielkie morza, jeziora i stawy. Dachy domów pływały po nich jak wysepki maleńkie, a drzewa majaczyły jak duchy olbrzymów. Nie mogłam się dość nacieszyć tem wszystkiem, gdy niespodzianie wśród krzaków ujrzałam postać jakąś nad brzegiem leżącą. Bardzo prędko poznałam cię, bo mam wzrok bystry i wierną pamięć, ale nie zawołałam, bo mi się podobałeś w tem uśpieniu swojem; pięknie ci było, jak gdybyś ty, młody bożek szklistych nurtów rzeki, dobrowolnie w wieczystą nieruchomość przyległ u jej boku. Świeże gałązki wierzbiny powikłały się niby wieńce i korony nad głową twoją, płaszcz twój ułożył się w snycerskiej dokładności fałdy, woda jak rozkochana nimfa całowała białe stopy twoje. Długo bardzo przypatrywałam ci się z zachwyceniem; nakoniec widząc niezmierną bladość twej twarzy, przyszło mi do myśli, że może już nie żyjesz. Wtedy...

— Och! widzisz, że wtedy pożałowałaś mnie i pomoc przyniosłaś!

— Nie, Benjaminie, wtedy pożałowałam tylko piękności twojej, obrazka mojego; chciałam na dłużej trochę zasłonić cię przed słońca upałem i przed dziobami kruków żarłocznych. Wysiadłam więc na ląd, rozpostarłam nad tobą tę, którą widzisz, zasłonę i gdy mi wypadło głowę twoję w głębszy cień jeszcze usunąć, wzięłam ją do rąk; a ty wtedy westchnąłeś i ożyłeś.

— To więc tak było tylko?...

— Tak, moje dziecko; lecz zkądże nowe łzy w oczach?

— Z choroby i z żalu; nie pytaj mnie pani...

— I owszem, ja chcę wszystko wiedzieć, wszystko i zawsze; no, przyznaj się, chłopcze! Może się we mnie od owego wieczora szalenie pokochałeś, a widząc żeś niekochany, chciałeś sobie życie odebrać?... Ja ci tego za złe nie wezmę.

— Och! Boże! Boże! jakież domysły okropne, jakaż spokojność kamienna... Nie, nie, Cypryan skłamać musiał chyba!

— Któż to jest ów Cypryan, którego już po raz drugi wspominasz?

— Cypryan jest ten, co powiedział, co mi pokazał, że ty mnie kochać będziesz...

— Dziwna rzecz, nie znam go wcale, a jednakże zaczekaj... kochać... kochać ciebie — och! czy to ja nie tego szukałam właśnie? Kto wie? czemuż jabym cię kochać nie miała?

— Kobieto, nie powtarzaj słów takich, one zabijają, zabijają!...

— A toż dlaczego, Benjaminie, jeśli prawdą będą?—I nagle słońce wszystkiemi promieniami zagrało po szklistości jej ciemno-zielonych oczu.—Jeśli prawdą będą, jeśli ja cię ukocham, ożyję zupełnie nowem, czy też dawnem życiem; jeśli ci powiem: wyczerpnęłam wszystkie zbytki, uciechy i szaleństwa, przerzuciłam karty ksiąg najmędrszych, mam i znam wszystko, ale

mi świata zabrakło, a przypomniałam sobie o innym świecie, o szczęściu innem — więc chcę miłości! Beni mój, kochaj mnie, Beni mój, ja cię kochać będę...

Przez chwilę słowa wymówić nie mogłem.

— Słuchaj, Aspazyo! — rzekłem nakoniec z trudnością, — Aspazyo! bo wszakże tobie Aspazya na imię?

— Już ci to w zamku powiedzieć musiano.

— Nie, nie w zamku, pierwej daleko. Słuchaj więc, Aspazyo, słuchaj, bo to jest chwila jedyna może i ostatnia, w której mam siłę zebrać resztę zastanowienia i powiedzieć te słowa: Jeśli czujesz, że co wyrzekłaś teraz, jest tylko dowolną twej wyobraźni igraszką, jeśli umiesz bawić się jedynie pięknemi dźwiękami i układać je tak, by żywe na słuchaczach wrażenie robiły, jeśli wiesz, że tak być nie może, jak obiecujesz że będzie — Aspazyo, Aspazyo! jeśli ty nie chcesz lub zdolną nie jesteś kochać, och! przez litość, ja cię nie potępię — mów, mów prawdę tylko! Może ty pragniesz hołdów, uwielbienia, miłości? Możeś ty dumna i chcesz, bym w proch się ukorzył przed tobą? Mów, mnie i na to serca wystarczy; ja o wyższość potęgi walczyć z tobą nie myślę, poprzestanę na obrazie twoim, nie zbluźnię ci nigdy innej kobiety wyborem, ale powiedz, że słowa twoje były żartem, że szaleństwem nadzieja zbudzona! Powiedz i zostaw mnie tu samym; choćbym nie miał siły zawlec się do domu, choćbym tu skonał opuszczony i biedny, jeszcze w skonaniu błogosławić ci będę i powiem przed Bogiem w niebie: Och! to szlachetna kobieta! Aspazyo, miej litość — ty nie pojmiesz nigdy, jeśli sama nie pokochasz, ile szczęścia, ile ducha mojego zmieszało się z głosem twoim, gdy mówiłaś do mnie. Gdyby taka radość wsączyła się kiedy w krew żył moich, gdyby stan podobny przeszedł choć na dzień jeden w uznanie moje i gdyby potem rozłączyć mi się z nim przyszło; gdybym musiał kawałami wyszarpywać moje serce temu złudzeniu. Aspazyo! ja w tej chwili miałem piekielne objawienie, żebym tego nie zniósł. Aspazyo,

oszczędź mi tej boleści!... porzuć mię. zapomnij, teraz czas jeszcze — teraz tylko szczęście moje uniesiesz ze sobą!

I opowiedziałem jej wszystko, kim ja byłem, co mi Cypryan mówił, jak mi nieszczęścia unikać kazał, jak razem z obrazem wiadomość o jego śmierci mię doszła.

— Patrz, Aspazyo, mój brat miał słuszność—dodałem nareszcie — ja nigdy cierpieć nie powinienem; patrz jak mnie złamała pierwsza zła przygoda. Znalazłaś mię przy drodze twojej jak sierotę, jak żebraka, biednym, chorym, umarłym prawie — co tobie drażnić się z tak słabą istotą? co tobie na niepewność rzucać całą przyszłość moję? Aspazyo, jeśli kochać nie możesz, bądź litościwą, miej prawość, rzetelność choćby kupiecką tylko, miej odwagę męzkiej poczciwości — idź precz ztąd, zostaw, zostaw mię!

I składałem ręce i modliłem się, a jej lica rozbłysnęły gorętszym rumieńcem, pochyliła się nademną, ustami dotknęła ust moich i słyszałem jak mówiła:

— Nie lękaj się, nie lękaj. Beni mój, ja cię nie opuszczę, Beni mój, ja kocham ciebie!

Niebo świeciło najpiękniejszą pogodą swoją; rzeka niby roztopionem słońcem płynęła, na rzece łódka maleńka pomykała się lekko, a w łódce była Aspazya, a białe jej ręce z siłą i wdziękiem raz po raz pluskały o migotliwą wodę kunsztownem wiosłem, którego hebanowa rękojeść dziwną sprzeczność z trzymającemi ją dłoniami tworzyła; a u nóg Aspazyi na porzuconej tygrysiej skórze ja leżałem, bezsilny jeszcze, odurzony resztą gorączki, i dnia światłością i szczęściem mojem.

— Któż ty jesteś, Aspazyo? — mówiłem.

— Kto jestem? — odpowiadała ona — czy dziecię chce powieści, jak śpiewki przed uśnieniem, czy mój kochanek nie zna mię? — I śmiała się i zaczynała tysiączne cudowności o zaklętych księżniczkach, o salamandrach, o Greczynkach niewolnicach w sułtańskim seraju, i w najciekawszych miejscach przerywała sobie

i pytała mię znowu:—A ta czy ci się podoba?—i gdym się do niej uśmiechnął, to mi mówiła:— Otóż ja nią jestem — i tak płynęliśmy w górę rzeki, a ja zapomniałem o wszystkiem, zapomniałem o śmierci Cypryana. Aspazya wzięła mi z duszy cały mój żal za umarłym.

Od tej chwili zostałem przy niej; porzuciłem mój zawód, nie wróciłem do domu.

Ale, ale, moi kochani, obiecałem, że kiedyś powiem wam którą z tych bajek, co mi Teresia tak często opowiadała; właśnie przypomniałem sobie jednę, słuchajcie, póki nie zapomnę.

Gdzieś nad bardzo głębokiem morzem stał bardzo wysoki zamek na bardzo wysokiej skale i bardzo mała chatka na bardzo niskim brzegu; w chatce mieszkał rybak, piękny, młody, w zamku mieszkała piękna, młoda księżniczka. Rybak pokochał księżniczkę —księżniczka przyrzekła kochać rybaka. Jednej nocy rybak usnął w chatce swojej, księżniczka umarła w swoim pysznym zamku. Rybak płakał dzień cały, płakał i noc całą, a księżniczce na zamku śpiewały stare mnichy z długiemi brodami i stare baby z wypadłemi oczyma. Na drugi dzień i przez całą drugą noc rybak się modlił ciągle, a księżniczkę ubrano w złociste suknie, zamknięto w kryształowej trumnie, wstawiono do grobu, przyciśnięto ciężkim kamieniem i kamień zapieczętowano królewską pieczęcią. Przez trzeci dzień rybak założył ręce, siedział nad brzegiem morza i ani sieci nie zarzucił, ani czółna nie naprawił, a księżniczka leżała w zimnym i ciemnym grobie pod ogromnym kamieniem, pod pieczęcią królewską. Na trzecią noc rybak leżał w chatce swojej, ale nie spał— z dwunastą godziną uchyliły się drzwi chaty i weszła księżniczka w swojej złocistej sukni, ale bardzo drżąca i blada. Rybak wyciągnął do niej ręce, a księżniczka spytała go:

— Czyś ty mię kochał, rybaku?

— Jakżeż ja cię kochać nie miałem — rybak odpowiedział — kiedyś ty umarła, a ja się trupa twojego nie lękam?

— Dziękuję ci, rybaku — rzekła na to księżniczka i schyliwszy się, odgarnęła mu włosy z jednej strony głowy i pocałowała w samę skroń.

I tak było nocy następnej i jeszcze następnej i wszystkich nocy przez lat trzy.

A tymczasem twarz rybaka coraz bledszą się stawała, ręce jego coraz słabsze; nie wychodził za próg domu, nie siadywał nad brzegiem morza, nie wstawał z posłania swego. Przyszedł doń ksiądz i mówił Spowiadaj się, biedny człowiecze, bo twoja śmierć bliska.

A on się dziwnie do księdza uśmiechnął i ręce położywszy na sercu, mówił:

— Nie, jeszcze mam sześć nocy przed sobą; siódmej nocy przyjdźcie tu.

I siódmej nocy przyszedł ksiądz, a za księdzem chłopiec mały z zapaloną gromnicą i olejami świętemi, z wodą święconą i kropidłem w ręku.

Ksiądz i chłopiec widzieli, jak nad posłaniem rybaka stała jakaś postać w złocistej sukni z załamanemi rękoma, a rybak już leżał blady i nieżywy.

Ksiądz się przeżegnał, postać zniknęła, ale rybak nie wstał już; ciało jego było blade jak kreda, na prawej skroni tylko miał włosy rozgarnięte i znak drobny, jak od ukłucia szpilki maleńkiej.

Ksiądz przelękły pośpieszył na zamek, wezwał kapelana i wszystkich obecnych, zstąpili razem do sklepień kościelnych, znaleźli na grobie księżniczki pęknięty ogromny kamień i pozrywane królewskie pieczęcie. Kamień odwalili, ujrzeli w kryształowej trumnie piękną księżniczkę, świeżą jakby snem najrozkoszniejszym zasnęła, a tylko na jej ustach, niby koralu ziarno, maleńka jeszcze kropla krwi świeciła.

Na was, moi państwo, jak widzę, ta powiastka żadnego nie robi wrażenia — może się gniewacie, że ją tak niepotrzebnie wtrąciłem, lecz nie uwierzycie, jak ona w moich dziecinnych latach dziwny jakiś wpływ wywierała na mnie. Pamiętam, kiedy przychodziło do tego miejsca, w którem księżniczka rozgarnia włosy rybaka i całuje go w skronie, mnie, co wiedziałem, że

ona tym pocałunkiem kroplę krwi jego pije. mnie wtedy zawsze robiło się tak zimno, tak niespokojnie, jak gdybym czuł dotknięcie tych ust trupich i zabójczych.

Albercie, wszak już raz przyświadczyłeś, że przeczucie istnieje.

Och! ja także...

Najpierw oddałem jej wspomnienie umarłego brata: wciągnęła je pocałunkiem, rozwiała na słowa.

Potem oddałem jej wszystkie moje upodobania. Przestałem kochać kwiaty, ona je lubić zaczęła; na jej głowie, przy jej boku, we wszystkich wazonach etruskich, wszędzie pełno było kwiatów, a mnie radość upajała, że straciwszy, jej rzuciłem choć jednę przyjemność w życiu. Któregoś dnia wystarałem się dla niej fuksyi, prześlicznego kwiatka, co swojemi dzwoneczkami jak krwawemi łzami płacze. Aspazya zerwała pełniejsze gałązki, pieściła je, pocieszała niby ludzkie zasmucone serce, potem zwiędły w jej ręku — wyrzuciła przez okno— potem na trzeci dzień i fuksya zwiędła w doniczce i znów ją wyrzucić kazała, a gdym pytał zasmucony, czemu ona już nie żyje?

— Zapomniałam — rzekła tylko.

Potem jednego wieczora, gdyśmy siedzieli pod ciepłem niebem południowych krain, ja wzniosłem oczy i patrzyłem ku gwiazdom dawnem spojrzeniem dzieciństwa mego. — O czem tak dumasz? — pytała mnie Aspazya, a ja ręką ku górze wskazałem i rzekłem jej: — Patrz, weź to, moja luba, to piękne, świetne, to chwile naszego szczęścia uzupełnia, bo wieczność obiecuje.—Aspazya spojrzała za kierunkiem mej ręki i powtórzyła: — Ach! to piękne, to piękne — czemu ja na to patrzeć zapomniałam? Dziękuję ci, Beni mój, żeś mi przypomniał znowu. Ach! to piękne, i takie wielkie, takie niezmierzone; to się wołać zdaje: prochem jesteś, chwilką jesteś, nie trudź myśli, nie trudź ręki, nie zużywaj sił twoich na poznanie złego i dobrego, bo w naszej nieskończoności byt jest prawdą jedyną, wypełnienie bytu przypadkiem, kształty, zdarzenia, łzy, uśmiechy—obojętnością. Ach! jak ja kocham te gwia-

zdy, jak one mi mówią że ja młodą jestem, że panią wszechwładną losu mojego, że na mnie inne nie ciążą prawa, tylko prawa mej własnej woli i prawa czasu temi jasnemi zgłoskami wypisane: Wszystko było — ty jesteś — wszystko zawsze będzie. — Od tej chwili Aspazya częściej w niebo patrzyła, a ja gwiazdy kochać przestałem.

Potem — już nie wiem gdzie to było — widzę tylko rozesłane miękkie dywany, ściany zawieszone zwojami ciemnej lecz złotem przetykanej materyi, okna w marmur i złoto objęte i roztworzone na jakieś gęste zagajenie drzew rozłożystych i wonnych. Aspazya w pół leżąca, w pół na jednym łokciu wzniesiona, patrzyła niedbale w kartki opartej przed nią na głowie hebanowego sfinksa książki, ja zdala nieco siedziałam, i dziś nie pomnę, czemu mi było smutno jakoś. Wtem zpomiędzy drzew ciemnych, przez otwarte okno wzbił się ku nam głos czysty, dźwięczny; głos ten nucił piosenkę miłosną — prostą, nieozdobną, ale tak rzewną, tak tkliwą, że przypomniałem sobie i moję Julkę, i ławeczkę na której siadywała, i wszystkie dumki, których siedząc, przy jej nogach tak słuchać lubiłem.

— Pójdź do mnie, pójdź do mnie, Beni mój — zawołał głos Aspazyi; rzuciłem wspomnienia i poszedłem, a ona, objąwszy mnie za szyję:—Czy słyszysz?— mówiła do mnie — czy słyszych jak ta piosenka całuje czoło i usta? — A z każdem zapytaniem Aspazya pieściła mię tak, jak szły słowa piosenki, i od tej chwili dźwięk śpiewów był mi tylko pięknym przez wrażenia jej — i przestałem kochać pieśni. Potem przyszło mi na raz wiele listów z domu.

Brat mój Adaś napisał: Benjaminie! pożegnałem się z żoną i dziećmi mojemi, wracaj do nas.

Brat mój Józef napisał: Benjaminie! ogień zniszczył zagrodę moję, wiatr pustemi stodołami przewiewa, niema ręki coby pług lub radło wzięła, wracaj do nas.

Brat mój Karol napisał: Benjaminie, wszystko pójdzie dobrze, ale wracaj do nas.

Ojciec napisał: Benjaminie! przy urodzeniu twojem błogosławiłem, że się człowiek światu narodził, że przybyło jedno serce do kochania, dwie ręce do użytecznej pracy. Serca i rąk nam dziś trzeba, wracaj do nas.

Matka napisała: Benjaminie! w mojem łonie cię nosiłam, z moich piersi mleko ssałeś, ty wrócisz, kiedy matka w smutku i potrzebie zawoła: Synu! synu! wracaj do nas!

Ale Aspazya rzekła: Tam skarb twój, gdzie serce twoje — tam władza, gdzie kochanie, tam powinność, gdzie wolna wola. Ojca, matkę, rodzinę przypadek dał tobie — mnie ty wybrałeś, ty wziąłeś sobie zpośród świata całego i ze mną tylko cały świat twój. Alboż ty rośliną jesteś, żeby miejsce jedno, grunt jeden upodobać sobie? Od bieguna do bieguna ziemia naszą, a kędy wiatru tchnienie wonniejsze, kędy głos słowika pieściwszy, kędy rzeźwiej krew w żyłach płynie, kędy serca namiętniej uderzają, kędy natrętnych głosów cudzej boleści nie słychać, tam rozbijmy białe namioty nasze i tam żyjmy, kochajmy, bo tam przyobiecany kraj Chanaanu, tam wybrana Jerozolima nasza...

I nie wróciłem... Odtąd przestałem kochać rodziców, siostry, braci moich — wszystko, wszystko! Aspazyą kochałem tylko i nie przerażała mię ta nędza moralna — w niej odnajdywałem siebie i ona wypożyczyła mi nowej jakiejś władzy i zdolności. Chciała bogactw, rzuciłem się w szalone przedsięwzięcia. Okręty do brzegów Europy z wszystkich stron świata niosły mi zyski i złoto, miliony płynęły przez ręce moje.

Chciała wielkości, zaszczytów — wnet pozawieszałem na szyi krzyże wszystkich świętych z kalendarza i wyobrażenia wszystkich zwierząt od słonia do baranka, i miano mi raz nawet jakąś podwiązkę koło nogi zawiązać... Och! już zapomniałem, co za drogami biegłem przez te niespokojnej wyobraźni dziwactwa. Czarne gondole Wenecyi, dym Wezuwiuszu, parlament angielski, wiedeńskie walce, paryskie salony, Eskurial, piramidy Egiptu i niemieckie księgarnie —

wszystko razem mąci mi się w głowie, jak różnofarbne szkiełka kalejdoskopu. Pamiętam jak przez mgłę, że nazywano mnie hrabią, baronem, lordem, eccelenze, że mi doktorski biret na głowę wsadzono i że kiedyś jak coś mówiłem, grono ludzi poważnych z rogatemi czapkami i w długich, czarnych togach wyszczerzało do mnie ponadpsowane zęby i klaskało mi w chude, grube, kościste ręce... Z tych naddatków nic a nic do wspomnień moich nie przybyło, nic a nic do historyi życia nie weszło, bo to nie byłem ja, to były jednochwilowe życzenia, fantazye, upodobania Aspazyi — ja byłem tylko w jej uśmiechu, w jej wesołości, w jej słowie przychwalającem. I tak mi zeszło kilka lat życia.

Przez ten czas Aspazya roztrwoniła wszystkie wspólne dostatki nasze; zapał, natchnienie, uczucie piękna, władzę cieszenia się, pojmowania, tworzenia coraz-to nowych a ciągle uiszczanych marzeń, władzę szczęścia, miłość całą moję ona wzięła i zmarnowała. Ach! wtedy nastąpiło okropne jutro.

Próżnia ducha mojego wypełniła się nowemi pierwiastkami — zacząłem cierpieć, oburzać się i niepokoić, zazdrościć i nienawidzieć. Trudno byłoby mi z wszelkiem stopniowaniem opowiedzieć wam, jak to zepsucie rozszerzało się w mej piersi, jak ta gangrena ogarniała mię powoli.

Dłoń, której Aspazya nie ścisnęła wzajemnie, spojrzenie obojętne jej oczu martwiejących w dawną kamienność swoję, jej głos przycięty i bezdźwięczny, długie godziny roztargnienia, nieuwagi i posępności — dla was to wszystko byłoby nudne, a dla mnie dziś także zadziwiająco czcze i jednostajne. Wspomnę wam tylko ostatnie zdarzenie. Doszedłem już po tę miarę boleści i zepsucia, w której człowiek wstydzi się nieszczęścia gorzej niż trądu, a nieszczęście rozdrabnia na wszystkie otaczające go przedmioty, okoliczności, wypadki, i przeciw każdemu widomemu ułamkowi tej niewidomej całości natęża siły swoje, ostatecznych chwyta się środków i potem dziwi się, że ta-

kie walki przetrwał, takie góry pozrzucał, a tu nowe łby odrastają hydrze i o owe gruzy potrąca się jego noga. Więc też ślepa jakaś wściekłość go opanowywa, instynktownie tłucze pięściami na wszystkie strony, a czy to rozbije, co mu najdroższem, czy we własną głowę uderzy, czy w kodeks prawny, on już nie dba o to, byle sobie ulżyć choć na jedno odetchnienie, byle przestać cierpieć choć przez czas ruchu zegarowego wahadła. Otóż, jako wam rzekłem, ja byłem w tej chwili właśnie choroby nieszczęścia. Siedzieliśmy przy wspaniałej uczcie, stół uginał się od sreber, złota, kryształów, błękitne płomyki tlejącego ponczu tu i owdzie migały jak potępione duszyczki, a czarnemi dziobami lamp z żelaza ulanych na herkulańskie wzory tryskała jasność rażąca i czerwonawa. Niewiele nas było osób: ona, ja i ktoś trzeci. Ona go wzięła za rękę, swoją czarą o puhar jego trąciła, a on się pochylił i dotknął ustami brzegów tej czary w miejscu, w którem ona dotknęła ich pierwej.

Spojrzałem na tego człowieka, on zadrżał i wskazując Aspazyi, szepnął zcicha: Benjamin mię zabije.

Aspazya się rozśmiała.

— Nie, on ciebie nie zabije — mówiła wesoło — ja tak lubię ogniste spojrzenie twoich czarnych oczu, tak się cieszę, kiedy przemówisz tym głosem silnym jak rozkaz, nęcącym jak pokusa, a Beni kocha mię tak szczerze, a Beni tak żyje tylko życiem mojem. Beni tak czuje tylko moją rozkoszą, że onby nigdy zabić cię nie mógł. Wszakże prawda, Beni? Miłość twoja najwyższa, najzupełniejsza, najprawdziwsza — miłość twoja używa mojem szczęściem tylko, miłość twoja nie pragnie, lecz kocha mnie — wszak prawda, Beni? —

Biedna Aspazya pomyliła się w czasie.

Prawdą było to dawniej, wtedy kłamstwem już... Dawna owa niczem niezachwiana wiara w serce moje, owa pewność wszystkich poświęceń z mej strony trzymała mię przykutym do skinienia jej ręki; ale dawniej było wiele jeszcze dobrego we mnie, dawniej kochałem

ją, a wtedy czułem tylko, iż nienawidzę wszystkich, których ona jak na stypie mej duszy dzieliła okruszynami tego, co ja jej dałem, kochania.

Po uczcie oddalił się cudzy człowiek; wyszedłem za nim i szedłem długo przez ciemnych ulic zakręty. Do końca jednej ulicy przytykał plac rozległy i pusty, na całej jego przestrzeni chwiały się tylko we mgle wilgotnego powietrza dwa światełka dwóch zapalonych latarni. Zbliżyłem się do człowieka i powiedziałem mu:

— Zgadłeś dziś los swój: ja ciebie zabiję.

Człowiek ten był uzbrojony, miał szpadę przy boku i puginał za pasem, bronił się odważnie, z rozpaczą, ale ja go zabiłem — i wracałem tą samą drogą, a zamiast latarni, świeciły przedemną dwa okropne rozwarte i bielmem zaszłe oczy.

I wróciłem do Aspazyi, powiedziałem jej wszystko; Aspazya wysłuchała mnie bez oburzenia, bez wstrętu, ale zamyśliła się głęboko — i po długiem milczeniu rzekła zimnym głosem sądowego wyroku:

— Ja ciebie nie kocham, ty mię nie kochasz, rozstańmy się, Benjaminie.

Gdym usłyszał te słowa, ciemno mi się zrobiło i język mi zdrętwiał; potem przez chwilę patrzyłem na tę kobietę i w mózgu moim postawa jej odbijała się z taką dokładnością, jak niegdyś postawa tego wilka, co Zittę za piersi chwytał. Nie uszło mojej baczności ani jedno zawiązanie misternych kółeczek perłowej siatki, którą na włosach miała, ani jeden fałd jej kaszemirowej, jasno-zielonej sukni — pamiętam każdy odblask światła, który się łamał w dwóch przepysznych opałach na jej obnażonych ręku bransoletami upiętych; pamiętam jak trzymała te ręce łokciami przed sobą wsparte o stół ciemny i w dziwaczne arabeski mozajką wykładany; pamiętam jak na zaciśniętych dłoniach brodę oparła, jak jej szyja wygięła się przez to, jak cała głowa w tył przerzuciła, jak jej to nadawało wyraz dumy i zuchwalstwa, jak mi spoglądała w oczy temi swojemi oczyma, które jej poczernia-

ły prawie od czarnej krwi jej serca. Potem—och! potem — wzgarda płomieniem z piersi do ust mi buchnęła, rozgrzał mi się język, splunąłem z niego wszystkie obelgi, wszystkie moje męczarnie, wszystkie przekleństwa. Aspazya słuchała ich z tąż samą spokojnością jak pierwej, gdym jej mówił, że przez nią i dla niej zabiłem człowieka. Ta spokojność wywołała ze mnie wściekłą i dziką myśl zemsty; przyszło mi na myśl, że jak ją zabiję, to przecież choć pod pchnięciem sztyletu zadrgną rysy jej twarzy i usta jękną boleścią... Chęć moja uprzytomniła mi się tak dobitnie, że gdym ją nagle ujrzał prawie spełnioną, sam siebie się przeląkłem i uciekłem z pokoju... Dziwna rzecz — anibyście zgadli, czego ja najwięcej żałowałem, gdym z pierwszego uniesienia zawziętości ochłonął. Dziwna rzecz, ja żałowałem, że Aspazyi nie zabiłem dawniej, och! dawniej, kiedy ją kochałem jeszcze. Mnie rozpacz brała nie za kobietą, lecz za miłością moją. Nie mieć miłości, tracić tak najpierwszy istnienia swojego warunek, patrzeć tak na pogrzeb własnej duszy dlatego, że się na ohydę wybranego przedmiotu patrzyło, to okropnie! Czyż nie lepiej byłoby, czyż nie stokroć lepiej, gdybym był zabił Aspazyą wtedy, jak ona ze mną razem na gwiazdy patrzyła, jak włosy i oczy moje całowała, słuchając zdala płynącej piosenki — czyż nie lepiej? Ja umarłą byłbym owinął we wszystkie pamiątki moje i byłbym przechował na dnie serca bez uszkodzenia, bez zmazy grobowej, i byłbym ją kochał na wieki—i wtedy przypomniałem sobie te pierwsze prawie do mnie wyrzeczone słowa: Bóg kocha zniszczeniem i tajemnicą. Zrozumiałem je — łzy mi w oczach stanęły. Aspazya znikła z pamięci, został tylko żal niewymowny, rozpaczliwa ku przeszłości tęsknota, wydarcie się wszystkich władz ducha ku temu, co już minęło!... Gdybym ja to miał, choć zniszczeniem i tajemnicą—tobym miał. Na wyższy sylogizm nie mógł się wtedy zdobyć mój umysł. Mieć jeszcze — mieć! — w to słowo zaklęły się zwroty wszystkich myśli moich, a biedny nic już nie miałem. Zrzuciłem mój ubiór bogaty, rozzułem

nogi moje, wziąłem płaszcz tylko na ramiona i wyszedłem z naszego pałacu takim, jakim mnie Aspazya przy drodze swojej spotkała. Takim? — och! nie — nie — nie takim wcale! Kiedym wielkie i puste, choć zawsze światłem gorejące przechodził salony i kiedy weneckie zwierciadła ze wszech stron odbiły moję postać ciemną, wychudłą, złamaną, na podróżnym kiju wspartą, mnie wielka litość nad sobą samym zdjęła. Czemu ja dzieckiem w rodzicielskiem domu nie zostałem, czemu mnie tak daleko od sióstr i braci wysłano? czemu zły duch mojego konia w stronę jej zamku popędził? czemu ona tam przypłynęła, gdzie ja byłbym może skonał w pierwszem szczęściu i w pierwszej boleści — skonał, niewinny, cichy, biały jak lilia, nim na nią kurz lub upał dnia skwarnego padnie? Czemu ona nie odeszła, kiedy ja przeczuwałem wszystko i prosiłem: „zostaw mnie?“ Byłbym umarł, albo dotychczas byłbym jeszcze siadywał przy obrazie Cypryana długiemi wieczorami po skończonej pracy, byłbym marzył, byłbym kochał — albo może... I przypomniałem sobie listy braci, ojca, matki... spuściłem wstydem okryte czoło, nie otarłem łez płynących — poszedłem dalej ciężką drogą moją. I szedłem długo, daleko przez gęste lasy, przez strome góry, przez rzeki i przez jeziora: a tymczasem dzienniki europejskie we wszystkich językach przetłumaczyły ważną, nadzwyczajną, niespodziewaną nowinę: „Hrabia Benjamin, donosił jeden z nich, komandor krzyżów, kawaler orderów, członek wielu uczonych towarzystw, zniknął nagle w nocy z 1-go na 2-gi listopada po odbytym pojedynku z księciem X., którego zabił. Nazajutrz był wielki bal w pałacu. Hrabina Aspazya przyjmowała kwiat naszych salonów z właściwym sobie wdziękiem i nie mogliśmy dość wydziwić się jej spokojnej wesołości, którą zapewne wszystkie domysły i podejrzenia oszukać chciała. Mówią powszechnie, że hrabia Benjamin, młodzieniec niepospolitych zdolności, genialny autor ważnego dzieła o starożytnościach etyopskich i zachwycającej książeczki drobnych poezyj pod tytu-

łem: *Czarnoksięstwa*, oraz najznakomitszy zpomiędzy dyplomatów naszych, był już oddawna w bliskich z tą panią stosunkach. Tajemnica, ale tajemnica pełna uroku i dobrego smaku, taka jaka od najsurowszych nawet sędziów wysokiej arystokracyi cierpianą bywa i przed którą się nawet rozwarły pyszne pokoje margrabiny X., tej skały niedostępnej powodziom dzisiejszych zwyczajów, tajemnica taka, mówimy, osłania życie tych dwóch zupełnie godnych siebie istot; z przyjemnością jednak możemy donieść czytelnikom naszym, że wszelkie hańbiące domysły o urodzeniu hrabi Benjamina są jaknajnikczemniejszą potwarzą. Szlachetne rysy jego zbyt jawnie świadczyły przeciwko tym, którzy mu chcieli izraelskie zarzucić pochodzenie, a teraz jeden wiarogodny z poufałych jego towarzyszy objaśnił nas zupełniej w tym względzie, lecz włożył zarazem trudny obowiązek dochowania wiernej tajemnicy. Zdaje się nam jednak, iż jej nie zdradzim, jeśli przydamy tylko, że za Beskidem może, w rozkosznej zaciszy książęcego ogrodu, na marmurach i wschodnich kobiercach pierwsze kroki stawiać zaczęło to dziecię nadzwyczajne, które miało zajść tak daleko i zniknąć tak nagle.“

Z gorzkim uśmiechem przeczytałem cały ten ustęp na kawałku wyrzuconej przez okno gazety. Hrabia Benjamin, człowiek genialny, domniemane jakieś serbskie czy wołoskie książątko, siedział wtedy pod murem gościnnego domu; śnieg i wiatr naprzemiany twarz jego smagały, a krew zamarzała na grubych szmatach, któremi nogi swoje obwinął. Daleko mu jeszcze było do końca podróży—och! daleko bardzo!

VI.

Dopiero w samą wigilią Bożego Narodzenia zobaczyłem na płachcie śniegowej czerniejącą wioseczkę maleńką; krzyż się wznosił u rozstajnej drogi, z poza dworskich zabudowań niby palce olbrzymiej dłoni cztety topole niebo wskazywały, a na środku dziedzińca szkielet bezlistnej lipy sterczał samotny i nieruchomy. Ja nie zapłakałem nawet, tylko mi coraz trudniej było nogi od ziemi odrywać i zbliżające stawiać kroki. Sam przed sobą wydawałem się jako umarły—cieniem, żywiołem wróconym tam, zkąd niegdyś kształty i czas życia wziąłem. Gdym wszedł na dziedziniec, psy okropnie szczekać najpierw, potem wyć zaczęły, a jednak nie zbliżył się i nie ukąsił mię żaden. „Czują trupa“ pomyślałem sobie i wszedłem do sieni. Za klamkę od pokoju ująć nie mogłem, nie śmiałem: padła na mnie wielka jakaś trwoga, jakiś wstyd dziecinny, kobiecy — byłbym chciał się pod ziemię schować, lecz w pokoju musiano wejście moje usłyszeć. Nagle drzwi się uchyliły i w szczelinie światła ukazała się główka maleńka.

— Ciociu! to ubogi — rzekł potem cienki, srebrzysty głosek dziewczęcy.

— Zanieś-że mu to — odpowiedział głos inny, znany dobrze, głos ten przenikającej rzewności, niepojętego smutku.

I po chwili drzwi się znowu rozwarły; mała dziewczynka stanęła przedemną z dużym kawałem chleba i z groszem jałmużny.

Wziąłem chleb, wziąłem grosz, pocałowałem jej rączkę i szedłem za nią.

— Czego chcesz jeszcze, dziadku?—spytała.

— Chcę podziękować tym, co mnie wsparli—odpowiedziałem i na progu stanąłem.

Stół był nakryty, siano podesłane, w jednym końcu siedziała kobieta, blada, z białemi jak srebro włosami w czarnej sukni i w czarnym czepku — po obu jej stronach młode żony, młodzi jeszcze mężowie, dorastające chłopcy i panienki, małe jak moja mała wspomożycielka dzieci — i opłatki połamane .. i wszystko tak podobnie, jak przed laty...

— Matko! matko moja! — krzyknąłem.

Kobieta w czarnej sukni zerwała się, ale sił jej zabrakło i znów na krzesło padła; między przytomnymi gwar jakiś powstał — wiem że wołano: — Benjaminie, co zrobiłeś! Matko, uspokuj się! — lecz ja tego wszystkiego nie pamiętam już — wspomnienia wracają mi od tej chwili dopiero, gdym się przytulał obłąkany, łkający do kolan czarno ubranej kobiety i gdy na czole z pocałunkiem jej łzę gorącą uczułem. To była łza mojej matki!... ja miałem jeszcze matkę!

— A gdzie ojciec?— wyjąknąłem nieśmiało, kryjąc twarz na łonie jej.

— Tam gdzie Józef i gdzie Karol — odpowiedziała cichym, ale serce rozdzierającym od niemej boleści głosem.

Podniosłem głowę, spojrzałem dokoła — prawda, nie było ich.

— Oni chrześciańską śmiercią pomarli—przydała matka

— A nie nad ich zgonem wypłynęły najbardziej gorzkie łzy nasze — odezwała się Bronisława, i to był pierwszy, jedyny wyrzut, który mię spotkał.

Nic nie mówiłem, nikt mię nie badał. Ludwinka otoczyła mię całą troskliwością serca swojego, a przecież ten wieczór, ten jeden wieczór powinienby był uzupełnić miarę cierpień i pokuty mojej. Znaleźć się tak obcym wśród najukochańszych niegdyś, tak potę-

pionym wśród czystych aniołów, tak obżałowanym litością i miłosierdziem wśród tych, co niegdyś z dumą i pociechą na pierwsze twe kroki spoglądali, tych, co wróżyli cnoty sercu twemu, chwałę zdolnościom, szczęście losowi twojemu, tych, co powtarzali z rozkoszą i radością pierwsze wyrażenia ust twoich dziecinnych, co się lubowali nad pierwszemi pomysłami młodej głowy twojej — znaleźć się takim i potem żyć jeszcze — och! to jakiejś żelaznej siły na to trzeba!

Matka moja bardzo już była zmienioną i słabą. W jej oczach zapadłych, przyćmionych, na jej licach wychudłych i głębokiemi zmarszczkami okrytych, czytałem każdy wyraz potępienia mojego, każdy wyraz przekleństwa, którego jej usta nie wyrzekły nigdy i myśl nie pomyślała zapewne, lecz który niemniej okropną zgryzotą i piekielnem cierpieniem serce moje rozdzierał.

Jedna z wnuczek wspomniała, że się na mszę północną wybiera.

— I ja pójdę z tobą — rzekła moja matka. — Są dni w których się więcej modlić muszę, bo w nich zawsze więcej byłam szczęśliwą, albo więcej cierpiałam.

— Ile to lat już będzie, jak Cypryan tak samo w wigilią Bożego narodzenia wrócił? — spytałem pocichu siedzącej przy mnie Tereni.

— Sześć lat, Benjaminku.

Och moi państwo!—na tę prostą odpowiedź mnie łzy gradem po twarzy stoczyły. Sześć lat, sześć lat! a przez te sześć lat mnie nikt nie powiedział „Benjaminku,“ tak jak Terenia w tej chwili mówiła. Zerwałem się, wybiegłem do drugiego ciemnego pokoju, rzuciłem na ławeczkę, owę ławeczkę, przy której Julki piosnek słuchałem, i lżej mi było, gdyż zapłakać mogłem. Oni dobrzy zrozumieli mnie wtedy: nikt nie poszedł za mną — dopiero gdy na spanie rozchodzili się wszyscy, przyszła matka, wzięła za rękę i poprowadziła do swego pokoju.

— Pamiętasz — rzekła — jak długo tu sypiałeś w swojej kołysce, a potem w owem małem czerwonem

łóżeczku? Od urodzenia, aż do chwili w której pierwszy raz konia dosiadłeś i w której twój ojciec z uśmiechem powiedział: „Och! to już teraz dorosły mężczyzna, niechże sobie ztąd na własny przemysł między ludzi idzie.“ I zaniesiono wtedy pościółkę twoją do braci na górę. I nauki, zatrudnienia, młode lata twoje uniosły cię jeszcze dalej od macierzyńskiego boku, i zaniosły tak daleko, że mnie się zdało, jakobym już na zawsze moję pieszczotkę, moje dziecię najmłodsze straciła. Ale teraz, kiedy wróciłeś do mnie, mnie się znów zdaje, że ja ciebie drugi raz na świat wydałam, że tak jako wtedy, nie obejdzie się znowu bez moich starań i bez ciągłej opieki mojej, dlatego też patrz, Benjaminku, sama usłałam twoje łóżko w tem miejscu, w którem dwadzieścia cztery lat temu kolebka twoja stała. Zaśnij spokojny, jak gdybyś miał z jutrem po raz pierwszy na światło oczy twe otworzyć; nie pomnij złego, Benjaminku, wyrzuć z serca przeszłość całą — tylko nie wyrzucaj tej miłości, którą nas kochałeś dawniej. Z tą miłością zaczniemy jeszcze bardzo piękne życie — alboż to nam czasu braknie? Och! choć ja stara, zobaczysz jak wypielęgnuję i wyhoduję nową młodość twoję. Serce matki zna cudowne tajemnice wiecznego odżywania we wszystkich chwilach przeszłości swego dziecięcia. Zobaczysz, Benjaminku, że nam dobrze będzie...

I drżącą ręką krzyż święty nad głową moją w powietrzu zakreśliła.

Och! ja wierzyłem tym obietnicom, ja czułem, że ciepło jej serca mnie wskrzesić może; zsunąłem się do nóg jej i oskarżyłem o wszystkie moje występki, moje zbrodnie — o jej nieszczęścia wszystkie.

Matka słuchała mię z głębokim smutkiem, odpuściła mi z litością świętą, Bożą, ale gdy w nocy na mszę zadzwonili, matka już wstać nie mogła i potem nie wstała także.

Przez kilka tygodni krokiem się od jej łóżka nie ruszyłem, podawałem lekarstwa, przenosiłem ją na ręku mojem. Siostry w objawieniu jakiejś Chrystusowej

dobroci nie wydziedziczyły mnie z jedynej, którą jeszcze mieć mogłem, pociechy. Czasem, gdym patrzył na twarz matki, bladą, niaruchomą w bezwładnem uspieniu, okropny głos wołał na mnie: „ty ją zabijasz— zabijasz!“

Ale gdy matka znowu oczy otworzyła, gdy spojrzała na mnie, gdy jej uśmiech spokoju i przebaczenia wszystkie rysy rozpromienił — to mi znowu tak było błogo i lekko na sercu, jak gdyby cichy anioł zstąpił do niego i mówił: — „dobrze zrobiłeś żeś wrócił, matka twoja nie umrze z ostatnią myślą troski i obawy.“

Jednego wieczoru lepiej się jej zrobiło: kazała się posadzić na wielkiem krześle i do ognia przysunąć. Siostry z dziećmi obsiadły ją dokoła. Mała córeczka Tereni, taż sama właśnie co mi jałmużnę dała, przyszła i wsparła główkę o babki kolana, a gdy Terenia cofnąć chciała dziewczynkę, babka ją przytrzymała i pogładziła zlekka drżącą ręką swoją; patrząc zaś na zbytek owych jasnych pierścieni, co się jej niby potokiem złota po łonie rozlały: — Pamiętam — mówiła — nasz Benjaminek miał takież same włosy — i znak mi dała spojrzeniem, bym się zbliżył do niej, i zbliżyłem się, przyklęknąłem—matka jeszcze bardziej schylić mi się kazała, zapewne robiła jakieś porównanie między temi dwoma o jej kolana wspartemi głowami, bo jej palce kolejno mego i małej dziewczynki dotykały się czoła; nareszcie odezwała się, jakby kończąc myśl jakąś:

— Ja mu też zawsze powiadałam, że wróci!... — A potem na jej czoło i lica wystąpiła nagła gorączkowa czerwoność, znać było, że wiele siły zbierała, by pewne wymówić jeszcze słowa. — Benjaminie—rzekła wreszcie przerywanym głosem — nie zapomnij pójść na grób ojca... tam obok niego Cypryan spoczywa... Józef i Karol gdzieindziej... ale mają swoje krzyże — nie zapomnij... ja tam będę... I westchnała — ręka jej z mojej głowy na kolana spadła i nie miałem już matki!...

Siostry i bracia nie chcieli mię wziąć z sobą na pogrzeb. tak przy ich cichej boleści rozpacz moja gwałtowną im się zdawała; podobno, że się rozchorowałem nawet. ale ja nie wiem. Chyba to już nie była ta dobroczynna choroba, która pamięć i życie zawiesza — była to choroba okropnej bezsilności tylko; żadna chwila snem nawet nie zginęła mi — widziałem i czułem każde cierpienie zosobna, lecz nie mogłem ani tak rozdrażnić się, żeby mnie wszystkie razem odrazu zabiły, ani tak ukoić. żebym choć w odrętwienie popadł. Opuściła mię siła myśli, siła woli, dawałem sobą rządzić jak dziecko maleńkie, a sam cierpiałem, cierpiałem...

Po jakimś czasie rozjechali się wszyscy. w opuszczonym domku Ludwinka tylko została ze mną. Rodzeństwo ułożyło sobie że gdy przyjdę do zdrowia. obejmę gospodarstwo naszej małej wioseczki i mieszkać w niej będę z tą wszystkich najukochańszą siostrą. Nie odrzuciłem. ani też nie przyjąłem tego układu; brakło mi sądu i zastanowienia nad najdrobniejszym życia potocznego szczegółem; rozprzęgła się jedność całej mojej istoty — w każdej części zosobna osobną boleść czułem. Płakać nie mogłem, ale mi czasem tak okropnie twarz posiniała, tak straszliwe hieroglify z żył wezbranych na czoło wystąpiły, tak oczy krwią zaszły, tak złamane ręce głucho kośćiami chrzęsnęły, że Ludwinka aż się przystąpić bała do mnie. a ja wówczas przypomniałem jej słowa Cypryana: „Ludwinka nawet minie cię ze wstrętem“ — i dręczyłem jej biedne serce cierpkością mych wyrzutów. jak gdyby ona trosk moich dawniejszych jeszcze niż moje własne troski nie była musiała teraz nową przyodziać żałobą, świeżemi rozjątrzyć łzami. Ludwinka jednak miała dziwną. niepojętą dla mnie cnotę — umiała być nieszczęśliwą. Jej nigdy cierpienia nie zatruwały serca, nie psuły dziennego porządku, Ludwinka też z niezachwianą cierpliwością znosiła moje dziwactwa, obchodziła się ze mną jak z chorem dzie-

cięciem i czasem, czasem dobroć jej przypominała mi matkę.

— Benjaminku — mówiła raz ona — trzeba ciągłym ruchem i ciągłą czynnością zagłuszyć głos boleści rozdzierającej nam serce, trzeba uciec z własnej piersi, oderwać się od siebie samego i zwrócić na zewnątrz; trzeba myśleć o jakiej osobie, o jakiem zatrudnieniu, o rzeczach jakich, patrzeć na przedmioty nas otaczające, na robotę rąk naszych, a nigdy w głąb duszy naszej nie spojrzeć, nigdy się myślą w tajnie własnych uczuć nie zatopić: tym sposobem jedynie można iść przed siebie. Chociaż to nie pociesza i nie koi bólu, przynajmniej rozrywa go i dzieli; ty dzisiaj wszystkie władze swoje skupiłeś w jedno życia ognisko, a to ognisko męczarnią. Porłuchaj mojej rady: gdy z władz owych jednę tylko odedrzeć spróbujesz, gdy uwagę tylko odłączyć i skierować zdołasz—zobaczysz, Benjaminku, jak ci znośniej będzie.

— Znośniej, Ludwinko?—zagadłem ją nieufny— czy ty mi ręczysz, że znośniej? z takim po wierzchu zamkniętym grobem, z taką na duie zgnilizną? To być nie może, to jest tylko żyć dwoistą śmiercią.

— Ja ci ręczę, że znośniej — odpowiedziała mi łagodnym jak prośba głosem i ścisnęła za rękę z przekonaniem i wiarą.

— Cha! rozumiem cię—rzekłem — wyjdzie mi to na jedno, jak gdybym trzymał ciągle przy ustach flaszkę z gorzałką i odurzał się...

— Mnie takie podobieństwo nie przyszło do myśli — odparła smutnie Ludwinka— ale jeśli to tak jest, to przynajmniej odurzenie nasze i Boga nie obraża i ludzi nie gorszy.

— Co ty mówisz, Ludwinko, że Boga nie obraża? Chyba twój Bóg musi być jakąś obojętną figurką w czerwonej sukni i błękitnym płaszczu, jak go zwykle po ołtarzach malują, bo jeśli on jest takim, jak mi o nim Bronisia mówiła, jeśli jest pięknem, miłością, szczęściem, to przyznaj sama, że Go właśnie najbar-

dziej powinien obrażać widok człowieka, który cierpi i godzi się z cierpieniem swojem...

Ludwinka długo patrzyła mi w oczy.

— Kto się nie godzi—rzekła wreszcie—ten ma nadzieję, iż je z życia wyrzucić potrafi. Czy ty masz nadzieję, Benjaminku?

Zamilkłem; na to jedno pytanie żadnej dać nie mogłem odpowiedzi.

Nazajutrz jednak w niezwykły ruch się rzuciłem. Pooglądałem książki, które na półkach stały tak samo jak za życia ojca ułożone, roztworzyłem i starą biblią, i ów tom in quarto z królów popiersiami, i tę książkę która ojcu z rąk wypadła przed pierwszą moją czytania nauką i znalazłem na okładkach niektórych rozmaite szkice Cypryana roboty, i między niektóremi kartkami rozmaite obrazki, które na prośby nasze malował. W jednem dziele szczególniej było ich ośm, wszystkie według starszeństwa właścicieli ułożone i ręką ojca podpisane — zapewne schował je tam na pamiątkę naszych zabaw dziecinnych. Dla Adasia było niby zwierciadło tak ustawione, że w niem odbijała się postać młodej, prześlicznej dziewczynki, choć dziewczynka nie weszła jeszcze do pokoju. Dla Julci był wizerunek starej Paraski, która ją wszystkich dumek i kołomyjek uczyła. Dla Józefa zabudowania folwarczne z jakiegoś zamożnego, jak widać było, gospodarstwa, bo dachy stodół równały się drzew wierzchołkom, a stogi i brogi migały jeszcze w perspektywie. Przed samym zaś dworem było okrężne i Józef, jak parobczak ubrany, z młodą przodownicą w taniec się wybierał.

Dla Ludwinki była tylko mała osiny gałązka.

Dla Bronisławy — kobieta na lwie wsparta.

Dla Karola apoteoza myśliwska; on sam po chmurach na swej Zitcie pędził. Moloch warował do księżyca, a pod strzałem „kochanki“ gwiazdka jakaś maleńka jak bekas spadała.

Dla Tereni był piękny chłopiec, wychylający się do połowy z kielicha cudownego kwiatu, którego

wszystkie listki z najdziwaczniejszych przedmiotów się tworzyły, bo w kształt drugiego buchał język płomienny, inny wyobrażał smoka, inny dziewicę w koronie, inny był podobny do dziesiątki kierowej, rubinami wysadzanej na tle mieniącem się, jak oko pawiego pióra.

Dla mnie był młody Tobiasz w drodze do córki Reguela, z swym nieznajomym przewodnikiem odpoczywający; miasto jakieś ukazywało się wdali, z poza miasta wschodziło słońce, a Tobiasz, rękę przyłożywszy do czoła, patrzył ku miastu i ku słońcu.

Nie mogłem sobie wytłumaczyć, czemu w pierwszej chwili widok tego obrazka nie zasmucił mię, jak zasmucało każde inne z dawnych lat wspomnienie. Wyjąłem go i schowałem przy sobie.

Potem obszedłem wszystkie kąty domu, wszedłem aż do piwnicy, w której my drobniejsze dzieci tak często latem ubiegaliśmy się o to, które z nas w tłuczkach masło kłócić będzie, po śniegu przekopałem się aż do rzeczki, co nasz ogródek z łąkami dzieliła, byłem wszędzie, tylko nie miałem odwagi wejść do tego pokoiku na górze, w którym-to Cypryan na pomysł swojego malowidła wziął mi młodość, piękność, szczęście i niewinność mojej duszy. Ale nad wieczorem, gdym się z dniem moim obliczył, spostrzegłem że Ludwinka miała słuszność, że taki ruch ciągły, choć bezcelny, taka choć tylko zmiana przedmiotów boleści jest wielką ulgą. Chciałem ją wyczerpnąć. Zapaliłem świecę i poszedłem na górę — klucz rdzą okryty nie tak prędko zamek mi otworzył; poznałem że musiano dawno już tam nie chodzić. Siłą odparłem rygle — drzwi otworzyłem i... nie uciekniesz przeznaczeniu!

Ona znowu siedziała przedemną, a siedziała taką, jaką jej zawsze pragnąłem, jakiej czekałem w najszczęśliwszych... źle mówię, w najnamiętniejszych uniesieniach jej miłości. Zbladłem okropnie, do gardła tak mi się coś rzuciło, jakby mię ręka czyja, ręka żelazna ścisnęła za nie: postąpiłem naprzód, lecz w tejże

chwili, najpewniej przez drzwi, których nie zamknąłem, wiatr lekki przeciągnął. Poczułem zimno jego na twarzy, jak dmuchnięcie cichego westchnienia, i świeca zgasła — choć w ciemności, ja zamknąłem jeszcze oczy, bo się bałem... Lecz napróżno — pod powiekami jakbym ją zabrał był w spojrzeniu, unosiła się przedemną jej twarz, częścią do twarzy obrazu, częścią do tej twarzy, która mi w jaskrawości piorunu mignęła, wyrazem swoim podobna; zbiegłem na dół, twarz szła przedemną; zawołałem Ludwinki, wypytywałem jej o różne drobiazgi, słuchałem dawanych mi odpowiedzi — twarz ciągle tkwiła przed moim wzrokiem. Gdziem się zwrócił, ona się zwróciła, gdziem stanął, ona stanęła; kazałem ogień rozpalić, patrzyłem w płomień, twarz gorzała w płomieniu, a spalić się nie mogła, jak krzak cudu Mojżeszowego.

— Ludwinko — rzekłem nagle do siostry — cobyś ty zrobiła ze mną, gdybym ja dostał pomieszania zmysłów?

Ludwinka z trwogą spojrzała na mnie, wzięła mię za puls u ręki i niespokojnie jego uderzenia liczyła.

— No i cóż? — rzekłem znowu. — Czy tak bije jak u waryata?

— Nie mów tego, Benjaminku — odrzekła siostra — masz trochę gorączki, bo dziś może zanadto się zmęczyłeś; jak uśniesz, to ci będzie lepiej.

— A jeśli nie usnę?

— Dlaczegóż nie miałbyś usnąć? Do snu można się czasem przymusić, a sen to taki miły, taki miły jak śmierć...

— I ty wiesz o tem, Ludwinko?

— Och! wiem, Benjaminku.

— A czy wiesz także, czy doświadczyłaś kiedy, jak to bywa gdy się na przykład do myśli pewny wyraz przyplącze, albo imię, którego się pozbyć nie możesz, choćbyś po tysiąc razy spędzała je zprzed siebie? Albo czasem gdy ci na oczach twarz jaka stanie, i gdziekolwiek spojrzysz, to wybije zawsze jak owe

zielone i czerwone koła, które za tobą gonią, gdyś zbyt długo na słońce patrzyła.

— Znam i to, mój braciszku.

— A cóż robisz wtedy?

— Wtedy słucham i patrzę...

— Lecz jeśli nie chcesz słyszeć i widzieć...

— Ja, braciszku, nie mam ani wyrazu, ani twarzy, którychbym się tak nawet w złudzeniu wyrzekła.

— Och! toś ty jeszcze bardzo szczęśliwa! Powiedz mi, czy widziałaś ten obraz na górze?

— Widziałam... tak, dwa razy widziałam.

— I nie chciałaś więcej patrzeć na niego?

— Nie, bo on mi okropne chwile przypomina. Widziałam go po raz pierwszy na dzień przed śmiercią Cypryana, a potem widziałam znowu, gdy Bazyli rzeczy twoje odwiózł i gdzie ty byłeś? słowa powiedzieć nam nie umiał. Od tego czasu mam wstręt do tego malowidła, bo dziwne usposobienie moje! Ja, co tak lubię smutkiem na rozrywkę się bawić, rzeczywistej boleści unikam.

— Jednak to piękny obraz, Ludwinko?

— Piękny, jak niepodobieństwo!...

— Czemu niepodobieństwo, Ludwinko? Takie kobiety są — Cypryan to mówił i ja taką znam.

— Być może, Benjaminku, chciałam powiedzieć tylko, że nie taka kobieta, lecz taka chwila w życiu jest niepodobieństwem.

— Bluźnierstwo! bluźnierstwo! — zawołałem pocieszony tą marną słabych i złamanych ludzi pociechą, że mogą w drugich odpierać swoje własne myśli i obawy. — Taka chwila jest koniecznością, bo jest szczęściem i udoskonaleniem.

— Ja myślałam, bracie, że w takiej chwili człowiekby świata i Boga zapomniał, więc mu Bóg dobry chwil takich nie daje.

— Otóż to znowu! szlachetność stoicka, wyrzeczenie się i zaparcie, to twoje cnoty, Ludwinko. Najpewniej zdaje ci się, że dlatego tak nizko upadłem, bom ich nie miał. No proszę, to wyśmienite doprawdy!

Bez wszelkiego dobra człowiek dopiero najlepszym być może, a szczęście to grzech! Zastanów się przecie, Ludwinko! Gdybym ja spotkał i miał na całe życie taką kobietę, czy jabym przez to co złego innym ludziom zrobił, czy jabym nie był szczęśliwy? a szczęście czyż mi się nie należy? Szczęście!... Ludwinko, Ludwinko! Gdyby ona tu przyszła do mnie, gdybyśmy oboje pomyłkę naszę uznali i zaczęli życie inne, spokojne jak ten ubogi domek nasz, dobroczynne jak dzień z życia matki naszej wzięty; gdyby jej serce miłością tchnęło dokoła, jej słowo w piękność zaczarowało ten światek maleńki... to cóż? czy ci się zdaje, że jabym był taki zły jak jestem, taki zawzięty i zazdrosny, iż gdy wspomnę sobie nawet, jak to patrzą okropnie zabitego źrenice, to się nie lękam ich, tylko powtarzam wściekły: już ona więcej nie powie: „lubię twoje czarne oczy!“ Wszak prawda, Ludwinko? gdyby ona mię kochała tak, jak obraz kocha, już byłbym dobry, użyteczny, nie straszyłbym cię już nigdy...

Ludwinka cichemi łzami płakała.

— Czemużby ciebie kochać nie miano? — rzekła nareszcie; — młody jesteś, piękny jeszcze, i tybyś tak kochał przecie...

Zamyśliłem się, w zamyśleniu zwijałem ciągle i rozwijałem ową ćwiartkę papieru, na której był suchemi farbami mój Tobiasz zrobiony. Po długiej chwili milczenia Ludwinka się zbliżyła i chcąc może o czem innem zacząć rozmowę:

— Co to trzymasz w ręku?—spytała mię.

Ja spojrzałem, bom już był zapomniał, że coś trzymałem nawet.

— Ach! to obrazek, który dziś rano w książkach znalazłem.

— Ostrożnie, bo go zepsujesz; patrz, już się miasto zatarło, a to obrazek dobrej wróżby dla ciebie, Benjaminku. Siedmiu oblubieńców miała Sara, siedmiu śmiercią pomarło, lecz ten jej się dostał, który ją miłością Bożą i czystą pokochał.

— Prawdę mówisz, Ludwinko; ukochać tylko i nie wątpić.

W nocy napisałem list do Aspazyi...

„Matka mi umarła—mówiłem jej — cierpię okropnie, ale matka przebaczyła mi przed śmiercią; ja tobie przebaczyć muszę—nie, nie przebaczyć. Aspazyo— lecz powiedzieć ci, że dziś lepszy jestem; mój gniew pod tchnieniem ust macierzyńskich w łzę się rozpłynął, moje przekleństwa od jej błogosławieństw zaniemiały, moja nienawiść przed jej miłością z duszy ustąpiła. Gdym cię opuścił, Aspazyo, przez czas bardzo długi wspomnieć o tobie nie mogłem, tak mi się zaraz z całą okropnością swoją wracała ostatnia chwila naszego rozstania; wtedy odżywałem ją we wszystkich jej przejściach, wtedy zdawało mi się, że gdybym cię był ujrzał, tobym cię musiał zabić, chociaż wówczas nie zabiłem — wtedy znów mię napadało szaleństwo i ogarniała wściekłość bezrozumna. Dziwna rzecz! z pięciu lat przeszło, któreśmy razem spędzili, nie mogłem innego wydobyć wspomnienia, jak owo najgorsze wspomnienie; dzisiaj już tak nie jest — dzisiaj widziałem twój obraz — wszak pamiętasz? obraz, który był pierwszym pośrednikiem między nami, który mi zwiastował ciebie. Otóż ja, widząc go, doznałem gwałtownego wzruszenia, tysiąca sprzecznych wrażeń, jednak, Aspazyo, wierz mi, na pamięć mej matki, żadne nie było nienawistnem wrażeniem. Aspazyo! mnie przy tym obrazie stanęły w myśli piękne dni nasze tylko, uczułem wielką wdzięczność za wszelkie dobro, które od ciebie wziąłem, za nauki, któreś mi ułatwiła, za chwile natchnienia któreś mi dała, za te godziny, w których z uwielbieniem patrzyłem na ciebie i słuchałem głosu twojego. Wdzięczność za wszystko, Aspazyo, że umiem zbutwiałych rękopisów odgadywać słowa, że mi teraz ostrołuki gotyckich kościołów i pilastry świątyń greckich od jednego spojrzenia muszą tajemnice swej piękności wypowiedzieć zaraz w najdrobniejszym ułamku swoim, że mi ani jeden rzut pędzla sławnych mistrzów stracony nie jest w ich cu-

dnych obrazach — że mi się otworzyły skarby tylu języków, żem widział, żem poznawał — ja tobie winienem. Dawniej za nic to miałem, co więcej nawet: oburzenie tak niesumiennym jest rachmistrzem, że wszystkie owe nabytki zaliczyłem do ciężkich twoich przeciwko mnie grzechów. Czczem szyderstwem zdawały mi się dlatego, że szczęścia nie wracały, że ran nie goiły. Dziś, Aspazyo, sprawiedliwszym jestem: przyznaję dobrodziejstwa twoje; dziś przypominam sobie także miłość twoję, pieszczoty twoje, namiętne uniesienia i tę wiarę niezachwianą, że ja cię kocham nad wszystko, ze wszystkiem, z piekłem i niebem twej duszy. Dziś przypominam sobie całą przeszłość naszę i całą uznaję, tak całą, że nawet zabójstwa i występku nie chcę z niej wyrzucić — a wiesz dlaczego, Aspazyo? oto dlatego, bom się przekonał, że cię kocham znowu. Występek świadczy przeciwko postępowaniu naszemu, przeciwko zdarzeniom i okolicznościom — miłość moja świadczy za prawdą łączącego nas uczucia. Gdybym nie miał miłości, toby wszystko, co się stało, było złem niecofniętem, jak wieczyste potępienie; gdybym nie miał miłości, tobym się widział tak nikczemnym i ciebie tak skalaną, że jużby żyć nie było warto. Gdybym nie miał miłości, tobym te sześć lat życia musiał nazwać rozpustą i wszeteczeństwem; gdybym nie miał miłości, tobym nie doszedł był do miejsc rodzinnych, nie przeżył śmierci mej matki, nie tknął dziś stopą niegodną jej grobu. Ale ja cię kocham, Aspazyo; zbłądziliśmy, to prawda, nie przeciągnęliśmy szczęścia naszego w nieskończoność — z chwili użycia szliśmy ku drugiej chwili podobnej, zamiast cobyśmy mieli ku wyższej podążyć; z całego świata naokół snuliśmy rozkosz dla siebie, z siebie nic nie wysnuli dla świata. W naszę pierś zbiegły się wszystkie jasności promienne, lecz z naszej piersi nie wystąpiły na zewnątrz, niczego nie ogrzały, nie oświeciły niczego, a my potem złamaliśmy się i upadli pod zbytkiem naszym: — dobro nowego dobra nie rodzące jest złem najgorszem; głupstwo nietyle zaszkodzi, nienawiść nie tyle pognębi,

ile rozum, gdy się zużyje na bezpłenne prace, miłość, gdy się w samolubne uczucie roztrwoni. Dlatego myśmy też cierpieli okropnie, dlatego ja byłem zazdrosnym, ty okrutną. A ja cię kocham, Aspazyo, ja ufam, że odkupimy pomyłkę naszę szczęściem i doskonałością, tak jakeśmy ją odkupili szczęściem i łzami. Jeśli do ciebie w tej chwili nie przemawiam żywym głosem, tylko list piszę, Aspazyo, nie myśl, o najdroższa moja, bym się lękał twej wzgardy, bym nie dowierzał twemu sercu, lub chciał nieszczerym wybiegiem resztkę obrażonej dumy osłonić. Nie, moją dumą jedyną to jest właśnie, że pierwszy ręce do ciebie wyciągam, że nowe wspólne szczęście dla nas obojga znalazłem. Miłości twojej miłość moja jest mi rękojmią; ja dziś wiem, że kto kochał, ten kochać będzie zawsze, choćby nieszczęście zawichrzyło mu w głowie, a grzechy tak serce zepsuły, iżby sam w obłąkaniu wołał: „nienawidzę“— on kochać będzie, bo kochanie jedyną nieśmiertelnością człowieczeństwa. Patrz, Aspazyo: ja ci złorzeczyłem, jam przebył tak okropną chorobę szaleństwa i zawziętości, a przecież w pierwszej chwili spokojnej, za pierwszem spojrzeniem na twój obraz, za pierwszem słowem nadziei, które mi siostra rzuciła, ja znów czuję, że cię kocham jak dawniej, lepiej niż dawniej, Aspazyo. I oni tu wszyscy, przez sześć lat zapomnieni, przez sześć lat zasmucani, zagniewani, gdym przybył, oni wszyscy uściskali mię z radością, nikt mi nawet nie wspomniał o przebaczeniu, tak je dał każdy prędko i zupełnie — a kiedy tutaj nikt kochać mię nie przestał, czemuż ja się mam lękać, żeś ty już przestała? Czyż to podobnem jest nawet? Nie, Aspazyo — jeśli ci się tak zdaje, jeśli pod wrażeniem złych wspomnień, lub w napadzie tego nieszczęśliwego usposobienia, które czasem goryczą uśmiech, jadem słowa twoje zatruwa—jeśli mówię odsądzisz mię w sieroctwo, rozpacz i obojętność, to samej sobie nie wierz, jedyna moja. Bóg nie może przeszłości powiedzieć: „nie byłaś.“ człowiek nie może powiedzieć sercu które kochało —

„już nie kochasz.“ W tej niemożności jest cała świętość prawdy Bożej, całe uświęcenie życia ludzkiego; ty mnie kochałaś. Aspazyo — więc ty mię kochać będziesz; obraz Cypryana sprawdzi się, kochać mię będziesz tak, jak na obrazie, zachętą, nagrodą, uczestnictwem w czynach szlachetnych. Bo na obrazie widać to wszystko, widać że z uścisku dwóch tych istot pięknych i doskonałych zrodzi się w przyszłości piękna jakaś i doskonała chwila; widać że dla nich pieszczota jest zaczerpnięciem sił nowych, nie wydaniem zebranych, że Aspazya pochwyci lutnię swoję, że Alcybiades w słowa natchnionych pomysłów obwinie scytal przy nim leżący. Wszakże prawda, że i nam przyszłość z ideałem Cyprana spodobnieje. Wszak, czytając te słowa, ty już mi wierzysz i sobie wierzysz i myślisz o chwili w której przybędziesz do mnie, bo ja, Aspazyo, ja nie pójdę do ciebie; tam, gdzie ty jesteś, martwość i zepsucie samo, we dwoje mybyśmy tam na nowo skalali się i cierpieli. A ty przy mnie czysto, święcie, pobożnie — jak zwyczajnie wśród serc kochających, wśród grobów, nad któremi łzy płyną, lecz nikt nie rozpacza. Ja też zostanę tutaj, Aspazyo, ulepszę się, ugodnię i tutaj ciebie czekać będę: twoje i moje zmyję przewinienia!...“

Przez miesiąc cały żyłem gorączkową nadzieją— z zupełnej pewności przerzucałem się w zwątpienie zupełne, bo niech tam kto jak chce chwali, ten co raz już wierzyć przestał, nigdy naprawdę potem nie uwierzy, a dla tego co już raz cierpieć zaczął, chwile nadziei są jak kantarydowe proszki w otwartą ranę sypane. Owieczór tylko miałem przystęp kilku chwil, nie wiem, szczęściu, czy paroksyzmowi gorączki podobnych. Wtedy siadałem w pokoiku na górze, ktoś mi ogień przychodził rozniecać, a ja całą godzinę, to jest cały czas, póki się nałożone drzewo nie spaliło, patrzyłem w obraz i nigdy mi ani jedna smutna myśl nie przeszła. Jeśli kiedy o innej porze próbować tego chciałem, próba się nigdy nie powiodła. O zmierzchu

tylko w kominkowem świetle, jak gdyby kto czary jakie rzucił, niemylnie zstępowała na mnie półsenność błoga, dobroczynna i orzeźwiająca. Wtedy czytałem w mej wyobraźni najtkliwsze słowa spodziewanej odpowiedzi; czasem przypuszczałem nawet, że Aspazya sama już zajeżdża, już wchodzi, już mi ręce na szyję zarzuca i mówi: — „Bądźmy dobrzy, bądźmy szczęśliwi.“ — Najczęściej jednak traciłem wszelką osobistość, a płótno ożywiało się zato i siedzące na niem postacie ruchomego życia nabierały: to się płaszcz Alcybiadesa osunął, to ręka Aspazyi drgnęła, to się promienie ich włosów zmieszały, to jakieś ciche westchnienie pierś ich wzniosło, albo z ust jakieś ciche słowa wyszły. Bądźcobądź, ja tej godziny nie byłbym mieniał, gdyby mi kto dawał za nią dobrze w rzeczywistość zawarowane, lecz utajone przedemną szczęście, bo juścić gdyby kto był powiedział, że stawi żywą Aspazyą, to byłbym się nie wahał bezwątpienia, ale gdyby w niepewność domysłów mię rzucił, to ręczę, żebym nawet oszczędził ich sobie. Z moją na dzień godziną, jedną godziną bez cierpienia, ja byłem taki szczęśliwy!...

Już wam wspomniałem, że to miesiąc trwało cały, dni trzydzieści; bez zmyłki pamiętam, bo pilnie liczyłem: trzydziestego pierwszego dnia, siedziałem na górze, mały chłopiec, jak zwykle, przyszedł ogień rozniecić — nim rozniecił, podał mi list. Na samo dotknięcie papieru zaczęło mi w głowie szumieć, w uszach tętnić, w sercu bić tak gwałtownie, że nie mogłem słabej pieczątki rozerwać. Stałem tak długo z tym miękkim, drobno złożonym papierkiem w ręku, że chłopiec rozdmuchał węgle, i wyszedł i świecę wyniósł, a ja się jeszcze na otworzenie koperty nie zdobyłem. Potem byłbym się przeląkł, potem było mi zaciemno, chłopca wołać zadaleko, a węgle jak na złość tliły się powoli i drzewo jak na złość nie zajmowało płomieniem. Wreszcie buchnęło nim odrazu na wszystkie strony — ja pierwej jeszcze, by tę chwilę przyśpieszyć, ukląkłem przed kominem; później więc, nie wstając wcale, rozwinąłem papier i żal mi się zrobiło próżnych, a tak

gwałtownych wrażeń: pisma nie poznałem zupełnie; był to jakiś męzki charakter. Zacząłem czytać dość spokojnie:

„Pobożność, mój synu, świętą jest cnotą. żal za grzechy prosto do nieba prowadzi, ale ja ci powiem szczerze. że gdyby z mego listu piękna kobieta śmiała się tak, jak Aspazya z twojej modlitwy. to doprawdy zrzekłbym się i świętości i nieba, a sobie w łebbym palnął. Najpierw powiadam ci. że to nie boli, a potem powiadam ci, mój synu, że to jedyne lekarstwo na melancholią. wyrzuty sumienia i śmiech kobiety, która cię nie chce, a która w tej chwili przez ramię moje patrzy i mówi: „zobaczysz. że on gotów i to jeszcze głupstwo zrobić.“ — Żegnam cię, synu mój. bo muszę wybadać Aspazyą, dlaczego samobójstwo głupstwem nazwała, kiedy najporządniejsi ludzie w Atenach, Rzymie i Londynie mądre życie tem kończyli właśnie.

NB. Radzę ci pierwej butelkę wytrawnego wina wlać sobie do żołądka; rozjaśni ono myśl twoję ostatnią i lepiej będziesz na tamtym świecie wyglądał. Spodziewam się, że potrafisz ocenić wysoki szacunek. z którym jestem dla ciebie, synu mój. twoim ojcem duchownym,

pierwszym nauczycielem. vel szatanem.
vel paziem — vel Kainem.“

Kiedym przeczytał te słowa: jeśli kto z was tu cierpiał w życiu swojem, cierpiał okropnie. bezprzytomnie. tak że mu w jedyną chęć jakiegośkolwiek rozerwania boleści dusza z wszystkiemi siłami się rzuciła — jeśli, co nie daj Boże, jest kto taki między wami. ten się nie zdziwi i nie rozśmieje, jak powiem, com ja zrobił. gdy te słowa przeczytałem: oto schwyciłem rozżarzonych węgli i trzymałem je póty, póki mi w pięściach ściśniętych nie zgasły. Ta fizyczna boleść była instynktu mojego potrzebą, pomogła mi do zebrania rozbiegłych myśli. Pierwsza z nich była myślą listu: „trzeba się zabić.“ Równemi nogami zerwałem się

przeto i biegłem ku drzwiom; nim dobiegłem, spojrzenie moje padło na obraz — stanąłem jak wryty, po chwili dopiero załamałem popalone ręce i krzyknąłem całym głosem: „ty kłamiesz! ty kłamiesz!“ I druga myśl mi przyszła— myśl litości i miłosierdzia pośmiertnego. Cha! przynajmniej już drugim kłamać nie będziesz, rzekłem i zdjąłem obraz, podniosłem go do komina, z lunatycką dokładnością ustawiłem, obłożyłem głowniami i siadłem sobie naprzeciwko, żeby widzieć jak zgoreje, a wiatr tymczasem brząkał wszystkiemi szybami w oknie i świszczczał wszystkiemi tonami za oknem. Ledwie pierwsze na ogień rzuciłem spojrzenie, uczułem się pod wpływem niepojętej władzy: istota moja rozdzielała się niby, wola występowała za mnie, boleść opuszczała pierś moję, łączyła się z obrazem, a ciało, zmartwiałe i bezsilne jak ciało trupa, nie mogło żadnego zrobić poruszenia i widziałem, że chcę koniecznie ratować obraz Cypryana, że dotknięcie ognia pali moje członki przed oczyma mojemi, lecz wstać, lecz iść nie mogłem. Płomień zwolna postępował — czy to cudem, czy że obraz wilgocią muru był przejęty, nie zajął się odrazu, choć olejnemi farbami robiony; rzekłby kto, iż zanurzał się z rozmysłem w zniszczenie. Ja czułem, jak płomień do piersi mi się dostawał, jak przegryzał serce, wyżerał oczy, jak potem dłonie Aspazyi ogarnął i jej łono, jej białe łono całował swoim śmiertelnym pocałunkiem, a później ust dotknął, a później czoła wzniosłego, a później... kilka drobnych tylko iskierek brzeżkiem tła się pogoniło, i nic już więcej — umarliśmy oboje.

Tak jest, moi państwo, oboje, gdyż od tej chwili ogarnęła mię doskonała martwość, już mi się nawet zabijać nie chciało—i poszedłem spać bardzo spokojny, i w nocy nic mi się nie śniło. Ludzie mówią teraz, że ja żyję — prawda, organizm zachował się w zadziwiająco pożądanym stanie. Nie straciłem też pamięci, nie dostałem obłąkania ani fiksacyi. Kiedy mówię o czem, zdawaćby się mogło, że każde słowo rozumiem i czuję. Nie jestem zbrodniarzem, mizantropem, sa-

molubem. obojętnym nawet nie jestem. między złem a dobrem zawsze dobre wybiorę — tylko nie wiem jak się to stało, ale we mnie władze radowania się i smucenia stępiały zupełnie.

Poszedłem z Ludwinką na grób rodziców — płakałem, ale czułem że łzy moje były jedynie nerwowym wyrobem i że mnie nic nie bolało. Odwiedziłem później Adasia, dzieci jego wciągnęły mię do zabaw, dokazywałem z niemi biegałem, śmiałem się, a nic mi nie było wesoło. Spotkałem wdowę Józefa — słyszałem od niej wszystkie szczegóły śmierci mężowskiej, a nic nie było mi smutno; uratowałem tonącego człowieka, serce mi nawet uciechą nie drgnęło. Byłem u Tereni w tej właśnie chwili, w której traciła swoję małą córeczkę, ową małą dziewczynkę, co to mi pierwsza drzwi otworzyła i ostatnia wraz ze mną przed konającą matką stanęła — patrzyłem na rozpacz mojej siostry, na okropne męczarnie biednego dziecka, a w głębi mej duszy byłem tak spokojny, jak ślimak. I nic mię już nie mogło z tego stanu wyprowadzić. Czasem jeszcze przebiegały różne życzenia przez głowę, jak muchy przez otwarty pokój; zdawało mi się, że chciałbym dla odmiany chociaż pocierpieć trochę, na przykład gdyby mi się wróciła ta chwila, kiedy Cypryan zemdlał, lub kiedy matka umarła, lub kiedym obraz palił... Aby raz tę sparaliżowaną duszę czemkolwiek uderzyć, to możeby wstała i chodzić zaczęła, lecz próżne usiłowania! Zastanawiam się nad sobą, jak nad ciekawym lekarskim fenomenem, i coraz bardziej przekonywam, że daremne są wszelkie w tym względzie starania. Z początku myliłem się: ile razy wiatr zaświszczał, gdy widziałem rozpalony ogień przed sobą, tyle razy zimno występowało na całą skórę moję i mimowolnie w głębokie zapadałem milczenie. Chciałem więc wmówić w siebie, że to jest boleścią obudzonego przypomnienia. Gdzie tam, moi państwo, spostrzegłem, że to jedynie skutkiem oparzeliz ny i nową skóry mojej własnością—zimno takie uderza na niem i wtenczas gdy zupełnie o czem innem myślę. Raz na-

wet uderzyło, choć nie wiedziałem, że ogień się palił w zasłoniętym przez ekran kominku; jest to więc zupełnie patologiczne usposobienie. Teraz wy także, słysząc mię, nieraz może myśleliście, że byłem wzruszony, do głębi duszy przejęty. Co też za dobroduszność! A toż przecie gdyby tak było, jabym nie śmiał poruszyć ani jednem słowem ani jednego ze wspomnień tak bolesnych. Ja wam poprostu opowiedziałem moje życie, jak powieść z pamięci. Na pamięć wydaję teraz wszystko—grzeczność, współczucie, oburzenie, przychylność, zawsze i w każdej chwili przypominam sobie, co gdzie przypada najlepiej. Obłudnikiem mnie nie nazywajcie—gdybym mógł prawdę pod odgrywaną rolę podsunąć, widzielibyście mię tutaj klęczącego na środku salonu, z wniesionemi ku niebu rękoma, z głową popiołem posypaną; a zresztą czyn mój też nigdy powierzchownym nie zaprzeczy oznakom. Jak uścisnę dłonie wasze, tak się przed żadnem poświęceniem nie cofnę. Chcecie bym pracował? — będę pracował; chcecie bym się pozwolił przybić do krzyża? — chętnie i drzewo na niego dźwigać będę i rozpostrę ramiona i dam przybić ręce, nogi i skonam. O! bracia moi, tylko... tylko choć skonam, nie zbawię... nie zbawię, bo nie kocham was...

— I nic już pan nigdy o Aspazyi nie słyszałeś?— po długiem milczeniu odezwała się Tekla.

— Przepraszam panią, dwa tygodnie temu wpadł mi do ręki list, który już blisko dwa lata poniewierał się na moim stoliku. Szatan vel Kain donosił mi, że dnia 23-go marca, wśród kobiet służących, które ją na bal ubierały, Aspazya dostała okropnych konwulsyj i wprzeciągu kwadransa życie zakończyła: ciało jej w tejże chwili prawie zczerniało jak węgiel. Szatan vel Kain posądzał mię o zadanie trucizny; ja roześmiałem się tylko, bo Kain może miał słuszność. Według daty i oznaczonej godziny Aspazya skonać musiała wtedy, kiedy jej obraz paliłem...

— Horror, horror! zawołała Anna — więc naprawdę ta kobieta była...

— Zdało mi się, że już powiedziałem państwu... jak to, czy nie?... musiałem zapomnieć — otóż ta kobieta była — Poganką.

Z ostatniem słowem głuche milczenie cały pokój zaległo; dopiero po kilku chwilach Leon Metodysta najpierwej się otrząsnął z doznanego wrażenia i w duszy swojej osądził, że to właśnie stosowna bardzo okoliczność do podania nam wszystkim arcy zbawiennej dozy „moralnego sensu.“ Jak dziś pamiętam jeszcze, zaczął od tych słów urzędowych, który każdy pewnie na pamięć umie, bo pewnie każdego spotkały tyle razy, ile razy jaką stratę poniósł, ile razy jakie niebezpieczeństwo mu groziło, ile razy cierpienia dość zręcznie uniknął, lub drzwi swoje przypadkiem otwarte nieszczęściu zostawił:

— A widzicie! a czyż wam tego nie mówiłem? A widzicie, że miałem słuszność (dalszy ciąg sentencyi był już więcej z własnego uczucia i z własnej indywidualności zaczerpnięty). Oto człowiek zdolny, poczciwy, „dobrze urodzony“ w całem najświętszem tego wyrażenia znaczeniu, wśród wszystkich najpożądańszych tej astrologicznej formułki warunków, przyniósł z sobą na świat złote serce, dyamentową wyobraźnię, mógł zostać poetą, lub prorokiem, Tyrteuszem, lub Ezdraszem; on został... kochankiem pięknej kobiety i patrzcie, moi drodzy, patrzcie, a pamiętajcie na zawsze, jaki on dziś złamany, bezsilny, martwy, nieużyteczny... Biada miłości, która się tak na jednostkę wyrzuci i zmarnuje...

— Lecz gdyby się nie zmarnowała? — ostrożnie podsunął Edmund.—Gdyby ta jednostka nie pogańska, ale już w chrześciaństwie odrodzona, przyjęła skarb rzucony wraz z przywiązaną do jego posiadania odpowiedzialnością?... Gdyby przyjąwszy, tak dobrze nim zagospodarowała, że w jej ręku wszelki tysiąc i klejnot

wszelki osobnym Bogu i ludziom opłacałby się procentem? Gdyby...

— Żadnego „gdyby“ obok takiej „aktualności“ stawiać się nie godzi — przerwała Seweryna, wyciągniętym palcem na Benjamina wskazując.

— Ja też nie żadnem „gdyby,“ ale także „aktualnością“ odpowiadać wam będę — zawołał oburzony Henryk.— Cha! panie Metodysto, pokazujesz mi Benjamina, jaki to człowiek złamany, nieużyteczny, bezsilny; proszę ja pana z sobą, proszę za próg tego pokoju — od domu do domu chodzić będziemy i nawzajem ja panu pokażę całe muzea, galerye, od piwnic aż do strychów, kamienice pełne takich bohaterów, co nie kochali nigdy, nie zmarnowali nigdy, tak jak Benjamin, uczucia swojego: tłustych szachrajów, wychudłych harpagonów, obhaftowanych złotem dworaków, wywiędłych w rozpuście dudków, legiony całe stawię ci przed oczy, po imieniu każdego zaprezentuję i przed krucyfiksem za wszystkich razem przysięgnę, że się nigdy w żadnej nie kochali kobiecie. Jeśli chcesz, to możemy nawet po więzieniach kryminalnych małą odbyć wycieczkę. Spytaj złodziei, morderców, fałszerzy — nie — i oni tak nikczemnej nie ulegli słabości. Twój sąsiad, Leonie, co to za wielki człowiek! bez miłości z pół milionem się ożenił. A twój znajomy, pan sędzia... co to za głowa rozumna, jak dowcipnie się wyśmiał, gdy między papierami biednego Jana kilka listów młodej jego narzeczonej znaleziono. Tylko ten Benjamin występny, on śmiał pokochać całą duszą swoją, wszystkiemi władzami umysłu swego kobietę zachwycającą... i gdy go zdradziła bezbożna, on śmie cierpieć, on się poważa ręce opuszczać w rozpaczy. No, szczęście że jest między nami Metodysta, który mu za to sprawiedliwość wymierzy...

— Oj! Henryku. Henryku! lepiejbyś dobrej sprawy bronił, gdybyś się w ostateczności nie przerzucał i sarkazmem nie szermierzył — zapędzonego upominała Anna swoim łagodnym, macierzyńskim głosem. — Można Leonowi bardzo spokojnie, a bardzo katego-

rycznie to proste stawić zapytanie: jacy ludzie według jego zdania szlachetniejszą w plemiennościach stanowią odmianę, czy ci, którzy nawet do potrzeby szczęścia ukochać nie są zdolni?...

— Najszlachetniejszą tacy, którzy wszelkie obowiązki człowieczeństwa pełnią — odpowiedział zaczepiony.

— Ocho! już się pan Leon wybiegami ratuje — podstrzegła złosliwie Augusta—już na pytania wprost nie odpowiada, ogólnikami nas zbywa. Widać, że proces w jego sumieniu przegrany.

— Czemu przegrany? od początku do końca trzymam się tegoż samego założenia, wymagam jednej i tej samej rzeczy. Chcę, aby ludzie żyli na chwałę Bożą i na pożytek bliźnim swoim; każdy dzień ich, każdą godzinę nawet potrzeba mi zapełnić pracą, nauką, dobremi uczynkami, szlachetną całej ludzkości miłością—a jak się miłość jednostkowa ma do tych wszystkich moich wymagań? to mnie bardzo mało obchodzi. Wiedziałem że najlepszym na przeszkodze staje. Henryk mi przypomniał, że najgorsi są bez niej jeszcze gorszymi — niechże i tak będzie; przyjmuję romans za środek pedagogiczny dla bardzo, bardzo maluczkich, ale daruj mi, śliczna Augusto, olbrzymom. Prometeuszom nie wykroję z niego promiennej nad czoło aureoli.

— I w tem właśnie, według mojego zdania—zawnioskowała Jadwiga — w tem właśnie główny twojej pomyłki splątał się węzełek. Między tłumem powszednich osobistości trudno zgadnąć, jak której służy uczuciowa hygiena — jednej pomocą, drugiej przeszkodą bywa, lecz dla olbrzymów, Prometeuszów, dla zbawionych i uświęconych, toć to ich cechę stanowi, Leonie, że dla nich zawsze jest cnotą w sercu i aureolą na skroniach, i póki ci kto nie złoży tego dowodu, póki tej próby w życiu swojem nie przejdzie, póty, ja ci radzę, ani olbrzymem, ani Prometeuszem nie nazywaj go wcale.

— Wiesz, Jadwigo—odezwał się Albert filozof— w tem co powiedziałaś jest jedno wyrażenie, które mi dużo światła na całą kwestyą rzuca: „póki kto tej próby w życiu swojem nie przejdzie.“ Istotnie, miłość jest pewną próbą rzetelnej wartości człowieka. jest symptomatem wykazującym działalność jego organizmu, tętnem po którem się stan zdrowia lub choroby rozeznaje, sama zaś nie jest ani wartością, ani organizmem, ani zdrowiem, ani chorobą. Według prawa odwiecznej logiki, jest świadectwem naszem i powinnaby tylko o chwalebnem w nas świadczyć. Dziecinną mi się widzi dłuższa sprzeczka o jej zbawiennych czy tam potępiających wpływach; takiemi zawsze wpływy się okażą, jakiemi są skłonności doznającego ich człowieka. W zasadzie musimy uznać, że miłość najpiękniejszy kwiat życia ludzkiego rozwija; słusznie jest pożądaną jako szczęście, sprawiedliwie cenioną jako szlachetne uczucie, lecz to wszystko w zasadzie tylko. Zastosowania mnóstwo przedstawiają wyjątków: są tacy, którzy szczęścia nadużywają, są inni, którzy nawet w szlachetnych nie mogą się ostać uczuciach, są jeszcze inni, którzy w pewnych danych okolicznościach muszą je dla wyższej poświęcić prawdy, bo w naszym światowym chaosie różnie bardzo się dzieje. Napozór to się zdaje, że dosyć złe obalić, by się wspiąć ku dobremu, a w rzeczywistości złe nam już takie głębokie pod nogami wykopało jamy, że choć pień jego stary podetniemy, to na zrównanie gruntu nie wystarcza i trzeba nieraz w dół rzucić ładne dla pięknego, przynależne dla potrzebnego, ulubioną, dla ukochanej i uczczonej. Cha, trudno! nie krzyw się na mnie, Henryku. Praktyka życia od normalnego planu Bożego fatalnie odstąpiła. Plan Boży dał nam przestrzeń, materyał i zdolnych architektów; kiedy się wznoszą kolumny portyków, kiedy rosną ku niebu ostrołuki starych kościołów i sklepienia poważnych bazylik, chwalimy wspaniałość miasta, przyklaskujemy Brunelleschim i Michałom Aniołom — a jednak są chwile historyczne, w których znów chwalimy wspa-

niałość miasta gorejącego pożogą swych gmachów, przyklaskujemy ludziom, którzy po zgliszczach rodzinnych pałaców niezachwianą stąpają nogą: „impavidum ferient ruinae.“ Okolicznością, przyczyną, celem i skutkiem wartość wszelkiego faktu sądzić trzeba. Nikczemny człowiek nigdy miłości nie dozna, ale i prawy człowiek bardzo często wyrzec jej się musi.

— Wyrzec?... och! nie, to szaleństwo!— zaprotestował Henryk. — Właśnie dlatego, by miał co oddać i zburzyć, gdy przyjdzie chwila poświęceń... właśnie dlatego, by się wyróżnił od tych, co wszystko przedsięwziąć gotowi, bo nic nie mają do stracenia...

— No, no, dość już tego, dość tego — zawołała Emilia — wstydźcie się, moi drodzy, dysputujecie jak średniowieczni scholastycy nad subtelnością wyrażeń, a tu między nami siedzi człowiek cierpiący i znękany, tu dusza ludzka zamiera i nikt z was jeszcze nie pomyślał, że przedewszystkiem, że najpierw trzeba duszę i człowieka ratować. Czy miłość taka, czy owaka, możecie sobie później aż do znudzenia snuć długie rozprawy, lecz czy Benjamin pośród was ożyje? czy macie w sercu skuteczne na jego niemoc słowo? o to, to już dawno ktokolwiek powinien się był zatroszczyć.

Benjamin, dotychczas w milczeniu spuszczoną głowę swoją trzymający, wzniósł oczy na Emilią; była jakaś obojętna ciekawość w jego spojrzeniu, ale współczucia wdzięcznego nie było. Po chwili nawet ciekawość przygasła, zimną martwotą zaszły źrenice, powieki znów się ku ziemi osunęły i znów nieruchomy, jakoby obcy, jakoby niebyły na miejscu swojem pozostał.

— Masz słuszność, święcie radzisz, Emilko — przywtórzyła Tekla mówiącej—nie o systemach, o Benjaminie myśleć nam się godzi. Znajdźmy dla niego użyteczną pracę, to najlepsza pociecha, najmniej zawodne lekarstwo.

— Użyteczną pracę? — podchwyciła Felicya — a cóż ty zowiesz pracą użyteczną? Jeśli pewien gatunek zatrudnienia, to mu każ drzewo rąbać, lub opis

jego podróży drukować; jeśli zaś użyteczną pracą ma być praca moralnie dla bliźnich plonująca, praca, która im światła i ciepła, mądrości i siły ku cnocie dostarcza, to mu żadnych nie dawaj rozkazów. Możesz z niego bardzo piękną wyrobić karyatydę, możesz biegłego dziennikarstwu przysposobić korespondenta, lecz młody i pełen zdolności Alcybiades już nie zmartwychwstanie. Złamał się piękny Greczyn, a bojownik Chrystusowy nie dorósł swej miary. Ocho! praca użyteczna!... toć niema innej, tylko chrześciańska, ofiarna. Ofiarna nie przez cierpienie koniecznie, jak sobie wielu dziś wyobraża, jak niejeden tłumaczy i uczy — ofiarna nie przez krzyż, od którego mdleją nam ramiona, ale ofiarna przez krzyż, który utwierdza nas i okupuje ode złego, ofiarna z bogactwa duszy, nie z jej nędzy, ofiarna przez datek i przez prawdziwą, widomą ofiarę. Dla bliźnich ten jedynie użytecznie pracuje, kto im może ciągle coś z siebie i ze swego dawać: pieniądz, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia. Cóż ty chcesz, by im dzisiaj przyniósł ten Benjamin upadły, biedny, niekochający, zginiony?

— Niech im da czas tylko — odpowiedziała Tekla — na początek ja więcej nie wymagam; niech da godzinę po godzinie, dzień po dniu, lata po latach, a zobaczycie, jak zwolna życiem pierś jego się napełni, światłością myśli rozpłoną, bo praca dla bliźnich, Felicyo, nietylko jest samym wydatkiem, ona także ogromny, jedyny może przychód nasz stanowi; ona nietylko bliźnich, ale głównie nas samych kształci i zbogaca. Więcej przyjmujemy, niż nam dać jest podobnem. Oto spróbujcie tylko: dajcie pracować Benjaminowi; choć zrazu w tę lub ową stronę się zachwieje, podtrzymujcie go na tej i na owej stronie. Sami wkrótce się przekonacie, jaki nam z niego wyrobnik przybędzie.

— Zapóźno już, zapóźno! — rozbrzmiał jak wyrok surowy głos Seweryny.—Użyteczna praca nie może być ani jako ćwiczenie, ani jako zachęta uważaną. Pan Bóg ją tylko na nagrodę dla wybranych swoich zachował. Spojrzyjcie dokoła, moi państwo: widzicie

ilu to ludzi gimnastykuje się, trudzi, poci, krząta, zwija, a ilu jest takich, którym użytecznie pracować wolno? Garstka maleńka—z krociowego tłumu chętnych garstka wyłączona kapłańska... garstka, do której może nawet z nas tu siedzących żaden imienia swego nie dopisze w przyszłości, bo ku temu innych stygmatów i nowych sakramentów trzeba; a wam się zdaje, że ten biedny, ten bezduszny na próżnię swego znicestwienia stygmata przyjmie właśnie i stygmata otrzyma? Daremne wasze zabiegi! Zostawcie go lepiej na tej, którą obrał, przepadłej i odpadłej drodze jego. Niech się wywiązuje z długów zaciągniętych względem społeczeństwa jedyną, jaką może złożyć nam korzyścią: niechaj grozi i ostrzega straszliwym upadku swego przykładem.

— Nie, nie!—z pośpiechem zaprzeczyła Emilia—musi być przecież i dla niego środek jakiś wybawczy; nie godzi się tracić nadziei ocalenia...

— Ach! gdyby ten Benjamin mógł się modlić!... —westchnęła Julia.

Benjamin westchnął także.

— Ach! gdyby ten Benjamin mógł się we mnie pokochać!...—dźwięcznym półgłosem szepnęła Augusta.

Benjamin, nie wznosząc nawet oczu, równie półgłosem szepnął:

— Fanaryotka!...

W tej chwili Henryk zerwał się z miejsca, obie ręce jak do uścisku i pieszczoty ku Benjaminowi wyciągnął:

— Bracie mój! bracie! gdybyś ty miał matkę!...— zawołał takim przejętym, takiej głębokiej prawdy wykrzykiem, że się jego echo o wszystkie nasze serca odbiło.

— Gdybym miał matkę! — powtórzył Benjamin i także wstał z miejsca swojego; usta mu drżały, łza w oku błysnęła—gdybym miał matkę! O pewnie, z potępienia wiekuistego tylko matka wybawić może...

— Więc słuchaj: powiem ci, Benjaminie, wszak wierzysz w ducha nieśmiertelność?...

Ale Benjamin nie słuchał już; wolnym krokiem ku drzwiom postąpił i wyszedł, „nieżegnany, nieżegnający“ — a co się z nim później stało? próżno pytać. Łysy Humboldt od owego wieczoru nigdy przy kominkowym ogniu, wśród gromadki naszej, miejsca swojego nie zajął.

Przez jakiś czas tylko z jego wspomnienia snuły się zawsze długie dysputy o potrzebie, lub o niebezpieczeństwach wyłącznej miłości. Raz, gdy się zdarzyła nowa pod tym względem wątpliwość, nowych do roztrząśnienia przyrzekłam dostarczyć faktów i powiedziałam moim ukochanym, że im odczytam rękopis, który się przypadkiem w ręce moje dostał, a który mógłby niejeden ciemniejszy punkcik rozjaśnić. Wszyscy na to bardzo chętnie przystali i zaczęłam pierwszy mój odczyt „Książki pamiątek“ — drugi bez przerwy po pierwszym nastąpił, trzeci niebardzo się odwlekał, ale później między odczytem a odczytem coraz dłuższe zapadały odstępy; każdy z nas miał coś ważniejszego, coś zupełniej egoistyczniejszego na myśli, więc i czytania szły nader powolnie— kartek się odwracało niewiele... aż przyszło do tego *nakoniec*...

Lecz o tem właśnie „teraźniejsi“ moi czytelnicy na końcu się dowiedzą.

KSIĄŻKA PAMIĄTEK,

ZNALEZIONA PRZEZ GABRYELLĘ

i czytana przy kominkowym ogniu.

Młoda dzieczyna stała nad rzeką,
Rzeka do morza płynęła;
Młoda dzieczyna smutnie westchnęła:
I życie płynie daleko!.....

Daleko płynie, z pamięci ginie,
Lilije rosną nad wodą,
Biedna dziewczyna, któż ją wspomina,
Chociaż umarła tak młodo?.....

Któż się zasmuci, kto piasku rzuci,
Garść piasku młodej dziewczynie?
Ona kochana, już zapomniana,
A rzeka do morza płynie!...
—*Stara piosneczka.*—

Ja piasku rzucę, ja pieśń zanucę,
Pieśń żalu młodej dziewczynie,
Bo mnie kochano, mnie zapomniano,
A mnie nic z serca nie ginie!.....
—*Nowy śpiewak.*—

I.

Zmuszony do kilkomiesięcznego pobytu w Warszawie, zacząłem się starać o najęcie małej, byle cichej i wygodnej izdebki. Tu mi ulica była zagłośna,

tam schody zawysokie, aż na Wałowie, w porządnym choć drewnianym dworku, znalazłem nakoniec czego mi było potrzeba, więcej nawet: znalazłem, czegom sobie życzył oddawna. Na piętrze dwa pokoiki od strony ogrodu, czysto wybielone, z czerwono zaprawną podłogą, z jasnemi oknami, z których jedno otwierało się na mały ganeczek, prześlicznie w dużej akacyi uwikłany konary. Był-to czerwiec właśnie i bujne drzewo, czepiając się po szybach, zielonemi gałązki prześcignęło zrąb dachu i aż wyżej nad domem powiewało sobie. Wiatr lekko niem zakołysał, promienie słońca rozłamały się w tysiące ruchliwych światełek i cieni, jakaś ptaszyna ozwała się z gniazdeczka, jakaś czystość, spokojność, można powiedzieć białość jakaś duszę owionęła, i tak mi się serce rozlubowało w tej ustroni, że idącemu za sobą chłopcu pierwej kazałem o sprowadzenie rzeczy się postarać, niż sam z gospodarzem względem ceny lokalu pomówiłem. Lecz gospodarz, człowiek poczciwy, nie spekulant na ludzkie wrażenia, miesiąc takiego pomieszkania, to jest śnieżne ściany, i woskowaną podłogę, i ogródek przed oknami, i akacyą przy oknie, i słońce w oknach, i cichość, i swobodę i śpiew swego ptaszka, zysk najpiękniejszy nieujętej własności, on to wszystko na 40 złp. miesięcznie oszacował. Łatwo pojąć, że sprzeczki nie było. Przed wieczorem znieśli moje rzeczy i sprzęty. W pierwszym pokoju został kuferek, płaszcz na wbitym gwoździu zawieszony, buty, mały drewniany stołeczek ze wszystkiem, co mi zrana do mycia i golenia przydatnem być mogło, szczotki, słowem cała proza powszedniego życia śmiertelnych; do drugiego pokoiku, do tego, co to miał okno na drewniany balkonik otwierające się, i cień akacyi i słońca promienie, wniosłem dwa trzciną wyplatane jesionowe krzesła, jesionowy zielonym suknem pokryty stolik, twardo, lecz biało usłane łóżko, półeczki z książkami wiszące przy ścianie, fajki i duży głęboki fotel – słowem, całą poezyą dni świątecznych człowieka, całą poezyą, bo sen, nauki, marzenia. Potem, gdy się już urządziłem

w mojej nowej dziedzinie, zszedłem na dół, żeby zaraz całą półroczną należytość z góry opłacić; zwyczajnie, przez dzieciństwo zdawało mi się, że tym sposobem zupełniej się ubezpieczę w mojej posiadłości, a już mię smutek ogarniał na myśl, iż mię cokolwiek oddalić z niej może.

Gospodarz zdziwił się niezwykłym pośpiechem.

— Zdaje mi się, że o dwóch miesiącach mówiliśmy dziś rano—rzekł do mnie.

— Rozmyśliłem się lepiej i wolałbym na całe sześć zapewnić sobie stałe pomieszkanie. Wszakże pan nic nie masz przeciw temu? — dodałem z prędkością.

— Ale bo to my zwykle miesięczną tylko opłatę zgóry przyjmujemy.

— Mnieby dogodniej było odrazu się uiścić.

— No, zresztą na jedno to wychodzi... lecz... widzi pan, mam w tem pewien przesąd.

— A to jaki? czy wolno spytać?

— Najpierw niech się pan bardzo nie lęka, ludzka dola, Boska wola, to jest prawda najlepsza, jednakże, kiedy się tak dziwnie zbiegną okoliczności, sam człowiek nie wie, czy ma wierzyć, czy nie wierzyć.

— Wytłumacz mi pan tę rzecz trochę obszerniej—rzekłam prawdziwą ciekawością zdjęty.

Gospodarz jednem spojrzeniem od stóp do głowy mię zmierzył.

— Och! tak—rzekł znowu — młody i silny, pan ma prawo najlepsze śmiać się najgłośniej z moich przywidzeń, wszelako dziwnie czasem rzeczy na świecie się dzieją; nie wierz im pan, boć bajka bajką, przypadek przypadkiem, ale zawsze jakoś ze wszystkich lokatorów, co przed panem w tych pokojach mieszkali, ile razy się zdarzyło iż który naprzód kwartalnie opłacił, tyle razy... chociaż się jedno drugiego nie trzyma...

— No cóż, tyle razy...

— Nie doczekał drugiego kwartału.

— Jakto, czy się wyprowadził?

— Nie, zawsze umarł. Prawda, że pierwszy był-to sobie w podeszłym wieku staruszek, niewiele mu się należało, jakiś urzędnik, pobierał emeryturę i wypożyczał swój kapitalik na pewne, ale uczciwe, nie lichwiarskie procenta. Miałem w domu trochę biedy właśnie, bo mi się żona rozchorowała, poszedłem więc do niego, żeby pożyczyć, jak inni pożyczali, lecz jemu tak się dom podobał, bo to i porządnie umieciono zawsze, i bez krzyków i bez kłótni, że za odstąpieniem kilku złotych opłacił mi zgóry całe półrocze, i wyobraźże pan sobie, dwóch miesięcy nie dociągnęło dobre człowieczysko, umarł—doktór powiedział, że na wątrobę. Potem, w jakiś czas przemieniło się kilka osób, aż nakoniec wynajął całą górkę jakiś pan wysoki, otyły, nic się nie targował i za całe sześć miesięcy odrazu 240 zł. na stole położył. No, i ten to jeszcze sam sobie winien; jak się później przekonałem, gdyby zgóry nie płacił, pewnoby go dłużej nad miesiąc nikt nad sobą nie ścierpiał, bo to proszę pana komedyant i pijak. Czasem po całych nocach biegał, krzyczał, sam z sobą rozmawiał, a kiedy mu zrana kosz piwa przyniesiono, to iść do niego wieczór, znajdziesz pół kosza szkła natłuczonego, ni mniej, ni więcej. Byłbym się już pieniędzy i lokatorów wyrzekł, ale choć mu kilkakrotnie zwracać chciałem komorne, choć się prosiłem, nic nie pomogło — śmiał się i krzyczał, aż też musiało mu raz w tych krzykach gardło zawiać, bo dostał mocnego zapalenia, położył się w sobotę po południu, a na drugą sobotę już go zupełnie spokojnym do Powązek wieźli.

— Teraz pojmuję, dlaczego pan ma taki wstręt do pobierania zgóry półrocznej opłaty—rzekłem z lekkim uśmiechem; — ten drugi przypadek zwłaszcza mógł wielkiej ostrożności nauczyć, lecz co do mnie...

— Och! co do pana, ja wcale nie myślałem żadnego przystosowania robić; ten domek się dostało w puściźnie dawno temu, a Bóg dał, że osobliwością był ów jeden hałaśnik. Poczciwi poczciwych się trzy-

mają, bez pochwały mogę sobie przyznać, że zawsze jakaś dobra dusza do nas zawita, i gdyby tylko o te dwa zdarzenia człowiekowi chodziło, pewnoby je prędko z uwagi wypuścił; ale tu rok temu przeszło znowu coś podobnego nas spotkało. Pomartwiliśmy się szczerze z moją żoną, i ona mi najpierwsza zrobiła to spostrzeżenie, że się nie szczęści wszystkim lokatorom, którzy na kwartał lub pół roku pierwej za mieszkanie swoje płacą. Nawet—pan się dziwić nie będziesz, kobietom i dzieciom trzeba czasem dogadzać w kaprysach — otóż więc ja przyrzekłem Jaguli, że z nikim podobnej ugody nie zawrę. Comiesiąc czterdzieści złotych do ręki, inaczej wolałbym wcale stancyi nie wypuszczać...

— Jeśli ma od tego warunku nasza zgoda zależeć, to ja nie będę wcale z pieniędzmi się naprzykrzał, i gdy pan chcesz koniecznie, to będę czekał nawet, aż sam się o nie upomnisz, ale czy nawzajem mogę mieć przyrzeczone odnowienie kilkakrotnie wyznaczonego terminu?

— O ile można przyrzec, że się żyć będzie, mój dobry panie, o ile tylko można to przyrzec, ja mu święcie przyrzekam. Niech się pan jednak bardzo nie śmieje, wszystkiemu żona winna, ma nadzwyczajnie dobre serce, okropnie ją zwłaszcza trzecia śmierć tej pani przeraziła, a prócz tego mieć ciągle owe wieko od trumny przededrzwiami, słyszeć jak baby kościelne nad głową śpiewają, pogrzeby, księża, to mi się dzieci straszą tylko. Ostatnim razem Karolek ledwo mi z płaczu nie zachorował, a Helusia, chociaż znacznie starsza od niego, tak się jakoś wzruszyła, że dotąd jeszcze nieraz matkę płaczem obudzi i po imieniu zmarłej przez sen woła.

— Prawda, dziwny zbieg okoliczności, bo się domyślam, że ta pani musiała także zgóry całe półrocze opłacić?

— Całe półrocze, mój dobry panie, całe półrocze, a w trzecim miesiącu wyniosła się do innego, wiecznego pomieszkania.

— Czy młoda była?...

— Młodziuteczka, nawet pomimo tego że drobna, delikatna jak dziecko wyrosłe, zdawała się dosyć silna i zdrowa. Mówiła raz Helusi, że już dwudziesty piąty rok kończy, ale niktby jej więcej nie dał nad siedmnaście, bo wyobraź pan sobie: niziutka, szczupła, biała, nieledwie przezroczysto biała, jak najpiękniejsza porcelana, i zawsze dwa świeże rumieńce na twarzy, myślałby kto, że umyślnie wymalowane, tak odznaczone, tak równe. Kiedy czasem dla pośpiechu swoje długie jasne włosy rozdzieliła na warkocze i tak splecione puściła od skroni po ramieniach, aż do stóp prawie, to ledwo na starszą siostrę mojej dziewczynki wyglądała, a jeszcze też gdy obiedwie na ziemi sobie siadały, gdy Helusia zaczęła figlować, stroić ją w kwiatki— bo kwiatków pełno musiało być codzień świeżych w jej pokoju — gdy ona się do niej uśmiechnęła takim anielskim, takim dziecinnym uśmiechem... doprawdy, przypuściwszy, że dom się zapalił, ja byłbym sam nie wiedział, którą pierwej ratować. Kochaliśmy ją z żoną, niby trzecie dziecko nasze.

— Jak się nazywała?

— Otóż to jeszcze jedna osobliwość, której nigdy pojąć nie mogłem: powiedziała swoje nazwisko, boć przecież było do zameldowania potrzebne, ale prosiła nas, żeby go nikomu napróżno nie powtarzać i wrazie nawet, gdyby się kto jako znajomy o nią dopytywał, powiedzieć, że już jej niema. W wigilią śmierci zmieniła to postanowienie, kilka razy na pocztę wysyłała naszę służącą, która jej także uprzątała w pokojach, i zaleciła żeby wpuścić natychmiast każdego, coby się do niej zgłosił, ale jak pierwej zakaz, tak potem rozkaz był zbyteczny. Nikt nie przyszedł i nikt nie przychodził. Zdaje się jednak, że kogoś z wielkiem czekała upragnieniem; kilka razy mówiła, że chciałaby choć na dwa dni tylko mieć okna od ulicy, a pierwej to się jej właśnie najlepiej podobało, że na ogród wychodzą. Potem, może na kilka godzin przed śmiercią, pokazała mojej żonie mały zapieczęto-

wany pakiecik i prosiła, ale tak cichym, tak słabym głosem, że ledwo dosłyszeć można było: — „Jeśli tu przyjdzie pani jaka, wysoka, piękna, brunetka, choćby w rok po mojej śmierci, spyta o mnie, to jej oddacie te listy i powiecie... powiecie wszystko coście widzieli... wszystko co pamiętasz, Helusiu — przydała, zwracając się do mojej córki, która ją ciągle za rękę trzymała, a była, od tych łez widać, co jej chyba do serca spadały, bo oczami ta dziewczyna prawie nigdy nie płacze, była mówię tak zmieniona i blada, jak gdyby na nią własnie ostatnie przyszły chwile. „Jeśli nikt spytać nie przyjdzie — kończyła chora z wyraźnem utrudzeniem — to czekajcie rok drugi... jeśli nikt znowu... to będzie można, będzie nawet trzeba spalić“ — a widać ciężarem były jej te słowa ostatnie, bo aż mocniejszy kaszel ją porwał i dwie duże łzy jak ziarnka grochu po twarzy się stoczyły... Ot, mnie samemu, kiedy sobie wspomnę tę chwilę i noc, która po niej nastąpiła, to mi tak smutno, jak gdybym miał zapłakać... Boć proszę pana, czyż sposób nie pożałować?... młode, śliczne, dobre jak Najświętsza Panna stworzenie, a takie samo, takie opuszczone, że gdyby nie my, toby jej w ostatniej chwili nie miał kto dobrem słowem na wieki pożegnać.

— Więc nikogo, zupełnie nikogo przy sobie nie miała?

— Jak panu powiadam, żywej duszy.

— Nawet wczasie choroby?...

— Ona, bo prawdę mówiąc, nie chorowała wcale. Była coraz szczuplejszą, coraz żywszych dostawała rumieńców, oczy jej coraz głębiej zapadały, ale się nigdy na nic nie skarżyła. Dopiero kiedy jej sił tak zabrakło, że już sama przez pokój przejść nie mogła i po całych dniach przeleżała na łóżku, lub na kanapie, moja poczciwa Jagula poczęła jej o doktorze wspominać; ale gdzież tam, i słuchać nawet nie chciała. „Jeśli to jest chwilowe osłabienie — mówiła — to samo z siebie ustąpi, jeśli choroba, to i doktór nie pomoże.“

— A wistocie cóż to było?

— Ksiądz nasz znajomy, którego do spowiedzi przywołano, powiedział, że jakaś wolno trawiąca gorączka.

— Zapewne suchoty?...

— Cha. mogły być i suchoty. ale pan nie masz powodu lękać się zarażenia; kazałem wszystko wyczyścić, wybielić. miesiąc cały okna były otwarte w późną jesień. wiatr dobrze wydmuchał, a i tak już drugi rok idzie, i pan się nawet nie pierwszy sprowadza; jakieś szwaczki przez pięć miesięcy we trzy po całych dniach i nacach tam szyły, a żadnej nic nie było, wszystkie w najlepszem opuściły nas zdrowiu. to pan także spokojnym być możesz.

— Jestem nim, chciej pan wierzyć. że jestem. co się tyczy mego zdrowia, tylko mi ciągle na oczach ta młoda nieznajoma pani...

— Dobrze się zastanowiwszy... po roku, czemużbym nie miał powiedzieć jej nazwiska, przecież nie zbrodniarka żadna...

— Och! nie powiadaj pan — przerwałem z żywością — bo mię cześć jakaś przejęła ku ostatniemu życzeniu biednej umarłej — nie powiadaj pan ani mnie. ani nikomu, coby dla próżnej ciekawości chciał zbadać ową tajemnicę — jedyny skarb może wielkiego nieszczęścia.

— Prawda, prawda, święte pańskie słowa i zapewne uczciwe, prawe serce pańskie - rzekł nieco wzruszony ślusarz, wyciągając ku mnie swoję zczerniałą, kościstą rękę. Uścisnąłem ją w obu dłoniach moich. bo mi tajemne przeczucie mówiło, że to szlachetnego człowieka ręka.

— Jednakże — odezwałem się po chwili milczenia — przynajmniej ta kobieta żadnego nie cierpiała niedostatku?

— Trudnoby to z pewnością zaręczyć; miała niby tyle. ile jej było potrzeba i na skromny pogrzeb zostało się jeszcze, ale czy nigdy więcej nie potrzebowała, czy jej sposób życia był z upodobania, czy z konie-

czności wybrany, tego nie wiem, i po wielu domysłach, wnioskach, przypuszczeniach, nic stanowczego wyrzecbym nie mógł. Najpierw, jak to już panu wspomniałem, całe półrocze zapłaciła naprzód i nam i na zaręczenie naszej służącej, która już od kilkunastu lat domu wiernie się trzyma; potem, codziennie robiono jej tu na dole spory imbryczek czarnej kawy, a czasem w wieczór herbaty — zresztą garnuszek mleka, dwie bułeczki któremi się zwykle z ptakami dzieliła, co drugi dzień talerz rosołu także od nas wzięty, mięsa ledwo na ząb jeden, wszystko to pewnie i trzydziestu złotych nie wynosiło miesięcznie, ale zato świece zawsze musiały być woskowe i nieraz późno w noc migały z jej okienka; książek ślicznie oprawnych pełna szafka; bielizna porządna; sukien ładnych dosyć, chociaż najczęściej w czarnej tylko, lub w białych rannych chodziła szlafroczkach; mebli niewiele, ale zato bardzo porządne i tak jakoś rozstawione, iż gdy do niej się weszło, to człowiek myślał, iż do salonów najpyszniejszych wchodzi. Wszystko przed śmiercią darowała mojej Helusi, a po śmierci tośmy znaleźli jeszcze pismo jakieś w stoliku, gdzie ta darowizna ze wszelkiemi formalnościami poświadczoną była. Upominała żeby spalić te rzeczy, które jej do bliższego służyły użytku; ja sam chętnie byłbym wypełnił to ostatnie zlecenie, ale mi córka niczego tknąć nie dała, co droższe, co nowsze, to wszystko pozwolita matce wziąć, sprzedać lub poprzestawiać do naszych pokoi, ale czego wyłącznie chora używała, tego nikomu nie ustąpiła dziewczynina. Wybłagała sobie jakieś schowanko pod strychem i tam jest łóżko usłane tymże samym co dla nieboszki sposobem, kanapa na której leżała bardzo często, dywan co się na nim bawiły w początkach, skrzyneczka z rzeczami, które do ostatniej chwili nosiła, i fotel w którym umarła — bo to najdziwniejsza, że kiedy przy spowiedzi ksiądz jej o bardzo blizkiej śmierci prawił, ona zaraz się domyśliła, że to już życia niewiele, chociaż była niby silniejszą i zdrowszą — kazała się ubrać Małgosi jakby

do trumny w świeżą zupełnie bieliznę, wstała, przeprowadzono ją przez pokój, siadła w fotelu naprzeciw okna i pomimo namowy, prośby, rady, już więcej do łóżka nie wróciła.

— I miała przytomność do ostatniej chwili?

— Zupełną, ciągle patrzyła... — Wtem nagle mój gospodarz umilkł, odkaszlnął, mrugnął na mnie i zaczął donośniejszym głosem mówić, jak gdyby dalszy ciąg ugodnej rozmowy:

— Piec wcale nie będzie dymił; jeźli pan u nas i na zimę zostanie, to mu będzie ciepło jak w ulu, mój dobry panie; na wszystkie strony opatrzone, oblepione, a z południa, to mu i wiaterek nie dokuczy nawet...

Przyczyną tak niespodziewanego zwrotu było wejście młodej dziewczynki, która, stanąwszy przy stoliku, bystre, przenikliwe, długie spojrzenie na twarz ojca zwróciła. Ślusarz kaszlnął, kilka razy posunął krzesłem, zaczerwienił się i widocznie prosił o poratowanie go w tem kłamstwie niewinnem, przez które, jak się łatwo domyślałem, ukochanemu dziecięciu przykrego chciał oszczędzić wspomnienia— lecz ja w tej chwili inną zupełnie zajęty byłem myślą.

Dziwne wrażenie zrobiła na mnie ta dziewczynka, co tak długą żałobą kilkotygodniowej znajomości przechowywała pamięć. Na pierwszy rzut oka dziecko, i brzydkie dziecko — śniade, chude, z wysokiem czołem, z bladosiwemi oczyma. W drugiej chwili, gdy lepiej rozróżniłeś dobiegające swej pełności kształty, i lśniący połysk na dwoje rozczesanych warkoczy i błękit żył pod przezroczystą, delikatną choć ciemną krzyżujących się skórą — to ci widomie z dziecięcia wyrastała dziewica piękna, smutna, urocza jak tajemniczość — a gdyś jeszcze wzrok swój na jej wzroku zatrzymał, gdy po tych niebieskawych światełkach roztoczyło się czarnym płomieniem koło zwiększonej źrenicy i dostrzedz mogłeś złotawego usnucia, które z nazewnątrz do środka jej promieniami biegło, jak

gdyby całą dnia jasność, całe uczuć światło tam daleko w głąb piersi przed ludźmi i przed światem chciało wciągnąć sobie, gdy szczególniej przypatrzyłeś się temu czołu zawysokiemu nieco, ale tak czysto, rysunkowo od włosów po dwie równe, wąziutkie, czarne jak aksamit brwi spadającemu, och! wtedy nie dziewczyna, nie dziewica stała już przed tobą, ale kobieta w całym majestacie swojej wielkości, święta myślą, uczuciem, boleścią. Nic dziwnego, że przy pierwszem spotkaniu wieku jej domyśleć się nie mogłem; wyglądała na lat dwanaście, mogła kończyć rok szesnasty, a jednak w tej chwili, kiedy tak badawczo na ojca patrzyła, kiedy w dwie głębokie zmarszki jakby do zwyczajnego układu jej czoło się ściągnęło, kiedy zwierzchnia warga, lekko, niedostrzeżonym meszkiem ocieniona, zadrżała, mimowolnie i przymuszonym rozśmiała się uśmiechem, ja byłbym jej, bez wahania się nawet, więcej niż dwadzieścia lat policzył, wistocie zaś niespełna piętnaście ich miała.

— To moja córka, Helusia — rzekł nakoniec gospodarz, widząc, że nie przerywam przykrego milczenia.

Skłoniłem się pełnym poszanowania pokłonem, jak przed najsławniejszą warszawskich salonów królową, a może głębiej i pokorniej jeszcze, bo nie pamiętałem żeby kiedy najsławniejsza piękność takie wrażenie czci i podziwienia zbudziła we mnie, prócz tej jednej, której z nikim, w żadnem zdarzeniu życia porównaniem nie stawiłem nigdy.

Młoda dziewczyna lekkiem skinieniem głowy odpowiedziała na mą grzeczność, a jej ojciec zdziwiony patrzył na nas koleją i sam nie wiedział, co już mówić dalej. Szczęściem dla niego znowu drzwi się otworzyły. Weszła do pokoju młoda jeszcze kobieta, bardzo przystojna, sześcioletniego chłopczyka za rękę trzymając.

— Mamy nowego lokatora — rzekł do niej ślusarz, wskazując na mnie; — układ skończony tylko na miesiąc, moje serce, lecz zdaje mi się, że da Bóg, dłu-

żej z sobą zostaniemy. Pan chciał koniecznie zgóry półroczne opłacić...

— Dziękuję ci żeś o mej prośbie pamiętał — ze smutnym uśmiechem odpowiedziała mu kobieta, i przywitawszy mię raczej spojrzeniem niż ukłonem, prędko do poblizkiego przeszła pokoju. Córka zapewne ją tam uprzedzić musiała, bo kiedy zwróciłem się ku niej, już jej nie było, zniknęła. Ja sam też prędko odliczyłem miesięczną należytość, raz jeszcze ścisnąłem rękę dobrego gospodarza i oddaliłem się do moich pokoików.

Tym razem ich widok przejął mię głębokiem jakiemś, trudnem do opisania uczuciem, jak gdyby piękne ramy wypełniły się ciemnym i ponurych przedmiotów obrazem. Nie była to dziecinna bojaźń, ale był także czystej litości żal za umarłą; jeśli bez wystawienia się na śmieszność można dwudziesto-kilkoletniemu mężczyźnie coś o swoich nerwach wspominać, to ja się przyznam, że może ich działania doświadczyłem wtedy. Zrobiło mi się tak ciężko na piersi, tak smutno w myślach, jak przed burzą lub przed nieszczęściem, choć właśnie nadzieja dobrej przyszłości zaczynała się niby rzeczywistnić w mem życiu, a pogoda świeciła z nieba pełnym księżycem tak jasno, jak gdyby mi kto w wielkie morowego srebra blachy powybijał ściany pokoju, deski podłogi i łóżka przykrycie. Trudno sobie wyobrazić, trudno życzyć w spokojniejszem schronieniu ozdobniejszej cichości — a mnie jednak było smutno i przykro. Powieść ślusarza niedokończona, niepewna, bezimienna, dręczyła mnie niby kartka wydarta z zajmującej książki, gdy zaś usiadłem w moim fotelu, gdy zapaliłem fajkę, a dym białawy rozmajaczał kłębami po świetle księżyca, zaczęła mi się tak uprawdzać, tak uprzytomniać, że doświadczałem zupełnie podobnego wrażenia, jak gdyby mię ze świeżym trupem zamknięto. Zimne poczucie nicości, które wtedy mimowolnie do serca przystępuje, usposobienie do gorzkich, szyderczych myśli, pamięć bardziej ku niemiłym zwrócona wspomnieniom — zachwianie ogólne

w nadziejach i w woli moralnej, tego wszystkiego razem doznawałem, sam sobie nie mogąc zdać sprawy, jak i czemu?... Przecież człowiek pierwej niejednę legendę już słyszał, przecież o wielu naczytał się okropnościach, a choć w jego życiu przeszłość latami niedługa, to kilka chwil cierpienia wypełniło ją doświadczeniem rozmaitych kolei. Patrzyłem na śmierć ojca; raz już mi się zdawało, że matkę utracę. Odprowadzałem na Powązki ciało kolegi i przyjaciela szkolnego, byłem nawet raz obecny strasznemu nagłego zgonu wypadkowi, a zawsze w każdem zdarzeniu czułem męztwo, siłę, krew zimną i odwagę; nie wiedzieć zkąd wtedy proste opowiadanie najpospolitszej historyi tak zadziałało na mnie. Że piękna młoda kobieta dostaje suchot i umiera, że ja w rok później sprowadzam się do tego samego mieszkania, to były rzeczy zwyczajne, powszednie i za takie uznawałem je przed sądem mego rozumu, a jednak nerwowa władza fantazyowania wzięła górę. Zrazu chciałem jej oporem lodowatą stawić krytykę, ale rozśmieszyła mię wkrótce tak silna walka przeciw tak drobnemu niebezpieczeństwu; odrzuciłem tę broń zbyteczną i zdałem się bezwarunkowo na dowolne dziwactwa mych wrażeń. Powoli, powoli, ustępować zaczął pierwotny niesmak i zamarzyłem się w tysiączne domysły, obrazy, wnioski, i nie postrzegłem nawet, jak z marzenia w rojenie, z rojenia w senne widziadła rozsnuła się cała bezładnych myśli osnowa.

Nagle w fotelu moim, naprzeciw tego okna z ganeczkiem zielonym, nie ja siedziałem, lecz przeszłoroczna poprzedniczka moja, biała, w białej szacie, umierająca i zadumana swoją ostatnią myślą na ziemi. Myśl tę widziałem pod jej czołem, lub raczej we własnem sercu czułem, ale nie wyrazami. Niby-to był żal głęboki niepowrotnej straty, niby jakieś do uniknienia, a nieuniknione nieszczęście — ja znałem jego przyczynę, pojmowałem okropność, lecz jak to we śnie bywa, bez określenia żadnego. Moja nieznajoma, wbrew wszelkim przepisom pięknego konania, wzrok

miała nie do nieba wzniesiony, lecz trochę przywarty i spuszczony w dół między czerniejące krzaki ogródka. Czoło jej było równe, czyste rozjaśnione blaskiem księżyca i tylko przy skroniach lekko żółknąć poczynało, jak starożytny marmur posągów. Pod tem czołem trudnym do opisania wdziękiem jaśniała twarz jej delikatna, drobna, dziecinna prawie, a taka już smutna, taka cierpiąca, że mi się płakać nad nią chciało. Rączki maleńkie palcami splotła i na kolana zarzuciła, a potem, jak gdyby ją bezsilną ciągnęły za sobą, z usposobieniem właściwem suchotnikom, naprzód się zupełnie podała i na wątłej kibici jak kwiatek złamany zawisła Promienie księżyca okoliły ją w tej ślicznej postaci, lecz cień akacyi nieznacznie się zbliżył, a niby ona wiedziała i niby ja wiedziałem, że jak się zbliży, jak jej na twarz padnie, będzie musiała umierać—i tak chwila po chwili, w każdem tchnieniu mogłem liczyć ubytek jej życia, i liczyłem, ale gdy się cień zbliżył, gdy już skonać miała, jej postać zmieniła się nagle w córkę ślusarza, z tym głębokim, tajemniczym na twarzy wyrazem, z tym nieszczerym uśmiechem na ustach, z tem spojrzeniem, z jakiem na zakłopotanego ojca spoglądała... Kilkakrotnie wracało mi widzenie i czucie tych samych obrazów, aż nakoniec mocniejszy chłód przedświtu ubudził mnie na chwilę, lecz nie roztrzeźwił wcale, instynktem tylko zaszedłem do łóżka, cisnąłem się na nie w ubraniu i znowu zaczęło mi się kleić mar tysiące. To widziałem czarną trumnę, z której przez źle zabite wieko wydostawały się długie jasnych włosów pierścienie, to głowę śniadej Helusi na marmurowych umarłej ramionach, to zupełnie twarz obcą, nieznaną, ale z ową jakby w złotą obrączkę w promienie objętą źrenicą, to nawet inne, przecudne, niedostępne życzeń moich zjawisko, sen mojej rzeczywistości, słońce natchnień moich—Ona—stawała przy oknie balkonu, zrywała liście akcyi, zerwane w jakiś długi bez końca plotła wieniec, a kiedy chciałem ze splecionych koło na jej głowę spoić, była znowu przedemną ta postać w śnieżnej bieliźnie, z przywartemi

oczyma, z cierpieniem konających na bladem obliczu. Jednak nie męczyły mię wcale okropne te przemiany, choć jak na jawie, każde uczucie, litość, podziwienie, miłość, wstręt niekiedy czułem. Czy długo to trwało? nie umiem powiedzieć — wiem tylko, że nazajutrz bardzo późno się obudziłem.

II.

Zawstydziłem się trochę przy świetle dziennem za moję wieczorną wrażliwość, wstałem co prędzej, z gorączkowych snów i marzeń czoło zimną wodą obmyłem, przebrałem się i zostawiwszy klucz mój Małgosi, z którą poprzednio takąż samę i w takichże warunkach jak zmarła pani zawarłem ugodę, śpiesznie wybiegłem na miasto.

O wpół do jedenastej czekała mię ważna bardzo z mecenasem *** narada. Szło o udowodnienie prawa do kilkudziesięciu tysięcy spadku, którego nam nikt wprawdzie nie zaprzeczał, ale za którem już od miesiąca siedziałem w Warszawie i długo jeszcze posiedzieć mogłem, dzięki nadzwyczajnej sumienności naszych prawników, którzy mi ani literki z aktów sądowych oszczędzić nie chcieli. Przychodzę, mecenasa już w domu niema — spóźniłem się o pięć minut; a to człowiek bardzo wzięty i akuratny jak kompas.

„Ocho!— pomyślałem sobie — nie najszczęśliwiej obejmuję w posiadłość moje nowe pomieszkanie. W nocy śpię zamało, z rana zadługo, chybiam umówionej godziny, a może kilka tygodni marudztwa przyczyniam sobie— kto wie czy w tem jakiego fatalizmu niema?“ — I rozśmiałem się na pobratymstwo tej obawy z przesądami pani ślusarzowej, rozśmiałem tem weselej, że cóż mógł być za fatalizm w tym domku spokojnym, w którym mi się wszystko razem z wszystkimi razem podobało, nawet ostatnia moja znajomość.

pani Małgosia, blizko pięćdziesiąt lat mająca, trochę dziobata, trochę zanizka, trochę zatłusta, lecz taka przyjacielska, taka chętna, taka łatwa do zgody, żeśmy od pierwszej rozmowy bardzo się polubili.

Wracałem więc powoli, przypatrując się wszystkim szyldom, a droga jak codzień, tak i wtedy wykręciła mi się na Daniłłowiczowską ulicę. Przy pałacu Załuskich silniej mi serce w piersiach zastukało, bo tam w oknie którem pierwszego piętra na lewo mogła bardzo biała ręka spuszczone podnosić szory, mogła bardzo piękna głowa na zakratowany wychylić się dzidziniec.

Bodaj-to te miary czasu tak zmienne w swojej wartości! Do mecenasa przybyłem zapóźno, tutaj zawcześniebym przybył—gdyby jednak?... Pięć minut po jedenastej minęło. Pójdę się tylko zapytać o zamiary na wieczór dzisiejszy. Przez chwilkę stałem. A któż tak nie stał, dziecinny, niepewny, śmieszny, w rozmysłach u podwoi swej wybranej, jak przed świątynią swego bóstwa? Szczęśliwa, bałwochwalcza młodości chwila! Tymczasem mnie stojącego potrącił jakiś pan z podwórza właśnie wychodzący.

— Przepraszam.

— Nic nie szkodzi.

I obadwa uchyliliśmy kapeluszy i obadwa z uchylonemi zostali. przypatrując się sobie, przypominając z pół-uśmiechem, z pół-kłopotem.

— Jeźli się nie mylę?...—rzekłem.

— Zdaje mi się..,—odpowiedział.

— Pan Romuald...

— To Ludwik! — i ramiona wyciągnęły się do wzajemnego uścisku.

Romuald był *jej* bratem, znaliśmy się w szkołach jeszcze, potem nas wypadki życia rozdzieliły; słyszałem tylko o nim, że utalentowany artysta, dla wykształcenia się w muzyce, na lat kilka za granicę pojechał; ja zaś dopiero w czasie jego niebytności ze wsi, gdziem przy matce gospodarzył, Warszawę odwiedzając, poznałem się z jego siostrą.

— Zapewne do nas szedłeś — rzekł, żartobliwie w oczy mi patrząc; — Marya Regina miała przeczucie, że cię wcześniej dzisiaj zobaczy in gratiam święta mojego powrotu.

— Ależ to powrót zupełnie niespodziewany; przed wczoraj był list od ciebie.

— Z Berlina ośm dni temu jak pisany... toć przecież nam muzykom wolno temat życia waryować.

— Szczególniej. gdy jak na teraz w tak miłym ułożą go tonie.

I wymieniając wzajemnie oderwane słowa, weszliśmy do bawialnego pokoju, w którym Marya Regina, schylona nad ogromną paką, przerzucała w zwojach nót swego brata.

— A widzisz, Romualdzie — rzekła do niego, ku mnie rękę na szczerego powitania uścisk wyciągając— wszakże ci mówiłam, że pan Ludwik niedługo przyjdzie, bo mu się jego cząstka w radości dobrych przyjaciół należy.

— Niech pani za tę myśl i za to proroctwo z chwil dzisiejszej podobnych całe życie me złoży.

— Złe życzenie, panie Ludwiku; chwile podobne, nudne chwile. Wiesz przecie — dodała z uśmiechem — że ja dnia najszczęśliwszego dwa razybym przeżyć nie chciała.

I wskazała nam miejsca, sama do zaczętego przeglądu wróciła. Usiadłem trochę smutniejszy niż w pierwszej mego wejścia chwili, bo ostatnie jej wyrazy przypominały mi niedawną rozmowę, w której szło nam właśnie o trwałość wrażeń, o świętość uczucia. Ona, kobieta, broniła wszelkiej zmiany; w zmianie, czyli przemianie, jak się wyrażała, był dla niej jedyny, prawdziwy postęp i rozwój życia. Zaiste! sam dzisiaj wiem najlepiej, że miała słuszność w bezwzględnem, oderwalnem słów tych znaczeniu — lecz wtedy mnie i od niej coś podobnego usłyszeć... kiedy serce w wieczność jednego rzutu oka wierzy, kiedy ma w nadziejach nieskończoność dla każdej chwili szczę-

ścia, odwagę choćby przeciw nieśmiertelności... To proszę, jakżeż się smucić nie miałem?

Ach! co to za czarodziejka była ta Marya Regina, bo tak ją zawsze dwu-imieniem w rodzinie i między bliższymi znajomymi nazywano.

Przy ojcu, od dziesiątego roku po matce sierota, z bratem tylko dwa lata starszym wychowana, samoistnie prawie ukształciła się na pełną wdzięku i siły kobietę. Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy ją pierwszy raz w loży wspólnej naszej znajomej zobaczyłem. Od sceny siedząc bokiem, ku niej się zwróciła, a w tem poruszeniu futrzana peleryna osunąwszy się nieco, ciemno brunatnym obwodem spadek prześlicznej długiej szyi i okrągłość ramion odznaczyła. Śnieżysta białość jej cery, świeżej choć jednostajnie bladej, zadziwiała przy czarnych, ale to jakąś metaliczną, granatową czarnością czarnych włosach. Koloru jej oczu jak wtedy, tak długo potem rozpoznać nie mogłem. Trzymała je ciągle ku sławnej naszej aktorce zwrócone i kiedy Ritta Hiszpanka zdradzona, wyśmiana, jednem słowem obelgi policzkuje zwodziciela, ona z krzesła się uniosła, lekkim rumieńcem zakraśniała i entuzyastka-artystka artystce silnie obie klasnęła dłonie, potem dopiero, jakby na świadectwo swemu uniesieniu, spojrzała ku nam, lecz tyle światła łamało się w jej źrenicach, tak były lśniące, promienne, że nie czarne, nie błękitne, ale dyamentowe mi się zdały. I były to prawdziwie oczy jej duszy, bo teraz nawet, gdy sobie chcę wytłumaczyć tę kobietę, zawsze mi dyamenty, zawsze jej spojrzenia na myśl przychodzą, tak równie czysta, jasna, piękna, a jednakże tak równie i kamienna była. Dyamentu własnością, ona także pod promieniem słońca mieniła się w tysięczne blaski swej fantazyi; jakie wrażenie na nią padło, w takiego barwę przeoblekała cały świat swój naokoło, a barwy zawsze cudne, choć coraz inne, nieujętne, migotliwe — zwyczajnie jak połyski dyamentu — jak połyski dyamentu, bo nawet z nazewnątrz odbiciem tylko świecące, a czem jest dyament w istocie swojej?..

węglem i x., niewiadomą — a czem ona była w treści ducha swego?... mnie się zdaje, że była wielkim talentem, wielką pychą i... tajemnicą! Obdarzona mistrzowskiej potęgi wyobraźnią, przywykła do zupełnej w czynach i myślach niezawisłości, nigdy przecież w nadzwyczajność z ubitej nie zboczyła drogi, nigdy za określone towarzyskiemi wymaganiami nie przestąpiła granice, lecz zato w ów powszedniości obręb ściągnęła tyle sobie tylko właściwej poezyi, tak zekształtowała najpospolitsze życia zdarzenia, tak tworzyła, czy przetwarzała, że nigdy rozsądniejszej i dziwaczniejszej nie zdarzyło mi się widzieć kobiety. Od kołnierzyka, co potrujnym puszkiem tiulików i koronek jej szyję obejmował, aż po sztalugę, na której schnął olejny, trupią głowę między kwiatami przedstawiający obraz, wszystko w jej ubiorze, w rozstawieniu jej mebli, w rozkładzie jej codziennych zatrudnień było jakby niespodzianie zaimprowizowane, jakby czarnoksięską laską wywiedzione z krainy cudów i piękna. Ona sama w tym świecie własnych pomysłów wysoka, dumna, czy też pełna godności, prawdziwa dziewica-królowa, Marya Regina, jak ją nazwano chrztem kościoła z przypadku, a sądem przyjaciół z podobieństwa, zdawała się prawie obcą na ziemi, w poezyach wymarzoną istotą — i to wszystko w niej było ogniem, czy jak tam jubilerowie mówią, wodą dyamentową. Lecz w stanowczych chwilach życia, owa istota miała tak zimny pogląd na rzeczy, jak cięcie skalpelu; wcześnie zarząd ojcowskiego domu objąwszy, wyrobiła w sobie jakąś przenikliwą zręczność, jakiś sąd męzki i niezachwiany w zakierowaniu rodzinnemi sprawami i to w niej było skamieniałością dyamentową... Ale na cóż ja piszę dzisiaj to, czego wówczas nie myślałem?...

Wówczas siedzieliśmy naprzeciw siebie z Romualdem, przypatrując się jeden drugiemu, bo po kilku latach odnawiać znajomość to trudniej daleko, niż zupełnie nową zabierać. Marya Regina, opodal stojąc, półgłosem nuciła przeglądaną muzykę, a w ustępach

rzucała oderwane wyrazy do naszej bardzo obojętnej rozmowy.

— To andante grałeś na ostatnich imieninach naszej matki i ułożyłeś fantazyą do pierwszego swego kancertu; proszę cię, nie każ go nigdzie drukować... mnie daruj, schowam, bo to rodzinna pamiątka... Jak widzę, po tej stronie są wszystkie twoje sztuki, a tutaj sam Lipiński... Ach! przypominam sobie, kiedy grałeś w tym kwintecie, prześlicznym byłeś chłopcem, teraz zbrzydł mój Romuald— wszak prawda panie Ludwiku? Aż mię wstyd żeśmy tacy do siebie podobni...

Wistocie, podobieństwo rysów było zadziwiające, kiedy się jednę twarz przy drugiej widziało. lecz osobno każda z nich tak była różna wyrazem, że się wcale nie przypominały wzajemnie. Młody artysta. blady i brunet jak siostra, był daleko chudszy, wątlejszy. Profil jego, ostrzej narysowany, zdradzał nierównie drażliwszą naturę. Linia, która od trochę pochylonego w tył czoła, po klasyczno orlim nosie biegła, prędko łamała się ku dość wydatnym ustom i może zakończasto odcinała nieco wystającą brodę. Z lekkiego drgania skóry, na kościach policzków wyciągniętej, z cieniu, co sinem półkolem, wpadłe, więcej jaskrawe niż jaśniejące oczy podkreślał, łatwo można było się domyśleć przejścia wielu gwałtownych czasem, zmiennych zawsze wrażeń i namiętności. W duszy Maryi Reginy przeczuwał każdy jakiś grunt niewzruszony, stały, ciągle ten sam pod przemienną powłoką, niedosięgnięty i nieskłócony nigdy; tutaj widać było, że każde wstrząśnienie aż do głębi całą mąciło naturę, że ta natura nigdzie nie miała pewności, ujęcia, oparcia. W tej chwili jednak dla wszystkich, którzy go z dawną jego młodzieńczą świeżością porównać nie mogli, Romuald bynajmniej na zarzut swej siostry nie zasługiwał; piękny był i ową nerwową dziwacznością swej fizyognomii i tą smukłą, niedbale w ramiona szerokiego fotelu rzuconą postacią; piękny nawet pięknością białej ręki, wązkiej, ulazurowanej przejrzystemi

żyłami, zakończonej w długie przy pagnokciach różowe palce, któremi od czasu do czasu mieszał krucze swych włosów pierścienie, lub gładził śliczny i lśniący jak jedwab wąsik. Te tak często u innych mężczyzn przesadą tchnące poruszenia, u niego miały właśnie wdzięk naturalności, bezwiedzy i zapomnienia o sobie, bo to była także jasna, promieniejąca pod światło iskierka, tylko że nie z kamienia, ale... ale z kropli rosy.

Roześmiał się głośno na odpowiedź swej siostrze i niby niedowierzaniem zapytał mię:

— No, a ty, Ludwiku, jakiegoż zdania jesteś?...

— Ja ciebie tylko dzieckiem i niedorostkiem znałem, czy zbrzydłeś nie wiem, ale bardzo się zmieniłeś.

— Ocho, pan, jak widzę, zręczny dyplomata; zapewne to moje podobieństwo z Maryą Reginą tak mu usta wiąże.

— Mylisz się, Romualdzie, dla mnie między wami żadnego niema podobieństwa.

— Jeśli tak, to możesz się pochwalić najoryginalniejszym sposobem patrzenia na ludzi; ręczę ci, że zawsze będziesz sam jeden swego zdania.

— Więcej ci nawet powiem: między tobą, chłopcem siedmnastoletnim, którego po raz ostatni na uroczystości szkolnej widziałem, a tobą dzisiejszym mężczyzną... nie śmiej się ze mnie, ale jak gdyby ciągu żadnego nie było, jak gdyby się coś zerwało, jak gdybyś nie wyrósł, tylko stał się innym.

— Przyznam się, że lepiej trochę zrozumiałem gorzką prawdę mojej siostry.

— Ja ci radzę — odezwała się Marya Regina — żebyś bardzo uważnie w tym przedmiocie pana Ludwika słuchał; to prawdziwy fizyognomiczny talent, a niedawno wszystkie dzieła Lawareta odczytywał.

— Czy tak? więc proszę cię, mój dobry, mój kochany Ludwiku, co to się zerwało między dawnym

studentem, a najpokorniej kłaniającym się muzykusem?

— Nie ufajże zbyt ślepo zaręczeniu panny Maryi Reginy; mój talent co do sztuki Lawareta jest jeszcze w zupełnie rodzimym stanie, żadną nie wsparty nauką.

— Bez przyczyny jednak nie zrobiłeś tej uwagi, więc mi przyczynę powiedz tylko.

— Oto przypomniałem sobie, jakie wtedy zrobiłeś na mnie wrażenie. Czy pamiętasz? podczas mszy na chórze, ty, wróżący tak znakomitego artystę, grałeś na skrzypcach, ja śpiewałem z innymi — przed Podniesieniem wypadło ci piękne, pełne uroczystości solo, a na odgłos dzwonka długa pauza, wczasie której odzywał się tylko czysty, srebrny sopran małego Adasia. Nie, ja nigdy nie zapomnę, jakeś w tej chwili nieme skrzypce do piersi przycisnął, jak spojrzałeś w górę ku wybiegłym sklepieniom kościoła, jak byłeś dumny, silny, zachwycony. Odtąd ile razy pomyślałem o tobie dalekim i kształcącym się, to mi zawsze ta chwila obrazem wracała, rozwijałem ją w prawdopodobne następstwa i zdawało mi się, że jak cię spotkam, będziesz jakoś żywszy, poważniejszy, że ci twarz bardziej zżółknie, włosy trochę zrzedzieją, czoło więcej się odsłoni.

— Że się prędzej zestarzeję?... Wdzięcznym panu za przepowiednię, a sobie za to żem jej nie spełnił — i uśmiechnął się, lecz niewyraźnym, smutnym prawie uśmiechem.

Po tych jego słowach nastąpiła chwiła milczenia, bo każdy się o swoich wspomnieniach zadumał, a Marya Regina, wziąwszy jakieś pisane nuty do ręki, także coś widać głęboko i tęsknie marzyła.

— Romualdzie — rzekła nakoniec — to jest jej ulubiona wielkopolska piosneczka.

Romuald spojrzał na papier i brwi mu drgnęły, jakby od zmarszczenia.

— Nie wyjmuj tego. Maryo Regino, nigdy jej nie grywam; może na spodzie zostać.

Maya Regina prędko zwinięty krążek do paki wsunęła i porzuciwszy wszystko, przy nas usiadła.

— Pana Ludwika zatrzymuję na obiad — rzekła z uprzejmością — a potem jeśli mi wolno resztą dnia jego rozrządzić, to go mianuję aż do wieczora przewodnikiem, a po części i mentorem mego brata.

— Okropnie złe dajesz mu o mnie wyobrażenie takim brakiem zaufania.

— Najpierw, niech cię to nie obraża, chociaż młodszy od nas obojga (a wistocie rokiem od Maryi Reginy młodszy byłem — często w żartach, czasem i w poważniejszej rozmowie sama mi to przypominała, nawet urościła ztąd sobie prawo do pewnej moralnej i towarzyskiej nademną opieki, której ja, zaczarowany, owładnięty, bezwarunkowo się poddałem) — chociaż młodszy, mówię, pan Ludwik poważny jak Kato, a surowy jak Purytanin — szesnastoletnia dziewczynka mogłaby się jego przewodnictwu powierzyć, a mnie bardzo chodzi o troskliwą dla ciebie opiekę. Wy artyści zawsze coś na powietrzu słyszycie, lub widzicie, a żaden z was nie wie, jak po ziemi nogi stawiać. Przydaję ci więc pana Ludwika dla obrony, bezpieczeństwa i dobrej rady. A tej ostatniej — rzekła, do mnie się zwracając — zaraz nawet żądać będę, bo wyobraź pan sobie, Romuald, pomimo wszelkich próśb moich, nie chce dać koncetu.

— I dlaczegóż to?—spytałem.

— Dlaczego? dlaczego? — z widoczną niecierpliwością powtórzył; — a dlaczegóż ty nie chciałeś nam nigdy swoich wierszy głośno w klasie przeczytać?

Marya Regina z zadziwieniem spojrzała na mnie.

— Aa! to pan wiersze pisze?

Zaczerwieniłem się. jak piwonia.

— Dawniej napadało mię czasem to szaleństwo, lecz przy wzmocnionym rozumie, zupełnie się z niego wyleczyłem. Jeśli zaś wtedy nie chciałem przed wami prób moich pokazywać, to najpierw dla tego, Romualdzie, że nie czułem w sobie talentu, że to była raczej

potrzeba ulania przepełniających moje serce uczuć, niż jakie poetyczne natchnienie, a nakoniec, że z natury rzeczy dozwolone jest człowiekowi myśleć i pisać w cichości, lecz muzyka muzyką na to, by się jej słuchało—dźwięku nie schowasz do pudełka, nie zamkniesz w pokoju, dźwięk ci przez dziurkę od klucza, przez szpary okien między ludzi ucieknie, bo to ich własność, ja więc ci mówię, że grać powinieneś, kiedy grać umiesz.

— Paradoksa, paradoksa, mój drogi! Nazwij mię Paganinim, Ole-Bullem, Vieuxtanem, to ci dam i nie jeden koncert w Warszawie. Ale tak na afiszu ogłosić się tylko: Romuald; *** słyszeć może jak czytający będą między sobą pytali: „Romuald?... co to za jeden? — Ja go nie znam.“—„A ty? czy pójdziesz? — Idź, niech się dowiem od ciebie najpierw, czy warto posłuchać.“—Bardzo, bardzo państwu dziekuję...

— Podrzędne to względy — odrzekłem; — jeśli tylko pewny siebie jesteś, cóż cię może dziwić, albo gniewać zimna obojętność takich, co się nie znają? Daj się poznać właśnie.

— A komu? ze dwudziestu próżniakom, którzy dla zwyczaju, lub na uproszonego się zejdą, którzy mię nie zrozumieją, przy których ja nareszcie źle grać będę, bo to dziwna rzecz, że kiedy już są słuchacze jacykolwiek, to między nimi a grającym magnetyczny tworzy się stosunek; przy znudzonych, niechętnych, głupich on musi fałszywie rzempolić. Nie, nie, ja tu nie dam koncertu.

— A za granicą dawałeś? Za granicą odrazu licznie pojmująca i ceniąca otoczyła cię publiczność?

— Och! to zupełnie co innego; kiedy występowałem w Dreznie, Münich, Berlinie, ożywiała mię nadzieja jeśli nie europejskiej sławy to przynajmniej pobratania się z tamecznymi mistrzami, utworzenia sobie wśród nich stosunków i znajomości. Oni chrzest wziętością dają imieniowi artysty i stopień jego między sobą znaczą, lecz tutaj, tutaj gdzie ani na imię,

ani na stopień zarobić sobie nie można. cóż mi będzie pobódką i zachętą?...

— To, Romualdzie, że w wielkiej czy w małej liczbie, rodacy cię słuchać będą. Od obcych możesz głośniejszą wziąść sławę — swoim dać możesz głębsze i prawdziwsze wrażenie.

— Pan Ludwik ma słuszność, wielką słuszność— powtórzyła Marya Regina stanowczym głosem.

Romuald śmiać się zaczął.

— Jeśli o to wam idzie, żeby mnie moi mili ziomkowie słuchali i żebym na nich wiele wrażenia zrobił, to mi się zdaje, że najlepiej w myśl waszę trafię, jak stanę na środku Krasińskiego placu, albo też pod Zygmuntem, bliżej Starego-Miasta; sami przyznajcie, że licząc w to wszystkich uliczników, najwięcej wtedy rodaków mnie słuchać będzie, a jak im utnę krakowiaka, to niezawodnie silniejsze wrażenie zrobię, niż arcydziełem Paganiniego.

— Czemuż nie?— odpowiedziałem zimno, bo mię jakieś oburzenie na taką myśli mojej parodyą przejęło; — jeśli jesteś artystą i pojmujesz muzykę, to najlepiej wiesz zapewne, czy to jest jakieś ugodne przebieranie akordów, któremi się tylko znawcy między sobą rozmawiają, czy też głos w piersiach natury podsłuchany. język wszechbóstwa. który wszechświatu zrozumiałym bywa, którym się do mas. do tłumów przemawia. Ja, Romualdzie, gdybym umiał według mej woli smyczkiem twoim władać, to ci się przyznam, żebym wolał pod kolumną naszego Zygmunta zagrać całemu Starego-Miasta i znad Wisły i z za Pragi ubóstwu, niż gdzieś choćby w teatrze La Scala, albo San Carlo, przed Rossinim, albo nawet wskrzeszonym Mozartem najhuczniejsze oklaski zbierać. Cha! prawda, że ja nie wirtuoz, że ja dalekich nie zwiedzałem krain, może największe niedorzeczności prawię.

Twarz Maryi-Reginy od początku naszej sprzeczki zdradzała jakieś pomieszanie. Ta, jakem ją sobie w duszy nazwał, dyamentowa kobieta, jeśli kiedykolwiek uczuciem serca, nie sądem rozumu ukochała kogo, to właśnie swego brata, swego Romualda, którego młodością zakierowała dowolnie, którego talent wypieściła, wyżywiła bogactwem własnych zdolności i na którego przyszłość stawiła całą swoję świetnych powodzeń i rozgłośnej sławy nadzieję. Wiedziałem o tem i dlatego jak gdybym to ja sam co złego powiedział, taki byłem zakłopotany, tak mię bolał lekkomyślny sposób mówienia i dręczyła samolubna, drobiazgowa próżność Romualda, że nie śmiałem spojrzeć na jego siostrę.

Przybycie kilku osób wywiodło nas z tego usposobienia, ale na chwilę tylko, bo Romuald wniósł znowu porzucony do rozmowy przedmiot i odwołał się w tej mierze na zdanie pana Krzysztofa.

Krzysztof, nasz zakomity, prawy, nieposzlakowany urzędnik i najpoczciwszy w świecie filantrop, łatwo zrozumiał, że Romuald nie chce dać koncertu, któryby sławy niewiele i pieniędzy bardzo mało przyniósł, ale też zaraz całą wątpliwość na swoje ulubione stanowisko zwrócił i rozstrzygnął polubownym dla stron obydwóch sposobem, to jest radząc, aby na poranku muzykalnym, z którego dochód dla sal ochrony miał być przeznaczonym. Romuald mógł korzystnie wtedy dać się poznać najświetniejszemu i najbardziej wykształconemu zgromadzeniu słuchaczy, a potem dopiero, według przyjęcia, koncertowe narzucać im warunki.

Ku tej radzie dość prędko skłonił się Romuald.

— Więc jak zawsze, tak i teraz woli twojej Amen—rzekł z uśmiechem do Maryi-Reginy, ale Ma-

rya nie odśmiechnęła mu się wzajemnie, cichym tylko głosem, którego ja sam jeden pojmowałem znaczenie:

— Romualdzie, Romualdzie! — rzekła — miał on słuszność, nie wyrosłeś, lecz innym się stałeś!...

III.

Przy obiedzie wesoła i dowcipna pustota Romualda jeśli nie starła zupełnie, to przynajmniej zgłuszyła jego lekkomyślnością wywołane wrażenia. Marya-Regina wprawdzie chmurną nieco i małomówiącą była, ale jej ojciec, co się rzadko zdarzało, w dobrym humorze, uśmiechał się kiedy niekiedy i naczesywał po bokach skroni już tylko rosnące włosy. Pan prezes zwykle hypokondryczne usposobienie cierpiący, usuwał się od towarzystwa, dzieciom wszelką wolność zostawiał, rzadko był razem z niemi widywany i tylko, jak się później przekonać mogłem, od czasu do czasu niespodziewanemi dziwactwami, zawsze w tajemnicy rodzinnego kółka zamkniętemi, dawał im swojej ojcowskiej powagi świadectwo. Długa biurowa praca stargała mu siły, ciągłe siedzenie rozwinęło skłonność do przeważającego w nim żółciowego systematu i kiedy po trzydziestu latach uzyskał znaczną bardzo emeryturę, kiedy mógł swobodnem życiem w wolnym zupełnie czasie odetchnąć, on czasu tego użył na zamknięcie się przed ludźmi, na zmartwiałość, nie na wypoczynek. Dziwny przykład urzędnika-machiny, który po za obowiązkowość swoję nie wychyli się w żadne pojęcia i w zajęcia żadne. Celem pracy jest mu praca, przyszłość dla niego w hierarchicznem komisoryatu rozkładzie, a nadzieja w spoczynku na starość, której może nie doczeka, lub z którą potem sam nie wie, co robić. Dziś, gdy pomyślę sobie, że Marya-Regina

wzrosła wśród tych dwóch serc męzkich, tak rozstrzelonych z sobą, tak do jej własnego nieprzystających serca — przy ojcu obojętnym a dziwaczącym, przy bracie niby uczuciowym, a szalonym, słabszym od niej moralnie i nawet niższym umysłowo, to dopiero pojmując jej niewypełnione kobiece życie, wiele rzeczy pojmuję... wszystko usprawiedliwiam.

Lecz dnia tego, jak mówiłem, pan prezes był w niezwykłem usposobieniu — gawędka obiednia się przeciągnęła i dopiero nad wieczorem mogliśmy wyjść z Romualdem.

Ręka pod rękę w najlepszej zgodzie przebiegaliśmy alee Saskiego ogrodu, śmiejąc się i żartując, kiedy mi się przypomniało, że trzeba jeszcze mego mecenasa odwiedzieć i o drugie posłuchanie napewno z nim się umówić.

— Rzuć do diabła wszystkie twoje procesa, to brzydko, to niemoralnie pieniać się ciągle, a jeszcze w dzień mojego przyjazdu, kiedy nie odgrzebałem żadnej dawnej znajomości, kiedybym musiał sam, jak pokutująca dusza, snuć się między ludźmi.

Uspokoiłem go, że co do moralności, moja sprawa niczyjego nie mieszała spokoju, a co do rozstania, to bardzo krótko trwać miało, gdyż na zajście i powrócenie kwadrans czasu był mi wystarczającym. Jako więc prosiłem, dał mi kwadrans urlopu i powiedział, że u Marego czekać na mnie będzie.

Pobiegłem prędko, załatwiłem się z moim prawnikiem i na czas oznaczony przyszedłem do Marego.

Romana zastałem już przy kilku próżnych butelkach i w gronie kilkunastu z najmodniejszej młodzieży naszej.

— Przybywaj! przybywaj! — wołał na mnie we drzwiach jeszcze stojącego; — ten kochany Antoś po wcięciu mego tużurka zgadł zaraz, że świeżo z za granicy wróciłem; chciał się z blizka i kamizelce przypatrzeć, a jakeśmy się nosami trącili, poznał dawnego

kolegę. Pójdź, Ludwiku, wypijesz za zdrowie Antosia!

Z widzenia tylko znałem nowych towarzyszów Romualda i wcale sobie nie życzyłem w ściślejsze z nimi wchodzić stosunki. Obojętnym ukłonem odpowiedziałem na zrobione mi wezwanie i podaną usunąłem szklankę.

— Cóż to? nie pijesz? — zawołał zdziwiony Romuald.

— Gdybyś sobie przypomniał nasze dawne czasy, tobyś wiedział o tem.

— Ach! prawda! na moję duszę prawda, on nigdy nie pił! Jednakże myślałem, że przez te lat kilka jużeś się doktoryzował na porządnego człowieka.

— Ja nigdy nie ufam takiemu co nie pije — odezwał się któryś z tego szanownego towarzystwa wietrzników.

— I masz słuszność, Fabianie — przywtórzył mu drugi. — Kto nie pije, musi być albo zły, albo głupi, albo chory.

— No, niechże na znajomego naszego Romualda wypadnie, że jest chory tylko—z rubasznym uśmiechem wykrzyknął sam pan Antoś.

— Nie, nie, słuchajcie! — ja wam w sekrecie prawdę powiem — zawołał Romuald — Ludwik jest poetą.

— Alboż to poeci nie piją lepiej niż my wszyscy prozaicy razem? Cóż ty gadasz, Romualdzie—obruszył się pan Antoś; — ja wiem przecie, że od ich króla, aż do ostatniego z posługaczy, do wymiatającego śmiecie po innych, wszyscy na Parnasie lubią się różną zakrapiać hipokreną — a ja wiem co wiem. Hej, garson! — krzyknął całem gardłem — dla tego pana bez faworytów szklankę orszady prędko!

Chłopiec poskoczył, a ja zawołałem nawzajem:

— Garson!—i przyszedł drugi.

— Dla tego pana z łysiną karafkę zimnej wody co prędzej!

Przyjaciele Antosia zaczęli coś szeptać i coś burzyć się, jak szampan w butelce, lecz Romuald aż się na stół ze śmiechu położył.

— Cha! cha! cha! lubię takie pojedynki!!... wybornie! doskonale! O cóż się gniewacie, moi panowie? Dajcie pokój Ludwikowi, to najlepszy w świecie chłopiec, chociaż się nigdy nie upił.

— I owszem, Romualdku—rzekłem powoli z największą spokojnością — dlatego właśnie, że się raz w życiu upiłem, teraz już nigdy pić nie chcę—i ponieważ w tejże chwili chłopiec przyniósł mi zamówioną przez pana Antosia orszadę: — Na życzenie krwi zimnej i zdrowego rozsądku — rzekłem, niby ku Romualdowi skłaniając się tylko, i całą szklankę duszkiem wychyliłem.

Pan Antoś powstał z krzesła; przybierał się jak widać było do stanowczej odpowiedzi, bo brwi zmarszczył, piersi nadstawił, ale Romuald tak niespodzianie go za połę od fraka pociągnął, że jeszcze prędzej siadł niż wstał, a nadomiar złego, siadając, stojącem przed sobą winem oblał sobie spodnie.

— Cha! wszakże mówiłem — z większym jeszcze śmiechem wołał Romuald — wszakże mówiłem, dajcie pokój Ludwikowi, to dobry chłopiec — to kwakier — to dzikie zwierzę — to asceta — z nim jest Bóg i jego święci — kto Ludwika zaczepi, mnie zaczepi; kto przeciwko Ludwikowi rękę podniesie, obleje palce sobie.

Pan Antoś właśnie swoje obcierał i sam nie wiedział czy na mnie, czy na Romualda się gniewać.

— Wielką miałeś pan słuszność — rzekł wtedy jeden z jego towarzystwa; — nasz Antoś jest bardzo przekonywającym dowodem, że z pewnym rodzajem świętych osób niebezpieczną i niewygodną bywa zbytnia poufałość, dlatego też korzystając z cudzego doświadczenia, pozwolicie panowie, że już ich pożegnam. Garson, rachunek!

— A toż co znowu, gniewy? doprawdy gniewy? nie pozwalam! veto! veto! póki kropla wina w butelce,

veto! gniewy na bok! precz z urazami! Gdyby mi kto poncz w głowie zapalił, to jeśli przy blasku jego płomyczków błękitnych dostrzeże choćby cienia złego zamiaru, choćby na łepek od szpilki nieżyczliwej wam myśli w moim mózgu, wtedy niech mi go strzałem pistoletowym wysadzi i każe jutro na drugie śniadanie u Marego przyrządzić.

— Zostań, zostań, Olesiu — rzekł sam pan Antoś — widzisz przecie, że do kieliszka i do szklanki trudno lepszego znaleść towarzysza, jak ten łotr Romuald. Ja mu przebaczam, nawet muszę tem szczerzej, że w takim stanie, zmoczonemu, niepodobna mi wyjść na ulicę.

— Prawda, gdyby cię spotkał kto z dobrych znajomych, toby gotów pomyśleć, że się już przed zachodem słońca upiłeś.

— Fe, jak student—przydał Romuald.

— Więc dla zachowania ci dobrej sławy, trzeba zostać rzekł zwany Olesiem.

— Zostać do północy!

— Do rana!

— Dopóty, dopóki się nie upijemy wszyscy!

— Dopóki aby jeden utrzyma się na krześle!

Słysząc tak piękne zamiary, a widząc się szczęśliwie zapomnianym, chciałem korzystać z chwili ogólnego brzęku na zgodę wzniesionych szklanek i wynieść się nieznacznie, lecz wzrok Romualda padł na mnie w tej chwili właśnie, kiedy już za klamkę brałem. Skoczył jak młody kot i rękę mi przytrzymał.

— Tak to pięknie dotrzymujesz Maryi-Reginie danego słowa? A jak się upiję, jak pod stół legnę, kto mnie podniesie? kto do domu odprowadzi? kto wsparcie da? Wstydź się, Ludwiku, w potrzebie największej przyjaciela odstępować. Pić nie chcesz, to nie pij, ale zostać musisz, boś mi przyrzekł opiekę. Panowie, ten młodzieniec przyrzekł mi opiekę, niech zostanie, bo się rozbiję... rozbiję się... jeśli sam będę po pijanemu wracał.

— Niech zostanie! niech zostanie!—zawtórowali ci wszycy, już dobrze podochoceni szaleńcy.

— Niech zostanie! — najgłośniej odzywał się Antoś — on mi kazał ziwnej wody przynieść, on był przyczyną, że szklankę szampańskiego wina wylałem. Niech zostanie, niech jego błahorodność za karę patrzy, jak drudzy piją...

— Jedz przez ten czas, ile chcesz tylko, ciastek i cukierków: ja wszystko na mój koszt biorę — rzekł, pod brodę mię głaszcząc, rozweselony Romuald.

Cóż było robić? zostałem — przyznam się nawet, że chętnie zostałem. Od dzieciństwa surowym dozorem ojca, a później tkliwą oględnością dobrej matki w życie wiedziony, najpierw dla braku sposobności, potem już z własnego przekonania uniknąłem wszelkiego w podobnym rodzaju widoku — i teraz on pogardliwe oburzenie, głęboki smutek budził we mnie, lecz mię przy nim jakaś ciekawość zatrzymywała, jak czasem przy najniedorzeczniejszej książce zatrzymuje. Cieszyłem się, że widzę... to, o czem dawno wiedziałem — że widzę ludzi młodych, pełnych siły, zdatności może, trwoniących życie chwila po chwili, zdrowie kropla po kropli, człowieczeństwo swoje myśl po myśli, godność wszelką uczucie po uczuciu—i kiedy właśnie?... Wtenczas gdy coraz obszerniejsze do działania otwiera się pole, gdy coraz nowych do ukształcenia się przybywa sposobów, gdy sztuki piękne się rozwijają, nauki wznoszą, przemysł zakwita, gdy coraz głośniej słychać każdą skargę bliźniego, gdy każda nędza wyraźniej o swoje upomina się prawa, gdy można bydź uczonym, artystą, bogaczem... dla szczęścia swoich współbraci. Och! doprawdy, z zajęciem patrzyłem i rozważałem na takiem tle taki dziwnej sprzeczności obrazek. A gdy rozważałem, oni pili tymczasem... Ej! splunąć tylko warto na ich wspomnienie, bo jakże piły nawet te lalki ogładzone? Po tysiącznych przechwałkach i odgróżkach, za godzinę już ociężały zużyte zbytkiem, a nigdy żadnym hartem nie wzmocnione głowy. Szampańskie wino, bokiem drżących w ręku kieliszków, zamiast do

gardła, na suknię i podłogę się lało. Płaskie, nieprzyzwoite żarty, zbezczeszczone imiona kobiet, gęste kłęby dymu, wszystko to razem zmieszało się w jakąś brudną, błotnistą masę—tylko nad owym brudem, nad owem błotem, Romuald sam jeden królował przytomnością swego pijaństwa, bystrością dowcipu. Pewna szlachetność ułożenia, pewna przyrodzona jego organizacyi piękność w tych nawet chwilach go nie odstępowała. Żal mi się zrobiło tak nikczemnie trwonionych zdolności, byłbym nie wiem co oddał, gdybym go mógł był wziąć jak dziecię na ręce, unieść daleko z tej moralną zgnilizną zatrutej atmosfery i stawić gdzie w świeżem powietrzu, pod jasne nieba promienie, pod uczciwych ludzi oczy.

— Chej karty! chej stolik! — wrzasnął nagle jeden z bohaterów kieliszkowych — i waza ponczu ananasowego!

Romuald zaraz sięgnął ręką do kieszeni i wydostał pełną, przez delikatną siatkę jedwabiu złotem i srebrem świecącą sakiewkę: mniej dbałem o to, że ta sakiewka prędko bardzo mogła się wypróżnić w ręce wołającego jegomości, który, prawdę mówiąc, zdawał mi się trochę mniej pijanym, niż sam chciał się nim okazywać, lecz wiedziałem, że podobny wstęp Romualda mógł jak najgorzej uprzedzić o nim tych właśnie, których ja opinią najwyżej ceniłem sobie—pomyślałem o Maryi-Reginie i przedsięwziąłem do uprowadzenia Romualda wszelkich dołożyć starań.

Niespodzianą pomoc w tym względzie przyniosło mi nadejście kilku innych paniczów, którzy na ostatni akt modnego baletu przyszli widzów liczniejszych zamawiać.

— Ty z nami—rzekł Romuald, kręcąc nielitościwie guzikiem mego surduta.

— Nie, lecz ty ze mną— odpowiedziałem mu pocichu.

— A to co się ma znaczyć? — zawołał i szarpnął tak mocno, że aż mój biedny guzik w ręku pozostał.

— To się ma znaczyć — jak najspokojniej odpowiedziałem znowu—żeś mi guzik oderwał.

— On się sam odpruł, dowiodę ci że się sam odpruł — powtarzał ze zwykłym pijanych uporem, gdym go, wziąwszy pod rękę, nieznacznie ku drzwiom prowadził. W progu zatrzymał się i spytał jeszcze:—Ty z nami, Ludwiku?

— Z tobą, z tobą, aż do jutra — odrzekłem na prędsze uspokojenie.

— No to prowadź, bo ja mam kuroślep po zachodzie, po zachodzie... no, dokończ-że!

— Po zachodzie słońca.

— A widzisz, że nie zgadłeś! po zachodzie błękitno tlejącej wazy ponczu i konstelacyi dwunastu wina butelek. Cha! cha! cha! jakiś ty niedomyślny, chyba i tego nie zrozumiesz także, iż nie ja ci oberwałem guzik, tylko on sam się odpruł.

— Sprobuj tłumaczyć, będę pilnie uważał.

— Oto najpierw, mój Ludwisiu, ja guzika nie chciałem obrywać, a kto nie chce czego zrobić, choć zrobi, to nie zrobił, tylko się rzecz sama przez się zrobiła. W tym aforyzmie leży cały stosunek ludzkiej woli do przypadku; jadę prosto z Berlina, wierz mi ślepo, bo przez całą godzinę słuchałem filozoficznej prelekcyi i przez całą noc piłem z przyszłymi filozofami. — I zaczął dalej w najpocieszniejszym sposobie o przeznaczeniu rozprawiać.

— Wiesz co, Romualdzie, że księżyc bardzo w porę nam świeci—odpowiedziałem szczęśliwy, iż mi się udało baczność jego od ulic któremi go prowadziłem odwrócić.

— Dlaczegóż to, mój panie?

— Bo przy tem co gadasz, to mi tak ciemno, że moglibyśmy obydwa gdzie w rynsztok się zatoczyć, a byłoby trochę niewygodnie; właśnie widać przed chwilą ulewa spadła i dosyć są pełne kałuże.

— Och! ja wiedziałem, że mię nie zrozumiesz odrazu; tobie ciemno, a mnie każdy wyraz świeci w gło-

wie, niby gazowa lampeczka; ot teraz na przykład z guzika zrobił się pyszny fajerwerk, młynek ognisty, w koło którego wiszące pozrywane nitki, jak wstążeczki promienne się kręcą, a tobie ciemno, tobie ciemno, bo nic nie piłeś... dudku!

Na ten ostatni wyraz, w jego zwłaszcza położeniu wymówiony, szczerze śmiać się zacząłem.

— Z czego się tak śmiejesz? — zapytał.

— Z jednego przysłowia, które mi na pamięć przyszło.

Romuald, jak to już powiedziałem, choć pijany, zachował całą dowcipu swego przenikliwość — stanął, a obejrzawszy się na wszystkie strony:

— Hola! hola! mój panie! — zawołał — przysłowia są mądrością narodów, więc nie mogą być głupstwem ludzi; „dudka w pole wyprowadzić" choć się nie jednemu chciało, nie każdemu jednak udało. Myślałeś zapewne, że ja pijany jak bela, że mię zapakujesz do łóżka i w dodatku przekonasz, iż to jest loża, z której mogę wszystkie Sylfidy na kwiatkach tańczące widzieć. Mocno wdzięczny, jaknajwdzięczniejszy panu dobrodziejowi, niech się dłuższą opieką nie trudzi, bardzo proszę...

— Ależ słuchaj, Romualdzie...

— Niczego nie słucham, taki pijany jestem, że ze mną jak z uczciwym człowiekiem mówić nie warto, chyba mię teatr wytrzeźwi.

— Dlatego właśnie, że tak pijanym nie jesteś, usprawiedliwisz mię zapewne, gdy się lepiej wytłumaczę. Tych ludzi, wśród których cały wieczór straciłeś, ja znam dobrze...

— Znasz? a to kłamstwo wierutne, jeszcze nim przyszedłeś powiedział mi Antoś, że wcale z nimi nie żyjesz.

— I powiedział prawdę, bo nie żyję dlatego właśnie, że ich znam. Wierz mi, Romualdzie, gdyby do sprawiedliwego rachunku między ludźmi przyszło, je-

szczeby najlepszemu z tych wietrzników żaden uczciwy człowiek nie chciał ręki podać.

— Jakto? czyżby to byli tacy... chevaliers d'industrie, quasi złodzieje?

— Och! teraz już rzeczy właściwem nie oznaczają się nazwiskiem. Ci panowie kradną tylko społeczeństwu procent od swoich zdolności, rodzinie kosztowne utrzymanie bez wzajemnej pracy, kobietom dobre imię, a sobie jedni drugim pieniądze przy zielonym stoliku; lecz ich nie zamykają do prochowni przez grzeczność towarzyskiego kodeksu, który na ten rodzaj kradzieży inne słowa wymyślił i tylko lekkomyślnością, lub przy wielkiej surowości, rozpustą go zowie...

Zdawało się, że Romuald z wysiloną uwagą mię słuchał; gdym przestał mówić, nacisnął sobie kapelusza i prędko w tył się wrócił, a byliśmy właśnie już na Bielańskiej ulicy. Widząc, że ku teatrowi dąży, poskoczyłem za nim.

— Gdzież ty idziesz, Romualdzie? Wspomnij sobie tylko, że w pierwszym dniu twego powrotu z za granicy siostra ma prawo na wieczór cię czekać.

— Ma prawo, niezaprzeczone prawo, możesz nawet iść do niej, możesz zwiastować mój powrót za pół godzinki, za godzinkę, ale teraz puszczaj... puszczaj, bo zapomnę...

— Czego zapomnisz?...

— Twojej przemowy; odniosę ją ciepłą jeszcze Antosiowi i tym drugim trzpiotom, na scenę wstąpię, całej publiczności wydam jak lekcyą, aż do ostatniego przecinka, niech się wszyscy poprawią, upamiętają — bo to jest tak wzruszające, tak nowe...— I całym głosem śmiać się zaczął i tak śmiał się serdecznie, pod obadwa boki ująwszy, że go aż jakiś jegomość, zapewne w złym humorze, bo długo na przejściu czekający, trochę zbyt mocnem poruszeniem z trotuaru na bok usunął. Zły los padł lakierowanym butom mego towarzysza i pośliznęły się niespodzianie w stos na wywiezienie przygotowanego błota. Mówię o butach

tylko, bo w gatunkach metafory uczyłem się, że część za całość brać można.

— Niech cię porwą wszystkie przeszłe i przyszłe diabłów pokolenia, z których ty sam pochodzisz, przeklęty niezgrabiaszu! — zawołał, na prawdę rozgniewany, Romuald, mażąc się żółto-glansowanemi rękawiczkami w rozwilgłem oddawna błocie.— A to mnie umalował; i myśleć nawet nie można, żeby się ludziom na oczy pokazać.

— Szczęściem przynajmniej, że do domu blizko.

— Dziękuję za to szczęście, nigdy w życiu takbym się przed Maryą-Reginą nie stawił. Wie ona, bo sam nieraz opowiadałem i opisywałem, że lubię z przyjaciółmi pohulać, butelek dużo natłuc, w mieście czasem hałasu narobić, lecz co innego tak sobie o wesołem życiu artysty pogadać, a co innego przyjść zbłoconym, przesiąkłym wyziewami tytuniu, ponczu i wina. Wolę, mój dobry Ludwisiu, do ciebie na noc się zaprosić.

— Może jednak siostra będzie o ciebie niespokojną...

— Najpewniej że nie, a choćby nią i była, wierz mi, to jeszcze lepszem dla nas obojga, niż gdybyśmy w podobnej spotkali się chwili.

Za te ostatnie wyrazy Romualda jeszcze staranniej obtarłem go moją chustką od nosa, jeszcze śpieszniej i chętniej sprowadziłem najwygodniejszą ze stojących na rogu dorożek.

— Ty chyba w antypodach mieszkasz — rzekł do mnie, gdyśmy w odludniejsze strony miasta wjechali— będę miał czas się wyspać, nim na miejscu staniemy.— I wistocie, głowa jego, przepełniona szumem niedawnej hulanki, powoli na piersi mu zwisnęła, lecz nim usnął zupełnie, dorożkarz zatrzymał się właśnie przed cichym dworkiem ślusarza. Jakiś żal serce mi ścisnął, że do owych białych pokoików uświęconych śmiercią, a bezwątpienia łzami mojej nieznajomej, będę musiał na pierwszą gościnę wprowadzić na pół-pijanego trzpiota. Musiało go przerwane drzemanie rozdrażnić,

bo wyskoczył z powozu jak oparzony i tak zaczął pięściami do drzwi kołatać, że aż Małgosia przestraszona, bosemi nogami z łóżka się zerwawszy, długi czas otworzyć nam nie mogła, bo jej ręce z przestrachu drżały i klucz w dziurkę nie trafiał.

— Adyć, przez Boga, cicho bądźcie, panowie!— wołała na nas— bo się gospodarstwo przebudzi i dzieci polękają.

Ostatnia ta uwaga skłoniła mię do użycia fizycznej przeciw Romualdowi siły: gwałtem zatrzymałem mu ręce, a tymczasem i Małgosia drzwi przed nami rozwarła.

Na widok poczciwej kobieciny, z głową bez czepka, trochę łysą i trochę potarganą, z zarzuconym jak chustka na koszulę szlafrokiem, Romuald strasznie się skrzywił, wyszczerzył na nią zęby i śmiejąc się szalonym śmiechem, coprędzej wbiegł na schody.

— Przepraszam panią Małgosię za mojego kolegę— rzekłem do niej gdyśmy sami zostali — wielki to pustak, a w tej chwili niespełna rozumu; tylko dzisiejszą noc u mnie przepędzi. Gdyby gospodarz jutro spytał o przyczynę hałasu, powiedzcie mu to odemnie i przeproście także — dalibóg nie moja wina — raz pierwszy i ostatni.

— Gdyby też codzień tak być miało, toby się człowiek i pieniędzy i wszystkiego wyrzekł— mruczała niby sama do siebie pani Małgosia.— Nie chwal pogody przed wieczorem, człowieka przed śmiercią... a piękna mi noc teraz!

— No, no, nie gniewaj się na mnie, pani Małgosiu, przyrzekam poprawę, więcej tego nie będzie—mówiłem z uśmiechem, idąc na górę, a dobra Małgosia, choć jeszcze coś sobie szeptała, świeciła mi jednak, póki na ostatnim nie stanąłem schodzie.

Romualda już zastałem rozebranego i w rozmysłach stojącego przed mojem łóżkiem.

— Powiedz mi, Ludwisiu — rzekł, piędzią mierząc szerokość posłania—na którym ty zwykle sypiasz boku?...

— Jakto, na którym boku?...

— Bo że sypiasz na boku, to pewny jestem.

— Dlaczego?

— Dlatego że jesteś prześlicznie zbudowany chłopiec, wązki w krzyżu, ale tak szeroki w plecach, iż gdybyś tutaj na wznak się położył, toby cię obie krawędzie w same łopatki gniotły.

— I wnosisz z tego, że tobie także niewygodnie będzie?

— Och! mnie, to zupełnie rzecz inna, ja chudy jak szpileczka, ale nam...

— Myśl o sobie tylko; dawnej gościnności zwyczajem ustępuję ci całego łóżka.

— A sam co z sobą zrobisz?

— W tym fotelu się prześpię.

— Przed próżnym stolikiem to sztuka; mnie się podobna udaje, lecz wtedy jedynie, gdy na stoliku szkła dużo, dużo...

— Ej, nie obmawiaj sam siebie; nie byłbyś zyskał takiego między artystami imienia, gdyby ci wiele nocy marzeniem i pracą nie zeszło. Przecież pamię tam, jak na pensyonie naszym pod strych raz uciekłeś, grałeś, aż cię dopiero z rana stary sługa nad skrzypcami uśpionego zastał.

— A Francuz się wściekał potem, że mu tak zgrabnie z sypialni umknąłem; dobre czasy!

— I niedawne czasy.

— Och! bardzo dawne, mój kochany; wszak sam powiedziałeś, że między niemi a mną coś pękło, coś zerwało się...

— To można jeszcze naprawić...

— Naprawić? cha, mój panie, ja znowuż nie widzę, żebym tak bardzo był zepsuty.

— Jednakże choć troszeczkę, przyznaj sam, Romualdzie.

— Co? czy dlatego, że w łóżku, nie na fotelu sypiam? A to mi dziwny moralista.

— Nie, lecz dlatego, bo nie pojmujesz, że można spać inaczej.

— Pójdź. niech cię uściskam. zdjąłeś mi kamień z serca. Mnie sumienie wyrzucało twoję niewygodę. a teraz spokojnie oczy zamknę i snem sprawiedliwych zachrapię. kiedy tak lubisz bohatersko całe noce na krzesłach przesiadywać.

— Jeśli to ma do spokojności się przyłożyć, to ci powiem nawet, że wczoraj dobrowolnie tej przyjemności użyłem.

— Pisałeś? czytałeś? improwizowałeś?

— Improwizowałem poczęści.

— Na jaki temat?

— Na bardzo smutny.

— To jest symptomat niebezpiecznego zapalenia serca.

— Mylisz się. Romualdzie, tylko głowy.

Romuald. leżący od chwili, powstał nieco, wsparł się na łokciu i badawczo patrzał w twarz moję. bo zapewnie myślał. że to do niego stosuję.

— W tym pokoju — mówiłem więc dalej—w tem samem miejscu, na którem fotel stoi. umarła przed rokiem piękna, młoda, jak się zdaje, bardzo nieszczęśliwa kobieta.

— Ach! temat prześliczny; gdybym miał skrzypce. tobym ci go wygrał zaraz.

— Dla mnie strunami skrzypców były wszystkie mózgu gangliony; jak zaczęły grać i dziwaczyć. to nad ranem dopiero się położyłem.

— Wiesz co, Ludwiku. elektryzuje mnie twoja wrażebność, podaj mi choć linią ze stolika, choć szczypce z pieca—będę grał, będę śpiewał, jestem natchniony! Śmierć młodej dziewicy...

— Podobno była już mężatką.

— Kiedy ci mówię dziewicy... jak gdybym słyszał... Wietrzyk w liściach szeleści, ptaszek się odzywa... ona wzdycha... jest biało ubrana... bardzo blada...

— I owszem, miała wypieczone suchotnicy rumieńce.

— Bardzo blada, ciemne włosy na ramiona spadają.

— Nie zgadujesz, blondynka.

— Co ci do tego. Włosy ciemne, postać jak marmurowy nagrobek na łóżku wyciągnięta... Zachód słońca.

— Nic a nic nie zgadujesz, Romualdzie, ona umarła w nocy i siedząc na fotelu.

— A ty mi ciągle przeszkadzasz.

— Mnie jakoś przykro, że sobie z tego zdarzenia żartujesz.

— Ja żartuję? Broń Boże! jeszcze mię nie znasz. Kiedy mi czasem podobny obrazek do głowy wpadnie, to muszę go sobie najpierw w najdrobniejszych szczegółach wycieniować, a potem wyszukać stosownych tonów i akordów. O, gdyby tu skrzypce były, usłyszałbyś dopiero!... Słońce, bądź zdrowe na wieki, ty grzejesz, a mnie już zimno, ty świecisz jeszcze, a mnie grobowym cieniem oczy już zachodzą. Żal słońca, ciepła, jasności! Ale jutra żal najwięcej. Jutro to miała być młodość moja. Skocznych tanów muzyka. Wesołej nuty piosenki. Mleczne perły na białej upięte szyi. Suknia jedwabna w lekkim biegu szeleszcząca. Długi mój warkocz misternie spleciony. Wianek z róż krasnych na głowie. Jutro to miało być szczęście moje. Wrony konik pod okienkiem. On, mój piękny przy okienku. Ciche słowa, głośne westchnienia. Ściśnienie ręki. Niebo całe w duszy. Ach! i pierwszy pocałunek. Jutro to miało być życia uświęcenie. Przysięga żony. Modlitwa kobiety o jasnego u Stwórcy aniołka, o aniołka do wypieszczenia na ziemi, do przytulenia na sercu. Jutro to miała być spełniona matki mojej nadzieja. Prawda moich marzeń młodych. Cel mojego przeznaczenia. Piękność, miłość, radość, cnota. A mnie, jutrem będzie — *Grób!* Ludwiku! czy pojmujesz, jaki to śliczny, rozdzierający akord złoży to jedno słowo— *Grób?* Potem się tylko niby dzwony kościelne odezwą. Niby echo początku piosnki, jak echo wspomnie-

nia dobrych ludzi za młodą umarłą — i — pauza — i cichość głucha...

I dziwaczny artysta, własnych wyrazów rozmarzony dźwiękiem, podparł głowę na ręku, zadumał się, i takie w twarzy jego widać było natężenie, jak gdyby słuchał wewnątrz siebie tajemniczego głosu.

Nie przerywałem milczenia, bo sam z zajęciem patrzyłem na tę piękną młodzieńca postać, uwiniętą w białe prześcieradło, niby w starożytną grecką draperyą, spoczywającą w ułożeniu tak wdzięcznem, poważnem, szlachetnem, że zdało się mistrzowskiem dłutem snycerza wykonane.

Gdyby nie czarne włosy i lekki wąsik jego, byłbym miał, ja, co się tak w starożytnych zaczytałem poetach, najlepsze wyobrażenie Endymiona, tem więcej, że przy zgaszonej świecy blade promienie księżyca objęły go wokoło, niby srebrzystym bogini uściskiem.

Po chwili dosłyszałem że westchnął, ręka mu się osunęła, głowa na poduszkę schyliła i usnął piękny, spokojny, jak dziecię. Ileż to sprzecznych żywiołów zmieszało się, czy skłóciło na utworzenie tak bogatej, tak kapryśnej, tak niedorzecznej, a tak zawsze jednak prześlicznej natury! Pewny byłem, że zpoczątku chciał tylko wyszydzić moję łatwość do rozmarzania się nad byle przedmiotem, lecz pewniejszy jeszcze, że wkońcu sam uległ wpływowi niewypowiedzianych wrażeń, że był rozrzewniony, wzruszony, tęskny, jak anioł wygnania za lepszym gdzieś światem. Długo, długo patrzyłem na niego...

IV.

Gdy się obudziłem, dzień pełnem światłem bił we wszystkie okna. Romualdowi trochę lepiej było niż mnie w moim fotelu, chrapał też najprozaiczniej, a ja pocichu zszedłem na dół, podwójne dla nas zamówić śniadanie. Zszedłem, wróciłem, ubrałem się; Małgosi dwa razy kawa wykipiała, nim się mój gość ocknął nakoniec.

— Dzień dobry — rzekłem do niego z uśmiechem — melduję panu, że dziewiąta godzina tuż pod drzwiami czeka.

Romuald ziewnął i przeciągnął się kilka razy.

— Dziewiąta! Czy ty kiedy przed dziewiątą wstajesz?

— Siedm razy na tydzień.

— Źle skończysz. Bezsenność zawsze grozi pomieszaniem zmysłów.

— A sen długi?

— Kto śpi, nie grzeszy; ja byłbym niezawodnie jeszcze ze dwie godziny nie grzeszył, gdyby mnie twoje przeklęte szastanie po pokoju nie zbudziło... Bogdajby wszystko, co złego przez ten czas zrobię, na twoję głowę spadło, a najpierwej gniew tej niewiasty—przydał, widząc wchodzącą ze śniadaniem Małgosię.

— Moja panno—rzekł do niej—to bardzo niełądnie chłopców tak rano odwiedzać.

— Dałbyś pan sobie pokój z żartami; nieładniej daleko chłopcom, kiedy późno i z taką brewerya w nocy powracają.

— Romualdzie, nie drażnij jej, bardzo cię proszę — z żywością po francuzku rzekłem, przeczuwając złośliwą na końcu jego języka odpowiedź.

— Ach, mój Boże! co też ten pan Ludwik na panienkę wygaduje — niewstrzymany mą prośbą zawołał Romuald — toć on powiada, że musiał tak mocno stukać, bo panienka głucha.

— Pan Ludwik, z przeproszeniem, nie byłby takiego głupstwa ani powiedział, ani zrobił, bo najpierw dobrze wie, że ja nie panienka, tylko na chleb swój uczciwie pracująca wdowa, a potem i tego byłby się domyślił, choćbym głuchą była, że są inni w domu, co bardzo delikatny słuch mieć mogą. Panna Helusia aż się dzisiaj na ból głowy skarżyła.

— Czy być może, łaskawa pani dobrodziejko? Proszę przeprosić coprędzej pannę Helusię, w imieniu Romualda trzpiota, pustaka, łotra.

— Widzisz, Małgosiu, jak się zna dobrze—podchwyciłem z prędkością; — odpuść-że mu za ten pierwszy krok do poprawy.

— A nadewszystko uniewinnij przed panną Helusią; powiedz, że to były grzmoty, że jej ból głowy, to dzisiejsze ciężkie powietrze, to burza, która się na obiad gotuje; powiedz, że burza, siarczysta burza! — krzyczał jeszcze za odchodzącą.

— Ciekawym bardzo, czybyś też żartował sobie z bólu głowy Helusi, gdybyś ją samę widział.

— Alboż co, taka piękna, czy taka straszna?

— Sąd w tej mierze zupełnie od sposobu patrzenia na nią zawisł; dodałbym tylko, że jedni ludzie umieją, inni nie umieją patrzeć, lub raczej widzieć, choć patrzą.

— To ma znaczyć brzydka, stara, koszlawa! Uniżony sługa.

— Brzydka, jak do gustu, ale nie stara i nie koszlawa, bo wysmukła, niby młoda roślinka, a chociaż wieku jej zgadnąć jeszcze nie mogłem...

— Panie Ludwiku, panie Ludwiku, to na coś złego zakrawa.

— Zdaje mi się jednak, że musi mieć więcej nad lat dwanaście.

— Fe, wstydź się, chciałeś mnie zmistyfikować! Któż słyszał o takim dzieciaku tak długo rozprawiać?

— Bo ten dzieciak, jeżeli tylko dzieciakiem jest jeszcze, coś nadzwyczajnego w przyszłości obiecuje. Niewiele słyszałem o niej, widziałem przez krótką chwilę zaledwie, a powiadam ci, że gdybym nawet nie zobaczył więcej, toby mi na całe życie jednak pamięć doznanego wrażenia została.

— Musi to być jakieś cudo, które się nie uchowa; powiedz mi tylko zkąd się wzięło na tej przepadłej ulicy?

— Helusia jest córką mego gospodarza.

— A twój gospodarz jest w smoka zaczarowanym księciem?

— Nie w smoka, lecz w najpoczciwszego pod słońcem ślusarza.

— Bądź mi zdrów z taką heroiną! Jeżeli ją ojciec po twarzy głaszcze, musi jak murzynka wyglądać... Zobaczysz, oskarżę ja cię przed moją siostrą. Marya-Regina, ta entuzyastka piękności i dobrego smaku, porządnie cię złaje za takie... nieporządne upodobanie.

— Marya-Regina, właśnie dlatego, że jest entuzyastką wszelkiej piękności, uzna ją zapewne bez względu na podpis i ramy.

— Cha, jakoś bardzo pewnym swego się zdajesz.

— A szczególniej tych słów, które o Maryi-Reginie wyrzekłem.

— Ty się w niej trochę kochasz, Ludwiku?

Na tak niespodziewane twierdzenie, czułem że mi krew z twarzy ubiegła. Przez chwilę milczałem, bo mnie samemu trzeba było po zupełną

prawdę aż do głębi serca sięgnąć; serce biło mocno, a ja nakoniec śmiało Romualdowi w oczy patrząc:

— Trochę się w niej nie kocham — powoli odrzekłem — ja kocham ją, bardzo kocham, tak jak się kocha, gdy ma jedno uczucie na szczęście, lub niedolę całego życia wystarczyć.

Zapewne Romuald sądził, że nawiasem żart przez niego rzucony żartem wzajemnym odbiję, lub najwięcej, że się zarumienię jak przy pierwszym bileciku pochwycony gimnazyasta. Omylił się. Szczerość mego wyznania, drżące wzruszeniem usta, uroczystość głosu i twarz zmieniona jego samego w dziwne wprowadziły położenie. Stanął przedemną, niby się namyślił, niby coś chciał powiedzieć i czegos nie powiedzieć, a nakoniec w milczeniu tylko ujął obiedwie moje ręce i w swoich szczerze, przyjacielsko ścisnął. Nie! ja dziś nawet wyrazić nie umiem, na jak wielką szczęścia nadzieję wytłumaczyłem sobie to ściśnięcie.

— Romualdzie, więc twoja siostra mnie kocha?— wyjąknąłem stłumionym od wzruszenia głosem.

— Czy Marya-Regina cię kocha?... Ależ doprawdy, mój Ludwiku, nie spodziewałem się wcale, że przyjdzie do tak stanowczego zapytania. Ja nic nie wiem, moja niewczesna pustota wyciągnęła ci z szlachetnego serca przyznanie tajemnicy, która mi teraz kłopotem cięży. Na pośrednika między wami wcale się nie przydam, twoim powiernikiem być mi nie wypada, a doradzcą siostry, choćbym chciał, to być nie mogę. Maryi-Reginie powiedzieć: „kochaj-no tego, lub owego,“ toby chyba trzeba nie znać tej kobiety, albo także powiedzieć gwiaździe jakiej: „proszę cię, świeć tam, a nie tutaj.“ Zgadnąć też, czy kocha, póki sama uczucia jakiego nie przyzna, to zgadnąć, w którą stronę świata król orzeł poleci. Mnie nic do tego, bo w tem nic nie mogę. Wierz mi, Ludwiku, zapomnijmy obadwa słów przed chwilą wymówionych — kochajmy się trochę więcej, nie wspominając nigdy odkąd i dlaczego...

Zimno w sercu mi się zrobiło, gdym tych wyrazów słuchał, jak gdybym z wysokości w głębszy dół się osunął, tak przyszłość moję, tak szczęście moje ujrzałem znów nad sobą wysoko, daleko; Romuald zaś, do własnej rady się stosując, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, wesołą na obojętne przedmioty zwrócił rozmowę i wytrwał w niej do końca, pókiśmy się nie rozeszli. Od tej chwili nawet, jeśli mogłem się domyślać, że na prawdę o wszystkiem nie zapomniał, to z tego chyba, iż nigdy słówkiem najlżejszem o tę strunę mego serca nie trącił, a jednakże stało się — on z niej pierwszy ten dźwięk wydobył, którym potem na długo, może na zawsze brzmieć miała.

Kiedym dnia tego Maryą-Reginę zobaczył, zmieszałem się, jak gdyby do jej brata wymówione słowa już wiadome jej być mogły i jak gdyby ona odpowiedź swą na nie zawiesiła tylko — a właśnie sama siedziała, w małym gabineciku, przyległym bawialnemu pokojowi. Przed nią stał z ogromnem in-folio hebanowy, jakieś egipskie bóstwo wyobrażający pulpit. Przy niej stół papierami i rycinami okryty, za nią była głęboka jedynego okna framuga, w zwoje dwóch Flos passionisów jak w girlandę zieloną objęta, a zachodzącego słońca promieniami tak przez wszystkie szyby świecąca, że na tem tle jaskrawej purpury głowa i popiersie Maryi-Reginy, niby ciemna sylwetka, odkrawały się rysunkowo, dobitnie, w ostre ale czyste linie.

— No i cóż, panie Ludwiku— spostrzegłszy mię, rzekła — przychodzisz pan zdawać rachunek z powierzonej mu opieki? Romuald już się do wszystkiego przyznał, teraz na pana kolej... Ot, z twarzy zaraz widać, żeś winowajca — patrzyła się na mnie, a ja prawdziwie jak winowajca pomieszany i nieśmiały stałem.— Jednak to dziwnie, pięknie i śmiesznie być musi, kiedy mężczyzna, ów silny, ów królujący przed kobietą młodą, spokojną, tak lękliwie się upokorzy, tak zdziecinnieje, tak zadrży.

— Czyż mnie brat pani oskarżył?— z niepewności drżącym zapytałem głosem.

Rozśmiała się Marya-Regina.

— A nieinaczej; wiem najpierw, że w cukierni okropnie pan dokazywałeś. że ledwie do pojedynku nie przyszło, że potem całą noc przesiedziałeś w fotelu i cały ranek przerozmawiałeś o córce ślusarza. Proszę mi teraz resztę dopowiedzieć.

Ach! ta reszta to było moje wszystko; ona sama żądała jej prawie, a jednak byłbym się prędzej w Wiśle utopił, niż przed nią, taką spokojną, taką pełną powagi, choć jednę wyjąknął sylabę.

— Zdaje mi się — odpowiedziałem napozór równie jak ona spokojny — że nie dodać, lecz odjąć będzie trzeba z tego wszystkiego, co tu pani Romuald naprawił o mnie.

— Ja też właściwie nie o panu chcę wiedzieć, tylko o tej nowej jego znajomości...

— O Helusi? To prawie dziecko jeszcze...

— Jakiż śmieszny i pokorny wykrzyk! Panie Ludwiku, gdybym tu mój wachlarz miała, tobym cię nim za taką niezręczność po palcach trąciła.

Wachlarz na drugim leżał stoliku, przyniosłem go i wraz z rękoma w milczeniu do kary podałem. Marya-Regina nie uderzyła mię nim, tylko moje ręce lekko zprzed siebie usunęła i zapytała znowu:

— Pomimo tego, że Helusia dziecko, czy mi wolno będzie dowiedzieć się, czem tak szczególną pana zwróciła uwagę?

— Tem, że umie pamiętać...

— Więc pan tak bardzo wysoko talent mnemoniczny cenisz?

— Bardzo wysoko, jeśli niem serce czyje obdarzone.

— A zatem Helusia ma pamięć w sercu?

— Tak jest, pani; przed rokiem u jej rodziców mieszkała i umarła młoda kobieta, którą ta dziewczynka pokochała bardzo — od tego czasu wszystkich jej pamiątek strzeże, w nocy niekiedy z jej imieniem na

ustach się budzi, a parę dni temu sam byłem świadkiem, jak ojciec zaczętą przerwał powieść, żeby wchodzącej córki żalu nie rozdrażnić, i gdybyś pani widziała to dziecię starsze nad wiek swój potęgą uczucia, tę drobną twarz, tak już posępnym wyrazem surową, pewny jestem, że samabyś umiała artystyczną jej piękność ocenić.

— Ocenić może, ale nie cenić. Wierz mi, panie Ludwiku, taki długi żal pierwszej straty, to jest najzgubniejsze ducha ludzkiego usposobienie: — i wsparłszy łokieć na kolanie, jak było jej zwyczajem, gdy coś z większym namysłem mówiła, ściśniętą dłonią przytrzymała lekko spuszczoną głowę, a po chwili znowu rzekła: — najzgubniejszem usposobieniem. — Pomyśl pan tylko, ile to ciosów, boleści, zgryzot w serce nasze pada; gdybyśmy wszystkie niestrawione, niezużyte ciągnęli za sobą, cha! tobyśmy na zrąb mogiły dowlekli zaledwie jakiś zmurszały nie życia, lecz śmierci pamiętnik, jakąś w kółko powtarzającą się łez i nieszczęść litanią. Och! nie, patrz lepiej na ziemię matkę naszę, co to jej trupów, ziarn, nieczystości rzucają, a ona wszystko przyswoi, przyjmie, wyda kwiatem, kruszcem, kamieniem. Tak i cierpienia do życia brać trzeba, dla użyźnienia swej natury, dla rozwinięcia władz nowych, dla podsycenia organizmu. Alboż to ja nie cierpiałam także?— A ręka jej sięgnęła po jakąś dużą, w czarny aksamit oprawną księgę, której karty pod jednym palcem z nadzwyczajną szybkością przesunęła.— Co tu uczuć starganych, co imion wyrzuconych z pamięci... choć każde uczucie, choć imię każde było chwilą mej przeszłości, cząstką ducha mego. Ta książka sama, to upominek zmarłej matki. Pan jeszcze masz swoję matkę? Pan mężczyzna — nie pojmujesz i nie pojąłbyś nigdy, jakiem zepsuciem wszelkiej harmonii jest dla kobiety przedwczesna jej strata. Wedle prawa Bożego, postęp w bycie naszym rozwija się w nieprzerwane ogniwa ciągłych, a kolejnych uczuć. Matka wypełnia całe dzieciństwo, młodość pierwszą, jest owym cementem, który nas w związku ze światem

ogółu utrzymuje, póki w nas samych siły do kochania potrzebne nie wyrobią się, póki znowu nas doskonalsza wyłączność szczęścia, łączność uczucia nie pochwyci, na wznioślejsze nie posunie stanowisko, zupełniej z Bogiem i ludzkością nie zjednoczy. Matka uczy nas kochać—matka nas kocha, póki my nie ukochamy samodzielnym wyborem, póki nas nie ukochają na zawsze. Ach! bez matki, przy rozpoczęciu trudnego zawodu, przy pierwszych krokach niepewnej podróży, och! wierz mi, panie, smutno jest i pusto! Na całe życie zostanie jakiś rozstęp, jakaś próżnia, jakiś znak zapytania w każdem serca uderzeniu. Taka wczesna sierota nawet kochać nie potrafi, do zbytku zawsze wyda, lub zapragnie miłości; owa najpotrzebniejsza, nie w rozsądku, lecz w instynkcie, miara uczucia, dla niej stracona zupełnie. Ona musi wszystko zgadywać, jak gdyby dzieło jakie ze środka czytać zaczęła. Osamotniona przy kolebce, niepojmująca się przy ślubnym ołtarzu, zaniepokojona obok własnego dziecięcia, zwątpiała może i zimno szydercza aż po deskę grobową — to jest kobieta, co matki nie miała! A ja, panie Ludwiku, ja moję w dziewiątym już utraciłam roku!... — I zamilkła na chwilę!— Jeżeli kiedy—rzekła znowu— nad moim charakterem zastanawiać się pan będziesz, nie zapominaj, że on się kształcił i rozwijał wtedy, gdy czułam, że mnie nikt nie kocha.

— Lecz brat i ojciec zostali się pani.

Marya-Regina z niedowierzaniem głową poruszyła.

— A ja panu mówię, że czułam brak miłości, którąby celem, nie przydatkiem była. Brak tego upewnienia każdochwilowego, tego oparcia, tego jakby gruntu na dnie serca, brak tego słowa „najwięcej.“ Wiesz pan jednak, co z tych pierwszych moich łez wycisnęłam? O zaiste, nie smutek, nie rozrzewnienie, któreby mi wszystkie władze duszy rozprzęgło; w tych łzach, że tak powiem, ustaliłam moję istotę. W nich przywykłam do spokojnego pustelnictwa wśród obojętnych ludzi. Odtąd już zawsze każdą późniejszą bo-

leść wrażeniem tylko, nie zdarzeniem przyjmowałam do życia. Bo wrażenie, skutek praw konieczności, od naszej woli niezawisło wcale. Jak ręka oparzona, jak skaleczone ciało musi przecierpieć czas jakiś, tak patologicznie i my cierpimy wrażeniem. Lecz zdarzenie, to co innego. To jest wrażenie, wolą naszą przyjęte, uznane, stawione jako przyczyna długiemu następstw szeregowi. Dla mnie w każdem nieszczęściu zdarzeniem była ta część jedynie, którą na korzyść przyswoiłam sobie. Wszelki smutek, zawód, nawet ów najokropniejszy z zawodów, kiedy człowiek sam siebie omyli, ja koleją przechodziłam wszystkie i po wszystkich została mi nie pamięć, lecz pamiątka, myśl nowa, nowy pogląd na rzeczy, choćby nowe upodobanie tylko. Widzisz pan to pismo? — I roztworzyła książkę. — Wszak piękne, równe, lecz nieczytelne; zupełnie do niego piszący był podobnym. Mając lat dziewiętnaście, kochałam tego człowieka. Olśnił mnie gruntownością specyalnych nauk, zajęciem wyższego w towarzystwie miejsca przez swoje zdolności jedynie. Chlubna byłam, gdy od szacownego wszędzie szacunku odbierałam dowody. On mi był wzorem prawdziwie męzkiej, życiem i wypadkami kierującej siły. Kochałam go... jakbym sama kochaną być pragnęła, gdybym się mogła mężczyzną urodzić, a teraz?... — Uśmiechnęła się tak obojętnie, tak wesoło, że mi od chwili ciężarem niepojętym stłumiony w piersiach oddech swobodnem i szczęśliwem uleciał ku niej westnieniem.

— Teraz? — mogłem powtórzyć z niecierpliwością...

— Teraz, choć mnie oczy trochę pobolały od wczytywania się w ten niewyraźny charakter — dodała z ironicznym przyciskiem — zostało mi jednak wielkie poważniejszych nauk zamiłowanie; sądziłam, że muszę wszechstronnie z jego przeznaczeniem się zmieszać. Jeśli nieco w matematyce i chemii postąpiłam, jemu to winnam. Prawda, że trochę dziwna po pierwszym romansie niezabudka, lecz mi się nieraz w życiu przydała. Mój drugi zaś romans... Ot, zaraz go panu poka-

żę... — I znowu zaczęła starannie karty swej książki przewracać.

Myślałem, że na to drugie zwierzenie jakieś szatańskie pazury za serce mnie chwytają. Więc Marya-Regina była zalotną, płochą, gorszą od wszystkich złych kobiet na świecie, bo stworzoną z większemi zasobami dobra, szczęścia i piękności — a zazdrość? O, w tej chwili miałem jej objawienie przelotne, lecz zupełne. To brzydkie zielsko, które pierwszem zwątpieniem się sieje, a brakiem zrównoważenia w uczuciach rozplemia, ta pokrzywa nikczemna we wszystkie razem nerwy mnie sparzyła. Zpoczątku myślałem, że Marya-Regina kochać nie umie, jej więc pierwsze przyznanie choć bolesnem zdziwieniem uderzyło, jakąś nadzieją zabłysło mi także; ale potem — zmieniać miłość niby zwrotkę piosenki, ssać jednę po drugiej dla małej miodu kropli, mieć żądło i krew zimną owadu, a być przytem kobietą piękną, młodą, namiętną!... O, to nie siła, Maryo-Regino, to nie mądrość, to nie wyższość żadna, to potworność tylko! Dlaczegóż przedemną właśnie z takim cynizmem rozdarłaś ułudną szatę, która twoje ubóstwo kryła — brudne ubóstwo? Jam cię o szczerość nie prosił, ja kłamstwa ani prawdy nie żądałem; jaką mi się wydawałaś, taką cię chciałem mieć w sercu na zawsze. O twoje własne serce kto się pytał?... I złorzeczyłem, klątem i czułem, że się w całej mojej istocie moralnej coś niszczy i coś psuje. Nie, z takiemi wrażeniami igrać nie wolno. Jeśli Marya-Regina choć wczęści się ich domyślała, to źle czyniła, że mi słówkiem, że mi spojrzeniem chociaż ukojenia nie przyniosła; lecz ona jako święty, cudowny obraz na wysokościach swej chwały, pogodna i wspaniała, zwolna odwijała kartkę za kartką i nawet jej marmurowa ręka nie zadrżała. Aż nakoniec coś ze środka wyjęła, ostrożnie na czystej białej ćwiartce ułożyła i mnie do obejrzenia podała.

Nie dotknąłem się tego, a w żyłach krew mi roztopioną lawą popłynęła, bo na tej ćwiartce papieru czerniła się sylwetka maleńka. Spojrzałem tylko na

nią... spojrzałem i nagle — ja nie wiem co Marya-Regina pomyśleć o mnie mogła — wydarłem jej papier z sylwetką, a dłoń silnie pochwyciwszy, do ust przycisnąłem w milczeniu.

Na sylwetce było popiersie kobiety.

Marya-Regina przypatrywała mi się z wyrazem zadziwionego przestrachu, powoli jednak, gdym jej rękę puścił, gdy mi rumieńcem wstydu i pomieszania blada przed chwilą twarz zaszła, na jej twarzy także przestrach i zadziwienie w jakiś pełen słodyczy rozpłynęły się uśmiech.

— Wszakże piękna? — spytała dźwięcznym, lekko stłumionym głosem.

— O piękna! — powtórzyłem jak w modlitwie i dopiero na trzymaną sylwetkę spojrzałem.

Sylwetka także na ten wykrzyknik zasługiwała bardzo: profil czysty, regularny, jakby z etruskiego wzoru przerobiony.

— Więc to był pani drugi romans? — rzekłem odważnie, niby kłamliwy śmiałek po uniknionem niebezpieczeństwie.

— Mój drugi romans — powtórzyła, lecz już bez uśmiechu — ja tak zawsze nazywam każde zjednostkowione uczucie.

— I nigdy pani żadnego miłością nie nazwiesz?

— O, miłość! — a głos jej zadrżał, a oko się zaszkliło — miłość to Bóg w nas; Bogiem wypełnisz wszystko, nie wypełnisz niczem Boga. Rzuć w to słowo szczęście, piękność, doskonałość, wieczność całą, poza niem więcej, jeszcze więcej się zostanie. Zmieść jeżeli możesz słońce w oku pliszki, wlej morze do glinianego garnka, powiedz gdzie się Bóg kończy, a potem kochaj miłością jednego człowieka.

— Czemuż nie?— odrzekłem z ufnością.—Wszystkie promienie światła zbiegają się w źrenicę najdrobniejszej ptaszyny, więc ma i pliszka całe słońce w oku. Glinianym garnkiem nie wypróżnię morza, lecz morzem garnek napełnię. A choć Bóg nigdzie się nie

kończy, ja wiem że się zaczyna wszędzie, gdzie myśl szlachetna rozbłyska, gdzie kochające uderza serce.

— W dziewiętnastym roku byłam tego samego zdania, panie Ludwiku. Ach. ostrożnie, bo mi sylwetkę zepsujesz. Moja poczciwa Anna! Czy zgadniesz pan, dlaczego w taki sposób chciałam jej wizerunek zachować? Oto dlatego, żeby się przekonać, czy od tej złocisto-włosej, śnieżysto-białej, anielsko-świętej istoty cień, jak od innych ludzi. a nie jasność padnie, bo też to była prawdziwie wybrana. trochę miękka, trochę słaba. ale prześliczna organizacya. Jak na mnie wszyscy dwoma imionami wołają, tak i ja na nią wołać chciałam. Pamiętam jeszcze, cośmy to kalendarzy naprzewracały, co narad odbyły przed owym chrztem przyjaźni. Aż nareszcie przezwałam ją Klarą. To imię tylko było podobne do mojej Anny. takiej przeczystej. kryształowej jak woda strumienia, jak dziecęca łezka. Dwa lata naszego życia pomieszały nam się i zespoliły każdą myślą, każdym wypadkiem i uczuciem. Dziś jeszcze próżnobym w nich szukała na osobistą własność jakiegobądź wspomnienia. Nauki. prace, uciechy i smutki. ona ze wszystkiego wzięła, do wszystkiego przydała część swoję. A potem?... Nasza przyjaźń się nie rozerwała, nasza przyjaźń się tylko... rozeszła, jak mówią ludzie, rozeszła i my rozeszły każda w swoję stronę. Ja dzisiaj nie wiem gdzie Anna-Klara, ona o Maryą-Reginę nie pyta. Przyznam się nawet, że na mnie zaległa ostatniego jej listu odpowiedź, lecz donosiła mi w nim o swojem zamężciu; mężatce taka piśmienna o kilkadziesiąt mil rozmowa najczęściej staje się tylko uciążliwą jakichś sumiennych względów obowiązkowością—mnie także nie była już potrzebną. Nie cierpię w życiu mojem tych pół-uczuć. pół-przywyknień; co nadwątleje, to sama do reszty niszczę i precz z serca, precz z przeznaczenia mego wyrzucam. Nie odpisałam więc Annie-Klarze i przestałyśmy się kochać bez sprzeczki, bez gniewu, zwyczajną koleją: zapomnieniem. Po niej została mi się jakaś rzewność, jakieś

upodobanie we wszystkiem co do niej podobne, w kwiatkach, w śpiewie ptasząt, w białym kolorze, w drobnostkach kobiecych zatrudnień. zdaje mi się, że umiem lepiej bratu i ojcu dogodzić, lecz nic więcej — i widzi pan, jak nam z tem dobrze! Gdyby każdy stosunek człowiek chciał według prawideł retorycznych w całość epopei układać, gdyby wszystko do ostatecznych przyprowadzał wynikłości, doprawdy, żleby na tem wyszedł. Ja na przykład musiałabym już zwątpić o miłości, o przyjaźni, o własnem sercu mojem.

— A jednak pani mu wierzy?...

— Wierzę jeszcze... nadzieją, bo mi nigdy nadziei wspomnienia nie kłócą. Poradź pan swej znajomej, żeby tak samo z życiem się obliczyła; nacóż takim lichwiarskim procentem boleści kilka chwil szczęścia pożyczonych od losu opłacać?

— Gdybym miał radzić...

— Dość już na dziś tej liryki — przerwała mi, składając czarną książkę; — gdybyś pan miał radzić, to wszystko nabok odłożywszy, poradziłbyś mi najpierw, co mam z tym Romualdem robić, żeby go dłużej przy skrzypcach utrzymać?

— Gdzie się on dzisiaj obraca?

— Z dnia wczorajszego możesz pan miarkować, że niełatwo się odpowiada na podobne zapytanie. On sam godziną pierwej nie wie nigdy, jaki zamiar i w którą poniesie go stronę.

— Ale wie, kiedy na jego wolność i bezpieczeństwo spiski knowają — odezwał się, niespodzianie we drzwiach gabinetu stając.

Marya-Regina złajała go okrutnie; za takie łajanie byłbym oddał wtedy całego świata pochlebstwa!

— Wyobraź-że pan sobie — mówiła do mnie ze ślicznem rozdąsaniem — przez te dwa dni brat miał takie ważne sprawy do załatwienia, żem go nawet grającym nie słyszała jeszcze.

— No, to jutro będziesz tego miała aż do zbytku; dzisiaj zmęczony jestem, już późno.

Prawdę mówił Romuald; już późno było, grzechotki warczały z ulicy, dzień się skończył. Nie dla mnie skończył — takim dniem kilka lat się żyje; to dzień-zdarzenie, według słów Maryi-Reginy, a słowa jej pamiętałem wszystkie i śniło mi się, że w nich gwiazda dobrej nadziei roztlała, że w nich było więcej żalu i tęsknoty za wyłącznem miłości uczuciem, niż gry fantazyi, niż talentu obrazowania. Śniło mi się — śniło mi się...

V.

Zapewne Małgosia, z poprzedzających dni wnioskując, musiała sobie wyobrazić, że ja na noclegi jedynie moje śliczniutkie pokoiki wynająłem, bo gdy nazajutrz wcześnie z mecenasami i regentami się ułatwiwszy, do domu około trzeciej z południa wróciłem, powiedziano mi, że właśnie dopiero co poszła na górę uprzątać. Poszedłem i ja za nią. Przy drzwiach zdawało mi się, jak gdybym dwa głosy rozmawiające słyszał.

— Jak czterdzieści złotych miesięcznie zarobię...— mówił z nich jeden, a wyraźnie nie był to głos Małgosi.

Wszedłem i z niemałem zadziwieniem ujrzałem Helusię w moim fotelu siedzącą. Wstała z niego spokojna, surowa, jak w pierwszym dniu naszego poznania, i kilka kroków naprzeciw mnie zrobiła. Jej twarz znowu o parę lat starszą mi się wydała, tak obok zwyczajnego smutku leżał na niej przedwczesnej starości, fizycznego cierpienia wyraz.

— Przyszłam tu z Małgosią, bo nie wiedziałam, że pan dziś wcześnie wróci, a wiedziałam, że choćbyś wrócił, moje przyjście ani go zdziwi, ani obrazi—rzekła do mnie zwolna, stanowczym głosem. Ten głos ja w niej przeczułem prawie — nie mógł być inny, tylko głęboki w dźwięku, pełny, śmiały, a cichy jak ona.

— Prawda, panno Heleno — odpowiedziałem na to — prawda, bo i tak od pierwszej z twoim ojcem

rozmowy zdaje mi się, jak gdybym ci był jakąś prośbę o przebaczenie dłużny, jakąś wymówkę usprawiedliwiającą mnie, iż mimowolnie świętości twoich pamiątek dotknąłem.

— Gdyby to odemnie zależało, niktby pewnie tych dwóch pokoi nie zajmował, ale kiedy musi być inaczej, to wolę pana, niż kogobądź na świecie. Pan jej nazwiska usłyszeć nie chciałeś. Z jego strony było to dobrze, poczciwie, szlachetnie, i dlatego też przyszłam śmielej, siedziałam spokojniej, na sercu lżej mi było.— Ostatnie wyrazy zadrżały jej w piersiach; nie skończyła mowy, lecz ją niby złamała, przecięła i oddaliła się pierwej, niż słowo jakie odrzec podążyłem.

Nadzwyczajnie ujął mnie jej postępek; było w nim coś dzikiego, nieskładnego, jak w postępku dziecięcia, a przecież pochlebiał duszy, jakby męzkie prawego człowieka zaufanie.

— Musiały się bardzo kochać — rzekłem nakoniec, zbierając uwagę po długiej chwili milczenia.

— Kto? Panna Helusia i umarła?— podchwyciła Małgosia — a juścić że się kochały jak dwa gołąbki; czasem to człowiek nawet pojąć nie mógł, co one tak po całych dniach mają z sobą do gadania? A bywało kiedy siądą nad jaką książką, to czytają, czytają, śmieją się i płaczą, a jeszcze częściej płaczą, niż śmieją. Raz nawet nasze panisko chciało kiedyś gwoździami zabić wszystkie książki w szafie, bo strasznie zesmutniała dziewczynina; ile razy się w nich zagrzebie, tyle razy przez dni kilka potem bledsza i bardziej milcząca; lecz to, proszę pana, chociaż Helusia jak baranek cicha, łagodna, już pono od urodzenia taki los jej wypadł, że czego nie chce, tego w domu nie zrobią.

— Jednak wiesz co, Małgosiu — z lekkim namysłem rzekłem — rodzice powinniby się starać o rozerwanie jej smutku.

— Cóż na to poradzą, kiedy go rozrywać nie daje? Wyprowadzą gdzie na spacer, to wróci zmęczona; uproszą w odwiedziny, to jeszcze bardziej zatęskni. Raz ją pani Piotrowa, żona bardzo majętnego cieśli,

daleka krewna naszego pana wzięła koniecznie do teatru; była podobno taka ucieszna komedya, że się wszyscy za boki od śmiechu trzymali, a ona przy tym śmiechu rozchorowała się tylko. Ja powiadam, że ją ktoś urzekł, bo, dzięki Bogu, pięćdziesiąt dwa lat żyję na świecie, a jeszcze nie widziałam takiego dziecka, coby ani śmiać się, ani płakać nie mogło.

— Czy też nikomu na myśl nie przyjdzie, że to jest chorobą może?

— Pan mówisz chorobą?— powtórzyła Małgosia, niespokojnie patrząc się na mnie.

— Wistocie chorobą; gdy ją dziś zobaczyłem, takie wrażenie na mnie zrobiła, jakby ją coś na duszy i na ciele bolało.

— Och! mój Chryste! muszę ja zaraz naszemu panu słówko o tem napomknąć!...

— Tylkoż go bardzo nie przerażaj; mało znam pannę Helusię, a może ona zawsze tak wygląda, jak dzisiaj...

— Prawda, że dawniej była trochę żółciejsza jeszcze, ale tych oczów wpadłych i świecących, niby dwa złociste węgielki, tych wystających na policzkach kości, to nigdy nie miała. Przecież pamiętam, spokojne to zawsze, nie hałaśliwe, ale jak ptaszyna Boża, wesołe było dzieciątko; śpiewała sobie od rana do wieczora, aż nam raźniej szła robota. Bóg wie zkąd ponauczała się różnych prześlicznych piosneczek — jeśli ich zabrakło kiedy, to sama składała nowe. Jać się nie znam na tem, ale mnie się cudnie piękne zdawały, szły jakby z serca do serca; szkoda tylko, że po prześpiewaniu żadnej sobie spamiętać nie mogła... Teraz biedne dziecko ledwie czasem da się Karolkowi uprosić i zanuci co kiedy; dom cały jakby ogłuchł. Juścić to pewne, że ona chora, bardzo chora niezawodnie. Powiem ojcu, że pan mówiłeś...

— Tylko tego nie powiadaj, czego ja nie mówiłem — z mimowolnym uśmiechem przestrzegałem panią Małgosię, bo mi jej monolog wiele rzeczy wytłumaczył, i całe usposobienie Helusi pojąłem już nie

chorobą, nie smutkiem nawet, ale jakiemś przesileniem silnej organizacyi, jakąś walką wydzierającego się ku światłu ducha, rodzącej się wśród bólów myśli, a kto wie, może wielkiej poetycznej zdolności.

Małgosia tymczasem nie musiała bardzo z mojej przestrogi korzystać, bo nad wieczorem wszedł do mnie sam pan ślusarz niespokojny i zmartwiony. Z tego co od poczciwej kobiety usłyszał, wyobraził sobie jeszcze groźniejsze niebezpieczeństwo i pomimo wszelkich upewnień moich, widać było, że raz zbudzona obawa już mu na zawsze do serca przyrosła. Długo się wypytywał, czy naprawdę jego Helusia tak słabo wygląda, czy ja się znam na doktorstwie, czyby córki na wieś gdzie wysłać nie było potrzeba?

— Bo to widzi pan—mówił—na wsi zdrowe powietrze, lecz ja warstatu, moja kobieta szycia porzucić nie możemy, a znam Helusię, serceby jej tęsknotą zdala od nas i od Karolka wyschło.

Odchodząc, rękę mi ścisnął.

— Dziękuję—rzekł—dziękuję, mój dobry panie, za przestrogę i za pociechę, a jeśli też kiedy będziesz pan miał godzinkę czasu do stracenia, strać ją z nami na dole; my sobie prości ludzie, lecz gdy komu przyjaciele, to przyjaciele na ogień i wodę, na deszcz i słońce, na płacz i śmiech.

Szczery, serdeczny człowiek!...

Nieprędko jednak z jego wezwania korzystałem. Wszystkie wolne chwile święciłem Maryi-Reginie lub jej bratu na wspólne przejażdżki, odwiedziny, rozrywki. Cała koterya pana Antosia jak rój much obsiadła Romualda. Wśród takich głów pustych, wśród takich serc próżnych, wśród takich rąk wiecznem lenistwem skamieniałych, jego głowa pełna dowcipu, jego serce niekiedy entuzyazmem bijące, jego ręka dzielnie swoją sztuką władająca były upragnionem a rzadkiem zjawiskiem... Zepsucie, ów czart zbytkami w całą warstwę społeczeństwa wciolony, nudzi się czasem zbyt jednostajną potrawą. Ciągłe karty, wino, ko-

nie — ciągła rozpusta i plotki... trzeba zmienić! Więc chodzi, ale nie chodzi jako lew ryczący w Ewangelii, ale jako pies: gdzie spotka talent przy miękkiej woli, tam się łasi i skomli; niech muzyka przygrywa jego pijanej ochocie, niech malarz swemi obrazkami ściany jego sypialni zawiesza, niech mu poeta improwizuje! Poeta, kapłan Boga — to tem śmieszniej właśnie! Za jednę pochwałę, za jeden oklask, za ciastko na srebrnej tacy podane, za ukłon na wykładanej marmurem posadzce, za czcze echo rzęsisto oświetlonego salonu kupić sobie poetę, poetę na sługę „zepsucia, zbytku.“ tego najbrudniejszego, najdrobniejszego, najnikczemniejszego ze wszystkich diabłów, poddanych władcy-Szatana, Zbrodni. Żal mi było Romualda, miałem pewien dobry instynkt szlachetniejszej jego natury i dlatego podwójnie starałem się korzystać z pierwszeństwa w przyjaźni, jakie mi przed innymi dawał. Dziwiło mnie tylko, że dla niego, artysty, sztuka nie była potrzebą i nieodstępną życiu towarzyszką. Przez kilka dni uprosić go nie mogłem, by mi się dał słyszeć. Marya-Regina powiadała, że i przy niej ledwo raz wziął skrzypce do ręki, ale taki postęp, takie mistrzostwo w tej pierwszej ulotnej próbie znalazła, iż cała duma braterska, zachwiana niegdyś nieszczęśliwą o koncercie sprzeczką, znów do jej serca wróciła.

Tymczasem Warszawa ożywiła się przybywającymi ze wszech stron na jarmark ś-to-jański obywatelami. Teatra, sztuczni jeźdźcy, akrobaci, menażerye, widowiska wszelkiego rodzaju nagromadziły się po zwykły procent od polskiej wełny, a niemieckich pieniędzy. Pan Krzysztof tak się starał, tak chodził, tak rozmaite poruszał sprężyny, by część owego procentu na swoję, to jest na sal ochrony odwrócić korzyść, że wreszcie, dzięki jego staraniom, poranek muzykalny z pewnością ułożony i obrany został. Modnych pań — bo modne panie prędzej zawsze na coś dobrego się zdadzą, niż modni panowie — użyto wszystkich razem i ze wszystkich koteryj, gdyż wiedzieć jeszcze trzeba, że każdy z salonów ma właściwe swoje prze-

wodniczki; użyto więc je wszystkie na rozprzedanie biletów.

Zdaleka patrzącemu smutnym jest widokiem zbiór takich młodych twarzy, takich atłasów, piór lekko chwiejących, powiewnych tarlatanów, przejrzystych koronek, takich naszyjników bogatych, takich spinek lśniących—a to wszystko przy zabawce na dobroczynność, na tle z łachmanów i głodu! Lecz cóż robić dzisiaj, kiedy pełnym kielichem nie można spragnionych obdzielić; dobrze i kroplę ustom przepiłych wycisnąć.

Jednego wieczora Maryi-Reginy nie było w domu; Romuald zawichrzył się w jakiś pod Warszawą piknik; sam bez ważniejszych zatrudnień przypomniałem sobie o zaprosinach mego gospodarza.

Gdy zszedłem, jeszcze go w domu nie było, bo miał warstat aż na Elektoralnej ulicy i czasem dość późno od niego wracał. Zastałem tylko panią ślusarzową i dzieci w pokoju. Ona sama zajęta była szyciem cienkich męzkich koszul; Helusia pomagała jej, a Karolek, w jakieś stare z czerwonej włóczki szlify ubrany, na drewnianym koniku wywijał sobie swobodnie.

Przyjęcie matki było trochę, nie mogłem z pierwszej chwili pomiarkować, zimne, czy nieśmiałe. Córka lepiej mię powitała, w jej oczach zaświeciła jakby myśl życzliwa dla dawnej dobrej znajomości. Obok siebie wskazała mi miejsce, ale nie troszczyła się bynajmniej o rozpoczęcie jakiej rozmowy; nad szyciem schylona, milczała, jak gdyby gościa w pokoju nie było. Pani Agnieszka od czasu do czasu tylko rzuciła jaką uwagę względem pogody, względem zaczynającego się jarmarku, a gdy jej kilka słów odpowiedziałem, znowu na milczenie topniał lód wymuszonej rozmowy noszej.

— Czemu pan do ogródka nie przyjdzie pracować? — odezwała się raz tylko w jej ciągu Helusia. — Przy teraźniejszych upałach jest w nim dosyć cieniu; cień pracy pomaga.

Na przychylność tej rady szczerem podziękowaniem odpowiedziałem.

— Lusiu, moja Lusiu, napraw mi biczyk—zawołał z końca pokoju Karolek.

Siostra poszła do niego, prośby wysłuchała i tak jak pierwej, obecnością moją niezrażona i niezajęta wcale, razem z nim bawić się zaczęła. Widząc ją tak smukłą, drobną, taką zręczną, łatwo byłby każdy pomyślał, że prawem wieku jeszcze się jej ta dziecinna pustota należy. Ale ja pilniej wszystkie jej ruchy śledzący, sam zesmutniałem na obraz takiej smutnej wesołości. Czy to uciekając przed goniącym braciszkiem, czy kryjąc mu się w fałdy matczynej sukni, czy inne wymyślając na uciechę jego żarty, Helusia nigdy się nie rozśmiała, jakby jej twarz była pozbawioną muskułów potrzebnych do wydania tej oznaki radości, swobody, wesela... Powoli jednak i mnie Karolek wciągnął do swojej zabawy, a gdy ślusarz powrócił, już nas zastał w jaknajlepszej, choć może trochę zagłośnej przyjaźni. Pani Agnieszka więcej rozmowna, szczerszy udział w niej brała, lecz Helusia niby zmęczona nabok się usunęła i tylko spokojnie, cicho patrzyła się na nas. Jej ojciec wszystkich do ogródka przeprowadził. Tam dopiero przy smacznej kawie, pod woniejącą białemi kwiatami akacyą, bliższa i przychylniejsza zabrała się znajomość. Karolek usnął mi na ręku, a my ze ślusarzem i Helusią rozgadali się o dawnych i niedawnych czasach, o rozmaitych naszego już życia wypadkach, a na niektóre wyrazy, na pewne wspomnienia, twarz dziewczynki rumieńcem zachodziła, rozciągała się źrenica i drżała na piersiach skrzyżowana biała muślinowa chustka. Ile razy się odezwała, każde jej słowo, każde jej zdanie nowem dla mnie było podziwieniem. Spytać się chciałem nieledwie:

— Ty dziecię, ty kobieto, od kogo tak się mówić nauczyłaś?— Mój Boże, jak gdyby najlepszą tego nauką nie było szlachetne serce i życie wśród poczciwych ludzi pędzone?

Kiedym ją żegnał dobrej nocy życzeniem, przez chwilę widać było na jej twarzy jakąś niepewność, jakiś rozmysł, aż nagle obiema rękoma moją rękę ujęła i tym swoim cichym, stanowczym, uroczystym głosem:

— W imię umarłej — rzekła tylko.

Powróciłem do siebie z uczuciem błogiego domowej zagrody spokoju, z wrażeniem jakby po spełnieniu dobrego uczynku. Nie myślałem tak wiele o Helusi, ani o jej rodzicach, lecz mi przyszedł na pamięć drewniany domek mojej babki, obraz dziadka z czapką na bakier, stanęła mi w myśli matka witająca mego ojca po kilkomiesięcznem rozstaniu, przypomniał mi się każdy z naszej wioski chłopek, przypomniały wszystkie z młodymi przyjaciółmi rozmowy, przypomniała przeszłość i przyszłość...

Nazajutrz wielkie zdziwienie przy obudzeniu mię czekało.

Romuald z jakąś szkatułką pod pachą stał nademną i śpiącego za rękę ciągnął.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!... — krzyknąłem mu zamiast dzień dobry.

— I ja Go chwalę—odpowiedział, nabożnie ręce składając.

— Więc to naprawdę ty jesteś, Romualdzie?

— Z grzesznem ciałem i z kościami i ze wszystkiemi nieszczęściami mojemi...

— Cóż to się stało tak nadzwyczajnego?

— Jutro ma być poranek muzykalny, a ja przychodzę na całe dzisiaj spokojności i milczenia pożyczyć u ciebie; muszę sobie rękę trochę odświeżyć...

— Niech ci za to przedsięwzięcie miliony oklasków spadają.

— Ach! inaczej być nie mogło, chyba musiałbym jak Satyr w cienie lasów uciekać. Do Maryi-Reginy zjechało się całe grono prowincyonalnych znajomości; mój pokój przy bawialnym — jakby mi zaczęto nad uszami paplotać, tobym zdaje mi się skrzypce ze złości roztrzaskał; do ciebie więc, Ludwisiu, przed tem niebezpieczeństwem się chronię.

— I w cieniu mojej strzechy grać będziesz spokojnie.

— Och! wiem! spokojnie, jak tam, gdzie świat już deskami zabity.

— Powiedz tylko, czy ja ci przeszkadzać nie będę?

— Wprawdzie za najwyższy dowód gościnności uważałbym to właśnie, gdybyś z domu się wyniósł.

— Lubię, kiedy kto tak jasno i zrozumiale myśli swoje wynurza.

— Ależ, mój Ludwiniu, to jest życzenie tylko, a życzenie nie obraża nikogo, nawet najskromniejszej kobiety.

— Potargujmy się jednak, panie Romualdzie: pan sobie życzy zupełnie samotnym w mojej stancyi pozostać, a ja sobie życzę jego muzyki słuchać — więc ja też nie odejdę, aż posłucham.

— To słuchaj — rzekł Romuald i wydostawszy skrzypce, wsparł je na mojej głowie, a potem zaczął niemiłosiernie, jak przy nastrajaniu, brząkać...

Niewiele myśląc, zerwałem się z łóżka, płaszcz wziąłem na siebie i wybiegłem do sieni, a drzwi na klucz zamknąłem. Podedrzwiami takiego hałasu narobiłem, że Romuald sam się musiał o sumienniejszą dopraszać ugodę. Stanęło na tem, że mi przyrzekł swoją własną fantazyą, cały Karnawał wenecki i symfonią Beriota; ja mu przyrzekłem najpierw śniadanie, potem wyjście zupełne z domu, a nawet, jak się dopominał, z ulicy i cyrkułu.

Kiedyśmy już przy najlepszej zgodzie herbatę zapijali, z ogrodu przez roztwarte okna dał się słyszeć krzyk dziecka. Romuald szklankę postawił, spojrzał na mnie z oburzeniem, porwał za czapkę i zawołał:

— Cha! zdrajco podstępny! taką to mi ty spokojność za moję muzykę chcesz przedać? Bądź zdrów, niech ci sto bębnów... wyraźnie mówię: sto bębnów aż do dnia sądnego nad uszami wrzeszczy!

Uśmiechnąłem się, bo poznałem głos mego przyjaciela Karolka, który, pomimo oporu Małgosi i przed-

stawień swej siostry, koniecznie, o ile dosłyszeć mogłem, chciał iść na górę pana Ludwika zobaczyć.

— Nie lękaj się — rzekłem Romualdowi — znam to dziecko, wyborny chłopczyk, przyprowadzę go tu na chwilę, bo właśnie do mnie się napiera, sam zobaczysz jaki piękny i wesoły.

Romuald schwycił mię za rękę.

— Jeśli masz litość, nie sprowadzaj, bo ucieknę w góry, lasy, wąwozy. Ty chyba nie wiesz, jak ja dzieci nie cierpię!

— No, to mu przynajmniej z ganku co powiem— ale nim wstałem, Karolek już się uspokoił i słyszałem tylko, jak prosił siostry by mu za to, że taki grzeczny, pani Nany zaśpiewała piosneczkę. Przez chwilę wszystko umilkło, żaden głos nas nie dochodził, czy dlatego że śpiewać nie chciała, czy że przed śpiewem słowa i tony gromadziła w pamięci—ale nakoniec wzbiła się ku nam tęskna wiejska nuta:

„W niedzielę rano, w niedzielę rano
Wianeczki wiją.....

Romuald znowu szklankę postawił.

Śpiew Helusi, trochę drżący z razu, czyścial stopniowo, aż przelał się w dźwięk szklisty, jasny, niby skowronka pod niebem, niby aniołka w niebie... Lecz nie, skowronek tak się nie smuci, aniołek tak nie płacze, jak ona smuciła, jak ona płakała, coraz tkliwiej, coraz rzewniej, coraz śpiewniej przy każdej zwrotce piosenki, a gdy nuciła:

Będziesz ty moją, będziesz ty moją,
Będziesz dalibóg,
Ludzie mi cię rają, i rodzice dają
I sam z nieba Bóg.

Nie będę twoją, nie będę twoją,
Ani niczyją,
Tylko będę sobie, na zielonym grobie
Białą liliją.....

Gdy tak nuciła, mnie się zdawało, że to głos jakiegoś ducha niewidzialnego pieśnią i proroctwem nie z niej, lecz nad nią płynie—a ona tylko blada i martwa, jako we śnie moim, zapomnianym uśmiechem pociechy wita zwiastunnika.

Romuald wstał powoli, krok za krokiem, ostrożnie jak gdyby się lękał, by go poruszenie powietrza nie zdradziło, uchylił drzwi szklanych, stanął na ganku i wsparty o poręcz jego ze zmienioną twarzą, ze łzawemi oczyma, słuchał pilnie, słuchał długo, słuchał i wtedy jeszcze, gdy nawet śpiew Helusi w żałosnem skonał westchnieniu.

Stanąłem przy nim i wychyliłem się trochę.

Młoda dziewczyna siedziała na brzozowej pod akacyą ławeczce i bawiła się złotemi włosami utulonego dziecięcia.

— I cóż, Romualdzie? — szepnąłem wreszcie do niego.

Romuald nic nie odpowiedział, patrzył ciągle, a gdy Helusia do domu weszła, on także na swoje miejsce powrócił, duszkiem herbatę wypił, cygaro zapalił i mocno dymu w usta naciągnął.

— I cóż?—znowu mu rzekłem, sprzeciwiając się niby w odwet za przeszłe jego żarty.

— Pokochałem się w tej dziewczynie—odpowiedział mi jaknajpoważniej.

— Szkoda, że trochę zbyt prędko to mówisz, bo byłbym ci prawie uwierzył.

— Powiedz mi, Ludwiku, czyś ty słyszał kiedy legendę o Karolu Wielkim, że mu jakiś czarownik w miłość pierścionka serce zaczarował? Nosiła ten pierścionek żona jego, on kochał żonę szalenie, umarła z nim — on kochał trupa; trupowi inna odebrała kobieta, znów namiętnie kochał tę kobietę; zazdrosna przed zgonem w jezioro rzuciła klejnot, król jezioro pokochał i nie odstąpił go aż do śmierci. Dla mnie dźwięk tej piosenki jest talizmanem — śmiej się jak chcesz, ja ci prawdę powiedziałem: przez cały ten czas co ją śpiewała... Helusia, wszakże Helusia? przez cały ten

czas, mówię, w Helusi kochałem się jak .. jak dawniej raz tylko w życiu.

— Raz tylko w życiu, Romualdzie? Nie zgadłbym nigdy, że znasz podobne zwroty polskiej mowy.

— Może je znałem lepiej, niż ktokolwiek, bo miałem wtedy lat dwadzieścia, raj nadziei przed sobą, a najpiękniejszą z córek Ewy przy sobie.

— Czemuż się nie ożeniłeś?

— A to dziwne pytanie! Tak młodo żenić się mnie, artyście, i to jeszcze z osobą bez majątku, kiedy sam bogatym nie jestem?

— Och! mój drogi! jeśli cię tylko takie zatrzymały względy, nie bluźnij, nie mów że kochałeś kiedyś.

— Mylisz się, była chwila, w której chciałem wszystko pod nogi jej cisnąć — sztukę, sławę, przyszłość moję całą. W duszy Maryi-Reginy jedynie przeciw temu zawrotowi głowy potrzebnego zaczerpnąłem męztwa. Siostra nas oboje bardzo kochała, lecz jak dla mnie pragnęła świetnej kolei, a nawet źle się wyrażam: ona, religią wszelkiego piękna natchniona kapłanka, jak mnie, jak mego talentu dla sztuki pragnęła, tak lękała się szczęścia swojej Anny zdać w ręce młodego zapaleńca, który, nieraz w trudności powszedniego życia uwikłany, pożałowałby może pierwszych marzeń swoich.

— I czy myślisz, że się dobrze stało? — z lekkim przyciskiem spytałem. Romuald zastanowił się chwilkę.

— Myślę że jaknajlepiej; teraz szczególniej, kiedy echo tej piosenki już słabsze, sam widzę, że inaczej być nie mogło. Do mego szczęścia trzeba swobody, wolności, oklasków; ja muszę mieć pewność, że gdy mi się zechce, to jutro będę w drodze do Paryża, lub Wiednia, to pojutrze zobaczę Artôt, upiję się z Lisztem, zapłaczę przy Ole-Bullu... Cóż chcesz, by wtedy moja żona robiła?

— Masz słuszność, lepiej żeś się nie ożenił.

— W twoich wyrazach, Ludwiku, jest lekki podźwięk nagany... a ja zupełnie jeszcze do siebie nie przyszedłem, mnie wszystko łatwiej drażni.

— Cha! mój drogi, cóż ja winien temu, że sobie przyjemnostek twojego życia na szczęście, a wyrzeczenia się Anny na miłość sztuki przetłumaczyć nie umiem? Ze słów twoich własnych cię sądząc, widzę żeś ją porzucił nie dlatego, by sławnym mistrzem zostać, by wszystkie godziny do trudnej i poświęceń pełnej zaprządz pracy, ale dlatego jedynie, by częściej podróżować, by mieć swobodniejszą na świecie hulankę.

— Mylisz się, Ludwiku — a tak mówił smutnie, tak łagodnie, że aż mi go się żal zrobiło — mylisz bardzo. Jeżelim powiedział, że mi ten ruch życia do szczęścia potrzebny, to dla tego jedynie, bo moje szczęście w talencie moim, a mój talent w niem; zmianą, współzawodnictwem, uwielbieniem dla sławniejszych sam się kształcę i zagrzewam. Ale czy sądzisz, że ja także mojej cierniowej nie noszę korony?... O, wierz mi, są dla mnie chwile tak cierpkie, tak gorzkie, tak głuche, że gdyby nie Marya-Regina... nie miałbym cierpliwości na powrót weselszych czekać. Dzisiejszy ten śpiew na przykład zatruł mi duszę wspomnieniem. Ona śpiewała i, dziwna rzecz, z takąż właśnie wyrazów odmianą. Gminna piosnka nie idzie, jak ją z ust Helusi przed chwilą słyszałeś: „Nie będę ja twoją, ani niczyją.“ To Anna całą tę zwrotkę ułożyła. Biedna Anna! W ostatni razem spędzony wieczór słyszałem ją śpiewającą te słowa, a była bardzo blada, bardzo spokojna, tylko gdym ją przy rozstaniu wziął za rękę, prawie konwulsyjnie ją ścisnęła i rzekła z cicha: „Na zawsze!“

Od tej chwili pięć lat blizko upłynęło, przechodziłem różne koleje, różne szaleństwa, a ile razy pomyślałem o szczęściu i miłości, o pieszczocie kobiety, tyle razy te słowa jakby napisem grobowym odciskały się na sercu i w każdem jego uderzeniu czasem żalem, czasem szyderstwem, czasem rozpaczą słyszałem to jej ostatnie: „Na zawsze.“

— Biedny Romualdzie! Lecz teraz, kiedy już wykształciłeś się zupełnie, kiedy w tłumie już zrobiłeś

dość miejsca dla siebie, czy nie pomyślałeś, że możesz wrócić do twej Anny i przyjąć ją za uczestniczkę zrzeczywistnionych nadziei, choć ją towarzyszką pracy swojej mieć nie chciałeś?

— Od trzech lat Anna już poszła za mąż — i zaśmiał się krótkim, odciętym jak brzęk zerwanej struny, śmiechem.

— Kiedy poszła za mąż, to i ty pociesz się, Romualdzie: wszakże ci skrzypce zostały — a mówiąc to, podawałem mu je właśnie. Romuald odsunął je z gniewnem poruszeniem. Brwi jego czarne ściągnęły się boleśnie. Skóra policzków i usta drżały tem mimowolnem nerwowem drżeniem, które przy pierwszem niegdyś uważałem spotkaniu. Cisnął zgasłe cygaro i biorąc czapkę:

— Pociesz się — przedrzeźniał z takimże samym jak pierwej uśmiechem — pociesz, bo za mąż poszła. Prawda że to nie tragicznie, ale w tej komedyi, choć śmieszna może, dalibóg jednak nie wesoła dostała mi się rola. Daj mi pokój ze skrzypcami; za złoto Ameryki i oklaski całej Europy nie wziąłbym ich teraz do ręki. Mogą tu zostać nawet, przyślę po nie wieczorem — bądź zdrów, Ludwiku!

I oddalił się, wyciągniętej ku niemu nie ścisnąwszy dłoni.

VI.

— Cóż to pan bratu memu zrobiłeś? — w ustępie ogólniejszej rozmowy zapytała Marya-Regina, gdy ją dnia tego przyszedłem odwiedzić. — Miał zostać u pana do wieczora, a wrócił rozstrojony, jak skrzypce po koncercie.

— Czy on sam pani o niczem nie wspominał?

— Mówił o jakimś śpiewie...

— I o przeszłości zapewne?

— I o przeszłości trochę... ale powiedz mi pan, wszakże to Helusia śpiewała?

— Tak jest. pani, taż sama Helusia, którą zbyt długo pamięta.

— Doprawdy, chciałabym bardzo poznać tę dziewczynkę.

— Od córki ślusarza, do Maryi-Reginy tak daleko, tak daleko, jak od dzisiaj do... kiedyś.

— Nie zasłużyłam na to — odpowiedziała lekko zarumieniona i wstawszy ze swego miejsca, zbliżyła się do grona innych gości swoich; po chwili jednak, znowu stanęła przedemną, ale surowa, dumna, ze zmarszczonem czołem, z głosem niby powściągniętym, a rozkazującym.- Oto są— rzekła—dwa koncertowe bilety; niech jutro Helunia z matką lub ojcem swoim na poranku muzykalnym będzie—i gdy na nią patrzyłem, zdziwiony takim rozkazem — bo od Maryi-Reginy do córki ślusarza — przydała — jest nie dalej, wiedz pan o tem, jak od „tak chcę,“ do „tak jest.“

Przyznam się, że nie umiałem zdać sobie sprawy, dlaczego nawiasowo rzucona uwaga względem towarzyskiego jedynie położenia tych dwóch kobiet mogła tak bardzo Maryą-Reginę obrazić; nie pojmowałem także owej niecierpliwości, z jaką chciała Helusię zobaczyć, a szczególniej nie pojmowałem pół-gniewnego, pół-szyderczego spojrzenia, które jej wyrazom towarzyszyło, ale bo też kto pojmie taką jak Marya-Regina kobietę?

Cożkolwiekbądź, myśl przez nią narzucona zupełnie do mojej przystała myśli. Ze wszystkich pociech, ze wszystkich rozrywek, muzyka jedynie przyjętą od Helusi być mogła.

— Wszelkich dołożę starań, aby spełnieniem życzenia pani mimowolne moje zgładzić uchybienie — rzekłem, odbierając podane przez Maryą-Reginę bilety.

— Nie wątpię o tem — rzuciła niedbale z tak dziwnym uśmiechem, że mi zostało po nim wrażenie jakby niedoczytanego w zajmującym liście wyrazu.

Na ileż domysłów, na ileż wniosków tłumaczyłem sobie ten wyraz, wcześniej niż zwykle wracając do domu, a jak się czasem łajałem za zbytnią zarozumiałość!... a jaki czasem znowu nieszczęśliwy byłem... jaki śmieszny!...

Zaszedłem wprost do ogródka, bo wiedziałem, że o tej porze w nim się zwykle rodzina ślusarza zbierała. Helusię samę tylko zastałem, bo jej rodzice gdzieś w odwiedziny poszli.

— Jaka szkoda, że niema pani Agnieszki — rzekłem, siadając obok smutnej dziewczynki; — właśnie przychodzę tutaj z ułożonym zamiarem i z prośbą do pań obydwóch, ale tymczasem naradźmy się choć we dwoje, panno Heleno.

Helusia wzniosła na mnie długiem zadumaniem spuszczone wdół oczy i niespokojność jakaś przez jej ciemne rzęsy mignęła.

— Jutro—mówiłem dalej—ma być w pałacu Paca koncert przez najcelniejszych naszych lubowników muzyki wykonany; bądź na nim, panno Heleno!

Przez chwilę jakby zdziwiona patrzyła mi w oczy.

— Nie będę — rzekła nakoniec wolnym, ale stanowczym głosem.

— Porozumiejmy się lepiej... Ja, panno Heleno, ani bawić, ani rozrywać, ani nawet pocieszać cię nie chcę.

— Dobrze pan robisz, bo i ja nie chcę niczego — powtórzyła z nagłą gwałtownością i ucichła, gdyż w tej namiętnej, a dziwnej organizacyi, cichość była niejako ostatnim, nigdy przed ludźmi niedomówionym wyrazem.

— Źle mnie zrozumiałaś, panno Heleno — rzekłem jej na to; — gdybyś wiedziała, jak od pierwszej z twym ojcem rozmowy uczciłem, uszanowałem świętość twojego żalu, tobyś mię nigdy nie posądziła, że ci chcę dziecinnem bawidełkiem lub przymusowem zapomnieniem uwłaczać; ale są chwile, w których boleść upięknia się i wznosi, są wrażenia, które jej się należą koniecznie i do których ona tylko prawo i potrzebne wykształcenie dać może, dlatego też, panno Heleno, o muzyce ci wspomniałem.

— Nie gniewaj się pan na mnie — przemówiła już zupełnie łagodnym głosem; — kiedyś mi pan zaczął o zamiarach na dzień jutrzejszy wspominać, coś mię w sercu zabolało, bo widzisz, panie Ludwiku, ja miałam przeczucie, że jesteś tak dobrym jak...— i zatrzymała się — jak nim jesteś — skończyła po chwili— dlatego też twój postępek boleśnie mię zdziwił.

— A teraz, kiedyś mnie usprawiedliwiła, panno Heleno, to i wysłuchasz zapewne.

— Nie, panie Ludwiku, nie pójdę nigdzie, bo mi tak jest najlepiej.

— Mylisz się, panno Heleno, są chwile w których ci lepiej nierównie na przykład wczoraj, gdy rozmawiałaś z nami...

— Jakto? alboż się panu zdaje, że ja zapomniałam jej wtedy?

— Och! bynajmniej, wtedy ja wiem, że o niej właśnie pamiętałaś najbardziej, ale powiedz mi, panno Heleno, czemu się o więcej takich chwil nie postarać?

— Bo mnie się już o nic starać nie chce. Och! doprawdy, ja bardzo nieszczęśliwa.

Była to po długiem milczeniu pierwsza skarga Helusi; widać, że jej serce ufnością wezbrało nakoniec i musiała z siebie te gorzkie słowa wyrzucić. Ja w pierwszej chwili uczułem jakąś wdzięczność, jakąś chęć podziękowania za to braterskie zwierzenie, ale głos mówiącej przycichły, złamany prawie, tyle głębokiej boleści odbijał, że mię aż przeraziło jej odkrycie w takiem młodem sercu. Jakkolwiek od pierwszego dnia zaraz o ciągłym smutku Helusi uprzedzony byłem, nigdy jednak nie wyobrażałem sobie nawet, żeby już zniszczeniem i wyczerpnięciem ślady swoje znaczył. Zatrwożyłem się, jak lekarz, gdy na czerstwem ciele chorego, który mu się lekko tylko draśniętym wydawał, dostrzega plamki maleńkiej, gangreną lub zjadliwą obecnością trucizny grożącej. A przecież był to zwykły rzeczy porządek. Żywa bardzo wyobraźnia, żywszem jeszcze wsparta uczuciem, pierwszy raz w rozbudzeniu swojem padła na przedmiot, który ją tylko żałobą i cierpieniem podsycił, ku niemu więc, jak roślina ku słońcu, wyłamała wszystkie gałązki swoje, ku niemu schyliła się w pokorze wszystkiemi kwiatkami swojemi i więdła zwolna w cichości, bo słońce takie nie rozgrzewa, lecz pali, nie użyźnia, lecz zabija, jeśli cobądź w innym kierunku duszy nie pociągnie. Helusia innego kierunku w swojem życiu jednostajnem odebrać nie mogła; żadne zdarzenie, żaden obraz, żadna praca nawet nie zużyła nazewnątrz tych władz, które koniecznem oddziaływaniem na siebie złamać się wreszcie i zatruć musiały. Dobre natchnienie objawiło mi, że z pierwszą skargą głośniejszą nadeszła jakaś stanowcza chwila, w której albo się nałóg cierpienia głębiej w piersi zakorzeni i stosunki nasze

jako powiernictwo ciągłych trosk oznaczą, albo też pod silniejszem uderzeniem do nowej myśli wszystkie siły tej bogatej natury się wzniosą i spotkanie nasze będzie słabszemu wsparciem, mocniejszemu pracą nagrodzoną, dla obojga świętem przyjaźni uczuciem. Z najsumienniejszą więc stałością powstrzymałem pierwszego rozrzewnienia objaw i rzekłem spokojnie:

— Gdyby tak było, jak ci się zdaje że jest, panno Heleno, gdyby istotnie boleść twoja odjęła ci pragnienie chwil pełniejszych, piękniejszych, gdyby zobojętniła wszystkie wrażenia, które ci do serca wlewają więcej dobroci, więcej ukochania dla tego, co jest wzniosłe i szlachetne, gdybyś doprawdy bardzo nieszczęśliwą była — och! panno Heleno, ja sam najpierwszy radziłbym ci bawić się, rozrywać, zapominać coprędzej, bo to złem i grzechem „nieszczęście“— ale ty przecież nieszczęśliwą nie jesteś. W poczciwym domu kochających rodziców wzrastasz, serce twoje tak bogate miłością, że może aż uwielbić kochając, a twoja przeszłość cała z dobrych tylko złożona wspomnień. Pamiętasz niezawodnie, jak raz po razu dowiadywałaś się o czemś zajmującem, poznawałaś coś pięknego, brałaś w duszę swoję nowe pojęcia, lub wysnuwałaś z niej pomysł nowy — nakoniec spotkałaś wyższą ukształceniem kobietę, ta kobieta podzieliła się z tobą skarbami swojemi, wzajemną przyjaźnią objawiła ci szczęście wielkiego ukochania, oświeconym umysłem wsparła cię w rozwinięciu przyrodzonych zdolności, a nakoniec umarła i taką żywą pamięć zostawiła ci po sobie, że ją masz w każdej chwili twego życia przytomną i żebyś nigdy za nic w świecie rozstać się z nią nie chciała. Wyobraź-no sobie, panno Heleno, coby to było, gdybyś też od dzieciństwa wychowała się wśród swarów i brudu, gdybyś nigdy nie zaśpiewała z własnej myśli natchnionej piosnki, nigdy się nie ucieszyła słońcu lub trawce zielonej, nigdy nie zadumała nad tem, co jest tajemnicą w naturze, co wielkością Boga: gdyby śpiew twój był tylko odmiennym głosu gatunkiem, bezmyślnie po drugich powtarzanym, gdyby radość twoja była próżnością i tęsknotą za ładniejszą sukienką, lub

chusteczką jaskrawszą, gdyby wesołość twoja była tylko śmiechem hałaśliwym i pustym, cierpienie twoje gdyby tylko łzami się odznaczało za otrzymaną obelgę lub niedojedzony kawałek chleba, i gdyby zgon jedynie ukochanej przez ciebie istoty, prócz kilku łkań i krzyków, żadnego w życiu twojem nie zostawił śladu; gdybyś czuła, że zapominasz, i gdybyś kiedyś o tej, która ci nadewszystko drogą była, wiodła sobie obojętne rozmowy i sama się spostrzegła, że ci jej wspomnienie tak zupełnie z duszy uciekło, że ci się w żadnem zdarzeniu, w żadnem uczuciu serca nie odzywa.

— Och! prawda, że to byłoby okropnie! — przerwała mi Helusia, składając obie ręce jakby do modlitwy przeciw złego ducha widziadłom.

— Masz słuszność, panno Heleno, to byłoby okropnie, bo to właśnie byłoby nieszczęściem. Nieszczęścia zużywają siłę człowieka, od nieszczęść czoło ze wstydu się chyli, a usta szatańskim śmiechem wykrzywiają. Niech cię twój biały anioł wiecznie przed niemi w skrzydła pamiątek otuli, bo to są pleśni zatrute, co na błotach wschodzą, to są chorobliwe ziarna, które ze złego w złem i złem się plenią, a twój smutek, panno Heleno, to skarb twój i świętość twoja. Nieszczęścia w ziemi od złych ludzi idą. Smutek twój z nieba i od Boga. Tobie nawet nie za umarłą tak tęskno. Dla wybranych Pańskich, dla serc czystych i żywo czujących śmierć ukochanych jest chwilą boleści wielkiej, straszliwej, ale nie może być nigdy całego życia zmartwieniem. Czy wiesz, panno Heleno, że przez tę chwilę oni na dalsze trwanie swoje tu na ziemi wradzają się do naszej istoty? Gdyby umarły nie zostawił po sobie nikogo, coby uprzytomnił wspomnieniem, nikogo coby imię jego zmieszał z czynami swojemi, coby miał pamięć jego jako natchnienie, przyczynę, dopełnienie wszystkich zdarzeń późniejszych: toby taki umarły drugą śmiercią umarł wśród ludzi i zostałaby mu tylko wieczność nieokreślona, nieznana. Lecz on odżywa ciągiem miłości naszej, i on nie zginie, i nic nie zginie póki my żyjemy, bo póki żyje-

my, póty kochamy, a póki kochamy, póty wszystko ukochane trwa, prawdą i rzeczywistością jest. Umarli nasi trwają w nas; każde spełnione dobro, każde poczucie piękna, każda przez nas osiągnięta doskonałość ich doskonali, ich wznosi, ich wzbogaca, a ciąg żałoby naszej jest dalszym ciągiem zaczętej przez nich pracy, dalszym ciągiem ich cnót, ich myśli, ich duchowego życia. Ja takim stosunkiem, taką modlitwą nasz związek z umarłymi najlepiej pojmuję, a ja mam prawo mówić o tem, bo ja na dwóch już płakałem grobach, bo ja straciłem ojca i tak jak ty, panno Heleno, utraciłem młodego przyjaciela, z którym ze szkolnej ławki na świat patrząc nieznany, mówiliśmy sobie zawsze:— „Pójdziemy *tam*, zrobimy *to*, będziemy *takimi*.“

Helusia słuchała mię z natężeniem, z uwagą i nie przerwała chwilowego milczenia.

— Tobie smutno, panno Heleno, i zdaje ci się, że ciągle pierwszej straty swojej żałujesz, bo nie spostrzegłaś, że dawne to uczucie już się w inne rozwinęło uczucia. Dzisiaj smutek twój jest już tylko tęsknotą za tem wykształceniem, za tem życiem, które ci ukochana twoja objawiła; jest brakiem dalszego jej rozwinięcia, niepewnością, czy je w przyszłości otrzymasz, przejściem ducha twojego, póki tak nie zsilnieje, aby mógł i sobie wystarczyć i drugich wspierać bogactwy swojemi? Smutek twojemu podobny, to od Boga w człowieczeństwo nasze wstępuje — jest zdolnością, prawem, koniecznością natury naszej. Gdyby człowiekowi nie było danem smucić się, toby nie miał tylu łez do krwi swej wsączonych, ale on może, więc musi płakać, bo może, więc musi oddychać, bo może, więc musi widzieć, bo może, więc musi żyć, gdyż zawsze musi to, co może. Ale martwego cierpienia, płonnej boleści niema w prawie Bożem, tylko się czasem zdarza, w złości ludzkiej woli. Boleść święta, boleść z nieba idąca nie marnieje w czcze skargi, nie kamienieje w bezużyteczność, nie jest ani namiętnością, ani grzechem, ani złem żadnem; ona tylko między dobrem co minęło i między dobrem co ma przyjść kolebką dla du-

cha naszego zawisnęła. Z tej kolebki zawsze geniusz myśli lub anioł cnoty się wykołysze. Smutno było Mojżeszowi na puszczy, nim krzak cudu rozgorzał, smutno Chrystusowi w Ogrójcu, nim ludzkość męką swoją zbawił; smutno nam wszystkim wysokim i drobnym, póki mamy w przeczuciu jakieś myśli niewcielone, póki siły nieskierowane, póki nadzieje niespełnione, póki czyny zamiarem jeszcze drzemiące. Tobie, panno Heleno, dziecku jeszcze wiekiem i postacią, może na przygotowanie jedynie innych potężniejszych zdolności tak wielka zdolność cierpienia w samym wstępie do życia wydzieloną została. Powiedz, czy nigdy nie zadrżało ci serce objawem pięknej, wielkiej przyszłości?

— Teraz już nie, dawniej czasem — odrzekła po chwili zastanowienia, w której zapewne badać samę siebie musiała. — Dawniej, przyznam się panu, że mi czasem dziwne obrazki przed oczyma stawały; widziałam się w postaci wszystkich osób lub istot, które mnie kiedykolwiek w bajkach, powiastkach lub moich własnych wymysłach zajęły, a gdym z nią o tem mówiła, to ona mię nieraz w czoło pocałowała i nieraz z uśmiechem rzekła: — „Oj! kiedyś ludzie, którzy dziś nawet nie wiedzą czy żyjesz, zobaczą cię bardzo daleko przed sobą.“ Lecz od jej śmierci nic mi już takiego do głowy nie przyszło; nie mogłam ani razu z własnej myśli zaśpiewać, nie opowiedziałam sobie samej żadnej powieści, w którejby to, jak niegdyś, byłam albo królową, albo wróżką, albo ptaszkiem, albo kwiateczkiem, albo też taką jak ona piękną. Okropnie mi głucho i pusto. Przed chwilą, kiedy pana słuchałam, to mi było lżej na sercu; zdawało mi się, że żyję jak wtedy, ale teraz, ot teraz znów się boję, czy jak pan umilkniesz, ja ciągle będę wierzyła jego słowom — boję się czy ja to dobrze i zupełnie czuję, co pan o umarłych mówiłeś, och! bo prawda, panie Ludwiku, taki żal nie byłby nieszczęściem!

— I nie będzie, panno Heleno; przypomnijmy sobie zawsze, że ci, którycheśmy ukochali, naszą pamięcią i naszem życiem żyją. Wtedy nie skalamy serc

naszych bezcelowem rozkwileniem, nie zmarnujemy naszych myśli na ciągłe powtarzanie przeszłości, ale miłość, w której oni przez nas kochają, roztoczymy naokół po świecie i zbogacimy wszystkiem co piękne, dobre, szlachetne, ale myśl, w której oni przez nas pojmują, wypełnimy światłem, poznaniem, mądrością — i będziemy czem oni być chcieli, i w godne czyny przesnujemy dalszy wątek ich własnych wydarzeń.

— Ach! pan mi ją zupełnie przypomina! — zawołała Helusia drżącym od wzruszenia głosem. — Ona często podobnych słów używała nawet, ona mi coś podobnego mówiła, gdy mię chciała do swojej śmierci przygotować; ona mi tu się zdaje teraz tak blizką, tak obecną! Och! mój Boże, mój Boże... chciałabym podziękować jej — i wyciągnęła ręce i znów jak gdyby co pochwyciła w objęcia swoje, przycisnęła je mocno do piersi, a odetchnąwszy głęboko:

— Dotychczas nikt o niej mówić ze mną nie chciał — rzekła z użaleniem — zdawało im się, że prędzej zapomnę.

— Ja, panno Heleno, nie zbluźniłbym nigdy radą zapomnienia; zapomnienie jest najokropniejszą klątwą nicości. Bogdajby na wszelkie złe padło, ale nie na świętą przeszłość uczuć naszych, jednakże ludzie z najlepszemi chęciami pomylić się mogą.

— Och! ja wiem o tem; rodzice mnie bardzo kochają, nie chcieli żebym smutną była, ja także starałam się spokojną udawać i nigdy o niczem ani słówka nie wyrzekłam; a to mnie bardzo bolało, bardzo, gdyż dawniej ja się przed nikim z żadną myślą moją nie kryłam. Gdyby nie pan... kto wie, może to prawda, że serce z żalu pęka, ja często w niem taki ból czuję, jak gdyby mój smutek i wszystkie moje zmartwienia były wyraźnem jakiemś stworzeniem, któreby mi w sam środek piersi wpadło i rękami po wszystkich żyłach mię targało. Ja to na prawdę czuję, powiadam panu, ale teraz daleko mi lepiej — i znów odetchnęła pełnym swobody oddechem — teraz mogę, teraz będę o niej mówiła. Powiem panu wszystko — ale nie, nie

wszystko — i ona mi wszystkiego nie powiedziała, ja się tylko domyśliłam, bo ją tak kochałam, że mi się zdało, jakobym w sobie miała jej duszę.

— A jednak krótko byłyście z sobą.

— Prawda, krótko i zapewne dlatego Bóg pozwolił, że ją tem więcej ukochałam. Ale bo też trzeba ją było widzieć i mnie znać do gruntu serca. To dziwna rzecz, jak ja brzydka i nieukształcona czułam zawsze potrzebę tego, co pięknem było, jak ja się do pięknego garnęłam, jak ja piękne kochałam. W dzieciństwie na przykład, pamiętam, że ile razy przy matce „Zdrowaś Marya“ mówiłam, tyle razy odwracałam się od tego czarnego, nieładnego obrazka N. P. Częstochowskiej i zamykałam oczy, a kiedy mię matka pytała dlaczego; to jej odpowiadałam: że Pannę Maryą dopiero wtedy widzę, kiedy mam oczy zamknięte, i że ta Panna Marya nierównie piękniejsza, niż na malowanym obrazku, bo ma dyamentową koronę, srebrną suknię, a jest taka biała i taka jasna, że się aż wszystkie gwiazdy ze wstydu przed nią chowają. Otóż kiedy pierwszy raz moję zmarłą ujrzałam, zdawało mi się, że to owa w dzieciństwie widywana Matka Boska; prawda że nie miała korony i sukni srebrzystej, ale miała takie jasne włosy jak promienie, była taką białą jak światło dzienne. Siedziałam sobie właśnie na tej samej ławeczce, czas był bardzo pogodny, zaczęłam śpiewać coś, co mi na myśl przyszło. Wtem naprzeciwko drzwi gankowe się otworzyły i na ganku stanęła taka śliczna pani, że mi wpół słowa piosneczka się urwała.

— Czemu nie śpiewasz, maleńka? — rzekła do mnie tak dźwięcznie, jak gdyby sama najcudowniejszą piosnkę zanuciła.

— Nie śpiewam, bo patrzeć wolę—odpowiedziałam jej na to; lecz ona nie domyśliła się, dlaczego tak mówię, i znowu zapytała:

— A cóż to widzisz, moje dziecię?

— Widzę anioła — odpowiedziałam i wyciągnęłam ku niej obie ręce.

Rozśmiała się i rzekła:

— Och! toć zapewne żaden anioł nawet we śnie ci się nie pokazał, kiedyś tak bardzo teraz się omyliła.

— Przepraszam panią — z żywością odparłam — śniły mi się anioły bardzo często, ale jeszcze nie takie piękne.

— Jeśli ci się śniły, to bezwątpienia słyszałaś ich głos tylko, lecz nie widziałaś postaci, i dlatego śpiewasz sama jak aniołek, lecz go rozeznać nie umiesz.

— Czy doprawdy? — z radością i zadziwieniem spytałam — czy doprawdy mój śpiew tak się pani spodobał, jak pani mnie spodobała?

— Doprawdy — odpowiedziała mi i uśmiechnęła się znowu.

— Ach! kiedy tak — zawołałam — to ja będę choćby do wieczora wszystkie moje śpiewała piosenki, a tylko pani na tym ganku zostań.

— Co za dziwne dziecko! — niby sama do siebie cichszym wymówiła głosem, ale ja dosłyszałam, bom patrzyła na jej usta.— No, wiesz co — rzekła potem głośniej — na ganku stać nie będę, ale zejdę do ciebie, albo też ty poproś swej mamy, żeby ci do mnie przyjść pozwoliła. — Bo to widzi pan, ona mię wzięła za bardzo małe dziecko.

— Blizko dwa lata temu, toć to panna Helena już dorosłą była osobą — z mimowolnym uśmiechem rzekłem.

— Dorosłą osobą nie, ale też i dzieckiem takiem dzieckiem jak Karolek, jak na przykład inne, które widuję dzieci, to siebie samej nigdy nie pamiętam. Zawsze robiłam co chciałam, a rodzice nigdy mi nie zganili tego, co robiłam, i gdyby mnie dzisiaj rozweselić co mogło, to mi się zdaje, żebym sobie innych jak wtedy nie wymyślała zabawek, a rok temu, i dwa lata temu i najdawniej, o ile przypominam sobie, zawsze tak było. Więc też rozśmiałam się tylko, że mnie nieznajoma pani o pozwolenie do mamy odsyła, i co-

prędzej, nie czekając by sama do mnie zeszła, pobiegłam do niej na górę.

Zblizka i w jej własnym pokoiku, który sobie tak ślicznie kwiatami i meblami ustroiła, jeszcze mi się prawie cudniejszą wydała. Chciałam ją w rękę pocałować, ale ona mi ją śpiesznie usunęła i niby trochę zakłopotana ukłoniła mi się tylko.

— Czy pani się gniewa na mnie?—spytałam nieśmiało.

— A to też dziwna rzecz, że mnie witają temi samemi słowami, które ja powiedzieć chciałam, bo patrząc z okna, wzięłam panienkę za małe dziewięcioletnie dziecko i tak jak z dzieckiem rozmawiałam, a teraz...

— Och! teraz, jeśli się pani nie gniewa na mnie, to niech mi da swoję rękę do pocałowania.

Ona ręki nie dała, lecz mnie uścisnęła tak szczerze, tak serdecznie jak siostra, a ja nieraz już wtedy do starszej siostry tęskniłam. Spytała się o moje imię, o mój wiek, i znowu się zadziwiła, gdym jej powiedziała że mam lat trzynaście, bo jej się zdawało potem, że przynajmniej ze siedmnaście mieć muszę. Od tego pierwszego spotkania już się najlepsza zaczęła znajomość. I tej kobiecie wszystko winnam!...

I łzy się do oczu Helusi rzuciły, lecz tylko na jej długich rzęsach zawisły, a po twarzy nie spłynęły wcale.

— Jaki pan dobry— rzekła — pan mi płakać nie przeszkadza.

Mnie samemu zapłakać się chciało, bo gdym patrzył na nią, w tej chwili przyszła mi na myśl moja mała siostrzyczka, którą przed kilkunastu laty tak szkliącą od łez na ręku często nosiłem, a która później umarła, i wyobraziłem sobie, że to siostrzyczka druga do ukochania na ziemię zesłana i ukochałem święcie, bratersko jak siostrę.

— Żeby pan wiedział — mówiła mi znowu Helusia — jak ja się z nią uczyłam, jak czytywałam, jak ona mi tłumaczyła wszystko, och! gdzieżtam, w żadnej

książce nie napisano nigdy tylu pięknych rzeczy, ile mi ona ich powiedziała — dlatego też przy niej to ja daleko tepszą byłam. Wiedziałam że jest chorą, mówiła mi nieraz o śmierci swojej, a mnie się zdawało, że ja taką mężną jestem, że choć się z nią rozłączę nawet, to odwagi nie stracę i będę ciągle postępowała według jej nauk, kształciła się według jej pamięci. A jednak ledwo mi jej zabrakło, już sobie rady dać nie mogłam; tak okropnie cierpiałam, że mi się wszystko w głowie pomieszało: nie wiedziałam dlaczego to umierają ci co są kochani, dlaczego człowiek, choć złego nie popełnił, tak wielkie przechodzi nieszczęścia? — Ona mi to kiedyś tłumaczyła, ale ja sobie przypomnieć nie mogłam. Och! dziękuję, dziękuję panu — pan mi wiele przypomniałeś. Prawda, ja wiem, że nieszczęście jest grzechem ludzi i od ludzi nas spotyka, a Bóg dał zdolność cierpienia na to jedynie, żeby się ku doskonalszemu szczęściu kształcić, i cierpienie też wszelkie od Boga pochodzi; śmierć ukochanych jest cierpieniem, ale dlatego, by oni w nas potem żyli Wszakże tak jest, panie Ludwiku? ja dobrze zrozumiałam.

Na odpowiedź uścisnąłem jej tylko rękę.

— Och! jakżebym ja chciała teraz być coraz lepszą, coraz mędrszą, stawać się ciągle *nią!*

Biedna dziewczynka wzięła moje wyrażenie w jego dosłownem znaczeniu i uwierzyła w cudowne drugiej duszy we własną pierś wcielenie.

Nie miałem odwagi filozoficznemi rozprawami przekonywać się o mylności tego sądu, lub tłumaczyć jej abstrakcyjnie, jakie to na drodze rozumowej znaczenie mieć może; taki mistycyzm prawdziwego uczucia czyż nie do jednychże miał doprowadzić celów?

— No, jakże, panno Heleno, a czy lubisz muzykę? — spytałem jej na końcu.

Zamyśliła się trochę.

— Ja sama nie wiem — odrzekła z niepewnością — prócz organów w kościele prawie nie słyszałam innej. Ona podobno bardzo pięknie grała i często mówiła nawet, że to będzie kiedyś jedyny sposób jej

utrzymania, ale nie miała fortepianu i widzi pan, muzyka przywodzi mi zawsze na myśl jej nieszczęście — a głos Helusi nad tym ostatnim wyrazem zatrzymał się trochę — nieszczęście, które z jej serca nie wyszło, ale które na jej serce źli ludzie rzucili.

— Więc miej, panno Heleno, żal do złych ludzi, nie do muzyki, bo muzyka...

— Och! pan mi o niej więcej powiedzieć możesz, jak ona powiedziała. Ja wiem, że drzewa grają, wody grają, gwiazdy grają i że świat cały jest pieśnią. Czasem, kiedy w ogródku bardzo jest cicho, to słucham z natężeniem i zdaje mi się nieraz, że coś słyszę, a potem mnie samej chce się śpiewać... lecz to dawniej tak bywało.

— Dlaczegóżbyś, panno Heleno, jutro nie miała się przekonać, jak też to inni podsłuchali tej pieśni, która się tobie tylko w największej cichości ogródka odzywa?

— Małgosiu! Małgosiu! — dał się w tej chwili słyszeć głos pana ślusarza.

Córka wyszła na przyjęcie rodziców.

— Jutro — rzekła im — będzie śliczna w pałacu Paca muzyka, pan Ludwik bilety nam przyniósł, a ja pójdę z mamą. Pójdę — powtórzyła raz jeszcze — widząc radosne obojga zadziwienie.

Ojciec i matka uściskali ją serdecznie, nacieszyć się, nadziękować nie mogli mnie i jej, mnie za bilety, jej za ten przystęp chwilowej pociechy.

Szczęśliwy, kto pod dachem poczciwych zamieszka!

VII.

Przed pałac Paca zajeżdżały karety po karetach, kocze po koczach, sala wypełniała się, jak koszyk, kwiatami kapeluszy, kwiatami ładnych twarzyczek. Na wzniesieniu stał fortepian i pulpity orkiestry, przed wzniesieniem kręciły się modne fraki, po wszystkich rzędach gwarzyło francuskie szczebiotanie, a ja tymczasem na dalsze, lecz do słuchania może najlepsze miejsca prowadziłem panią Agnieszkę i Helusię. Pierwsza z nich w tej ciżbie z niespokojnością dokoła patrzyła, widać było na niej pewne przelęknienie, jak gdyby się ludzi bała. Czyż dlatego, że złych tak wielu?... Już to nieraz uważałem, iż przed tłumem drży tyle najniewinniejszych nawet najsprawiedliwszych istot. Helusia jednak nie drżała; ona, jak pomiędzy trawkami swego ogródka, pomiędzy tymi ludźmi szła spokojnie, obojętnie, w swojej białej żaknotowej sukience, w swojej czarnej jedwabnej pelerynce, w swoim kapelusiku słomianym z czarno pąsowemi wstążkami; ani zatroszczyła się nawet, ani spostrzegła, że tam na wszystkie strony świeciły bogate aż do pozazdroszczenia szaty, dumne aż do pożałowania twarze.

Gdym nareszcie już matkę i córkę wygodnie umieścił, rozstałem się z niemi i poszedłem przed siedzącą w pierwszych rzędach Maryą-Reginą się skłonić.

— Czy jest tutaj?—zapytała mnie na powitanie.

— Jest z matką — odpowiedziałem — a pani słusznie poznać ją pragniesz, bo nigdy może wznioślejszem uczuciem, większemi umysłu zdolnościami nikt na zwrócenie jej uwagi nie zasłużył.

— A wszystko to w ustroniu rozwinięte, jako kwiatek obcem ziarnem z stron obcych przywiany! Wszak prawda, panie Ludwiku?

— Jako kwiatek, ale nie obcy i nie z obcych stron, bo to jest rodzime naszej ziemi, naszego powietrza i naszej myśli dziecię.

— Gdzież jej mam szukać ku wspólnemu uwielbieniu?

— Tam, przy drugiem oknie na lewo.

— Ta mała, śniada...— I końce jej ust lekko zadrżały jak do śmiechu. A mnie śmiech zabolał, bo mi się zdało, że ona piękna, świetna, ukochana, z mojej biednej siostrzyczki Helusi tak się śmieje.

Wtem orkiestra zagrała uwerturę „Normy;“ nie mogłem się przecisnąć i nie widziałem, jakie zrobiła na Helusi wrażenie, lecz gdym po skończeniu przyszedł, zastałem trzymającą w ręku zdjęty kapelusz, a na jej twarz, bladą zwykle, wystąpiły nie dwa rumieńce, lecz dwie plamy czerwone, nizko jak gdyby spadającemi po bokach plecionkami odciśnięte.

— I cóż? panno Heleno?—rzekłem.—Czy się godzisz z muzyką?

— Trudno mi jeszcze, bardzo trudno zrozumieć — odpowiedziała.

I wistocie znać było po niej jakieś zmęczenie Zamilkłem, żeby tych pierwszych wrażeń w słowa nie rozdrabniać, żeby tej myśli, co chciała muzykę zrozumieć, od jej wielkiej i ciężkiej pracy nie odrywać. Już potem przez cały czas śpiewu kilku naszych znakomitych lubowniczek i grania na fortepianie biegłych prawdziwie artystów nie odzywałem się wcale do Helusi, patrzyłem tylko na nią i podziwiałem w mieniących się, a jednak nieruchomych rysach tę walkę niby w marmur zaklętego ducha-orła, ducha-płomienia. Błękitne żyły wydatniej skrzyżowały się na jej otwar-

tem czole. Pierś wznosiła się jakby utrudnionym oddechem. Oczy tak pozłociały promieniami otaczającego źrenicę koła, że niby gwiazd, niby topazów świeciły blaskiem. I gdyby nie te oczy, gdyby nie to łono wzruszeniem bijące, gdyby nie ów trud myśli, wysileniem na czole skreślony, możnaby ją wziąć było za najobojętniejszą, najnieuważniejszą ze wszystkich słuchaczy. Nawet w przestankach żadnem spostrzeżeniem nie podzieliła się ni z matką, ni ze mną, żadnej oznaki upodobania lub nagany nie dała.

Przy końcu samym Romuald wystąpił... Większej prawie połowie zebranej publiczności znanem było jego imię. Sala runęła oklaskami wbrew przyjętemu w podobnych zdarzeniach zwyczajowi. Dziwna rzecz! — to pochlebne przyjęcie swojego talentu on jednak nie talentowi był winien. Wszakże pierwszy raz przed sądem Warszawy stawał, nie promował się, nie rozgłaszał zręcznie podrobioną opinią, cóż mu tak mogło odrazu współczucie zjednać? Bo że miał to współczucie, wątpić nie mogłem; w danych oklaskach wybiła jakaś szczerość, jakaś prawda niepojmującego się, nierozważnego popędu. Modne fraki przyjacielsko mu rękawami skinęły, jakby na złożenie dowodu bliższej znajomości. Areopag współzawodników rozstąpił się z uszanowaniem, a kilka pięknych kobiet powstało z miejsc swoich. Ja myślę, iż ten cały świat wdzięczny mu był za to, że on, choć wyższy, raczył jednak do wszystkich jego małostek się schylić, że choć silniejszy, zesłabiał, choć lepszy, przed złem nie stronił; ja myślę, że mu dziękowano za gładko lśniące, aż po ramiona spadające włosy, za niedbale na fortepian rzucone rękawiczki, za kamizelkę w najnowszym i w najlepszym guście, za wytworność żadnem świecidełkiem nierażącego ubioru, za ukłon jego poważny, choć głęboki, za twarz, za oczy... a najmniej za nadzieję pożądanej muzyki.

Romuald jednak na ten grom rąk bijących poczuł się niby młody sokół w powietrzu, żywioł swoim: drgnęły mu wszystkie nerwy, lica zbladły, nozdrza

rozdęły, rzucił smyczkiem po strunach jak na wiwat — jak na odpowiedź... i wtedy straciłem z oczu Helusię. Lecz to pierwsze samorodne natchnienie Romualda chwilę tylko trwało. Sztuka zwyciężyła mistrzostwo. Pod przeciągnięciem dłoni łamały mu się niepodobne do złamania dla innych trudności. Bawił się flażoletami, na najwyższe tony przeciągał zdziwienie nasze, a gdy słuchaczom goniącym za nim w tym biegu jego szalonym sił i tchu już brakło, on ich nagle przerzucał w jakieś szklisto-płynące fugi, albo zakołysał im duszę w bogatych arpedżiach. Po kilka razy przerywało mu niecierpliwe uwielbienie publiczności. Po kilka razy Romuald odklasnął na nie swego smyczka rzutem, a gdy w wirowej tonice ostatniego pasażu nuta ostatnia brzmiąca odcięła się i zamilkła — myślałem że mury pękną, tak głośno wybuchnął zapał powszechny między tymi nawet, co z prawideł wychowania uczą się nie mieć zapału. Wśród moich wrażeń osobistych zdaje mi się, że podziwienie najsilniejszem było, a silniejszą jeszcze radość z tak pomyślnego wystąpienia Romualda, z tak wielkiej bezwątpienia jego siostry radości. Chętnie byłbym chociaż jej ręki dotknięciem chwilę obecną chciał uświęcić, ale niepodobna mi było pani Agnieszki wśród tłoczących się ku wyjściu samej z Helusią zostawić. Wziąłem każdą z nich pod rękę i krok za krokiem postępowaliśmy zwolna. We drzwiach aż krzyknąłem z przestrachu, bo Helusia blada, bezsilna zawisnęła na mojem ramieniu, i gdybym jej nie był mocno do siebie przycisnął, byłaby mi w tym ścisku na ziemię upadła.

— O mój Boże! wychodźmy prędko, prędko! — wołała biedna ślusarzowa.

— To nic, mamo, to przejdzie — mówiła słabym głosem dziewczynka — mnie tylko odetchnąć trudno i ciemno w oczach się zrobiło.

Gwałtem prawie przedarłem się przez zbity tłum wychodzących i stanęliśmy na świeższem powietrzu w cieniu kolumn pod sienią. Upał był nieznośny. He-

lusi zrobiło się trochę lepiej, ale jeszcze tak się czuła osłabioną i drżącą, że w żaden sposób nie mogła wracać piechotą do domu.

Idącego śpiesznie po dorożkę zatrzymał mnie głos Maryi-Reginy, która właśnie w licznem gronie schlebiających znajomych na swój powóz czekała.

— Dlaczegóż to nas pan Ludwik tak prędko omija, bez dobrego słowa na dobrą chwilę życia naszego? — rzekła.

— Bo ja na każdą chwilę mam dla pani i myśl dobrą i słowo dobre, lecz teraz—odpowiedziałem — cudzem nieszczęściem pomieszała się radość moja. Helusia nam zasłabła, muszę po dorożkę dla niej biegnąć.

— Ależ gdzietam i kiedy pan dorożkę znajdziesz; niech lepiej te panie zechcą w mój pojazd się zabrać, to je z największą przyjemnością do ich domu odwiozę.

I niezwłocznie z paniami, które jej towarzyszyły, swoje rozłączenie ułożywszy, dobra, jak ona być umiała, dobra z wdziękiem i godnością, do pani Agnieszki prędko wraz ze mną wróciła.

— Niech mi — rzekła — wspólna znajomość pana Ludwika za upoważnienie do oddania małej przysługi wystarczy; słyszałam od niego, że córka pani zasłabła, dla mnie prędzej pewnie zajadą, niżby dorożkę sprowadzić można. Chciej pani wsiąść tym razem, po drodze przed jej mieszkaniem się zatrzymamy.

— Ale kiedy bo nie po drodze — odpowiedziała ślusarzowa—na Walicowie, bardzo daleko...

— Tem lepiej że daleko, będziemy dłużej z sobą — przerwała jej Marya-Regina.— Niechaj pan Ludwik tylko jak może zajechanie pojazdu przyśpieszy, bo wistocie panna Helena okropnie blada, musi być bardzo cierpiąca.

— Dziękuję pani — odrzekła, lekko głowę skłaniając—coraz mi lepiej, tylko jeszcze tu boli—i przycisnęła rękę do piersi.

Wkrótce powóz zajechał. Wsiedliśmy do niego wszyscy czworo: matka z Helusią w głębi, ja obok Maryi-Reginy naprzedzie. Zwolna chorobliwa bladość dziewczynki zaczęła ustępować miejsca zwyczajnej, przejrzystej, choć śniadej cerze jej twarzy. Wzrok na Maryą-Reginę ciągle zwrócony rozbłysnął wyrazem jakiegoś podziwu i zachwycenia. Ale zresztą choć zdrowsza i orzeźwiona, przez całą drogę słowa nie wyrzekła. Marya-Regina zaś nie patrzyła na Helusię, jak Helusia na nią, takiem szczerem, długiem spojrzeniem, a jednak widziałem, że z wprawą, której obcowanie świata użycza, nie traciła z baczności żadnego jej poruszenia. Zapewne musiało artystyczne usposobienie Maryi-Reginy korzystnie za Helusią przemówić, bo odprowadziwszy nas do domu, na pierwszą nieśmiałą pani jego prośbę, chętnie wysiadła i dla orzeźwienia szklankę limoniady przyjęła.

— Mnie się zdaje, panno Heleno, że muzyka więcej ci zaszkodziła, niż gorąco nawet—rzekła do przyjmującej ją wdzięcznie i gościnnie dziewczynki.

— Być może—odpowiedziała zagadniona;— kiedy jej słuchałam, to mnie wyraźnie mózg pod czaszką bolał. Na pierwszy raz zbyt wiele tego było.

— Czyż przynajmniej do ostatniego ustępu sił i uwagi wystarczyło? Bo to był ustęp właśnie najważniejszy dla mnie.

— A dla mnie najwięcej męczący, gdyż pani zapewne o tej grze na skrzypcach wspomina, a ta gra i uwagę i siły wyczerpnęła ze mnie.

Marya-Regina uśmiechnęła się.

— Oddałabym wiele innych przyjemnych wrażeń — rzekła — gdyby mi tylko danem było wiedzieć, jak wtedy to młode serce chwila po chwili uderzało i czuło.

Prędkim, niby oderwanym zwrotem oka, spojrzała na mówiącą Helusia.

— Nie jest to próżna ciekawość — odgadująca zapytanie tego spojrzenia dalej znów Marya-Regina mówiła; — trzeba raczej usprawiedliwić zaniepokojoną siostry miłość własną.

— A więc to był brat pani? — i na znak przyświadczający — wczasie jego gry — odrzekła — ja nic nie czułam, ja tylko widziałam wszystko.

Na twarz Maryi-Reginy wybił ten sam wyraz, z jakim w sali koncertowej mówiła do mnie o Helusi: „Ta mała, śniada.“ Podobnymże zupełnie, wstrzymanym, prawie przygryzionym uśmiechem poruszyły się jej wargi.

— Czy i to widziałaś—odezwała się wpół wesoło, wpół złośliwie—czy i to widziałaś, moja dobra panno Heleno, żeśmy bardzo z bratem podobni do siebie?

Córka ślusarza w przelocie pochwyciła utajone tych słów znaczenie, bo odśmiechnęła się równie dziwnym, niewyraźnym uśmiechem, a jednak:

— Jeśli tak jest — z udaną rzekła niedomyślnością—to pani brat bardzo piękny, piękny jak jego muzyka, lecz ja na ten raz grę tylko, nie grającego, widziałam.

— Więc można widzieć czasem tony i dźwięki? — zagadnęła Marya-Regina. — Co do mnie, sądziłam, że są tylko dwa ustępy w muzyce: harmonia, którą się słyszy, i pieśń, którą się czuje.

— Zapewne pani lepiej odemnie zna się na tem — z prostotą odpowiedziała Helusia — dzisiaj pierwszy raz tyle prawdziwej, wydoskonalonej, świetnej muzyki usłyszeć mi się zdarzyło. Jeszcze nie mogę sama w sobie odebranych wrażeń pojąć i określić. Jeszcze ich nazwać nie umiem, lecz wiem, że kiedy grał pani brat, to mi na myśl nie przyszedł nikt z ukochanych moich, nie zbudziły się żadne wspomnienia i nadzieja żadna. Ani rodziców, ani Karolka, ani jej, ani kraju imienia w sercu nie poczułam, tylko mi było, jak gdyby słońce wszystkiemi promieniami ze wszystkich

okien i ze wszystkich ścian strzeliło razem, jak gdybym patrzyła na jakieś pola dyamentowemi kłosami zasiane i do taktu falujące w połyski ćmiących, migotających, rubinowych, szmaragdowych, ognistych iskierek. Czasem znowu to mi kryształowa rzeka w uroczystym cieniu starych borów płynęła, czasem księżyc srebrny, na bardzo czystem, bardzo szafirowem niebie się przesunął. Przy końcu wyobraziłam sobie, że rój motyli z drobnemi ludzkiemi twarzami, z rozpryśniętą na skrzydełkach tęczą szaleje po powietrzu, wabi się, kręci... aż zniknął... I dlatego — dodała z lekkim przyciskiem — dlatego-to mówiłam pani, że nie czułam, lecz widziałem muzykę jej brata.

Marya-Regina wstała, w milczeniu poszła do Helusi i prędkim mocnym uściskiem wstrząsnęła jej rękę.

— Wszak prawda? — odezwałem się wtedy, zatwierdzenia wszystkiego, com z nią mówił o tej dziewczynie, czekając.

Nie odpowiedziała nic wcale, owinąwszy się tylko w swoję białą, lekką, przejrzystą, na białej, także lekkiej, przejrzystej sukni zarzutkę, z pożegnaniem do pani Agnieszki się odwróciła, a gdy jej raz jeszcze za odwiezienie dziękowano:

— Przekonam się o tej wdzięczności — rzekła — jeśli nasze dzisiejsze spotkanie będzie tylko początkiem bliższej znajomości.

I oddaliła się dość śpiesznie, w zawieszeniu zostawując moje powtórzone raz jeszcze:

— Wszak prawda?

Nad wieczorem dość liczne grono gości u Maryi-Reginy zastałem; Romualda jeszcze nie było, tak mu się długo po obiedzie jakieś wydawane śniadanie przeciągnęło. Pan prezes gniewał się na niego, bo mu widać z kalendarza i z żółci gniewać się wypadło, a Marya-Regina sama, czy odbiciem tego gniewu ochmurzona, czy upałem dnia trochę znękana, niewiele się przykładała do ogólnej rozmowy, którą jednak wszy-

scy dobrzy i dobrani między sobą znajomi swobodnie prowadzili. Kiedy herbatę roznoszono, wrócił nakoniec Romuald, wesoły jak lekka pianka szampańskiego nektaru, świetny jak jego tryumf ranniejszy. Prędko go siostra na przeprosiny do ojca posłała, a on jeszcze prędzej z przeprosin powrócił. Każdy mu jakieś słowo pochlebne złożył, każdy choćby dla wypowiedzenia swego sądu o muzyce jego muzykę w ten, lub ów sposób chwalił. A tymczasem, gdy się krzyżowały zdania i wykrzykniki, Marya-Regina w milczeniu, niby tajemniczo, niby złośliwie uśmiechała się tylko.

— Dość, dość tego — zawołał Romuald, twarz sobie nasuniętemi okrywając włosami — przecież państwo widzą, jak ja się wstydzę i jak Marya-Regina z was się śmieje.

— Niezupełnie z tych państwa się śmieję — odezwała się nareszcie; — mnie przyszło na myśl jedynie, że chociaż my tu wszyscy mamy się za niepospolitych znawców, chociaż powiedzieliśmy o sztuce i o Romualdzie wiele prześlicznych rzeczy, najsprawiedliwsze jednak zdanie wyrzekła dziś rano dziewczynka czternasto czy piętnasto-letnia, która pierwszy raz w życiu swojem muzyki słuchała.

— Najpierw jaka dziewczynka, potem jakie zdanie? — spytał Romuald.

— Najpierw zdanie — odparła siostra; — zdanie było, że twoja muzyka nie czuje się, lecz widzi.

— Jakto widzi?

— Och! prześlicznie widzi—i Marya Regina powtórzyła wszystko, co od córki ślusarza słyszała.

Różni różnie to przyjęli. Pan August znalazł bardzo trafnem, dowcipna pani Leontyna wyśmiała, a pan Seweryn powiedział, że gdyby przed nim równie piękna, jak Romuald pięknym jest chłopcem, dziewczyna zagrała, to może i onby lepiej widział, niż słyszał jej muzykę.

— A ja powiadam — ostatecznie zawyrokowała Marya-Regina — że to jest sąd bardzo sprawiedliwy. Istotnie, Romualdzie, ty zanadto obrazujesz grę twoję — to rzeźba, to malarstwo, to zręczność, ale nie pieśń..

— Słuchaj, Maryo-Regino, jak będziesz lepiej wtajemniczona w sztukę dawania koncertów, to się przekonasz, że ludzie za nadzwyczajność i zręczność, a nie za pieśń płacą.

— Więc ty grasz dla płacących tylko? — spytałem trochę zdziwiony.

— Na koncercie jest to po całej Europie przyjętym zwyczajem, że dla takich grywa się zwykle. Bogactwo sztuki, to nie czczy i bezczelny sposób mówienia.

— Nie wierzcie mu państwo — zaprzeczyła siostra; — Romuald jest taki dowcipny, że go bawi czasem, gdy na wielką niedorzeczność zdobyć się może.

— Ależ, Maryo-Regino — z niecierpliwością jej przerwał — powiedziałaś mi już dwie gorzkie prawdy na ustrzeżenie mię od zbytniej zarozumiałości, to dosyć; teraz powiedz imię tej, co ma talent słuchania oczami.

— To jest ta sama—rzekłem pocichu do niego— co ma talent śpiewania twojem wspomnieniem.

Ugryzł się w wargę i lekko wąsika przymuskał.

— Cha! panna Helusia? Nie wiedziałem, że do jej elegicznych zdolności tak trudno nuty dobrać.

Mnie dziwno było, że Romuald mógł się zdaniem Helusi obrazić i tak żywo wziąć je do serca.

W kilka dni później radziłem pani Agnieszce, by wraz z córką swoją poszła Maryą-Reginę odwiedzić, tem bardziej, że ta ostatnia codziennie mi się o ich zdrowie dopytywała.

— Już od onegdaj przemyśliwamy nad tem —rzekła za matkę Helusia—ale pan wiesz, jak to nam trudno z ludźmi się zapoznawać.

— Kiedy bo w tym razie --odparłem —to się ludzie z paniami zapoznali.

— Prawda—odezwała się pani ślusarzowa;—nawet wyrazić nie umiałam tej panience, jak wdzięczną za jej dobroć byłam, lecz trudno zmienić naturę — ja zawsze nie śmiem i zawsze niezręczną jestem. Teraz na przykład możnaby zapomnieniu tak długie moje niezgłoszenie się do niej przypisać...

— Ktoby też zgadł, panie Ludwiku — rzekła z lekkim uśmiechem Helusia—widząc dziś mamę taką nieśmiałą, taką w rozmysłach przed jedną godziuką odwiedzin, ktoby zgadł, mówię, że w najpierwszem mojem wspomnieniu widzę ją na tle przerażającego obrazu, zamieszaną w wielkie i krwawe zdarzenia, a niezmiennie jako w tej chwili cichą, łagodną, spokojną... Pamiętam— najstarszego wuja śmiertelnie rannego do domu przynieśli...

I opowiedziała mi prostą w szczegółach, lecz okropną i serce rozdzierającą powieść. Żona ślusarza, równie jak wiele innych dobrze znanych mi kobiet, miała bezświadomą w duszy swej odwagę. Niebezpieczeństwo zdaleka ją trwożyło, lecz wśród niego zachowywała całą przytomność umysłu, całą oględność na ukochanych swoich, całą tkliwość natury i czynność charakteru. Pójść między umierających. bratu lub mężowi staranne zanieść opatrzenie, samej z dzieckiem pozostać. bez skarg, bez szemrania, z modlitwą na ustach jedynie, gdy ziemia drży pod stopami, a nad głową łuna pała; głęboką ranę z krwi obmyć. szarpią obwiązać tak, żeby nawet ręce nie zadrżały; przy łożu zarazą tkniętych długie siadywać godziny — żonie ślusarza to wszystko nie zdawało się jeszcze dowodem prawdziwego męztwa, a że na każdy krzyk dziecka krzyknęła, a że przed każdą nowo poznaną osobą zarumieniła się i sfrasowała, więc była pewną, że nikt od niej lękliwszym być nie może. Jednak jej brakowało tylko odwagi muskułów — miała najpiękniejszą, najświętszą odwagę, bo odwagę kobiecą, odwagę serca i poświęcenia...

Dodałem jej na ten raz śmiałości, mówiąc szczerym głosem, całą prawdą mej duszy, że Marya-Regina dobra jak anioł, że jej podobną istotę spotkać w życiu, to błogosławieństwo Boże, to objaw jakiś piękności i cnoty, to jakby natchnienie do wzniosłych myśli i czynów szlachetnych; musiałem wydać dźwiękiem głosu więcej nawet niż składem wyrazów, bo aż pani Agnieszka uśmiechnęła się nieznacznie. Helusi tylko mowa moja nie zdziwiła — ona tyle skarbów uczucia miała w sercu swojem, że jej jako największemu w świecie bogaczowi żaden zbytek zbytkiem się nie zdawał, tylko, gdy już z pewnością się ułożyło, że nazajutrz pójdą Maryą-Reginę odwiedzieć, z westchnieniem rzekła do mnie:

— Och! prawda, że ta pani cudnie piękna i pięknie dobra, a jednak zdaje mi się, żebym nigdy tak rąk ku niej jak wtedy... ku tamtej... Nie gniewaj się pan na mnie — przydała, prędko zgadując myśl moję w spojrzeniu; — ona tak do swego imienia podobna, że zapewne się we mnie mojej matki odezwała natura.

Wistocie zasmuciło mię trochę owo jakby cofnięcie się Helusi, lecz ufałem w niewymowny wdzięk Maryi-Reginy, w poetyczną prostotę mojej przybranej siostrzyczki i pewny byłem, że przy bliższej znajomości te dwie zupełnie godne siebie istoty wzajemnie się ocenią i pokochają. Pragnąłem tego równie dla jednej, jak i dla drugiej. Dla Maryi-Reginy, bo w życie jej byłbym chciał wplątać wszystkie miłe wrażenia i przyjazne uczucia, zgromadzić wszystko, co jak ona piękne i czyste było; dla Helusi, bo wiedziałem, że ta znajomość może wznieść jej przyrodzone zdolności, rozwinąć jej duszę, orlim myślom nowe światy roztworzyć. Pierwszą chciałem mieć dobrodziejstwem smutnej rzemieślnika córce—drugą, darem uwielbionej mojej. Powzięty na dzień jutrzejszy zamiar cieszył mię tem bardziej, że od dnia koncertu spostrzegałem w Helusi coraz więcej ruchu, więcej rozbudzenia. Jej boleść, pierwej tak niema, tak zmartwiała, że prawie

na zwykły stan duszy i na przywyknienie już przeszła, teraz ocknięta drażliwiej może tkwiła w życiu, lecz samemże życiem być przestała. Uderzenie wprawdzie z wielką siłą padło, ale też od niego jasno iskra ducha się roztliła i wybłysnęła nową wrażeń potęgą, nową ku życiu wszechstronnemu chciwością...

VIII.

Nigdy, przy zapoznaniu się z najsławniejszemi znakomitościami, wśród najświetniejszych i najliczniejszych zgromadzeń, nigdy Marya-Regina nie była tak zachwycającą, uprzejmą, tak pełną dowcipu i wdzięku, jak owego wieczora, kiedy przyjmowała u siebie Helusię, biedną, małą, nieznaną ludziom dziewczynkę. Widziałem, jak powoli urok zaczynał działać. Pani Agnieszka już nic a nic się nie bała, Helusi czoło rozjaśniało niezwykłą pogodą. Szczęściem gość żaden żadnej z tych dobranych chwil nam nie ukradł, a Romuald, którego cudem jakimś nad skrzypcami przy siostrze zastaliśmy, użyczył im nowego ruchu i żywszej barwności swoją lekką, pociągającą wszystkich wesołością.

Trudnoby też przyszło, w życzeniu nawet, lepiej dobranych osób zgromadzeniem, na wieczorną pogadankę, stół przed kanapą w lecie, a kominek z rozpalonym ogniem w zimowe słoty obsadzić.

Pani Agnieszka, cicha wprawdzie i milcząca, ale tak pełna macierzyńskiej jakiejś słodyczy i anielskiego ukochania; Marya-Regina, co mogła wszystko pędzlem wypowiedzieć; Helusia, co umiała swoję duszę wyśpiewać; Romuald, który więcej nawet wygrać potrafił, niż w jego sercu było; ja sam, co dzisiaj te chwile pismem na pamiątki przetrwałam — my wszyscy tworzyliśmy zgodną, a w swej różności i piękną harmonią.

Udzieliłem tego spostrzeżenia Romualdowi.

— Zaprawdę powiadam ci — rzekłem wesoło — jako na górze Thaboru zbudujmy przybytki nasze i zostańmy, bo dobrze nam tu...

— Więc też zapewne nie zostaniemy—odezwała się Marya-Regina.— Kto wie, gdzie każdym z nas los powieje. Thabor był stopniem Golgothy — jasność przemienienia wstępem do wielko-piątkowej ciemności...

— Co o siebie, to zupełnie spokojny już jestem— śmiejąc się, zawołał Romuald.

— Łatwo ci to przychodzi, bo masz takich, mój bracie, którzy o to spokojnymi nie będą.

— A ja ci powiadam, że być mogą, i ty, Maryo-Regino, i Ludwik, i panie obie i wszyscy.

— Jakto wszyscy?...

— Wszyscy o mnie spokojni — bo ja dziś nie święto Przemienienia Pańskiego, ale Wielkanoc moję odchodzę, na prawdę Wielkanoc; wczoraj byłem umęczony między dwoma łotrami, po jednej stronie twój znajomy, Ludwiku, łysy Antoś, po drugiej rudy Ignaś — kazali mi grać... szczęściem, że tylko w karty. — I zaczął w najpocieszniejszy sposób opisywać swoje przejścia, nudy i straty, dopóki nad ostatnim dukatem swego woreczka nie zawołał: „stało się“ — i reszty cierpliwości nie wyziewnął.

Helusia przez cały ten czas z zadziwieniem patrzyła na niego; jej twarz mieniąca się pod przelotem każdej myśli, jak powierzchnia zwierciadła pod przesunięciem każdego przedmiotu, widocznie zdradzała jakieś niezadowolenie, jakąś zdumiałość przykrą i niespodzianą.

Bezwątpienia Marya-Regina odgadła ją także, bo z uśmiechem do Helusi rzekła, niby tylko obojętną rzucając uwagę:

— Pusta wesołość bywa czasem odpoczynkiem tylko po smutku, jak wieśniakowi jest taniec po robocie wytchnieniem.

— A ja pewna jestem — odpowiedziała jej Helusia z tą swoją wpółdziką, wpółdziecinną szczerością — pewna jestem, że pani brat nigdy się nie smuci... choć jego oczy powinnyby umieć zapłakać.

— Dlaczego powinny? — niespokojnie zagadnął Romuald i spojrzał na mnie, jak gdybym ja mu odpowiedź był dłużny.

— Bo w łzawem oku — rzekła Helusia — jaśniej niebo się odbija, a pan artystą, pan dużo nieba na ziemię ściągnąć powinieneś.

— Cha! jeśli niebo po łzach ludzkich spływa na nasz padół, któż ci powiedział, panno Heleno, że ja nie jestem do gruntu mego serca... zniebieszczony?...

Powiedziały mi usta, co się śmieją — bystrem spojrzeniem go mierząc, dziewczynka odrzekła.

— Niezawsze można wierzyć takim ustom — odezwałem się, bo mi stanęły w pamięci słowa Romualda, owego niegdyś poranku, z tak wielką wymówione goryczą. — Ja sam widziałem przy dźwięku prostej piosenki łzy bardzo smutne, na bardzo wesołej twarzy.

— Ludwiku! — przerwał Romuald i nic nie dodał więcej, ale mi spojrzał w oczy takiem ostrem spojrzeniem, jak najdotkliwszy zarzut. Pomiarkowałem się, że mimowolnie nadużyłem jego zwierzenia, i przyciąłem w pół myśli.

— Smutek — odpowiedziała na jej wymówiony początek Helusia — może iść w parze ze szczęściem, ale nie mogę wystawić go sobie w parze z wesołością. Wesołość taka głośna, smutek taki cichy; ona tak się bawi, tak żartuje, tak tańczy po świecie — on tak duma, tak tęskni, tak marzy nad światem. Wiem, że jest śmiech boleści i szyderstwo rozpaczy, ale wesołości smutku niema.

— Mylisz się, panno Heleno — rzekła Marya-Regina — jest i wesołość smutna i smutek czasem wesoły Ja sama pamiętam, kiedy dzieckiem byłam, to zawsze najgłośniej się śmiałam, jak mię co bolało, jak do strachu nie chciałam się przyznać, albo gdym potrzebowała dowieść, że mię odebrana kara nic nie obchodzi.

Taki smutek wesoły jest siłą moralną fizycznej niemocy, ulgą zbyt zdrażnionych nerwów, odwróceniem i skierowaniem ich działania; jest pierwszem zapanowaniem nad sobą tej natury, co się jeszcze do godności zupełnego spokoju nie wyrobiła, jest często zagłuszeniem, odurzeniem, ucieczką z własnej myśli — a ludzie, co tego nie rozumieją, dziwią się potem i myślą: dlaczego to między wesołymi tyle szaleństw rozpacznych, tyle samobójstw nieprzewidzianych? „Zastrzelił się? on, taki przyjemny, tak pusty w zabawie.“ „Otruła się? ona, co tańczyła tak pięknie!“ — mówią wszyscy i nie przyjdzie im na myśl, że jeśli kto się zabić musi, to właśnie ten, któremu się w rozdartem sercu jeszcze dużo śmiechu pozostało. Smutny przetrwa, lub umrze z nieszczęścia. Wesoły jak się zmęczy, chyba sam starga to, co się zerwać nie mogło do reszty.

— Och! panie Ludwiku, my nie tak z sobą o smutku mówili? — zawołała jakby przelękniona Helusia.

Wzrok Maryi-Reginy pytająco i badawczo zwrócił się na mnie.

— Bośmy też — odpowiedziałem — nie mówili o takim smutku. Wszak wiesz, panno Heleno, że dwojakim bywa — od ludzi i od Boga. Smutek szalejący po świecie smutkiem jest od ludzi.

— A smutkiem od Boga? — zagadnęła Marya-Regina.

— Ten co do Boga wraca.

— Modlitwą?

— Pięknych czynów — dokończyłem z pośpiechem.

Zdawało się, jak gdyby Marya-Regina jeszcze miała jakąś przeciw temu odpowiedź, lecz już poprzedzające jej wyrazy tak zaniepokoiły panią Agnieszkę, że znać było, iż dopiero z wymówionem Pana Boga imieniem trochę wolniej odetchnęła. Wstrzymała więc Marya-Regina usta w cisnącą się już do ust odpowiedź i chwila milczenia nastąpiła.

Przerwało ją zgrzytnięcie skrzypców Romualda: bo dźwiękiem nie było można nazwać dziwacznego

głosu, który pod uderzeniem jego smyczka wydały. Nagłym ruchem — jakby na zapytanie co to znaczy? — zwróciliśmy się ku niemu wszyscy; lecz on z uśmiechem grał dalej i bawił się naszą niepewnością. Zrazu ton po tonie skakał w nieładzie, jak wróbel za wróblem, potem przymieszała się do nich ostra, nierozdzierająca, ale prędzej wypadałoby powiedzieć krająca serce nuta, potem z tych dziwactw własnej fantazyi wpadł na piekielny walc „Roberta diabła.“ a co zrobił z niego, a jak to przedrzeźnianie szatańskiej pustoty wydał okropnie, śmiesznie, przeraźliwie, tego ja wyrazami nie powtórzę, ale zrozumiałem wtedy wszystkie włoskie legendy o ludziach na śmierć załechtanych i konających wśród śmiechu.

— Cicho! cicho! — krzyknęła Helusia i ucichł Romuald, bo sam się przeląkł zrobionego swoją muzyką wrażenia; dziewczynka śmiała się ciągle przycichłym, urywanym śmiechem, co jej w piersiach ginął, jak gdyby nie mógł się wydobyć na twarz tak drżącą i bladą, że aż odbiciem niespokoju ku niej zwrócona twarz matki pobladła.

— Tak, to był smutek wesoły — rzekła Marya-Regina—smutek śmiejący się na całe gardło. Dobrze grałeś, Romualdzie, i dobrze zrobiła panna Helena, że cię dłużej słuchać nie chciała; z jej przeczystą naturą nigdy się taka sprzeczność nie pogodzi. Lecz jest i wesołość smutna, a w twoich wspomnieniach, panno Heleno, zapewne niejednę chwilę jej znajdziesz. Co do mnie, ja zawsze z takiem uczuciem smutnej wesołości widziałam kolebkę ze śpiącem dzieckiem obok czuwającego starca, ciągnące z wiosną żórawie, dzień pogodny i ciepły w spóźnionej jesieni, piękne kwiaty na grobie — z takiego wrażenia ułożyłam też sobie obrazek maleńki.

I przyniosła to, które już raz wspomniałem, olejne malowanie. Tło jego przedstawiało szarą taflę grobowego kamienia, z jednej strony tylko niedochodzącą do brzegu i odciętą na perspektywie rozjaśnionych jakby dalekim słońcem obłoków. Tafla w całości

swojej prawie zarzuconą była stosem kwiatów, a między kwiatami trupia głowa i dwa piszczele. Smutna wesołość, owo natchnienie Maryi-Reginy, rzekłbym. iż z lekkim odcieniem szyderstwa było połączone. Nikt dowcipniej i poważniej swoich marzeń o piękności nie sparodyował. Przez otwory oczu bukieciki niezapominajek wyglądały. róża się w szczerby zębów cisnęła, zawilce z rozchodnikiem do czoła i skroni przylgnęły, a jaśmin i rozmaryn pośród nich się plątał, jak przypomnienie ślubnego wianka na jasnych dziewicy włosach. Kości rąk błękitny powój z blado-różowym ślazem owijał i piął się od nich aż na łodygę świetnego tulipana, który innym górował kwiatom, a kwiatom dziwnie zmieszanym, bo od kosztownej kamelii. co pod obcem niebem zakwita, aż do dziewanny, co na piaskach naszych rośnie, były tam różne, jedne przy drugich ciśnięte.

— Piękny, och. piękny obraz! — z uniesieniem kilka razy powtórzyła Helusia..

— Ten obraz — rzekła do niej głosem łagodnej prośby Marya-Regina — trzeba tak wyśpiewać, jak Romuald wygrał pierwszą myśl moję.

Helusia namyślała się przez chwilę.

— Nie! dzisiaj śpiewać nie umiem — odpowiedziała wreszcie—szukałam słów, i wasze tylko wróciły mi słowa, szukałam nuty, i ta potępiona jedynie plątała mi się nuta. Zbyt jestem zajętą i zbyt uległą wpływowi jakiegoś narzuconego wrażenia, bym piosnkę przypomnieć sobie, albo złożyć mogła.

— Ja dopomogę pamięci—rzekł Romuald. — Zaśpiewaj nam pani to, co na prośbę Karolka śpiewałaś wtedy zrana.

Helusia brwi zmarszczyła...

— Tego dla niczyjej zabawy nie śpiewam — odpowiedziała surowo

— Ale śpiewasz dla prośby i modlitwy — z naleganiem mówił Romuald...

— Prośba i modlitwa daremne będą— przerwała mu Marya-Regina.—Niewiele jeszcze znam pannę He-

lenę, a jednak to już z jej natury odgadłam, że niecofnione tylko wymawia słowa.

Romuald zachmurzył się, jak dziecko, któremu pożądanego cacka odmówią. Usiadł zdaleka na boku i przez czas jakiś wcale do naszej rozmowy się nie mieszał. Widząc, że znów bierze skrzypce swoje w rękę, ucieszyliśmy się wszyscy, lecz on jak gdyby tego nie zważał, czy przez staranność wielką, czy na zużycie naszej cierpliwości, długo, długo stroju próbował, naciągał, brzdąkał — a gdy już skończył to przygotowanie, zadumał się ze spuszczoną na piersi głową, ze wzniesionym do góry smyczkiem, i tak mu blada twarz jego rzewnością się oblekła, tak mu do smutnych myśli podobne ciemne włosy na czoło się zsunęły, tak był piękny inną zupełnie niż przedtem pięknością, że go trudno było poznać. Ja takim pamiętałem go w owej nocy u mnie spędzonej, lecz Helusia nie mogła pojąć jeszcze owego przerzucania się w odmienną zupełnie istotę owych dwóch ludzi w jednym artyście.

— Więc i ten jest bratem pani? — szepnęła zcicha do Maryi-Reginy.

— Nie i ten, ale tylko ten; pierwszy gościem był jedynie—odpowiedziała z uśmiechem zapytana.

Tymczasem po kilku chwilach cichości i zamyślenia, Romuald tak lekko musnął skrzypców struny, jak gdyby westchnął, a może też westchnął tylko, bo znów cisza nastała. I znów westchnienie, ale głośniejsze—głośniejsze, coraz głośniejsze, aż w czysty dźwięk się wzniosło i tym dźwiękiem dopiero w nutę Helusinej piosneczki przelało.

Z obawą spojrzałem na słuchającą dziewczynkę; twarz jej była bardzo spokojna, oczy nieruchomie ku ziemi spuszczone i w obie ręce tylko rękę swej matki, jakby na wsparcie lub pociechę ujęła.

Romuald grał ciągle — płakały mu struny pod smyczka dotknięciem; czasem ton jaki zadrżał, niby serce w piersiach, czasem niby się zerwał i umilkł, a potem znowu w swojej wiejskiej prostocie wracała melodya piosnki i powtarzała się bez końca, jak gdy-

by się stopiła z duszą grającego, póki jej znowu inna myśl nie rozdarła, póki się w tysiące przemian i zwrotów nie rozstrzeliła. Nakoniec po raz ostatni ozwała się piosnka; przeciągnął środkowe tony znowu w ten dźwięk początkowy, długi, tęskny i dźwięk znowu skonał tem pierwszem westchnieniem.

Helusia puściła rękę swej matki, po jej twarzy dwoma kroplami toczyły się dwie łzy czyste jak jej dusza, święte jak jej wspomnienia; łagodna, piękna niemi, wstała, zbliżyła się do Romualda, a wziąwszy z jego ręki skrzypce, pocałowała z jakiemś religijnem uniesieniem milczące już struny. Czoło artysty zabłysło dumą i radością; wyciągnął dłoń ku Helusi, ale blada dziewczynka nie podała mu swej dłoni. Przez chwilę patrzyła w twarz jego i zdało się, że jej łzy weschły w połysku tego spojrzenia—lecz pod tem wzajemnem spojrzeniem Romualda nagłym ruchem spadły jej powieki, rumieniec na lica wystąpił, a brwi zwyczajnym układem zbiegły się w głęboki bólu, czy też zagniewania wyraz.

— Och! powiedz mi pani, że teraz przynajmniej nie widziałaś mojej muzyki — rzekł Romuald tak cichym głosem, jak cichym dźwiękiem rozpłynęła się w powietrzu jego nuta ostatnia.

Helusia niecierpliwie drobną nóżką tupnęła.

— Poco mi pan jej wrażenie zepsułeś?—i odwróciwszy się, uciekła prawie na swoje dawne, przy boku matki zajęte miejsce.

— Helusiu, co tobie? — zapytała z trwożnem zdziwieniem pani Agnieszka.

Dziewczynka hardo wstrząsnęła głową, niby prześliczne, rozpieszczone i niekarne dziecię.

Mnie chwilę wspomnienia rozwiano, świecę ręką zasłonięto, a ja tego nie chcę, nie chcę! — powtórzyła z oporem, jak gdyby coś sprzecznego poza nią lub w niej odzywało się jeszcze...

Marya-Regina rzuciła na dziwaczącą istotę długiem i badającem spojrzeniem, lecz ona, kobieta, musiała sobie odrazu wytłumaczyć to, co ja dopiero póź-

niej, później zrozumiałem. Anielsko się uśmiechnęła i w czoło pocałowała Helusię.

— Nie smuć mi brata — rzekła jej lekko nad uchem w tym pocałunku schylona.

Wistocie Romuald z niechęcią smyczek na ziemię cisnął, zaśmiał się gorzko i siadając przy nas:

— Oto jest cała historya muzyki — przemówił z lekkiem szyderstwem — wielkie *wszystko* i wielkie *nic*...

Twarz Helusi roztkliwiła się w wyraz niepojętego żalu i niepojętej dobroci.

— Daruj mi pan, zapewne obraziłam go — rzekła — ja zawsze taka dzika; ja tak nie umiem ukryć, a nie umiem też i wypowiedzieć tego, co mi czasem przez myśl lub serce przeciągnie.

— Och! panno Heleno, nie winuję cię wcale — odpowiedział jej smutnie — to los mojej sztuki: już przywykłem do niego. Z ostatnim akordem wszystko się kończy. Patrz dokoła, rozglądaj się po niebie i ziemi—nic nie zobaczysz, nic nie pochwycisz, dźwięk skonał, i znów tak jest, jak gdyby jego nie było na świecie...

— Bluźnisz, bluźnisz i kaprysisz, mój bracie— ze ślicznie surową powagą zgromiła go Marya-Regina.

— Nie, siostro, to nie jest dziecinne rozkapryszenie — prawdziwie jakimś smutnym odparł jej głosem; — ja nieraz już mówiłem sobie, że szczęśliwszą jesteś, daleko szczęśliwszą odemnie: gdy myśl stworzysz w sobie, to na podobieństwo Boże rozkazujesz jej, a myśl w kształce i barwach widomie staje przed tobą.

— Ty zaś rozkazujesz jej, aby się odezwała, i myśl odzywa się dla wszystkich. Wierz mi, Romualdzie, że nie mamy czego zazdrościć sobie; szczęśliwym każdy kto stwarza, w jakimbądź sposobie, farbą, dłutem, literą czy dźwiękiem.

— Ale kto uwiecznia, ma dwa szczęścia, dwie siły, dwa życia— przerwał Romuald.— Dźwięk? cóż to jest dźwięk, Maryo-Regino? to jakaś chwilka w czasie

bez przeszłości. Wywołałem go z głębi mej piersi przeleję w niego cały zasób uzbieranych myśli, a on się w powietrzu rozpłynie; póki brzmi, póty ludzie jak wosk stopniały kształtują się jego natchnieniem; ucichnie... ludzie kamienni znowu idą dalej, a dźwięk-wi?... zapomnienie! Czy zostało co po mistrzach muzyki?... powiedźcie, bo ja nie wiem? — chyba napisana legenda? Muzyka w czarne kropki do papieru przybita? och! to ironia tylko muzyki! Gdzie głos, co ją wymówi taką, jaką się w piersiach moich ozwała? gdzie forma na uczucie moje? gdzie znak na to, co ja grałem przed chwilą?... Nie, siostro, ty z pędzlem lepszą część wzięłaś sobie. Nie, Ludwiku, ty z poezyą dalej w nieskończoność pójdziesz. Nie, panno Heleno, ty nawet z milczeniem twojem, z wiarą we własne serce jedynie, wyżej w chwale niebios staniesz odemnie biednego muzyka, potępionej sztuki oblubieńca, który nigdy jutra nie ma dla oblubienicy swojej.

— Ale ma całe dzisiaj. Romualdzie — z zapałem przerwała Marya-Regina. — Poecie, uczonemu, malarzowi, ofiarnikowi ludzkości nawet przyszłość w prawdzie jest dalszą i pełniejszą, ale patrz, jak życie krwawe, zdobycze trudne, praca ciężka i niewdzięczna. Ty jednę chwilę masz tylko, lecz dla zrównoważenia do tej jednej chwili zestrzeliło się na raz to, co ma innym na przeciągłe lata i wieki wystarczyć. Ciebie, muzyku, w pierwszym głosie rozumieją, lud każdy cię pojmuje, znasz wszechmowę świata. Tobie żadna przemoc nie sfałszuje czystej nuty, przed tobą żadne nie wzniosą się mury i granice. Wolny ulecisz dźwiękiem — śmiech, łzy dasz braciom według myśli swojej — oklaski, wieńce dadzą bracia tobie! I cóż z tego, Romualdzie że jak kiedyś od dłoni entuzyastów głośniej godzina śmierci uderzy, po tobie echa nie zostanie wcale?.. Wszakże wyżyłeś całą twoję współczucia, uwielbień i dni promiennych należność.

— A jabym przydał — odezwałem się wtedy — że rozbudzonem wrażeniem tak się nieśmiertelniłeś w czasie, jak inni w przestrzeni. Bo to są dwie nie-

śmiertelności: czas i przestrzeń — dziś i jutro — a są dla każdej piękności, dla wszelkiego dobra. Nieśmiertelność w czasie, owo całe dzisiaj, jak je pani nazwałaś, jest stworzeniem takiej chwili, która jako wrażenie między ludzi pada; wrażenie rozwija się potem w natchnienie do czynów, czyny w historyą. Gdybyśmy tej kolei zaprzeczyć chcieli, gdyby się chwile wrażeń z życia wymazało, to natchnienia przeszłyby w jakieś objawy i cuda, podobne tym dźwiękom, o których Romuald powiedział, że są bez przeszłości i bez przyszłości żadnej. Czyn każdy zaczynałby się i kończył sam w sobie, a dzieje świata nie ciągiem jednej pieśni, lecz zbiorem jakichś improwizacyj nazwaćby wypadło. Nie, ja przekonany jestem, że wrażenie wszelkie ma swoję nieśmiertelność—ja nawet nie pojmuję innej nieśmiertelności dla sztuki i dla dobrego, jak ów rozwój coraz doskonalszy, owę przemianę wrażeń na natchnienia, a natchnień na dzielność. Muzyka według ciebie, Romualdzie, jest chwilką teraźniejszości jedynie, ale jak sam tę chwilkę wywołujesz ze wszystkich upłynionych dni twoich, tak i wiedzieć nie jest ci danem, w jak dalekie zdarzenia jej echo uleci. Dlatego właśnie, że jest chwilką tylko, silniej uderza, bezpośredniej na mózg i serce działa, zupełniej całą ludzką istotę przenika. Dzieła przestrzeni ciszej i wolniej wśród świata wschodzą, bo dłużej cząstka po cząstce, pokolenie za pokoleniem w nich czerpie i według ich modły się kształtuje. Bóg sam nie zawyrokowałby, co bliżej Niego, co lepsze. Niesłusznie bezmyślny lituje się i skarży na społeczeństwo, że wielkich mędrców, błogosławionych wieszczów, świętych kapłanów swoich bez uczczenia mija, choć ma złoto dla aktorów, dla muzyków laury. Niesłusznie też zaczytany w spylonych księgach erudyt pogardę rzuca na te jedno-łyskliwe meteory i nie wspomni sobie, ile to z odziedziczonych przez niego skarbów przy ich świetle ujrzano niegdyś... Ty mówisz, że ja poeta dalej od ciebie w nieskończoność pójdę. Przypuśćmy

nawet, że poetą jestem, lub być mogę. Alboż i dla nas niema takiego sławy na czas i przestrzeń rozdziału? Są poezye w czasie tylko żyjące—w jednej chwili, w jednem uczuciu. Nauka literatury ich nie zarubrykuje, pod swoje kategorye nie wciągnie. Bibliotekarz kiedyś między szpargały ciśnie. Profesor z katedry chyba za przykład osobliwości przytoczy, a częściej jeszcze powie: w tej epoce żył wielką wziętość mający poeta — nazywał się Tyrteusz! Bojan! Frauenlob! — ale po nim nic nie zostało... Nic nie zostało! I z tylu piersi wojennym okrzykiem słowu jego wtórujących, z tylu mieczy na rym do wiersza wzruszonych... z tylu łez wyciśniętych, z tylu serc bijących, nic nie zostało? A po Homerze? Po Homerze została Illiada — każdy wiek z tej skarbony coś wydostaje i przyswaja sobie, a skarbona tak bogata, na dłuższe wieki jeszcze dostarczać będzie wzorów i natchnień... potrosze. Homer poeta każdy swój wyraz pomnikiem stawił trwalszym, niż granity Egiptu— odmalował farbami trwalszemi, niż freski Herkulauum. Homer poeta olbrzymem był w przestrzeni. Homerowi poecie wieczne jutro, wieczna cześć, a jednak... jednak ja całej tej wieczności, całej sławy, całej przestrzeni się wyrzeknę; dajcie mi tylko w rękę starego Bojana gęślę, dajcie do życia jednę Tyrteusza chwilę!

I umilkłem, bo głosu wyrazom, wyrazów myślom zabrakło. Rzucić takie życzenie przed siebie. wygłosić ludziom nadzieję taką, mieć lat dwadzieścia cztery, wierzyć w wszechmoc silnej woli... O! dzisiaj jeszcze gdy sobie to wspomnę! Lecz dzisiaj, już się głowa z dumą nie podniesie, ręka naprzód jak po schwycenie przyszłości nie sięgnie; głowa spada na piersi, bo wstyd czołu cięży, ręka oczy zakrywa, bo z oczu łzy płyną...

— Tyś wieszcz — rzekła do mnie Marya-Regina, i czułem w mojem oku promień jej oka, w mojej dłoni jej dłoń lekko drżącą — i byłem taki silny, dumny, szczęśliwy, że mogłem w tej chwili zaprzysiądz przy-

sięgą na szczęście moje pewność całej przyszłości, niezłomność całej potęgi, plenność stokrotną wszystkich poświęceń moich... Wtem nagle Romuald zaśmiał się całym głosem.

— Cha! cha! cha!.. jacy państwo zabawni! Marya-Regina taka uroczysta, jak nieszpór Bożego ciała, panna Helena patrzy na twarz Ludwika, jak na cudowny obrazek, a Ludwik jest tylko bardzo chory... bardzo chory, ma rozdęcie źrenicy. Ku czemu bądź ją zwróci: ku sobie, ku mnie, ku słońcu, czy ku pchle, to wszystko rośnie, rośnie, olbrzymieje, olbrzymieje niby pod mikroskopem — dostaje więc gorączki, zaczyna mówić i rozwija się z tego najzaraźliwsza choroba — poezya!

— Nie, Romualdzie, poezya nie jest chorobą i mikroskopowem oka złudzeniem — odparła Marya-Regina — poezya, według słów jednej kobiety, co mogła o poezyi sądzić, jest drabiną snu Jakóbowego, po której aniołowie z nieba na ziemię zstępują i z ziemi do nieba się wznoszą.

— Poezya—rzekłem także—jest prawdą, nie marzeniem, prawdą jako idealizowanie w rzeczywistości. Piękność, za którą ludzkość tęskni, i upiększenie, które ją pociesza. Bóg nad światem i Bóg w świecie — to poezya, Romualdzie.

— A ja uwierzę temu tylko, co mi pani o niej powiesz — rzekł Romuald, do Helusi z uśmiechem się zwracając.

Helusia przez chwilę zatrzymała na nim te swoje siwe, jakby z głębi duszy patrzące oczy.

— Mnie się zdaje—odrzekła powoli — że to jest cudowny kwiat paproci, w wigilią św. Jana o północy rozwinięty; przy nim widać wszystkie skarby ziemi.

— Jeśli panna Helena o zdolności poetycznej mówi, to trzykrotnie święte są jej słowa — odezwałem się znowu; — ona także, jako ów kwiat czarów, bogaci swego właściciela, lecz biada mu, kiedy na złe tych bogactw użyje!

— Czy doprawdy? — wesoło zagadnął Romuald.

— Piekło czeka świętokradzcę...

— Ach! to rzecz bardzo niebezpieczna z taką pogróżką! Ja wam radzę, strzeżcie się państwo wszyscy, żeby was diabeł nie porwał.

Nawet pani Agnieszka rozśmiała się na te słowa wesoło i rzekła:

— No. no, nie bójcie się państwo, ja za wszystkich pacierze odmówię... i to dziś już, bardzo wkrótce podobno, bo mi się zdaje Helusiu, że późno być musi...

Smutnie brzmi przy końcu tak spędzonego wieczora to słowo: *późno już!...* a przy końcu młodości przetęsknionej, przy końcu życia zmarnowanego, och! daleko smutniej jeszcze!...

KONIEC TOMU II-GO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

	Str
Wstępny obrazek	1
Poganka. Powieść przy kominkowym ogniu opowiadana	34
Książka pamiątek, znaleziona przez Gabryellę i czytana przy kominkowym ogniu	198

Biblioteka WSP Kielce
0227176